

Manel Loureiro

APOKALIPSA



PIERWSZY TOM TRYLOGII ZOMBIE



POCZĄTEK KOŃCA

Manel Loureiro

APOKALIPSA



PIERWSZY TOM TRYLOGII ZOMBIE



POCZĄTEK KOŃCA

Manel Loureiro

APOKALIPSA Z
Początek końca

Tytuł oryginału: *Apocalipsis Z: El principio del fin*

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Irma Iwaszko*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Konwersja do formatu elektronicznego: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Elżbieta Jaroszuk*

Zdjęcie na okładce

© Buida Nikita Yourievich/Shutterstock

© 2011, Manel Loureiro Doval

All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2013

© for the Polish translation by Joanna Ostrowska and Grzegorz Ostrowski

ISBN 978-83-7758-523-8

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2013

Wydanie I

*Dla Lucí, mojego światła,
mojej miłości, mojego życia*

Kiedy zabraknie miejsca w piekle, umarli będą stąpać po ziemi.

Świt żywych trupów, 1978

Blog

Piątek, 30 grudnia. Godzina 8.40

Dziś czeka mnie wariacki dzień. Rano, kiedy wstałem, padał rześisty deszcz. Trochę później, gdy robiłem sobie kawę, dalej lało. Wziąłem prysznic, słuchając wiadomości radiowych.

Ciągle to samo. Że Hiszpania się rozpada, że się nie rozpada, że to, że tamto, że siamto... A moje dzisiejsze spotkanie może zadecydować, czy przez sześć najbliższych miesięcy będę żył jak panisko, czy też będę musiał walczyć z akcjonariuszami, którzy nie mają pojęcia, co tak naprawdę jest dla nich dobre. Wiem, że to ich pieniądze, a nie moje, ale jeśli dojdzie do fuzji, dzięki prowizji przez pół roku pożyję sobie nieco spokojniej. Muszę odpocząć, mam ochotę wypłynąć zodiakiem i ponurkować trochę w zatoce.

Pijąc kawę, spoglądałem przez okno wychodzące na ogród. Kupno tego domu to był strzał w dziesiątkę. Wciąż wiele rzeczy mi tu o niej przypomina. To ona go wybrała, ona zdecydowała, jak go urządzić, ona... zresztą teraz to już wszystko jedno. Myślałem, że jeśli posłucham zalecenia lekarza i „otworzę się” na innych, łatwiej zniosę jej brak, ale czas mija, a ja ciągle czuję wszędzie jej obecność. „Zacznij pisać bloga”, powiedział mi psycholog. „Pisz, o czym zechcesz, na jakikolwiek temat, ale pisz”. Właśnie to robię, ale nie widzę, żeby był z tego jakikolwiek pożytek. Przynajmniej dla mnie.

Zresztą, co mi szkodzi. Może jednak?

Ogród jest zielony, mokry, zarośnięty, zaniedbany. Od trzech tygodni w Galicii bez przerwy pada, wilgoć wciska się wszędzie. Niedługo trzeba będzie skosić trawnik i oczyścić ogrodzenie. To też była jej decyzja, żeby dom otaczał wysoki mur z kamienia, po którym spływają w tej chwili strumienie wody. „Potrzebujemy prywatności”, mówiła... Teraz, kiedy jej nie ma, czuję się tak, jakbym mieszkał w twierdzy.

Poprawiłem krawat i wziąłem teczkę. W radiu spiker mówił akurat o napiętej sytuacji w jednej z tych małych republik na Kaukazie, których nazwy

kończą się na „an”. Wygląda na to, że jakieś oddziały buntowników zajęły obiekty wojskowe czy coś w tym rodzaju.

Za dużo krwi jak na mój gust. Szybko wyłączyłem radio. Muszę iść do biura. Zrobiło się późno.

3 stycznia. Godzina 13.15

Na kacu

Od mojego ostatniego wpisu na blogu minęło kilka dni. Spotkanie z ludźmi z firmy poszło znakomicie! Myślę, że za to, co zarobiłem w ostatnim miesiącu, w tym roku będę mógł zafundować sobie niezłe wakacje.

W Sylwestra pojechałem do rodziców, do Cotobade, niedaleko Pontevedry. Przenieśli się tam kilka lat temu, zaraz jak przeszli na emeryturę. Na kolacji byli, ma się rozumieć, rodzice, a poza tym wujostwo oraz moja siostra i jej chłopak, którzy przyjechali z Barcelony, gdzie pracują. Ona jest prawnikiem, tak jak ja, ale działamy w różnych branżach. Mieszka w Barcelonie od lat i chyba przywykła do życia w Katalonii. Ja tam zawsze wolałem Galicję...

Rozmowa toczyła się wokół najważniejszej wiadomości ostatnich dni: nowego konfliktu na Kaukazie. Prawdopodobnie grupa islamskich bojowników z... Dagestanu...?? zajęła dawne bazy radzieckie, które w tej wchodzącej w skład Federacji Rosyjskiej republice dotąd kontrolowali Rosjanie. Zdaniem siostry bojownicy pewnie szukają jakichś materiałów jądrowych.

Mam nadzieję, że się myli. Tylko nam teraz brakuje kolejnych zamachów, jak te z 11 marca 2004 roku w Madrycie, i na dodatek z użyciem bomb atomowych...

Nieliczne migawki, które pokazano, były bardzo niewyraźne. Wydaje się, że zajęte obiekty mają supertajny charakter i władze nie pozwalają ich filmować. Korespondenci korzystają z materiałów archiwalnych i szerokich planów robionych z hotelowego tarasu. Mówi się o setkach ofiar śmiertelnych i o tym, że Putin postawił w stan gotowości wojska na terytorium całej Rosji. Zdjęcia żołnierzy i czołgów na ulicach wywołują ciarki na plecach... Na pewno władze

obawiają się nowych zamachów albo ataków w innych częściach kraju.

Cieszę się, że mnie tam nie ma.

3 stycznia. Godzina 19.03

Oglądam właśnie telewizję. Tele 5 przerwała nadawany program, żeby pokazać na żywo, jak Federacja Rosyjska zamyka granice. Zawieszono wszystkie loty z i do Rosji, a wystrzelenie w przestrzeń kosmiczną kolejnej rakiety Sojuz odłożono *sine die*. W CNN+ komentują, że przyczyną zamknięcia granic może być sytuacja w Dagestanie, która wymyka się spod kontroli, albo dążenie Putina do umocnienia swojej władzy. Jeden z uczestników programu stwierdził rozsądnie, że nie ma powodów do paniki, że chodzi po prostu o polityczną zagrywkę... Nie wiem, co o tym myśleć.

Wczesnym popołudniem znowu nie było prądu. Mam już dość tych cholernych awarii. Trudno uwierzyć, że mieszkam w osiedlu oddalonym zaledwie dwa kilometry od Pontevedry, miasta, które liczy osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców! Mówią, że chodzi o „problemy na liniach przesyłowych”. Szacują, że naprawa potrwa sześć miesięcy. To czyste kpiny. Jutro kupuję panele fotowoltaiczne na dach i akumulatory. Mam gdzieś zakład energetyczny.

4 stycznia. Godzina 10.59

Lekko zaniepokojony

Dziś rano znowu oglądałem w CNN+ wiadomości z Rosji. Są wreszcie nagrania tego, co niby się dzieje w Dagestanie. Władze rosyjskie pogłębiają izolację kraju; najpierw były granice, teraz przyszła kolej na media. Korespondentów pracujących w Dagestanie przeniesiono do Moskwy, dla – jak podano – „ich własnego bezpieczeństwa”.

Pokazano film nakręcony amatorską kamerą, na którym widać jednostki specjalne armii rosyjskiej posuwające się wyludnioną ulicą jakiegoś miasteczka

w pobliżu zaatakowanej bazy, jak można było przeczytać na pasku w dole ekranu. Żołnierze, których na początku nagrania widać w środku transportera opancerzonego, to młodzi chłopcy o dość wystraszonych twarzach. Moją uwagę zwróciły zwłaszcza maski przeciwgazowe, które mieli na sobie, kiedy zeskakiwali z transportera; jakby bali się, że w powietrzu może być coś szkodliwego. Niespodziewanie zaczęli strzelać jak opętani w stronę czegoś lub kogoś i zaraz wrócili biegiem do pojazdu. W tym miejscu nagranie się urywa. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć...

Na kanale Antena 3 mówią, że rebelianci, którzy zaatakowali bazę, być może pochodzą z Czeczenii, i że chcieli zdobyć materiały chemiczne lub nuklearne zmagazynowane w laboratoriach. Świat oszalał...

Po południu pojechałem na zakupy. Zbliża się święto Trzech Króli, dlatego w centrum handlowym położonym trzy kilometry od mojego domu pełno ludzi szukających prezentów[1]. Nadwyrężyłem kartę kredytową, kupując mnóstwo jedzenia, kilka pięciolitrowych butli wody, dwie potężne latarki i kilkanaście baterii na wypadek tych cholernych przerw w dostawie prądu, oraz trochę akcesoriów elektrycznych, przede wszystkim przewody. Skoro mam zainstalować na dachu panele, lepiej się przygotować. Kupiłem też ogromne zapasy karmy dla Lukullusa, mojego perskiego kota, który ostatnio prawie nie zwraca na mnie uwagi.

Któryś z sąsiadów ma chyba kotkę w rui i Lukullus czuje się w obowiązku o nią zabiegać. Ciągle przełazi przez ogrodzenie w poszukiwaniu przygód... A mur ma ponad trzy metry wysokości! Czego się nie robi dla kobiety...

Po drodze wpadłem do firmy instalującej panele słoneczne. Kupiłem dwa, BP Solar SX-170B. Wypadło dość drogo – łącznie z montażem (przyjdą jutro) dwa tysiące euro (nie licząc akumulatorów) – ale to najlepsze, co oferuje rynek. Każdy z paneli waży około piętnastu kilogramów, można je więc śmiało zainstalować na dachu, bez obawy, że zbyt obciążą konstrukcję. Składają się z ogniw z krzemu multikrystalicznego, które gwarantują co najmniej dwudziestopięcioletnią trwałość modułów. Mając na dachu dwie takie płyty,

mogę ładować dwa zestawy złożone z dwudziestu czterech akumulatorów nawet w miejscu tak mało słonecznym jak Galicia. W razie awarii zapewnią mi prąd na wiele godzin i przynajmniej nie zepsuje mi się jedzenie przechowywane w dwóch zamrażarkach w piwnicy.

Zwykle mam mało czasu, dlatego lubię, żeby lodówka była dobrze zaopatrzona na wypadek, gdybym przez kilka tygodni nie mógł zrobić zakupów. Zamrażarka to zdecydowanie wspaniały wynalazek.

W drodze powrotnej zatrzymałem się przy kiosku, żeby kupić kilka kartonów papierosów Fortuna i bibułki do skrętów przydatne na niektórych imprezach. Czekając w kolejce, zauważyłem, że w sklepie z bronią naprzeciwko dwaj myśliwi kupują amunicję. Mamy sezon polowań, a ten weekend będzie bardzo długi, bo zaczyna się od dodatkowego dnia wolnego.

Po powrocie wypakowałem zakupy i słuchając radia, skosiłem kawałek trawnika. Przydomowy ogródek ma zaledwie około pięćdziesięciu metrów kwadratowych; nie jest duży, trochę większy niż zwykłe patio, ale za to zaciszny dzięki otaczającym go wysokim murom. Ceglana willa stoi w osiedlu złożonym z czterdziestu identycznych domów, ustawionych w rzędach po dziesięć, przy dwóch równoległych uliczkach. Mój zbudowano w połowie ulicy Numer Jeden (nie ma jeszcze nazwy, takie rzeczy załatwia się powoli, a osiedle powstało niespełna trzy lata temu). Po bokach znajdują się dwie inne wille, a z tyłu trzecia, która wychodzi na ulicę Numer Dwa. Oddziela mnie od niej małe patio i mur, wysoki na jakieś trzy metry.

Prawie nie znam sąsiadów, bo spędzam w domu mało czasu. Wiem tylko, że naprzeciwko mieszka małżeństwo bardzo sympatycznych emerytów, jeżdżących pathfinderem, a obok lekarz z żoną i dwiema małymi córeczkami. Willę po drugiej stronie zajmują Alfredo, fajny chłopak pracujący w firmie budowlanej, oraz jego dziewczyna. Ja na razie mieszkam z Lukullusem, największym kocim bezwstydnikiem i włóczykijem na całej ulicy. Obawiam się, że niedługo w drzwiach mojego domu stanie jakaś rozhisteryzowana sąsiadka z pudłem pełnym kociąt podobnych do Lukullusa i zażąda wyjaśnień. Muszę coś zrobić z

tym kotem...

W radiu ciągle nadają wiadomości z Dagestanu. Wygląda na to, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Władze Rosji nadal stosują blokadę informacyjną i wysyłają coraz więcej żołnierzy i lekarzy. Ciekaw jestem, co, u licha, się tam dzieje?

5 stycznia. Godzina 13.54

Dzień siódmy. Coś tu nie gra

Dziś rano przyszli zainstalować panele słoneczne, które wczoraj kupiłem. Przy optymalnym naświetleniu dają moc znamionową 220 W. Dzięki dwóm zestawom złożonym z dwudziestu czterech akumulatorów, które ustawiłem w piwnicy, będę miał własny prąd przez osiem godzin dziennie, co w zupełności wystarczy, by przetrzymać każdą przerwę w dostawie energii.

Zadzwoiłem do siostry, żeby chwilę z nią pogadać. Jest teraz w Barcelonie, ale na weekend jedzie do przyjaciółki, do Girony. Mówi, że u niej wszystko w porządku. Pożegnaliśmy się po krótkiej rozmowie o niezbyt ważnych sprawach.

W telewizji ciągle puszczają migawki z Dagestanu. Ostatnie wiadomości (nieliczne z powodu blokady informacji) są takie, że władze rosyjskie zarządziły ewakuację ludności. Wydaje się, że podczas ataku na rosyjskie instalacje czeczeńscy buntownicy niechętnie wypuścili do atmosfery jakieś substancje chemiczne, które tam składowano. W Programie Pierwszym Lorenzo Milá[2] mówi o sarinie, gazie użytym w zamachach w tokijskim metrze, natomiast w Tele 5 twierdzą, że najprawdopodobniej chodzi o nadtlenek wodoru, wykorzystywany jako utleniacz paliwa do rakiet międzykontynentalnych radzieckiej produkcji.

Myślę, że tak naprawdę nikt nie wie na sto procent, co jest grane.

9 stycznia. Godzina 10.23

W Rosji dzieje się coś bardzo niedobrego. W weekend bombardowano nas

niekończącą się serią wiadomości, komunikatów, zaprzeczeń, doniesień o blokadzie informacyjnej i aktach przemocy. O każdej porze dnia we wszystkich kanałach telewizyjnych mówią o wydarzeniach w Dagestanie z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Ale trochę się zagalopowałem i niepotrzebnie wyprzedzam fakty.

W piątek rano podjęto decyzję o całkowitym zamknięciu granic Rosji. Tego samego dnia po południu Reuters podał, że zaatakowane obiekty to w rzeczywistości laboratorium, w którym przeprowadzano badania biologiczne, i że uwolniona przypadkowo substancja to jakiś patogen. Kilka godzin później władze Rosji kategorycznie zdementowały te pogłoski, mówiło się jedynie o toksycznej chmurze z zakładów produkujących nawozy sztuczne. Ale już w sobotę rano podano nam na śniadanie informację, że Rosja poprosiła o pomoc zespół z Centrum Zwalczania i Profilaktyki Chorób z Atlanty, który ma pojechać do Dagestanu.

Teraz mówią, że może chodzić o jakąś nową odmianę wirusa Zachodniego Nilu, wywołującego chorobę zakaźną, którą dość łatwo się zarazić. Rejonem jej endemicznego występowania jest Egipt, ale kilka lat temu komar przenoszący chorobę trafił na pokład samolotu i od 1995 roku odnotowuje się pojedyncze przypadki zachorowań w Europie i na południu Stanów Zjednoczonych.

Takie wytłumaczenie brzmiałoby logicznie, gdyby nie jeden drobny szczegół: w środku stycznia w górach Kaukazu nie ma znowu aż tak dużo komarów...

W niedzielę wydawało się, że nikt już nad niczym nie panuje. Zaledwie pięć godzin po przybyciu zespołu z Atlanty, gdy tylko zajął się on zatrutymi (a raczej zarażonymi), dwóch jego członków trzeba było ewakuować do Stanów Zjednoczonych. Najwyraźniej doszło do jakiegoś incydentu z udziałem pacjentów.

Późno w nocy podobny los spotkał ekipę Światowej Organizacji Zdrowia, która musiała zostać pilnie odesłana do Ramstein w Niemczech. Na niektórych portalach internetowych pojawiły się komentarze na temat możliwych przypadków śmiertelnych w tej międzynarodowej grupie.

O ofiarach w Dagestanie wiadomo niewiele, dotyczy to zarówno rosyjskich ekip medycznych, jeśli takie w ogóle tam są, jak i ludności cywilnej. Kilka amatorskich filmów, które udało się przekazać na zewnątrz, głównie przez internet, pokazuje długie karawany uciekających albo ewakuowanych ludzi (niektórzy wyglądają na bardzo chorych), a przede wszystkim mnóstwo karet pogotowia. Widać również grupy żołnierzy i rosyjskich pograniczników wyposażonych w sprzęt bojowy, przemieszczające się w przeciwnym kierunku, w stronę tego, co już zaczęto nazywać Gorącą Strefą.

A dziś rano – zaskakująca wiadomość. Rząd Rosji ogłosił stan wojenny. Zagraniczni dziennikarze muszą opuścić Rosję do końca dnia, zawieszono wolność zgromadzeń i prasy i, co najciekawsze, w całym kraju zamknięto dostęp do internetu. Nie można niczego zamieścić w rosyjskiej sieci i nic nie może stamtąd wyjść (przynajmniej w teorii).

Poza tym w Programie Pierwszym wystąpiła minister zdrowia. Powiedziała, że rząd jest przygotowany, by stawić czoło sytuacji, i gwarantuje, że w Hiszpanii nawet gdyby wystąpiło takie zagrożenie, nie dojdzie do zarażeń wirusem Zachodniego Nilu, i że nie ma powodów do paniki. Ale słyszałem też ministra obrony, jak mówił w radiu SER, że do Dagestanu zostanie wysłana ekipa sanitarna hiszpańskiej armii i kompania wojsk inżynieryjnych. Mają pomóc w opanowaniu sytuacji. Zaklinał się, że oczywiście nic im nie grozi, i takie tam bla, bla, bla...

Połowa krajów Europy, Japonia, Stany Zjednoczone i Australia wysyłają podobne ekipy.

Coś się w Rosji dzieje. Coś naprawdę poważnego.

9 stycznia. Godzina 19.58

Nowe teorie

Spędziłem całe popołudnie, wypróbując panele słoneczne. Generują zadziwiająco dużą moc, choć nie pozwala ona na podłączenie zbyt wielu sprzętów AGD jednocześnie, bo wtedy zużycie prądu gwałtownie rośnie i

baterie wyładują się po kilku godzinach. Ale przy małym zużyciu, na przykład przez dwie zamrażarki i komputer, będą samowystarczalne przez mniej więcej piętnaście godzin. Potem konieczna jest około ośmiogodzinna przerwa, w czasie której nie wolno używać akumulatorów, bo napięcie wtedy spada i sprzęt AGD mógłby ulec uszkodzeniu. Według producenta, przy bardzo słonecznej pogodzie mógłbym korzystać z paneli przez całą dobę, ale jesteśmy w Galicji i mamy środek zimy, więc raczej nie powinienem narzekać. Poza tym nie sądzę, żebym został bez światła na dłużej niż kilka godzin, nawet w czasie najgorszych zimowych burz.

Lukullus jest trochę zdziwiony osobliwą czapą, która wyrosła na jego domu (bo przysiągłbym, że uważa go za SWÓJ dom, a mnie za swojego zwierzaka do towarzystwa), ale ja mimo wszystko myślę, że to była bardzo mądra inwestycja.

Wróciłem z kancelarii i przygotowując sobie posiłek, słuchałem radia. Kontyngent hiszpański wystartował już z Torrejón de Ardoz w kierunku dagestańskiego miasta o nazwie Bujnask, gdzie ma założyć szpital polowy. Rosjanie najwyraźniej starają się rozlokować międzynarodowe ekipy sanitarne w różnych miejscach, by sobie wzajemnie nie przeszkadzały. Region jest bardzo zacofany, a rosyjskie służby medyczne osiągnęły chyba kres swoich możliwości.

Z doniesień wynika, że w nielicznych obozach dla uchodźców utworzonych w sąsiednich republikach dochodzi do nowych przypadków zachorowań wywołanych – jak się podkreśla – szczególnie złośliwą odmianą wirusa Zachodniego Nilu. Ale niektóre media, na przykład „El Mundo”, mówią o wirusie Ebola. Jeśli to prawda, Rosjanie rzeczywiście mają przerąbane. Wygląda na to, że nikt nie zatroszczył się o zorganizowanie wystarczającej liczby obozów, dlatego uchodźcy, gdy zostali wypędzeni przez wojsko ze swoich domów, rozbiegli się na wszystkie strony: zarówno zdrowi, jak i ci, którzy już zdrowi nie byli.

Najgorsze jest to, że wielu z nich przedostaje się małymi łodziami rybackimi na drugą stronę Morza Kaspijskiego, do Iranu, stąd obawy, że choroba dotrze

na Bliski Wchód. Tego im jeszcze tylko brakowało.

Muszę zrobić dodatkowe zakupy i zaopatrzyć się w środki przeciwgrypowe, a przy okazji odwiedzić matkę i poprosić o kilka recept na antybiotyki. Mam fioła na punkcie przeziębień.

9 stycznia. Godzina 20.40

Więcej informacji

Reuters podaje, że zmarło trzech lekarzy współpracujących ze Światową Organizacją Zdrowia, ewakuowanych do Ramstein. W opublikowanym raporcie medycznym stwierdzono, że może chodzić o bardzo zjadliwego wirusa wywołującego gorączkę krwotoczną, która u zarażonych powoduje utratę orientacji, majaki oraz napady agresji.

Teoria o wirusie Ebola wydaje się coraz bardziej prawdopodobna...

10 stycznia. Godzina 11.01

Stan równowagi

Piszę te słowa w przerwie między dwoma spotkaniami. Siedzę na ławce w parku, dokładnie pod oknami kancelarii, w której pracuję. Ponieważ zgodnie z nowym prawem palenie w miejscu pracy jest zabronione (nawet w moim własnym gabinecie!), za każdym razem, kiedy chcę zapalić, muszę wychodzić na zimno. Na szczęście można tu złapać kilka sieci Wi-Fi, zabieram więc laptop i surfuję po internecie.

Na portalach pojawiają się bardzo nieprecyzyjne informacje, prawie wszystkie budzą niepokój. Chyba nikt już nie panuje nad sytuacją w Rosji, a od ataku Czeczenów nie minęły nawet dwa tygodnie. Stan wojenny najwyraźniej nie poskutkował, bo w całym kraju szerzy się chaos. Jak można było przewidzieć, zarządzone przez Putina zamknięcie dostępu do internetu na nic się zdało. Wiele serwerów rosyjskich działa w innych krajach, dlatego w sieci wciąż można znaleźć informacje o tym, co się tam dzieje (swoją drogą, są

to JEDYNE informacje, jeśli nie liczyć oficjalnych komunikatów). Wielu rosyjskich blogerów pisze o patrolach wojskowych na ulicach, o godzinie policyjnej, a nawet o strzelaniu na oślep. Niektórzy napomykają o przypadkach kanibalizmu. Pewnie dlatego, że w ogólnym chaosie wiele regionów zostało całkowicie odciętych od zaopatrzenia. Oczywiście nic z tego nie potwierdzono oficjalnie, a władze rosyjskie dementują absolutnie wszystko, wydając komunikat za komunikatem. Zdaniem tamtejszego ministra obrony rozruchy są dziełem muzułmańskich ekstremistów, którzy chcą zdestabilizować rząd. Prawda wygląda jednak tak, że wiarygodność Putina i rządu rosyjskiego leci na łeb na szyję, o czym pisze – choć bardzo oględnie – cała prasa międzynarodowa.

Wiadomo jedynie na pewno, że wzmocniono środki bezpieczeństwa wokół rosyjskich elektrowni atomowych i baz raketowych. Mówił o tym amerykański sekretarz obrony, powołując się na źródła wywiadowcze (CIA) i zdjęcia satelitarne. Rząd Stanów Zjednoczonych nakazał ewakuację wszystkich swoich obywateli mieszkających w Rosji. Podobno są wśród nich zabici i ranni, bo wielu współpracowało ze znanymi organizacjami pozarządowymi działającymi na terenie Dagestanu. Przybywają do kraju od samego rana. W CNN+ można było zobaczyć, że niektórzy opuszczają samoloty na noszach. Wyglądali niezbyt dobrze.

Żołnierze amerykańscy są wycofywani z Iraku i przetrzucani do Stanów, gdzie krążą plotki o planach wprowadzenia czerwonego alarmu antyterrorystycznego. Prawie wszyscy zostaną przetransportowani drogą lotniczą, z międzylądowaniem w Ramstein, w Niemczech.

Z ostatniej chwili: przypadki zarażenia rosyjską odmianą wirusa Zachodniego Nilu – bo taka jest teraz oficjalna wersja – stwierdzono w północnym Iranie i w irackim Kurdystanie. Na forach internetowych wrze, z okazji korzystają na swoich blogach rozmaici przepowiadacze końca świata. Nie sądzę, żeby sprawy zaszły aż tak daleko; na pewno skończy się tak jak z ptasią grypą...

10 stycznia. Godzina 11.43

Stan równowagi (II)

Jak z ptasią grypą... No i po herbacie, jak mówi znana reklama. Dania ogłosiła właśnie, że zawiesza układ z Schengen o swobodnym ruchu w krajach Unii Europejskiej i wprowadza na swoich granicach kontrolę sanitarną. Inne kraje, jak Szwecja czy granicząca z Rosją Finlandia, planują zrobić to samo. Premier zapowiedział na dzisiejsze południe konferencję prasową, na której prawdopodobnie poinformuje o środkach, jakie zastosuje Hiszpania.

Radiodbiorniki rozgrzewają się do czerwoności od nadmiaru newsów. Jestem zaskoczony, że nagle wszyscy goście programów radiowych wiedzą tyle na temat medycyny. Siostra zadzwoniła z Barcelony, by mi powiedzieć, że rząd Katalonii zastanawia się nad masowymi szczepieniami... Ale przeciw czemu? Myślę, że nikt nie ma zielonego pojęcia, ale każdy chce ugrać coś dla siebie... Jak zawsze.

10 stycznia. Godzina 22.03

Stan równowagi (III)

Google News informuje, powołując się na agencje prasowe, że w bazie wojskowej w Ramstein ogłoszono kwarantannę... Zdaje się, że pracownicy Światowej Organizacji Zdrowia, których ewakuowano tam z Rosji, zarazili personel medyczny. Wszystkie amerykańskie loty wojskowe są kierowane do krajów trzecich.

Minister obrony powiedział w telewizji, że hiszpański rząd zezwolił amerykańskim maszynom na przeloty nad terytorium kraju. Istnieje możliwość wykorzystania Roty jako bazy wsparcia.

Ktoś zamieścił w internecie zdjęcie z Ramstein. Widać na nim niewiele, tylko dwie osoby rozmawiające w drzwiach jakiegoś baraku, ubrane w coś, co wygląda na kombinezony izolacyjne używane przez personel medyczny. To wszystko budzi niepokój...

11 stycznia. Godzina 11.48

Stan krytyczny

Znowu na ławce w parku, z papieroskiem w dłoni. Dziś jednak nawet ślepiec zdaje sobie sprawę, że na ulicach panuje inny nastrój. Zmiana może nie jest jeszcze wielka, ale bez wątpienia nastąpiła.

Wczoraj w południe premier zorganizował zapowiadaną konferencję prasową z udziałem ministrów zdrowia, spraw wewnętrznych i obrony. Główne jej przesłanie brzmiało: „Nie ma powodów do paniki”. Ciekawe w takim razie, dlaczego opinia publiczna wydaje się z każdą godziną coraz bardziej spanikowana.

Przyczyniają się do tego niewątpliwie wypowiedzi lidera opozycji, który żąda natychmiastowego zamknięcia portów i lotnisk, oraz stacja radiowa COPE, domagająca się, by wojsko obstawiło granice. A także w nie mniejszym stopniu fakt, że zaledwie czterdzieści osiem godzin po wylądowaniu hiszpańskich żołnierzy w Dagestanie podjęto decyzję o ich wycofaniu.

Zwykle nie podzielam opinii Federica Losantosa [3], ale nie mogę uwolnić się od myśli, że chyba tym razem to on ma rację. Sytuacja rzeczywiście coraz bardziej wymyka się spod kontroli. W Rosji panuje już kompletny chaos. Są regiony całkowicie odizolowane, nad którymi nikt nie sprawuje nadzoru. Wiadomości o rozbojach, grabieżach i masowych zabójstwach rozchodzą się po sieci niczym błyskawice. W Tele 5 pokazali wczoraj zdjęcia z francuskiego satelity, na których widać gigantyczne pożary w stolicy Gruzji, Tbilisi, zaledwie trzysta kilometrów od granicy z Dagestanem. Nie ma łączności z tym miastem i najwyraźniej nikt nie walczy z pożarami. Co się, kurwa, z nimi dzieje? Chcą się spalić żywcem, czy co?

Światowa Organizacja Zdrowia wykluczyła chyba definitywnie, że chodzi o wirus Zachodniego Nilu, i mówi teraz o szczepie choroby bardzo podobnej do eboli. Ebola, jak bezustannie powtarzają wszystkie gazety, rozgłośnie radiowe i stacje telewizyjne, to gorączka krwotoczna atakująca ludzi i pozostałe naczelne. Odkryta w 1976 roku, do dziś ma cztery znane odmiany: Ebola-Zair,

Ebola-Sudan, Ebola-Tai i Ebola-Reston (ta ostatnia zaraża tylko małpy). Do zakażenia dochodzi poprzez kontakt z zainfekowanymi płynami ustrojowymi i wydzielinami, głównie z krwią i ze śliną, a wskaźnik zgonów wynosi około dziewięćdziesięciu procent. Są jednak środki przekazu, które twierdzą, że to nie ebola, a przynajmniej żadna z jej znanych odmian. Pogłoski, pogłoski i żadnych, kurwa, konkretów...

Myślę, że tak naprawdę nikt nie ma zielonego pojęcia, co się dzieje, i wszyscy uderzają na oślep. Chcąc uniknąć epidemii ptasiej grypy, rząd szwajcarski zarządził masowe podawanie ludności leku o nazwie tamiflu. Wielka Brytania zamknęła czasowo Eurotunel i porty, ale uważa się, że i tak ma na swoim terytorium osoby zarażone przez pracowników błyskawicznie ewakuowanych z Dagestanu (wygląda na to, że wielu wróciło z ranami, jakby niektórych zaatakowały chore na wściekliznę zwierzęta). W Niemczech sytuacja jest jeszcze gorsza, bo kwarantanna w Ramstein chyba nie odniosła skutku, skoro już ogłoszono stan wojenny w całym kraju. Zadaję sobie pytanie, ile czasu minie, zanim podobne środki zostaną podjęte w Hiszpanii.

Nie wiem dokładnie, co dzieje się w innych częściach świata, ale w Atlancie mówią już o światowej pandemii. W Stanach Zjednoczonych sekty apokaliptyczne przygotowują się na przybycie Marsjan albo na coś w tym rodzaju... Biały Dom ogłosił najwyższy poziom alarmu antyterrorystycznego i zapowiedział utworzenie sztabu antykryzysowego.

Zdaniem jakiegoś eksperta z Ministerstwa Zdrowia, doszliśmy do tak zwanego punktu krytycznego epidemii i nie da się już uniknąć pandemii, która ma dotrzeć do Hiszpanii za kilka dni, jeśli już nie dotarła... Najgorsze, że dzieje się to bardzo szybko (minęły niespełna dwa tygodnie, od kiedy wszystko się zaczęło) i ciągle nie wiadomo, jak przekazywana jest choroba, jak długo trwa inkubacja ani nawet jakie są objawy... Tak przynajmniej wynika z oficjalnych komunikatów przedstawicieli władz.

To dlatego ludzie są tacy zestrachani. Dziś widziałem na ulicy dwie osoby w maseczkach na twarzy. Jakiegoś faceta, który zaczął głośno kasłać w barze,

gdzie byłem wczoraj wieczorem z Pablem i Hectorem, poproszono grzecznie, by opuścił lokal. Zawieszono tymczasowo niektóre masowe imprezy, a Xunta – rząd Galicji – myśli o zamknięciu na kilka tygodni państwowych przedszkoli, dopóki nie będzie wiadomo, na czym stoimy. Władze nie podjęły jeszcze żadnych środków o charakterze restrykcyjnym, ale ludzie sami zaczynają się ograniczać w obawie przed nieznanym wirusem. Jesteśmy jak zwierzęta, kulimy się ze strachu przed zagrożeniem, któremu tydzień temu poświęcono zaledwie króciutką wzmiankę w gazecie, a które teraz zamieniło się w nie wiadomo co.

Siostra zadzwoniła dziś rano z Barcelony. Mówi, że na razie miasto żyje zwykłym rytmem, ale i tam wyczuwa się strach na ulicach. Po tym, jak rozeszły się plotki, że ciepłe powietrze jest idealnym środowiskiem dla rozprzestrzeniania się choroby, ludzie unikają metra i patrzą nieufnie na każdego, kto wygląda na przybysza z Europy Wschodniej. Powiedziała mi ze śmiechem, że teraz przynajmniej nie gada się przez cały czas o tym cholernym kryzysie...

Zaniósłem Lukullusa do weterynarza. Wolałem się upewnić, tak na wszelki wypadek, że nie zaniedbałem jakiegoś szczepienia. Skorzystałem z okazji i zajrzałem do sklepu ze sprzętem do nurkowania, żeby odebrać nowy regulator, podwodną kuszę i pół tuzina pięćdziesięciocentymetrowych strzał, w razie gdybym w najbliższy weekend chciał coś złowić (oczywiście bez butli tlenowej).

Muszę zaprowadzić samochód do warsztatu, żeby sprawdzili poziom oleju. To niespełna roczny opel astra i nie chcę, żeby przytrafiło mi się z nim to samo, co z poprzednim autem... Ale to zbyt długa historia, żeby ją tu teraz opowiadać.

12 stycznia. Godzina 13.19

Ptaki spadają z nieba

Ludziom zdecydowanie puszczają nerwy. Dziś rano padał ulewny deszcz. Zostawiłem Lukullusa przy ciepłym kaloryferze, zajętego oblizywaniem wąsów,

a sam wsiadłem do samochodu. Na szczęście stał zaparkowany przed domem, bo inaczej cały bym przemókł. W drodze do pracy zauważyłem, że lawinowo wzrosła liczba osób noszących maseczki. Może powinienem sam się w taką zaopatrzyć... A swoją drogą ciekawe, czy istnieją maseczki dla kotów?

Nadawane przez radio informacje są krańcowo sprzeczne. Od osiemnastu godzin nie ma żadnych wieści z Dagestanu. Żadnych. Kompletnie nic. Nie wiem, co budzi większy niepokój: złe wiadomości czy ich zupełny brak...

Požary takie jak w Gruzji, pokazane wczoraj w telewizji, wybuchają teraz w miastach na południu Rosji i nikt chyba nie próbuje ich gasić. Oficjalna wersja Rosjan mówi o masowym paleniu ofiar epidemii, ale nikt w to nie wierzy. Pożary są zbyt duże (widać je z kosmosu!!) i równają z ziemią całe kwartały miast, magazyny paliw i porty. Nie ma ich wiele, zaledwie kilkanaście, ale dziwne, że wszystkie wybuchły mniej więcej w tym samym czasie...

Jestem poruszony migawkami z Niemiec. Tysiące samochodów próbujących wydostać się z miast na wieś, z dala od skupisk ludności, blokują autostrady. Ale tylko niewielki procent mieszkańców ma dokąd uciekać, większość musiała zostać w miastach. Na pierwszy rzut oka nie widać paniki, ale wszyscy są przejęci. Obowiązuje stan wojenny; kanclerz zapowiedziała, że wojsko ma strzelać do każdego, kto po godzinie dwudziestej będzie podróżować albo przebywać poza punktami noclegowymi przy szosach... Ci to nie są skłonni do żartów!

Ale najbardziej niepokojącą wiadomość zostawiłem na koniec. Oficjalne informacje są dawkiwane i bardzo skąpe. Dziś o dziewiątej rano w Brukseli odbyło się nadzwyczajne spotkanie przywódców wszystkich państw Unii Europejskiej z udziałem ministrów obrony, zdrowia i spraw wewnętrznych.

Obradowali do dwunastej, a po zakończeniu posiedzenia wzięli udział w konferencji prasowej. I wtedy wybuchła bomba: od tej chwili każda oficjalna informacja będzie przechodziła przez sztab antykryzysowy, wspólny dla całej Unii. Ma on co godzina wydawać oficjalne oświadczenia jednakowe dla wszystkich krajów członkowskich. Poszczególne rządy mogą uzupełniać je o

dane z zakresu polityki wewnętrznej, zdrowia i bezpieczeństwa, które uznają za niezbędne. Siły zbrojne wszystkich państw Unii zostały postawione w stan gotowości. Jak wyjaśniono, chodzi o to, by zapobiec niepotrzebnej panice. Sztab stwierdził, że informacje są tak sprzeczne i niejasne, że budzą nieuzasadniony popłoch, którego skutkiem jest masowe przemieszczanie się ludności (przypuszczam, że chodzi tu o Niemcy).

Zamurowało mnie, kiedy usłyszałem tę wiadomość. Informacje z jednego źródła... Zapachniało cenzurą. Ale nie to jest najgorsze. Najgorszy był widok twarzy premierów i prezydentów. Wyglądali, jakby wracali z pogrzebu... Jakiś komentator polityczny stwierdził w radiu Onda Cero, że sprawa jest raczej poważna, skoro zaraz po zakończeniu spotkania wszyscy wyskoczyli jak z procy z sali i pognali na lotnisko, żeby wrócić do swoich krajów... Krążą pogłoski o możliwości wprowadzenia w Hiszpanii stanu wyjątkowego, jak w wielu innych krajach Europy. Na razie w ramach „profilaktyki sanitarnej” zawieszono wszystkie zawody sportowe przewidziane na ten weekend.

W Stanach Zjednoczonych ogłoszono mobilizację Gwardii Narodowej. Migawki, które ostatnio pokazuje telewizja satelitarna, wprawiają w osłupienie. Po ulicach Nowego Jorku, Chicago, Bostonu chodzą uzbrojone patrole. Ci Amerykanie upadli chyba na głowę. Co im to da? Przestraszą wirusa? Będą do kogoś strzelać, czy co? Myślę, że jak zwykle przesadzają... À propos Stanów Zjednoczonych, zdaje się, że są chorzy w Atlancie, Houston i Los Angeles, ale media nie podają szczegółów ani nie pokazują zdjęć. Tam, owszem, już cenzurują informacje. Wiadomo jedynie, że „wektory przenoszące chorobę zakaźną”, jak je nazywają, dotarły w ciągu ostatnich godzin drogą lotniczą z Niemiec i ze Wschodu. Amerykanie niedługo zamkną wszystkie lotniska. Wiadomości z innych części świata są mniej więcej takie same.

U nas oddziały odkomenderowane do Dagestanu wróciły już do Saragossy. Wielu żołnierzy ma lekkie obrażenia, mówi się nawet o ofiarach śmiertelnych, ale informacje na ten temat są bardzo skąpe. Wiadomo tylko, że dla rannych przeznaczono jedno piętro w cywilnym szpitalu w Saragossie...

Zadzwońnięm do rodziców. W najbliższy piątek mają zamiar pojechać do rodzinnej wioski dziadków. Myślę, że to świetny pomysł. Zatelefonowałem też do siostry, żeby dowiedzieć się co u niej. Powiedziała, że w Barcelonie zawieszono czasowo podziemny transport miejski, a do autobusu nie można wsiąść bez maseczki. Kupiłem bilet lotniczy, polecę do niej w najbliższy weekend. Mam nadzieję, że zdołam ją przekonać, by wzięła urlop i przyjechała do mnie.

Czuję, że niedługo coś się wydarzy, ale nie wiem co. Strach jest szybszy od palącego się lontu... a ten już się żarzy.

12 stycznia. Godzina 19.28 **...a rzeki spłyną krwią**

Właśnie zgasło światło. Pierwszy raz w tym tygodniu. Zadzwoniłem do cholernego zakładu energetycznego, gdzie powiedzieli mi, że najdalej za dwie godziny przywrócą dostawę prądu.

Leje jak z cebra, ulica jest pogrążona w całkowitych ciemnościach, tylko od czasu do czasu oświetlają ją błyskawice. Po murze spływają strumienie wody, ale Lukullus i ja siedzimy sobie wygodnie na kanapie w salonie i dzięki akumulatorom oglądamy telewizję. Nie mogę zapalać jednocześnie zbyt wielu świateł, bo szybko wyczerpią mi się baterie, a szczerze mówiąc, nie chce mi się schodzić do piwnicy, żeby podłączyć drugi zestaw akumulatorów.

O trzeciej po południu unijny sztab antykryzysowy wydał swój pierwszy komunikat. Wynika z niego, że epidemię wywołał zmutowany filowirus albo kilka filowirusów naraz, jeszcze tego dokładnie nie wiedzą (na kanale Antena 3 powiedzieli przed chwilą, że chodzi o wirus Marburg, cokolwiek by to miało znaczyć). Są już potwierdzone przypadki w Niemczech, Wielkiej Brytanii, Włoszech, Francji, Holandii, Polsce, Grecji, Turcji... a od siódmej wieczorem także w Hiszpanii. Minister zdrowia wystąpiła na konferencji prasowej (worki pod oczami sięgały jej do kostek) i ogłosiła, że trzech członkowie jednostki wysłanej do Dagestanu leżą na OIOM-ie w Saragossie z objawami choroby „nie

wiadomo jakiej”. Pokazano ten szpital w telewizji – jest otoczony przez oddziały prewencyjne policji i żandarmerię wojskową. Niech to szlag.

Najgorsze, że pacjenci przechodzą głęboką traumę, co przejawia się w skłonnościach paranoidalnych i agresji. Było już kilka przypadków napaści na personel medyczny, wielu pacjentów uciekło ze szpitala... Cieszę się, że moja matka już nie pracuje w służbie zdrowia.

Najwyraźniej choroba jest bardzo zaraźliwa, ale nie wiadomo dokładnie, jaką drogą się przenosi. W szpitalu w Sussex, w Anglii, ogłoszono kwarantannę po tym, jak dwóch chorych przez godzinę biegało po całym zakładzie, atakując każdego, kogo spotkali na korytarzu. Ta informacja znalazła się w internecie kilka godzin temu i nikt jej jeszcze nie zdementował...

Z Dagestanu od dwudziestu czterech godzin nie ma absolutnie żadnych wiadomości. Tak jakby nikt tam nie został. Ostatni komunikat, jaki wyszedł z Rosji, mówi o tym, że Putin i cały rząd ukryli się w bunkrze przeciwoatomowym z czasów zimnej wojny i że wojsko zajęło ulice największych miast. Ukraina ogłosiła stan wojenny. Są jednak obszary, o których od wielu godzin nic nie wiadomo.

Rosyjski bloger, który mieszka w Moskwie, ale pochodzi z małego miasteczka w Osetii Północnej, napisał na www.russiskaya.ru, że po wielu godzinach nieudanych prób dodzwonienia się do rodziców zaczął telefonować do wszystkich, których numery znalazł w książce telefonicznej. Nikt nie odbiera. Jakby w tym pięciotysięcznym miasteczku nikt nie mieszkał. Przed chwilą ta strona została zamknięta. Cenzura rosyjska jest w dalszym ciągu bezwzględna.

Co się, kurwa, dzieje? Co będzie dalej? Dlaczego nic nie mówią?

13 stycznia. Godzina 11.10

Dzień 15

Kiedy dziś rano wyszedłem spod prysznic, dwa razy potężnie kichnąłem. Normalnie nie przywiązywałbym do tego wagi, ale z powodu psychozy, jaka

zaczyna opanowywać całą Hiszpanię, moja hipochondryczna połowa zadrżała ze strachu. Czyżby epidemia dotarła już do Galicji? Czy się zaraziłem i to jest pierwszy objaw, czy chodzi o zwykłe przeziębienie?

Przy śniadaniu włączyłem wiadomości. Od kilku dni żyję przyklejony do telewizora, radia i internetu (podejrzewam, że tak jak trzy czwarte mieszkańców Europy). Pewnie wszyscy mamy nadzieję usłyszeć, że epidemia się cofa, że wszystko skończy się na wielkim strachu. Jednak rzeczywistość bywa makabrycznie uparta.

Od czterdziestu ośmiu godzin nie ma żadnych wieści z Dagestanu. Wydaje się to nieprawdopodobne, ale od dwóch dni nie wyszła stamtąd żadna wiadomość, ani oficjalna, ani nieoficjalna. Tak jakby kilka milionów mieszkańców tej republiki rozplynęło się w powietrzu... albo wyginęło. Na Zakaukaziu (w Gruzji, Osetii Południowej, Azerbejdżanie i Armenii) panuje grobowe milczenie. Jak gdyby nikt się tam nie uchował. Tamtejsze stacje telewizyjne i radiowe nie nadają od wielu godzin, a nieliczne strony internetowe nie były aktualizowane od dwóch dni. Uciekinierzy, którzy kierują się do Rosji, Iranu i Turcji, są internowani na rozległych terenach pilnowanych przez wojsko, nazywanych przez prasę międzynarodową „strefami bezpieczeństwa”, gdzie traktuje się ich raczej jak więźniów niż jak uchodźców. Wprowadzono ostrą cenzurę.

W Europie sprawy coraz bardziej się komplikują. Włoskie miasto Cremona zostało otoczone przez wojsko i oddziały specjalne karabinierów. Nikt z wyjątkiem konwojów lekarzy nie może tam wjechać ani stamtąd wyjechać. W całym mieście ogłoszono kwarantannę i każdy, komu uda się dotrzeć w jego okolice, musi zawrócić. We Francji wprowadzono stan wyjątkowy. Zorganizowano punkty kontrolne na drogach przy głównych węzłach komunikacyjnych i trzeba mieć specjalne pozwolenie, by przejechać z jednego departamentu do drugiego. W Wielkiej Brytanii sytuacja jest jeszcze bardziej dramatyczna. Parlament zatwierdził *Isolation Act*, na mocy którego zamknięto granice aż do odwołania. Do Zjednoczonego Królestwa nie można wjechać ani z niego wyjechać, przynajmniej legalnie. Mam przyjaciół w Londynie, pewnie jest tam mnóstwo młodych Hiszpanów, studentów itp. Co się z nimi stanie?

Według internetowego wydania „Herald Tribune”, w Walii i na terenach na południe od Essex epidemia wymknęła się spod kontroli. Piszą o zamieszkach i grabieżach.

W Niemczech sytuacja niektórych landów jest niejasna. Na północy i przy granicy z Polską zmilitaryzowano służbę zdrowia, transport, łączność i zarządzanie elektrowniami atomowymi. W Japonii doszło do masowych samobójstw, a zgłoszone morderstwa i zaginięcia biją wszelkie rekordy. Wygląda to tak, jakby japońskie społeczeństwo się załamało...

W Stanach Zjednoczonych sprawy mają się różnie, w zależności od tego, czy słuchasz wypowiedzi sekretarza stanu, czy oglądasz CNN albo Fox News. To olbrzymi kraj, są obszary, gdzie życie toczy się normalnie, ale są też takie, gdzie wybuchło prawdziwe szaleństwo. Rząd zapewnia, że wszystko jest pod kontrolą, ale moim zdaniem zablokowanie Piątej Alei w Nowym Jorku przez ciężarówki wojskowe świadczy o czymś innym. CNN informuje również o zamieszkach, zabójstwach oraz fali porwań i zaginięć w całym kraju... Czyżby wykluwała się jakaś rewolucja?

Właśnie dlatego dziś rano rozpoczęto wycofywanie wojsk amerykańskich z Iraku. Nie kilkuset żołnierzy czy kilku jednostek. Nie.

Wszystkich.

Absolutnie wszystkich. Do ostatniego żołnierza.

To, na co kilka tygodni temu zużyto by morze farby drukarskiej, teraz zasługuje jedynie na krótką wzmiankę na dalszych stronach gazet. W ostatnich dniach wszystko bardzo się pozmieniało...

Tu, w Hiszpanii, z wyjątkiem podlegającej kwarantannie Saragossy, zmiany zachodzą powoli, łagodnie, ale w sposób widoczny. Kościoły są pełne ludzi. W supermarketach zaczyna brakować niektórych produktów, zwłaszcza importowanych i tych o krótkim terminie przydatności do spożycia. Fabryki samochodów wstrzymały produkcję z powodu braku części sprowadzanych z zagranicy. Kiedy wychodziłem dziś rano, widziałem sąsiadów z naprzeciwka, emerytów od pathfindera, ładujących do bagażnika mnóstwo walizek.

Powiedzieli mi, że wyjeżdżają na kilka dni do małego miasteczka w prowincji Ourense, „do czasu, aż się trochę uspokoi”. Zamknąłem Lukullusa w domu, żeby nie zapłodnił połowy populacji okolicznych kotek, i pojechałem samochodem do kancelarii. Ulice są dziwnie puste, a ludzie chodzą szybko, jakby ukradkiem, nie zatrzymując się, by porozmawiać. Olbrzymia większość nosi maseczki chirurgiczne. W biurze dostałem taką od sekretarki. „Polecenie szefa”, powiedziała. Tak więc siedzę w swoim gabinecie i przyjmuję klientów w maseczce, jakbym był chirurgiem. Czuję się w niej jak krety. Co się, do cholery, dzieje?

13 stycznia. Godzina 19.34

Dzień 15

Piszę te słowa w poczekalni dla palących na lotnisku w Santiago de Compostela. Za pół godziny odlatuje mój samolot do Barcelony, skąd mam nadzieję przywieźć siostrę. Niestety sytuacja pogarsza się z godziny na godzinę. Odnotowano nowe przypadki zakażeń w Toledo i w Madrycie. Tak się składa, że jednostka wojskowa, która wróciła z Dagestanu, ma bazę w Toledo, a w Madrycie, w Szpitalu Dwunastego Października, przebywają (albo przebywali) najciężej ranni żołnierze. Związek wydaje się oczywisty. Nie trzeba być specjalnie byстрыm, żeby wskazać „wektory przenoszące chorobę”, jak to nazywają w telewizji.

W Saragossie rząd wprowadził godzinę policyjną, od ósmej wieczorem do ósmej rano. Dziś w południe widziałem na Czwórcie, jak ciężarówki zakładu oczyszczania miasta razem z wozami strażackimi i wojskowymi cysternami polewały ulice gludexem i jabogermem, substancjami dezynfekującymi. Mówią, że cała Saragossa śmierdzi szpitalem.

Szpital im. Miguela Serveta, znajdujący się w samym środku miasta, jest otoczony szczelnym kordonem. Agencja Europa Press donosi, że dwie godziny temu weszły tam uzbrojone po zęby specjalne oddziały operacyjne policji. W znacznej części miasta doskonale słychać było wystrzały. Nie wiadomo, czy są

zabici i ranni, bo sztab antykryzysowy nie puszcza pary z gęby, nie licząc zaleceń, by wszyscy używali maseczek chirurgicznych. W internecie na <http://historiasdeunaenfermera.blogalia.com> jest (a raczej był) blog prowadzony przez pielęgniarkę pracującą w Szpitalu imienia Serveta. Opisywała pacjentów z zaburzeniami psychicznymi, którzy błakali się po korytarzach, twierdziła nawet, że kilku ochroniarzy i lekarzy zostało zaatakowanych w kostnicy. Stronę odwiedzało tyle osób, że serwer już po kilku godzinach nie był w stanie tego udźwignąć, a teraz pojawia się informacja: „Blog nie istnieje”. Zwolennicy teorii spiskowych mówią o cenzurze. Nie sądzę, żeby ten blog był prawdziwy. To na pewno sztuczka, żeby nastraszyć personel. Przynajmniej chcę wierzyć, że tak jest... Ale ludzie są żądni wiedzy, więc bezustannie krążą rozmaite pogłoski. Niektórzy twierdzą, że to promieniowanie jądrowe, inni – że „czarna śmierć”, jeszcze inni, że chodzi o gigantyczną trującą chmurę, która powstała nad jedną z rosyjskich rafinerii, a nie brakuje i takich, którzy uważają, że to manewr OPEC, żeby podnieść ceny ropy.

Niezależnie od tego, co to jest, strach niedługo zamieni się w panikę. Przeraza widok lotniska pełnego patroli Gwardii Cywilnej uzbrojonych w pistolety maszynowe, w rękawicach i maskach na twarzy. Kiedy jakiś facet zaczął uporczywie kasłać, czterej uprzejmi, ale stanowczy agenci od razu zabrali go do karetki. Jego protesty na nic się nie zdały. Przypomniałem sobie, że ja też pół dnia kicham z powodu przeziębienia, i staram się za wszelką cenę powstrzymać...

Przed chwilą zadzwoniłem do siostry. Wyjedzie po mnie na lotnisko, ponieważ zawieszono kursowanie metra, a komunikację naziemną skoncentrowano w centrum miasta, by poprawić jej funkcjonowanie. Twierdzi, że złapanie w tych dniach taksówki to prawdziwy wyczyn.

Zostawiłem kota u Alfreda, chłopaka z firmy budowlanej, który mieszka w willi obok. Lukullus spojrział na mnie obrażony, jest zły, że musi zostać w obcym domu, ale mam nadzieję, że mi to wybaczy. To tylko jeden weekend.

Ostatni raz wzywają pasażerów mojego lotu. Oby wszystko poszło dobrze.

15 stycznia. Godzina 18.03

Wpis 17. Stan wrzenia

Ostatnie czterdzieści osiem godzin było prawdziwą odyseją. Nie rozumiem, jak sprawy mogły zajść tak daleko. Nie jestem tchórzem, ale ogarnął mnie strach. Wielki strach. Mam wrażenie, że cała planeta zaraz się wykolei, a nikt nie potrafi znaleźć dźwigni hamulca. Jestem oszołomiony, zmęczony, czuję zamęt w głowie i zadaję sobie pytanie, co, u diabła, pocniemy. Ale znowu wyprzedzam bieg wydarzeń.

Piątkowy lot do Barcelony upłynął spokojnie, bez niespodzianek. Rutynowo, jeśli nie liczyć stewardes w rękawiczkach chirurgicznych rozdających maseczki wszystkim pasażerom. Samolot był w połowie pusty, wcześniej rzecz nie do pomyślenia na dzień przed weekendem. Nie wiedziałem, że w ciągu zaledwie trzech kwadransów mojej podróży Hiszpania przeżyła prawdziwe społeczne trzęsienie ziemi. Kiedy wylądowaliśmy na lotnisku El Prat, przetrzymano nas w samolocie prawie półtorej godziny. Ktoś postanowił wyłączyć klimatyzację, więc w środku zrobiło się strasznie duszno. Nieliczni pasażerowie na pokładzie stawali się coraz bardziej nerwowi i zaczęli narzekać. To, że mieli na twarzach maseczki, nie pomogło w uspokojeniu nastrojów.

W końcu pozwolono nam wysiąść, ale nie przez rękaw, tylko wprost na płytę lotniska, skąd niewielki mikrobus elektryczny zabrał nas do jednej z sal terminalu. Tam powiedziano nam, że w czasie, kiedy lecieliśmy, rząd ogłosił stan wyjątkowy. Za czterdzieści osiem godzin wszystkie loty krajowe i międzynarodowe zostaną zawieszane i tylko ci, którzy mają już wykupiony bilet, będą mogli wrócić do swoich miejsc zamieszkania. Dlatego musiałem trochę skrócić swój weekend w Barcelonie. Co gorsza, nie wiedziałem, czy uda mi się zdobyć bilet dla siostry.

Terminal w Barcelonie to bezkresne morze pasażerów, ale wtedy panował tam jeszcze spokój. Wyraźnie zwiększono środki bezpieczeństwa: pierwszy raz w życiu widziałem w obiekcie cywilnym patrole wojskowe w kompletnym rynsztunku bojowym. Robi wrażenie.

Siostra i jej chłopak czekali na mnie przy wyjściu z terminalu B1. Ucieszyłem się na jej widok. Jest ode mnie o pięć lat młodsza (ma dwadzieścia pięć) i jak ja postanowiła zostać prawnikiem. Mieszka w Barcelonie od dwóch lat i już się tu w pełni zadomowiła. Kiedy moja żona zginęła w wypadku drogowym dwa lata temu, ona była moją pocieszycielką. To od niej dostałem kilka miesięcy później małą futrzaną kulkę w kolorze pomarańczowym o imieniu Lukullus, dzięki której wyszedłem z dołka. Dawne dzieje...

Kiedy jechaliśmy autem do Barcelony, zrelacjonowała mi ostatnie wydarzenia. Król wystąpił w telewizji, żeby odczytać komunikat; był ubrany w mundur, jak podczas pamiętnego zamachu stanu z 23 lutego 1981 roku. W całej Hiszpanii oddziały wojska postawiono w stan najwyższej gotowości. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin zostaną zamknięte wszystkie przejścia graniczne, porty i lotniska. Ogrodzenia otaczające Ceutę i Melillę podłączono do prądu. Pojedyncze przypadki zachorowań stwierdzono w Cartagenie, Kadyksie i w Ferrolu.

Ferrol leży niecałe sto pięćdziesiąt kilometrów od mojego domu... Zastanawiam się, jak choroba mogła dotrzeć aż tam. Najdziwniejszy jest brak oficjalnych informacji na jej temat. Nie podano, jakie są objawy, jak długo trwa okres inkubacyjny, jak duża jest śmiertelność... Wiadomo tylko, że choroba jest bardzo zaraźliwa, śmiertelna i wciąż się rozprzestrzenia.

W dalszym ciągu nikt nie panuje nad epidemią w Saragossie, Madrycie i Toledo. W Saragossie przystąpiono do ewakuacji wszystkich mieszkańców w promieniu jednego kilometra wokół Szpitala imienia Serveta.

W domu siostry, w dzielnicy Gracia, wziąłem prysznic, słuchając wiadomości radiowych (w tych dniach chyba nikt nie może żyć bez radia czy telewizora). Światowa Organizacja Zdrowia zapowiedziała na poniedziałek konferencję prasową na temat choroby. W Barcelonie policja regionalna prewencyjnie aresztowała podejrzanych cudzoziemców. Rząd Katalonii nakazał powszechne badania krwi, ale po kilku godzinach musiał je zawiesić: laboratoria nie dawały sobie rady z nawałem pracy.

Roger, chłopak mojej siostry, opowiedział mi, że któregoś dnia był świadkiem bójki na przystanku autobusowym między jakimś wzburzonym imigrantem a bandą skinów. Przyjechała policja, zapakowała wszystkich do radiowozów i wywiozła Bóg wie dokąd. Jemu na szczęście udało się wyjść z tego bez szwanku.

Mieliśmy iść na kolację do zaprzyjaźnionego sąsiada z pierwszego piętra, ale ponieważ sytuacja nie wygląda najlepiej, woleliśmy zostać w domu i zjeść przed telewizorem. Roger i moja siostra powiedzieli mi otwarcie, że nie pojedą do Galicji. Rodzice Rogera mają dom w prowincji Tarragona, więc zamierzają się tam udać w najbliższy weekend i zostać „do czasu, aż to wszystko się skończy”. Już wystąpili o kilka dni urlopu; mam wrażenie, że niedługo nie będzie to miało żadnego znaczenia...

Zaproponowali, żebym pojechał z nimi, a siostra jak gdyby nigdy nic rzuciła, że jedna z jej przyjaciółek byłaby zachwycona, gdyby mnie tam spotkała. Oferta jest kusząca, ale zostawiłem Lukullusa, w poniedziałek muszę iść do pracy, a poza tym mam przeczucie, że jeśli nie wyjadę teraz, przez długi czas nie będę mógł wrócić do Galicji.

Kiedy tak sobie rozmawialiśmy, przerwano program. Pojawił się Matías Prats[4], który z bardzo poważną miną poinformował, że piętnaście minut temu w Szanghaju zarejestrowano eksplozję termojądrową. To nie był wypadek ani zamach; rząd chiński postanowił zetrzeć miasto z powierzchni ziemi. Siedzieliśmy jak skamieniali. Czy w taki sposób stawia się czoło chorobie? Całe miasto? Boże święty, to muszą być przecież miliony ludzi...

W Niemczech podjęto decyzję o wyłączeniu wszystkich elektrowni atomowych – ich personel po prostu nie przychodzi do pracy. Stany Zjednoczone, Francja, Włochy, Wielka Brytania i wygląda na to, że również Hiszpania, podejmują podobne kroki.

Od kilku godzin brak jakichkolwiek wiadomości z Rosji. Rosyjskie stacje telewizyjne zostały zamknięte przez wojsko. Wydaje się też, że w końcu zdołano jakoś ograniczyć dostęp do internetu, bo wielu blogerów, dotąd bardzo

aktywnych, nie daje znaku życia. Według Reutersa wielkie połączenie kraju są pogrążone w ciemnościach z powodu braku prądu. Może to jest powodem... Mam nadzieję, że przedsięwzięto środki ostrożności i wyłączono reaktory w elektrowniach atomowych. Ostatnią rzeczą, jakiej nam teraz brakuje, jest nowy Czarnobyl...

Informacje o zarazie powtarzane są w każdym zakątku planety. Epidemia ma już charakter globalny.

W Stanach Zjednoczonych dochodzi do rabunków, napadów, porwań i masowych mordów. O Europie prawie nic nie wiadomo, bo sztab antykryzysowy nie puszcza pary z ust. W internecie krążą coraz bardziej bezpodstawne i absurdalne plotki. Wszystkie relacje są zgodne: chorzy cierpią na głębokie zaburzenia psychiczne połączone z bardzo dużą agresywnością. Zewsząd dochodzą informacje o napaściach chorych na inne osoby. Wygląda to tak, jakby chodziło o jakąś odmianę wściekliczny albo czegoś w tym rodzaju. Ja na razie nie wierzę w żadną z tych rzeczy.

Noc w Barcelonie była bardzo długa. Odgłosy jeżdżących po ulicach karet pogotowia, wojskowych i policyjnych ciężarówek nie pozwalały mi zasnąć. Widziałem z okna część miasta. Ulice są wyludnione, jakby wymiotło z nich przechodniów i prywatne samochody. Od czasu do czasu jakiś radiowóz oświetla reflektorem bramy budynków. Przypuszczam, że kiedy skończy się godzina policyjna, będzie inaczej, ale teraz wygląda to przerażająco.

15 stycznia. Godzina 19.11

Wpis 18

Wróciłem do domu. Czuję się wykończony. Podróż powrotna była straszna, coś niewiarygodnego. Lukullus jest już ze mną. Idę spać. Dziś widziałem na lotnisku, jak zabito człowieka. Nie mam ochoty na pisanie.

16 stycznia. Godzina 19.19

Wpis 19

Wczorajszy dzień nie należał do łatwych. Dzisiejszy również. Do domu dotarłem późną nocą, w dość podłym nastroju. Wszystko zaczęło się na lotnisku El Prat, w niedzielę, wczesnym popołudniem. Pełen napięcia spokój ustąpił miejsca hysterii. Kiedy dojechałem tam taksówką, sala odlotów była całkowicie zapchana. Olbrzymie kolejki, krzyki, przepychanki, zmęczone dzieci śpiące na stosach walizek i ich rodzice próbujący zdobyć bilet dokądkolwiek.

Samolot do Santiago odlatywał godzinę po moim przyjeździe. To miał być jeden z ostatnich rejsów z Barcelony. Z powodu stanu wyjątkowego planowano zamknięcie El Prat jeszcze tego wieczoru, więc zebrali się tam wszyscy, którzy chcieli wylecieć z miasta. Problem polegał na tym, że władze zakazały sprzedawania biletów osobom, które nie wracały do miejsca zamieszkania. Zresztą samoloty i tak na pewno nie pomieściłyby wszystkich chętnych. Dlatego wśród tłumu panowała nerwowość, ludzie ciągle się rozpychali, krzyczeli i biegali w tę i z powrotem.

Próbowałem podejść jak najbliżej do miejsca odpraw, torując sobie drogę w gąszczu rozhisteryzowanych ludzi tłoczących się przy stanowiskach. Dopiero kiedy dotarłem do lady, zgubiwszy po drodze płaszcz, zauważyłem, że zawsze miłe hostessy zostały zastąpione przez żołnierzy. Mogę przysiąc, że wcale się nie uśmiechali.

Kiedy pokazałem dowód osobisty i kupiony cztery dni wcześniej bilet, powiedzieli mi, że „dla mojego własnego bezpieczeństwa” byłoby lepiej, żebym udał się od razu do odpowiedniego wyjścia. Dwaj żołnierze, z oddziału tych, którzy zrobili na mnie takie wrażenie, kiedy przyleciałem do Barcelony, teraz stanęli po moich bokach. Przez chwilę przemknęła mi przez głowę myśl, że chcą mnie aresztować.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę z tego, jak patrzą na mnie otaczający nas ludzie. Przyglądali mi się niczym wilki. Miałem coś, czego oni nie mieli: bilet lotniczy. Możliwe, że któryś z nich po kilku godzinach napięcia i walki, żeby wydostać się z tego przeklętego lotniska, byłby na tyle zdesperowany, że spróbowałby mi go odebrać. Dwie umundurowane szafy torowały mi drogę

przez tłum w kierunku wyjścia do samolotu, a ja czułem na sobie dziesiątki par oczu. Wolałem wpatrywać się w podłogę, nie miałem odwagi podnieść wzroku.

Tam gdzie powinien znajdować się wykrywacz metali, zobaczyłem szereg policjantów z oddziałów prewencji, w kevlarowych hełmach i z tarczami. Zaraz za nimi stał drugi szereg, złożony z funkcjonariuszy Gwardii Cywilnej, uzbrojonych w pistolety maszynowe i w kominiarkach na głowach. Widok był przerażający. Tłum kłębił się przed policjantami, napierał na nich, by otworzyć sobie dostęp do sali odlotów. Panował niewiarygodny ścisk. Kiedy podszedłem, dwaj policjanci rozstąpili się na boki, robiąc mi przejście. Zaprowadzono mnie do małego pomieszczenia, gdzie, jak przypuszczam, zwykle dokonywano rewizji osobistych. Tam lekarz wojskowy w stopniu oficera poprosił o moje dokumenty, po czym mnie zbadał. W tym czasie jego dwaj pomocnicy grzebali w moim bagażu podręcznym. Jestem prawnikiem, ale nawet nie przyszło mi do głowy, żeby zaprotestować. Myślę, że na nic by się to nie zdało; zważywszy na sytuację, protestowanie nie byłoby zbyt rozsądne.

Lekarz zadawał mi mnóstwo pytań. Czy miałem gorączkę, zawroty głowy? Czy przebywałem poza Hiszpanią w ciągu ostatniego miesiąca? Czy byłem z Saragossie, Madrycie albo Toledo? Czy ostatnio ugryzło mnie jakieś zwierzę? Czy zostałem napadnięty? Po tym ostatnim pytaniu już miałem odpowiedzieć, że właśnie teraz jestem obiektem napaści, ale szybkie spojrzenie na twarz wojskowego utwierdziło mnie w przekonaniu, że lepiej trzymać gębę na kłódkę.

Do incydentu doszło, kiedy opuściłem pomieszczenie. W pierwszym rzędzie osób próbujących dostać się do przejścia stał facet, około czterdziestu lat, o siwych kręconych włosach, nieogolony, w pogniecionym garniturze, z wyglądu menedżer. Bardzo podekscytowany, nerwowy, czerwony na twarzy. Myślę, że od rana wciągnął niejedną kreskę kokainy i że był już nieźle naćpany.

Niespodziewany napór tłumy wywołał chwilową panikę. Ci z tyłu poprzewracali i zdeptali tych z przodu, kordon policjantów z prewencji został na moment przerwany. Właśnie wtedy ten człowiek wcisnął się w lukę i

biegiem ruszył do wyjścia. Gwardziści z drugiego rzędu próbowali bezskutecznie zagrozić mu drogę. Ktoś krzyknął, żeby się zatrzymał. Facet pędził korytarzem w stronę wyjścia do samolotu, w stronę ocalenia. Nagle rozległa się seria z pistoletu maszynowego. Na plecach marynarki mężczyzny jakby rozkwitły czerwone kwiaty; runął na ziemię. W tym momencie wybuchła zbiorowa histeria. Skowyt, płacz, wrzaski, strzały w powietrze, sytuacja najwyraźniej wymykała się spod kontroli. Jeden z żołnierzy chwycił mnie za kołnierz marynarki i pociągnął w stronę wyjścia do samolotu, podczas gdy jego koledzy próbowali ponownie ustawić się w jednym szeregu, ciągle jednak ustępowali pod naporem tłumu.

Kiedy przechodziłem obok ciała, nie mogłem nie spojrzeć na twarz. Był nieżywy. Nieżywy. Jestem tego pewien. Idący obok mnie żołnierz raptownie się zatrzymał. Spokojnie wyciągnął z kabury pistolet i strzelił leżącemu trupowi w głowę. Zamarłem przerażony. Dlaczego to zrobił?

Popchnięto mnie i zaciągnięto do drzwi samolotu, na drugim końcu rękawa. Niespokojne stewardesy ponaglały, żebym jak najszybciej wszedł do środka. Samolot pękał w szwach, przysięgłbym, że ludzie stali nawet w kabinie personelu pokładowego. Wszyscy byli zdenerwowani; napięcie trochę opadło, kiedy zamknięto drzwi i maszyna zaczęła kołować na pas startowy. Facet siedzący obok szepnął mi do ucha, że po naszym locie będą jeszcze tylko trzy. El Prat zostanie potem zamknięte Bóg jeden wie na jak długo.

Przez całą drogę milczałem, myśląc o tym, czego byłem świadkiem. Kiedy przypominałem sobie scenę z lotniska, musiałem szybko pobiec do toalety. Nie mogłem powstrzymać wymiotów. Cholera! Rozwalili mu głowę na moich oczach!

Nikt nie rozdawał maseczek w czasie podróży. Pewnie już nie uważa się ich za niezbędne. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

Po wylądowaniu w Santiago zobaczyłem te same sceny, co w Barcelonie, tyle że w znacznie mniejszej skali. Na parkingu jakiś mężczyzna zaproponował mi swój samochód w zamian za bilet na samolot do Zurychu, który odlatywał

za godzinę. Najwyraźniej hierarchia wartości ulega zmianie.

W drodze do domu słuchałem radia. Panuje chaos. Nowe wybuchy jądrowe w Chinach. Chcą chyba zwalczyć epidemię za pomocą bomb. Albo może wyeliminować nosicieli. W Stanach Zjednoczonych ogłoszono pierwszy stopień DEFCON, cokolwiek to oznacza. Zamieszki w Madrycie, Walencji, Barcelonie, Sewilli, Bilbao... Wydaje się, że nikt już nad niczym nie panuje. Radio SER podaje, że ogłoszenie stanu wojennego to być może kwestia godzin. Żadnych wiadomości z Rosji. Z Niemiec nagranie sprzed trzech godzin, w którym Angela Merkel mówi, że „Drezno upadło”. Rozkazy ewakuacji w Paryżu, Reims, Marsylii. We Włoszech karabinierzy zajmują siłą jedną z dzielnic Neapolu. Świat rozpada się na kawałki, a ja nawet nie wiem dlaczego.

Odebrałem Lukullusa i wróciłem do domu. Dziś rano zadzwoniłem do pracy i powiedziałem, że jestem chory. Odpowiedzieli, że to i tak bez znaczenia. Zamknięto czasowo sądy, działa kilka placówek dyżurnych, ale tylko po to, by sądzić rabusiów i osoby, które nie przestrzegają godziny policyjnej. Przespałem prawie cały poniedziałek. Kiedy wstałem, zrobiłem sobie kawę, usiadłem przed telewizorem i zabrałem się do pisania tych słów, trzymając na kolanach pomrukującego Lukullusa.

Nie wiem, co się dzieje.

17 stycznia. Godzina 18.42

Wpis 20. U bram piekła

No i stało się. Oficjalnie mamy przesrane. O trzeciej po południu król wystąpił ponownie w telewizji, ogłaszając stan wojenny na terenie całej Hiszpanii. Utrzymano godzinę policyjną, od dwudziestej do ósmej rano, z tą różnicą, że teraz zatrzymanym na ulicy w tych godzinach grozi kulka w łeb. Tak po prostu. Zabroniono podróżowania drogami z jednej wspólnoty autonomicznej do drugiej; wojsko ma ustawić posterunki kontrolne na głównych szosach.

Ogłoszono listę piętnastu miast uznanych za strefy zagrożenia. Nie wolno

tam wjeżdżać ani opuszczać ich terytorium. Są na niej wszystkie te, w których wybuchła epidemia, i dziewięć innych, wśród nich Madryt i Barcelona... Chciałbym wierzyć, że siostra przyspieszyła swój wyjazd. Kurwa.

Na razie Pontevedra się wybroniła, ale nie wiem na jak długo. Ferrol i La Coruñę, leżące niecałe sto sześćdziesiąt kilometrów stąd, ogłoszono strefami zagrożenia. Teoretycznie są odizolowane, ale właśnie zadzwonił mój przyjaciel, który mieszka w La Coruñi, i powiedział, że jedzie do rodziców do Vigo. Udało mu się wydostać bocznymi drogami i leśnymi ścieżkami. Fizycznie nie da się odizolować miasta średniej wielkości, a co dopiero mówić o wielkiej aglomeracji. Niezależnie od tego, co to za zaraza, w końcu i tak do nas dotrze. Powinienem coś zrobić, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

Wsiadłem do samochodu i pojechałem do centrum. Miasto jest na wpół wyludnione, wygląda, jakby było w stanie oblężenia. Od wielu godzin bez przerwy pada, na ulicach wyczuwa się nastrój niepokoju. Jest bardzo zimno. Po drodze minąłem kilka samochodów policyjnych i dwa transportery galisyjskiej powietrznodesantowej brygady lekkiej piechoty. Jej koszary znajdują się zaledwie trzy kilometry od Pontevedry. Są tam od lat, ale nigdy dotąd nie widziałem żołnierzy stacjonujących w samym centrum miasta.

Zatrzymałem się na stacji benzynowej, żeby zatankować. Kiedy paliwo z dystrybutora lało się do baku astry, wszedłem do sklepu po papierosy, żeby kupić kilka gazet, czasopism i bańkę oleju. (Cholera by to wzięła! Miałem sprawdzić poziom oleju tydzień temu!). Sprzedawca powiedział, że niektóre stacje, zwłaszcza te położone dalej, mają problemy z zaopatrzeniem. Ponieważ porty są zamknięte, rafinerie wstrzymały produkcję, a rząd zarekwirował istniejące zapasy. Wspaniale.

Pojechałem do centrum handlowego na duże zakupy. Coś mi mówiło, że napełnienie spizarni pod sufit może okazać się strzałem w dziesiątkę. Nie tylko ja wpadłem na ten pomysł. Byłem zdumiony, widząc zatłoczony supermarket. W jednym ze sklepów ze sprzętem AGD kupiłem krótkofalówkę. Już od jakiegoś czasu miałem ją na oku. Planowałem jej używać do słuchania kanału straży

przybrzeżnej, kiedy wypłynę zodiakiem, żeby ponurkować we wraku „Flority” (statku, który kilka lat temu zatonął w zatoce riasowej; jest w tak złym stanie, że zabroniono do niego schodzić – jeśli cię przyłapią, dostaniesz wysoki mandat i mogą ci odebrać patent, ale warto). Teraz zamierzam posłużyć się nią do zupełnie innych celów.

Po powrocie do domu wyszczotkowałem Lukullusa i dałem mu obfitą kolację. Potem wypróbowałem krótkofalówkę. Szybko trafiłem na częstotliwość policji i straży miejskiej. Super. Może teraz będę miał informacje z pierwszej ręki. Wyłapałem też rozmowy kilku radioamatorów, ale nie zwróciłem uwagi na to, co mówili, bo zamarłem przed telewizorem.

To były migawki ze Stanów Zjednoczonych, nakręcone z helikoptera. Korek na autostradzie, nagle pojawia się około dwudziestu osób, idą chwiejnym krokiem skrajem szosy i zaczynają atakować kierowców uwięzionych w pojazdach. Przerażająca scena. Trwała niecałą minutę, ale zdążyłem dostać gęziej skórki. Przysięgłbym, że widziałem, jak gryzą kierowców. To niemożliwe. Co się, kurwa, dzieje z tymi ludźmi?

Myślę, że ktoś otworzył bramy piekła i już zaczyna docierać do nas jego żar.

19 stycznia. Godzina 11.08

Wpis 21. Głupota rodzaju ludzkiego

Chociaż nie jestem praktykującym katolikiem, mam wrażenie, że wydarzenia z ostatnich dwudziestu czterech godzin to kara boska za jakiś gigantyczny zbiorowy grzech rodzaju ludzkiego. Albo wielki pomnik wzniesiony na cześć jego głupoty, zależy jak na to spojrzeć.

Wczorajszy dzień był długi. Przy śniadaniu usłyszałem w wiadomościach, że zamieszki objęły cały świat. Wydaje się, że wszędzie odbywa się to według jednego schematu. Najpierw władze danego kraju utrzymują, że nie ma powodów do obaw. Wkrótce ogłaszają kwarantannę w niektórych rejonach. Wybucho panika, zaczynają się rozruchy i rozboje. Później zazwyczaj zostaje wprowadzony stan wojenny. Potem dochodzi do kolejnych zamieszek, ale

innego rodzaju, dziwnych, raczej punktowych i chyba już bez rabunków. Zaczyna się cenzurowanie i blokada informacji. A na końcu zapada cisza.

Od tej reguły są jednak wyjątki. Na przykład wczoraj rano w Chile pewien generał, niejaki Cheyre, korzystając ze stanu wojennego, dokonał puczu. Kilka godzin później autobusy pełne boliwijskich uchodźców zostały ostrzelane na granicy z karabinów maszynowych, kiedy próbowały ominąć kontrolę. W odpowiedzi rząd Boliwii zaczął bombardować granicę, aż wreszcie siły powietrzne Chile zamieniły boliwijskie działa w kupę złomu. Powariowali. Stoimy na skraju przepaści, a im nie przychodzi do głowy nic lepszego jak rozpoczęcie wojny. Swoją drogą, to bardzo typowe dla rodzaju ludzkiego.

Wiadomość dnia: wystąpienie Komitetu Wykonawczego Światowej Organizacji Zdrowia, wczoraj po południu. Było transmitowane na cały świat. Ponoć od lądowania człowieka na Księżycu nie widziano czegoś podobnego (i możliwe, że już się nigdy więcej nie zobaczy). Wszystkie stacje na kuli ziemskiej pokazujące ten sam obraz... Niesamowite.

Przed kamerami pojawił się zespół wirusologów. Poważni, ostrożni w słowach, oświadczyli, że mamy do czynienia ze zmutowanym gatunkiem filowirusa, którym zaraza się przez krew i płyny ustrojowe (nasienie, ślinę itd.). Jeszcze nie wiedzą, czy przenosi się także drogą powietrzną. Główne objawy to gorączka, dezorientacja, bladość, a po jakimś czasie obłęd i skrajna agresywność. Ostrzegają, że w przypadku stwierdzenia u kogoś takich symptomów należy zawiadomić siły bezpieczeństwa i pod żadnym pozorem nie próbować nawiązać kontaktu z zarażonym, nawet gdyby chodziło o członka rodziny albo przyjaciela.

I tyle. Co oni sobie, kurwa, wyobrażają? Co to znaczy zawiadomić siły bezpieczeństwa? Jeśli już, to czy nie lepiej byłoby wezwać karetkę? Koniec końców to przecież chorzy, prawda...? Będą ich leczyć gradem kul czy co? I dlaczego mam wrażenie, że coś ukrywają? Myślę, że nie powiedzieli wszystkiego...

W internecie wrze od plotek coraz bardziej absurdalnych. Inwazja kosmitów,

pasożytnicze przywry, mutanty, żywe trupy, masowe pranie mózgu... Jest w czym wybierać. Ale, do kurwy nędzy, musimy myśleć racjonalnie. To choroba: albo się zarazasz, albo nie, a jeśli się zarazasz, do widzenia. Pum. Koniec. Jestem jednak przekonany, że musi być coś więcej, coś rzeczywiście strasznego, bo po co w takim razie ta bezprecedensowa cenzura? To absurd...

Bardzo martwię się o siostrę; od soboty nie zdołałem się z nią skontaktować. Sieci telefonii komórkowej są przeciążone i w niektórych miejscach zaczynają nawalać. Po tym, jak tu i ówdzie zniknęły ekipy porządkowe, technicy odmawiają wyjazdu do napraw bez eskorty. Prywatne agencje ochrony nie są w stanie podołać zamówieniom, a policja, wojsko i Gwardia Cywilna dwoją się i troją, by w całej Hiszpanii zagwarantować patrole, kwarantanny i kontrole. Mimo to wciąż nadchodzą newsy o zabójstwach i zniknięciach. Już nawet nie są newsami.

Prezydent Stanów Zjednoczonych wystąpił w telewizji. Przebywa w prezydenckim schronie. To zły znak. Wygłosił przemówienie, w którym prosił obywateli, żeby słuchali rozkazów wojska, i nalegał, by udawali się do tego, co nazywają *Safe Zones*. Bezpieczne Strefy... Bezpieczne od czego? Nic nie rozumiem.

W Jerozolimie papież, wielki rabin i główni muzułmańscy muftiowie wspólnie odprawili modły. W innych okolicznościach byłoby to poruszające wydarzenie, ale „ze względów bezpieczeństwa” nie zezwolono na udział wiernych, a widok duchownych na Wzgórzu Świątynnym otoczonych kordonem izraelskich oddziałów szturmowych nie jest zbyt uspokajający...

Premier znów pojawił się w telewizji, razem z królem. Zapowiedział utworzenie pięćdziesięciu dwóch korpusów bezpieczeństwa, po jednym na każdą prowincję, złożonych z policji krajowej, Gwardii Cywilnej oraz wszystkich rodzajów policji lokalnej i regionalnej. Korpusami mają dowodzić generałowie sił lądowych. Obejmą pełne zwierzchnictwo wojskowe na całym obszarze. W razie potrzeby armia dostarczy im sprzętu.

Dziś rano próbowałem zobaczyć się z rodzicami. Zabrałem ze sobą Lukullusa,

bo nie wiedziałem, kiedy wrócę. Usadziłem go z przodu, na fotelu obok kierowcy. To jego miejsce (za każdym razem, gdy kogoś wiozę, pasażer wysiada z samochodu w ubraniu pokrytym kocią sierścią), bo nie znosi podróżować w klatce. Po przejechaniu dwóch kilometrów natknąłem się na wojskowy punkt kontrolny i musiałem zawrócić. Skręciłem w boczną drogę, nadzwyczaj wąską, która biegnie na tyłach osiedla na obrzeżach miasta i kilka kilometrów dalej dochodzi do głównej szosy. Kiedy już myślałem, że mi się udało, wpadłem na kolejną kontrolę, tym razem lokalnej policji. Cholera. Ci faceci znają boczne drogi lepiej niż ktokolwiek inny. Próbowałem ich przekonać, żeby pozwolili mi przejechać, ale nic nie wskórałem. Są bardzo zdenerwowani, powiedziałbym nawet, że wystraszeni. Nic dziwnego. Ich zwykła praca polega na łapaniu kieszonkowców, regulowaniu ruchu drogowego i odholowywaniu źle zaparkowanych samochodów. A teraz nagle muszą patrolować drogi wyposażeni w sprzęt wojskowy i uzbrojeni w karabiny automatyczne HK; mają rozkaz strzelać do każdego, kto nie okaże im posłuszeństwa.

Wróciłem do domu. Nalałem sobie whisky, chociaż nie minęło jeszcze południe. Znów oglądam telewizję, z wyłączonym dźwiękiem, i słucham przez krótkofalówkę komunikatów policyjnych. Sam już nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

19 stycznia. Godzina 18.58

Wpis 22

Po okolicy krąży policyjny śmigłowiec. Robi to przez całe popołudnie. Poza tym z okna na górnym piętrze widziałem dwa radiowozy przejeżdżające główną ulicą. Tak jakby policjanci czegoś szukali albo raczej kogoś. Są uzbrojeni po zęby. Jeden z samochodów wjechał nawet w krótkie uliczki naszego osiedla, Numer Jeden i Numer Dwa, żeby mogli się tu rozejrzeć. Przesunęli reflektorem po wszystkich fasadach i śmiertelnie wystraszyli sąsiadkę z domu na rogu, która akurat stała na zewnątrz.

Poszedłem do sąsiada, lekarza, żeby zapytać, czy wszystko w porządku. Otworzyła mi jego żona; miała podkrążone oczy. Mówi, że jej mąż jest w szpitalu od siedemdziesięciu dwóch godzin i nie ma od niego żadnych wiadomości.

Wróciłem do domu i dwa razy przekręciłem klucz w zamku. Znów włączyłem krótkofalówkę, żeby posłuchać przekazów na częstotliwości policji. Wydaje się, że desperacko kogoś szukają. Pełno tu komunikatów, w większości niewnoszących niczego nowego, w rodzaju „Patrol 27, strefa 25 wynik negatywny, wchodzimy do strefy 16”. Niektóre są sympatyczne, jak zamawianie pizzy przez punkt kontrolny Gwardii Cywilnej. Nagle ogarnęło ich jakieś szaleństwo: jeden z patroli poinformował o „gorącym punkcie”. Cokolwiek to znaczy.

Przysięgłbym, że dziesięć minut później słyszałem strzały. Rozległy się niezbyt daleko od mojego domu.

Minęło dwadzieścia dni, odkąd się to wszystko zaczęło. Dziś słyszałem strzały w moim mieście. Nie wiem, co to takiego, ale jest coraz bliżej.

20 stycznia. Godzina 1.40

Wpis 23

Jest wpół do drugiej w nocy. Drzemałem w salonie przed telewizorem, kiedy usłyszałem na zewnątrz odgłosy gwałtownego hamowania. Wbiegłem na górne piętro, skąd mam widok na główną drogę. Radiowóz Gwardii Cywilnej zatrzymał się tuż przy wjeździe w naszą uliczkę. Wysiadło z niego dwóch gwardzistów z karabinami automatycznymi, przemknęli przed moim domem, kierując się w głąb ulicy prowadzącej na nasyp. Za wałem jest kilka domów, a za nimi – szosa. Nie wiem, dokąd pobiegli.

Zaraz wrócili. Towarzyszył im pluton żołnierzy, którzy przyszli z przeciwnej strony. Byli zdenerwowani, a jeden z wojskowych miał chyba rękaw poplamiony krwią albo jakąś inną ciemną substancją. Przeszli w milczeniu i zniknęli na drugim krańcu ulicy.

Znów je słyszałem. Nie mogę przysiąc, ale myślę, że to strzały. Rozległy się bliżej niż poprzednim razem.

20 stycznia. Godzina 11.22

Wpis 24

Wybrałem się do centrum po prasę. Nie ma gazet. Nie przyjechała furgonetka kolportażu, a nawet gdyby przyjechała, i tak nie miałyby czego przywieźć. Kiedy wracałem do domu, zauważyłem, że większość sklepów jest zamknięta. Udało mi się znaleźć małą piekarnię, gdzie kupiłem trochę świeżego pieczywa; sprzedawczyni szepnęła mi zmartwiona, że wczoraj w nocy słyszała strzały tuż obok swojego domu i coś, co brzmiało „jak jęki”. Mówi, że kiedy wyjrzała przez okno, zobaczyła tylko wojskową ciężarówkę ruszającą na pełnym gazie.

Widziałem ślad po wczorajszym hamowaniu przy wjeździe na moją ulicę. Teraz wiem, że to nie był sen.

20 stycznia. Godzina 11.33

Wpis 25

Siedzę w ogrodzie, korzystając z zimowego słońca, i obserwuję Lukullusa, który podniecony śledzi ruchy jaszczurki na murze. Śmigłowiec nieustrudzenie krąży nad okolicą. W radiu mówią, że rząd stworzy „Bezpieczne Strefy”, w których zamierza skupić ludność. Podobno jakieś osiemdziesiąt procent mieszkańców nie mogło (albo nie chciało) opuścić miast. Bezpieczne Strefy. Ja pierdołę.

Co chwila powtarzają, że pod żadnym pozorem nie wolno próbować nawiązywać kontaktu z osobami, które bląkają się bez celu, dziwnie zachowują, są dezorientowane albo agresywne, nawet jeśli chodziłoby o znajomego czy kogoś z rodziny. Najwidoczniej już się powszechnie przyjmuje, że chorzy stanowią zagrożenie dla zdrowych.

Do tego wszystkiego Antena 3 przestała nadawać swoje zwykłe programy. Cały czas puszcza filmy i seriale, a co trzy kwadranse robi przerwę na

wiadomości. Sądząc po wyglądzie Matíasa Pratsa, przysięgłbym, że od kilku dni mieszka w studiu.

21 stycznia. Godzina 12.20

Wpis 26

W piątek wieczorem, wymijając kontrole, pojechałem do Robera, przyjaciela z dzieciństwa. Rober to spokojny, flegmatyczny i metodyczny facet. Pracuje jako doradca księgowy w firmie importowej. Od dwóch lat jest żonaty i ma śliczną kilkumiesięczną córeczkę. Kiedy wszedłem do ich domu, jego żona pakowała walizki, a Rober z ponurą miną gapił się w telewizor. Powiedział, że jadą do Bezpiecznej Strefy, którą wojskowi zorganizowali w centrum miasta. Nie wiedzą jeszcze, gdzie ich ulokują ani co będą tam robić, ale mimo to pojadą.

Rozumiem go. Ja jestem samotnym facetem, który mieszka z kotem, ale on ma rodzinę i musi się nią opiekować. Powodzenia, Roberze. Myślę, że jest potrzebne nam wszystkim.

W drodze powrotnej do domu zatrzymałem się na chwilę przy willi sąsiada stojącej tuż za moją, dosłownie plecy w plecy. Zanim się to wszystko zaczęło, sąsiad był w trakcie remontu – dobudowywał z tyłu domu drewniany ganek. Zapach kleju i wióry przelatowały nad murem oddzielającym nasze ogrody, ku uciesze Lukullusa, który jak zahipnotyzowany potrafił godzinami obserwować drobinki drewna wirujące w promieniach słońca. Od kilku dni nie widziałem stolarzy. Mimo że nie utrzymujemy specjalnie kontaktów, odważyłem się poprosić sąsiada o dwa solidne bale do zablokowania bramy z przodu ogrodzenia. Jeśli w okolicy pojawią się rabusie, będą musieli przeskoczyć przez trzymetrowy mur albo wyważyć bramę z kutego żelaza wzmocnioną dwoma drewnianymi wspornikami wbitymi w ziemię.

Myślę, że robię to przede wszystkim po to, żeby zająć czymś umysł i nie myśleć, co się dzieje. Cholera jasna.

Oficjalnymi kanałami nie docierają prawie żadne informacje z zagranicy. Zresztą ludzie nie wykazują zbyt dużego zainteresowania. Tak jakby każdy kraj

skoncentrował się na sobie, na tym, żeby przeżyć. Jednym słowem wiem tylko tyle, że od kilku dni nie ma żadnych wiadomości z Rosji. Nawet w internecie. Totalne zero. Na północy Europy jest kilka aktywnych blogów, ale niestety nie znam szwedzkiego, niemieckiego ani polskiego, więc nie wiem, kurwa, co na nich piszą. Widzę mnóstwo dużych liter i wykrzykników, z czego wnioskuję, że ich autorzy są zdenerwowani. Albo zaskoczeni. Albo przestraszeni. Licho wie.

Z tego, co zobaczyłem w CNN+ (jedynej ogólnokrajowej stacji amerykańskiej, którą jeszcze odbieram przez satelitę, bo stacje CBS i ABC mają niebieski ekran z logo kanału, a w Fox News tylko śnieży), wynika, że w Stanach Zjednoczonych ludność gromadzona jest w *Safe Zones* organizowanych w centrach miast. Wygląda na to, że poza nimi nie ma gwarancji ochrony przed „rabusiami”. Po internecie krążą jednak pogłoski, że *Safe Zone* w San Diego i prawdopodobnie także w kilku innych miastach zostały zaatakowane przez grupy napastników i doszło do niewyobrażalnej masakry. Najwidoczniej życie na całym świecie bardzo szybko straciło na wartości. Jeśli wpiszesz teraz *dead* w Google, wyskakują miliony rezultatów...

W Hiszpanii sytuacja nie wygląda dużo lepiej. W centrach miast powyżej pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców organizowane są Bezpieczne Strefy. We wszystkich stacjach radiowych i telewizyjnych co chwila nalegają, żeby ludzie gromadzili się w nich dla własnego bezpieczeństwa. Ja nie zamierzam nigdzie jechać. Nie można zabierać zwierząt domowych (to logiczne, przestrzeń musi być tam dość ograniczona), a nie chcę zostawiać Lukullusa. Takiego wała. Nie żebym miał świra na punkcie zwierząt, ale kiedy zginęła moja żona, to dzięki obecności Lukullusa nie zrobiłem żadnego głupstwa. Jestem mu to winien. To mój towarzysz, nie porzucę go, żeby zamknąć się w wypełnionym po brzegi getcie i dzielić pokój z piętnastoma nieznajomymi. Pieprzyć rząd i Bezpieczne Strefy.

Król ponownie wystąpił w telewizji, żeby poinformować o sytuacji, znowu w mundurze i otoczony generałami. Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, to stwierdzam, że od paru dni nie widziałem w wiadomościach żadnego polityka. Wygląda na to, że kontrolę przejmują wojskowi. Kurde.

Tele 5 nadaje tylko archiwalne programy i tak samo jak Antena 3 wiadomości co czterdzieści pięć minut. Mówią, że chodzi o dobro współpracowników i personelu stacji. Tłumaczą, że okolica, gdzie mają swoją siedzibę, nie jest zbyt bezpieczna i że grasują tam bandy rabusiów.

Telefony komórkowe padły. Trzej główni operatorzy zawiesili usługi i „odstąpili” swoje sieci korpusom bezpieczeństwa prowincji. Teraz już na pewno nie uda mi się namierzyć siostry. To przedsiębiorcza dziewczyna, mam nadzieję, że jakoś sobie radzi.

Znowu słucham krótkofalówki, wojskowi ewakuują mnóstwo ludzi do Bezpiecznych Stref. Przez cały dzień dochodziły odgłosy sporadycznych wystrzałów. Cywilizacja obraca się w gruzy.

22 stycznia. Godzina 16.30

Wpis 27. Rzeki siarki

Przez całą noc słuchałem częstotliwości sił bezpieczeństwa. W większości to gadanina bez znaczenia, głównie raporty o sytuacji w punktach kontrolnych, dane dotyczące działań patroli i niewiele poza tym. Ale od czasu do czasu pojawia się jakiś „gorący punkt” i wtedy nikt nie panuje nad sytuacją. Moją uwagę zwraca fakt, że choć media bez przerwy ostrzegają przed zamieszkami, stanowią one tylko niewielki ułamek incydentów, o których słyszę przez krótkofalówkę. Liczba rabusiów wydaje się bardzo niewielka, może dlatego, że mieszkam w małym mieście.

Za to „tamtych”, jak określają ich wojskowi na falach radiowych, jest coraz więcej. Na początku, kilka dni temu, ledwo się o nich wspominało, ale teraz incydenty z ich udziałem z godziny na godzinę są coraz częstsze.

Jeszcze czterdzieści osiem godzin temu takie przypadki w Pontevedrze się nie zdarzały. Pojedyncze krople – jeden incydent wywołany przez „tamtych” mniej więcej raz na dwanaście godzin – szybko zamieniają się w wartki strumień, pełen telefonów na numery alarmowe, histerycznych ostrzeżeń kierowanych przez poszczególne jednostki; towarzyszy temu wielka, wielka mobilizacja

policjantów i żołnierzy, najwyraźniej niebędących w stanie opanować sytuacji.

Nie wiem, co mają na myśli, kiedy mówią o „tamtych”. To osoby zarażone wirusem? Wiadomo już, że zainfekowani są bardzo agresywni, ale dlaczego w takim razie nazywają ich „tamtymi”, a nie po prostu zarażonymi? O co tu tak naprawdę chodzi?

Kilka godzin temu siły bezpieczeństwa z Pontevedry otrzymały rozkaz wycofania się do miasta. Okoliczne obszary wiejskie powinny zostać ewakuowane. Parę minut po tym, jak usłyszałem ten komunikat na wojskowej częstotliwości, w Localii, miejscowej telewizji, wystąpił kapitan Gwardii Cywilnej w mundurze bojowym i przeczytał apel generała dowodzącego prowincją, nakazujący ewakuację. Myślę, że jesteśmy otoczeni.

Zaledwie godzinę temu słyszałem przez krótkofalówkę wezwanie skierowane do któregoś z patroli. Informowano o incydencie na jednej z ulic i proszono, żeby to sprawdzić. Patrol (sądząc po sposobie mówienia, chyba nie byli to policjanci z Galicii) odpowiedział, że zaraz będzie na miejscu. Od tamtej pory nie nadał już żadnego komunikatu. Za to ledwie piętnaście minut później wezwano powietrznodesantową brygadę lekkiej piechoty, by pilnie zjawiała się na tej samej ulicy. Najgorsze, że ta ulica jest oddalona jedynie o kilometr od mojego domu. Przysięgłbym, że słyszałem dwa wystrzały. Nic więcej.

Nie wiem, co się tam wydarzyło, w każdym razie oddano tylko dwa strzały.

Generalnie wygląda na to, że wszystko się wali. Z tego, co jestem w stanie przesiać z całej tej gadaniny w telewizji, w radiu, na częstotliwościach wojskowych i w internecie, wynika, że sytuacja pogarsza się z minuty na minutę. Incydenty przerastają możliwości interwencyjne korpusów bezpieczeństwa, bo od ostatnich dwudziestu czterech godzin mnożą się w postępie geometrycznym. Są straty w szeregach policji i wojska. A w niektórych jednostkach, zwłaszcza w straży miejskiej, dochodzi do pierwszych dezercji. Coś idzie kurewsko źle.

Martwi mnie pewna złowieszcza pogłoska. Wśród wszystkich obłąkańczych teorii, które w ostatnich dniach bez przerwy są powtarzane w sieci, dominuje

jedna i sprawia wrażenie coraz bardziej spójnej. Według niej chorzy znajdują się w stanie swoistej anabiozy albo w stanie bliskim śmierci, coś w tym stylu. Niektórzy twierdzą wręcz, że są martwi, ale mimo to chodzą. Nonsens.

Albo i nie. W ciągu ostatnich godzin wydarzyło się tyle dziwnych rzeczy, że sam już nie wiem, co o tym myśleć.

22 stycznia. Godzina 19.59

Wpis 28

To stało się zaledwie kilka minut temu. Wojskowy transporter opancerzony i ciężarówka zatrzymały się przy wjeździe w dwie krótkie uliczki mojego osiedla. Wsiadło z nich kilku żołnierzy i zaczęli walić w drzwi kolejnych domów.

Ponieważ siedziałem w kuchni, słuchając krótkofalówki, światła od ulicy były zgaszone.

Kiedy doszli do moich drzwi, nie ruszyłem się z miejsca. Wziąłem kota na kolana i przez chwilę czekałem w ciszy, aż wreszcie ten, kto stał przy drzwiach, odszedł. Musiałem jednak sprawdzić, co się dzieje. Podszedłem dyskretnie do okna na piętrze, jedyne, z którego widać ulicę. Zobaczyłem, jak żona i dwie córki mojego sąsiada lekarza, tego, który zniknął kilka dni temu, wychodzą z walizkami, a żołnierze pomagają im wsiąść do ciężarówki. Żołnierze przyprowadzili także innych sąsiadów. Zabierają ich do Bezpiecznej Strefy w centrum miasta, sektora obejmującego kilka ulic, ciasno otoczonego kordonem i chronionego, przynajmniej teoretycznie.

Ciężarówki z rykiem ruszyły w stronę centrum. Jeden z żołnierzy, zanim wskoczył do transportera, namalował na asfalcie na skrzyżowaniu olbrzymi czerwony iks. Potem jego pojazd skręcił za róg i zniknął. W nocy panuje taka cisza, że jeszcze przez jakiś czas dobiegały mnie odgłosy tego niewielkiego konwoju. Pewnie tej nocy będzie dużo takich przystanków.

Teraz na ulicy jest cicho i ciemno. Wszystkie domy są puste, a jeśli ktoś w nich pozostał, tak jak ja, najwyraźniej nie zamierza dawać żadnych oznak życia. Wróciłem do kuchni, oświetlonej jedynie lampką okapu, i zacząłem

intensywnie myśleć. To oczywiste, że ewakuują całą okolicę. A raczej JUŻ ją ewakuowali.

Dlatego zakładam, że od tej pory wszystko może się tu wydarzyć.

23 stycznia. Godzina 10.05

Wpis 29

Wreszcie wstał dzień. Noc była bardzo, bardzo długa. Dopiero kilka godzin po odjeździe konwoju ewakuacyjnego zdałem sobie sprawę, jak głupią decyzję podjąłem. Jestem sam. Nikt nie wie, że tu zostałem. Przebywam na obszarze, z którego wszystkich ewakuowano. Na ziemi niczyjej.

Najpierw poczułem paraliżujący lęk, a później wpadłem w stan gorączkowej aktywności. Przeniosłem bale i podparłem nimi główną bramę. To oczywiście głupota, bo wcześniej czy później będę musiał tamtędy wyjść, ale świadomość, że coś robię, sprawiła, że poczułem się bezpieczniej. Potem zrobiłem mały bilans. Jedzenia starczy mi na jakieś trzy tygodnie, o ile nie obrzydną mi mrożonki. Zgromadziłem dwadzieścia pięć litrów wody w butelkach, zresztą na razie nie wygląda na to, żeby kranówka płynęła pod mniejszym ciśnieniem. W moim przypadku, dzięki panelom, brak prądu nie będzie problemem, ograniczając zużycie energii, zapewnię sobie niemal całkowitą niezależność. Nie sądzę, żebym miał kłopot z oszczędzaniem prądu. W najbliższych dniach nie zamierzam urządzać żadnej imprezy.

Za to z gazem, owszem, może być kłopot. Moja kuchenka jest hybrydowa, ma dwa palniki gazowe i dwie płyty ceramiczne, które zużywają bardzo dużo prądu. Na razie gaz jeszcze jest, ale nie wiem, jak długo to potrwa. Przypuszczam, że wcześniej czy później odetną dostawy na ewakuowane obszary, żeby uniknąć eksplozji.

Mój arsenał przedstawia się żałośnie. Przewróciłem dom do góry nogami i zgromadziłem na kuchennym stole całą swoją „broń”. Kusza podwodna z sześcioma stalowymi strzałami, nóż do krojenia szynki i mała siekierka ze stępionym ostrzem, której używam do rąbania drewna na patiu za domem.

Wspaniale. Sięgnąłem po teoretycznie najniebezpieczniejszy oręż – kuszę. Największym stworzeniem, do którego z niej strzelałem, był węgorz. Założenie strzały zajmuje około dwudziestu, trzydziestu sekund, a zasięg kuszy jest stosunkowo krótki, jakieś dziesięć metrów. Poza tym gdy strzela się z daleka, nie jest niezawodna. Koniec końców, to nie broń precyzyjna, tylko narzędzie skonstruowane z myślą o nadziewaniu ośmiornic z bliskiej odległości. Jeśli pojawią się bandy napastników, będę miał przerąbane. Bez wątpienia na razie najlepszym wyjściem jest pozostać niezauważonym.

Nagle zaczął dzwonić telefon i niemal dostałem zawału. Milczał od wielu dni i zupełnie o nim zapomniałem. Przez moment wahałem się, czy odebrać, ale pragnienie usłyszenia ludzkiego głosu wzięło górę nad ostrożnością, więc podniosłem słuchawkę. To byli moi rodzice. Poczułem ogromną ulgę. Niemal osunąłem się na ziemię.

Płakałem cicho, słuchając głosu matki. Wszystko u nich w porządku, są w rodzinnej wiosce ojca, razem z kilkoma sąsiadami, i proszą mnie gorąco, żebym do nich dołączył. Odparłem zgodnie z prawdą, że od trzech czy czterech dni to niemożliwe. Jestem bezpieczniejszy tutaj, niż gdybym jechał sto kilometrów, Bóg wie jakimi szosami, z kontrolami na drogach i wałęsającymi się bandami rabusiów. Poza tym Lukullus nie lubi wsi, powiedziałem matce, próbując zbagatelizować sprawę. Ona naprawdę się martwi. Moja siostra powiadomiła ją przez telefon, że zdołała opuścić Barcelonę, zanim odizolowano miasta i wprowadzono stan wojenny, ale mama nie wie, gdzie teraz przebywa. Ostatnią informacją, jaką od niej otrzymała, było to, że kierują się na wieś, do domku Rogera.

O reszcie rodziny nie ma żadnych wiadomości. Podejrzewam, że większość znajduje się w którejś z Bezpiecznych Stref, podobnie jak trzy czwarte mieszkańców kraju. Istoty ludzkie są z natury stadne i w sytuacjach zagrożenia zwykle łączą się w grupy. Tylko garstka nieświadomych nie podporządkowuje się temu schematowi. Przypuszczam, że tym samym właśnie do niej się zaliczam. Pożegnałem się z rodzicami, powiedziałem, że ich całuję, i obiecałem dzwonić co najmniej raz w tygodniu, o ile będzie połączenie (matka próbowała

się ze mną skontaktować od trzech dni).

Po tej rozmowie trochę się uspokoiłem. Dałem upust emocjonalnemu napięciu skumulowanemu w ciągu tych wszystkich dni. Oprzytomniałem, jestem bardziej opanowany. Zacząłem myśleć o praktycznych rzeczach, które mam do zrobienia.

Po pierwsze, informacje. Telewizja pada. Zniknęły prawie wszystkie z osiemdziesięciu kanałów, które odbierałem. Została mi tylko Jedynka (teraz nadaje również na kanale, gdzie kilka dni temu była Dwójka), Tele 5 i Antena 3, z programem zredukowanym do minimum, głównie filmy (bez żadnych przerywników), archiwalne odcinki seriali i co czterdzieści pięć minut miniwiadomości, które, z grubsza rzecz biorąc, polegają na wyliczeniu Bezpiecznych Stref i najlepszych sposobów, żeby się do nich dostać. Powtarzają też uporczywie, że pod żadnym, ale to żadnym pozorem nie wolno nawiązywać kontaktu z zarażonymi, a ten, kogo zaatakują, powinien bronić się przed ugryzieniami i podrapaniem.

Wystąpił jakiś wyglądający na zmęczonego wojskowy i powiedział, że nie mogą zagwarantować ochrony osobom, które pozostają poza Strefami. Zasugerował, żeby w razie ataku próbować rozwalić napastnikowi głowę. „Kijem, tasakiem, kulą, czymkolwiek, ale żeby ich powstrzymać, trzeba roztrzaskać im głowę. Nic innego nie działa”.

Ten komunikat mnie zaskoczył, chociaż wiem, że sprawy dawno wymknęły się spod kontroli, i już nic specjalnie mnie nie dziwi. W każdym razie wygląda na to, że cenzura informacyjna stopniowo się rozluźnia, pewnie dlatego, że nie ma już nic albo prawie nic do ukrycia. Stało się oczywiste, że bandy rabusiów nie stanowią takiego problemu jak zarażeni, którzy zachowują się skrajnie agresywnie.

Nie ma za to jednomyślności, jeśli chodzi o ich stan fizyczny. Niektórzy mówią, że są zdrowi, tyle że obłąkani, inni twierdzą, że znajdują się na granicy śmierci, a nawet, chociaż wydaje się to nieprawdopodobne, coraz częściej pojawiają się głosy, że są martwi. Dotąd nie widziałem ani jednego, ale

przypuszczam, że zmieni się to w ciągu najbliższych godzin. Na razie zostanę tutaj i będę podejmował decyzje w miarę rozwoju wydarzeń. Ponieważ jest to jakiś plan działania, czuję się trochę spokojniejszy.

Internet też się sypie. Kilka godzin temu przestały działać Google i Yahoo! Podejrzewam, że serwery, które je obsługują, zostały pozbawione prądu. To samo dzieje się z wieloma stronami internetowymi. Z ponad stu linków, które mam w ulubionych, tylko dwadzieścia jest aktywnych, prawie wszystkie z Hiszpanii, gdzie najwyraźniej są jeszcze dostawy energii. Prawdopodobnie nie potrwa to zbyt długo, jeśli sądzić po tym, co wydarzyło się na północy Europy, gdzie epidemia dotarła wcześniej.

Wojskowe fale radiowe ciągle trzeszczą, przekazując komunikaty o kolejnych kontaktach i starciach z „tymi skurwielami”, jak się ich teraz nazywa. Są spore straty. Pięćdziesiąt dwa korpusy bezpieczeństwa trzeba było zredukować do czterdziestu. Ataki koncentrują się wokół Bezpiecznych Stref. Dwie z nich, jedna w Toledo, a druga w Alicante, upadły, zaatakowane przez hordy zarazonych. Zginęły zapewne dziesiątki tysięcy osób. Obawiam się, że w najbliższych godzinach zginą kolejne dziesiątki tysięcy. A ja nie zamierzam być wśród nich. Niech się pierdolą.

24 stycznia. Godzina 3.03

Wpis 30

Siedzę i piszę, a po plecach powoli spływa mi strumień potu. Ładunek adrenaliny, która wciąż krąży w moim ciele, sprawia, że drżą mi ręce. Teraz owszem, jestem przerażony.

Wczesnym popołudniem zrozumiałem, że albo coś zrobię, albo zaraz trafi mnie szlag. Od prawie dwudziestu czterech godzin przebywałem bez przerwy zamknięty w domu, chodząc w tę i z powrotem niczym zwierz w klatce. Musiałem coś zrobić. Musiałem wyjść. Musiałem zobaczyć. Musiałem wiedzieć. Lukullus obserwował mnie zdumiony przez cały dzień. Zdaje sobie sprawę, że coś się dzieje, to na pewno, ale nie wiem, w jakim stopniu jego kocia

świadomość jest w stanie ogarnąć potworność sytuacji. Świat się wali, o ile już się nie zawalił. To nie żarty. To się naprawdę dzieje, a my tkwimy w samym środku wydarzeń jak w pułapce.

Wszedłem do sypialni, włożyłem grube buty do chodzenia po górach, ciężkie, ale miękkie, i porządnie się opatuliłem. Zimą noce w Galicji są wilgotne i chłodne. Zapadł już zmrok, od kilku godzin obowiązywała godzina policyjna. Guzik mnie to obchodziło. Zamierzałem wyjść. Szczerze wątpiłem, żebym za rogiem natknął się na policjanta. Czterdzieści minut wcześniej słyszałem odgłosy kolumny pojazdów jadących główną drogą, do której dochodzi moja uliczka. Z okna na piętrze zobaczyłem zbiorowisko radiowozów, ciężarówek wojskowych i transporterów opancerzonych wypełnionych żołnierzami. Wydawali się wyczerpani, a niektórzy – wystraszeni. Jechali w kierunku centrum, do Bezpiecznej Strefy.

Nie trzeba być specjalnie byстрыm, żeby odgadnąć, co to za żołnierze. Ostatnia linia obrony przed zarażonymi. Bronili pozycji, dopóki nie zakończono ewakuacji cywili. Teraz i oni się wycofują. To znaczy, że między zarażonymi a Bezpieczną Strefą nie ma już nic. Musieli deptać im po piętach. Powinienem się pospieszyć.

Odsunąłem bale, które podpierają bramę, i ostrożnie wychyliłem głowę na ulicę. Była wyludniona, tak jak w ciągu ostatnich godzin. Resztki gazet, strzępy plastiku i jakieś śmieci wirowały po asfalcie. Na środku jezdni leżał porzucony beżowy sweter, zgubiony przez jednego z moich sąsiadów w czasie pospiesznej ewakuacji. Ten obraz zrobił na mnie chyba największe wrażenie. Naprawdę odeszli. Wszyscy.

Wsiadłem do samochodu zaparkowanego tuż przed bramą. Kiedy zająłem miejsce za kierownicą, przypomniałem sobie, że jeszcze nie wymieniłem oleju. Dotarło do mnie nagle, że baniak stoi w bagażniku od dnia, kiedy go kupiłem. Cholera. To nie był dobry moment na zabawę w mechanikę, ruszyłem więc, licząc na to, że samochód mnie nie zawiedzie.

Dźwięk odpalanego silnika zabrzmiał w grobowej nocnej ciszy niczym

wystrzał armatni. Miałem wrażenie, że słyhać go w odległości kilku kilometrów. Było mi wszystko jedno. Za żadne skarby nie poszedłbym pieszo. Wjechałem w główną ulicę i ruszyłem w stronę centrum, do pobliskiej stacji benzynowej, jakiś kilometr od domu i dwa od miejsca, gdzie jak podejrzewam, zaczyna się Bezpieczna Strefa. Stacja stoi w samym środku ewakuowanego obszaru, ale miałem nadzieję, że kogoś jeszcze tam zastanę. Robiąc wcześniej inwentaryzację, zdałem sobie sprawę, że nie mam nawet porządnej mapy drogowej. Jeśli w którymś momencie przyjdzie mi uciekać, koniecznie muszę mieć mapę. Na stacji powinienem znaleźć przynajmniej jakieś przewodniki Campsy. Po nie właśnie jechałem.

Podróż okazała się przerażająca. Absolutna cisza i żadnej żywej istoty w zasięgu wzroku. Jakbym był ostatnim człowiekiem na ziemi.

Dotarłem na stację i odetchnąłem z ulgą. Paliły się światła. Wyglądało na to, że jest otwarta.

Zaparkowałem obok dystrybutora i ostrożnie wszedłem do budynku. Nie wstydzę się przyznać, że srałem po nogach ze strachu. Nie było widać ani klientów, ani pracowników. Gdzie, do kurwy nędzy, podział się sprzedawca? Kasa stała tuż obok, w zasięgu ręki, mogłem wynieść cały utarg. Wziąłem dwa atlasy drogowe i tyle batonów, ile zmieściło mi się w kieszeniach. Zabrałem też kilka czasopism sprzed dwóch tygodni. Tytuły na okładkach mówią o rzeczach, które teraz wydają się zupełnie nierealne. Jak absurdalnie wygląda wszystko w tym chaosie. Kiedy kładłem pieniądze na ladzie, usłyszałem jakiś hałas, który zmroził mi krew w żyłach. Na zewnątrz ktoś był. Albo coś. Cholera.

Drżącymi dłońmi chwyciłem łańcuchy śniegowe wystawione jako eksponat. Nie była to specjalnie skuteczna broń, ale przynajmniej miałem w ręku coś ciężkiego. Wszedłem na dwór i w odległości około trzydziestu metrów od stacji zobaczyłem mężczyznę. Stał za daleko i było za ciemno, żeby rozróżnić szczegóły, ale odniosłem wrażenie, że zatacza się przy chodzeniu. Nie miałem ochoty się upewniać. Wskoczyłem do samochodu i skręciłem w kierunku mojego osiedla. Spojrzałem w lusterko wsteczne. Facet chyba usiłował dogonić

mój samochód, biegł chwiejnym krokiem. Niech się pierdoli. Nie zamierzałem zawierać z nim znajomości.

Chwilę później znów byłem w domu, za odpowiednio zamkniętymi i zabarykadowanymi drzwiami. Wciąż drżały mi nogi. Oddaliłem się o niecały kilometr, na niespełna dwadzieścia minut, a miałem wrażenie, jakbym wrócił z Wietnamu. Faktycznie mamy przesrane. Myślałem, że będę się czuł jak bohater kina akcji, a czuję się jak zwierzyna, która nie wie, gdzie są myśliwi.

Włączyłem telewizor. Zostały tylko dwa programy krajowe, Antena 3 i kanał publiczny – Telewizja Hiszpańska. Ta ostatnia wyświetla na ekranie królewski herb, a w tle rozbrzmiewają marsze wojskowe. Bardzo uspokajające. Reszta to śnieg. Z satelitarnych stacji mam już jedynie CNN, ale z nagraniami sprzed kilku dni i paskiem na dole ekranu: Padła Atlanta. I Denver. I Utah. I Baltimore. I Cedar Creek. I... Kurwa, lista ciągnie się w nieskończoność. Przesłanie jest takie, żeby nie kierować się do *Safe Zones*, tylko szukać bezpiecznych kryjówek. Zadaję sobie pytanie, czy tutaj będzie to samo. W Bezpiecznych Strefach schroniły się miliony osób. Miliony osób, które niedługo zostaną zaatakowane przez tych „zarażonych”.

Internet prawie nie istnieje. Padła większość serwerów. Ze wszystkich wyszukiwarek w sieci jedyną, która wydaje się nadal działać, jest Alexa. Ciekawe, jak, kurwa, zasilają ten serwer. Pewnie mają awaryjne akumulatory. Nie wytrzyma długo, to kwestia kilku dni, kilku godzin. Niektórzy zostawiają komentarze na moim blogu. Nie wiem, jak go znaleźli. Opowiadane przez nich historie napawają mnie przerażeniem. Z tego, co mówią, to jedno z niewielu miejsc w sieci, które jeszcze działa. Mam internet przez kablówkę, siedziba dostawcy znajduje się w La Coruñi. Zastanawiam się, jak długo potrwa, zanim i jego diabli wezmą.

Zastanawiam się, jak długo potrwa, zanim wszystko diabli wezmą. Dotrą tutaj. To tylko kwestia godzin.

24 stycznia. Godzina 20.56

Wpis 31

Dziś odcięli prąd. Było kilka minut po osiemnastej, kiedy lampy zatrzeszczały i ostatecznie zgasły. Najpierw siedziałem jak głupi w kuchni, gdzie ostatnio spędzam najwięcej czasu, słuchając częstotliwości wojskowych i oglądając dwa ostatnie kanały telewizyjne. Kilka minut później, kiedy moje oczy przyzwyczały się do ciemności, zareagowałem. Wyjąłem latarkę z szuflady szafki kuchennej i zszedłem do piwnicy, żeby uruchomić zestawy akumulatorów, małe czarne bestie o wadze piętnastu kilogramów każda, które stoją na podłodze zgrupowane w dwa rzędy po dwanaście sztuk. Już miałem nacisnąć przełącznik na rozdzielnicy elektrycznej, ale nagle zastygłem jak sparaliżowany. Przecież przed włączeniem czegokolwiek musiałem się upewnić, że wszystkie światła w części domu wychodzącej na ulicę są zgaszone. Ostatnie, na czym mi zależy, to przyciągać uwagę jedyną oświetloną willą na całym osiedlu.

Kiedy już wszystko sprawdziłem, podłączyłem akumulatory. Nie da się opisać cudownego poczucia bezpieczeństwa, jakie daje łagodny blask wracających do życia żarówek. Nigdy nie przypuszczałem, że kiedyś będę tak się bać ciemności. W zasadzie nigdy nie przypuszczałem, że kiedykolwiek dojdzie do czegoś takiego...

Mam poważny problem. Odłączyli gaz albo w którymś miejscu zostały przecięte przewody, nie wiem. W każdym razie gazu nie mam. A to oznacza, że nie działa ogrzewanie, co przy panującej na zewnątrz temperaturze trzech stopni Celsjusza wcale nie jest śmieszne. Ubrałem się ciepło, ale mimo to czuję, jak zimno przenika mnie do kości. Przy każdym oddechu z ust wydobywają się obłoczki pary. Lukullus obojętnie reaguje na tę temperaturę, ale w końcu to pers. Poza długą sierścią ten malec ma też grubą warstwę sadła. Lata dobrego życia na coś mu się przydają. Co za gość!

Wszedłem do ogrodu na tyłach domu, żeby zapalić papierosa i chwilę się zastanowić. Usiadłem na schodkach i gapiąc się w zamyśleniu na ogrodzenie patia, roztrząsałem wydarzenia z ostatnich godzin. Wygląda na to, że wszystko

dzieje się coraz szybciej. W pewnym sensie przypomina lawinę: najpierw to tylko kamyczki, potem okrągłe głazy, później skały i, zanim się zorientujesz, cała pierdolona góra zjeżdża w twoją stronę z zawrotną szybkością. Kurwa.

A na domiar złego jestem coraz bardziej odcięty od świata. Antena 3 padła, przestała nadawać koło południa. Sygnał zniknął w środku powtórki odcinka *Bajer z Bel-Air*. Bach. Nagle, jakby ktoś odłączył kabel. Nie mam pojęcia, co się mogło stać. Telewizja Hiszpańska dalej wyświetla na ekranie herb rodziny królewskiej i puszcza na cały regulator marsze wojskowe. Teraz wiadomości są co półtorej godziny, zmieniała się także ich treść. Już nie tylko nie proszą ludzi, żeby udawali się do Bezpiecznych Stref, ale wręcz ostrzegają, że w niektórych miejscach, jak Almeria, Kadyks, Badajoz czy Majorka, jest to wysoce niewskazane.

Bezpieczne Strefy okazały się pomysłem logicznym (skupienie wszystkich mieszkańców w kilku punktach, żeby móc ich bronić), ale zgubnym. Zarazonych najwyraźniej przyciąga ludzka obecność. Tłumnie, bo muszą już ich być miliony w całym kraju, otaczają miasta, gdzie mieszczą się Strefy, i forsują linie obrony dzięki samej tylko przewadze liczebnej. Potem następuje chaos.

Teraz jestem pewny – niepojechanie do Bezpiecznej Strefy było dobrą decyzją, choć podjąłem ją nieświadomie. Myślę, że w obecnej sytuacji mam większe szanse przeżycia, jeśli będę trzymał się z boku i nie dam sobą kierować jak pozostali. Jednak po chwilowej uldze, że dobrze zrobiłem, zalała mnie fala lęku.

Moi rodzice. Siostra. Wszyscy przyjaciele i znajomi. Rober i jego żona, których widziałem zaledwie dwa dni temu, kiedy w pośpiechu pakowali walizki. Wszyscy ludzie, których kocham i znam, a przynajmniej większość z nich, trafili do tych przeklętych Bezpiecznych Stref. Nie wiem, co jest gorsze, świadomość, że są skazani na śmierć, czy to, że nie mogę nic zrobić, żeby im pomóc. Poczuję w gardle cierpki posmak żółci. Strach dusi mnie w sposób, którego nie potrafię opisać, ale – co niewiarygodne – nie jestem w stanie uronić ani jednej łzy. Sytuacja jest tak przytłaczająca, że nie ma miejsca na

płacz.

Teraz już wszędzie przyznaje się otwarcie, że – choć trudno w to uwierzyć – zarażeni to zmarli, którzy jakimś cudem wrócili do życia. Wirus, czy cokolwiek to było, który wymknął się Rosjanom w Dagestanie, powoduje całkowity zanik odporności, liczne zakażenia, krwotoki, a po kilku godzinach – śmierć.

Po bliżej niesprecyzowanym czasie martwy osobnik się podnosi, ale nie jest już tym, kim był; jest jednym z nich. Atakuje każdą żywą istotę, która staje mu na drodze, nikogo nie rozpoznaje, wygląda na to, że w żaden sposób się nie porozumiewa, nie ma żadnego konkretnego celu i nie kieruje się żadnymi kryteriami. Po prostu atakuje. Mówi się nawet o przypadkach kanibalizmu i najwyraźniej jedynym sposobem na jego „dobicie” – że pozwolę sobie na ponury żart – jest zniszczenie mózgu.

Jako rozsądny i rzeczowy facet powinienem tarzać się ze śmiechu, słuchając tej obłąkanej teorii godnej filmu klasy B, ale nie potrafię. Jeśli ostatnie dni czegoś mnie nauczyły, to tego, że wszystko jest możliwe. Choć brzmi absurdalnie, myślę, że ta teoria jest prawdziwa.

Zmarli chodzą po ziemi i chcą z nami skończyć. Szlag by to trafił.

Trwałem pogrążony w tych radosnych rozmyślaniach, kiedy wydało mi się, że słyszę jakiś hałas po drugiej stronie ogrodzenia. Zerwałem się jak oparzony. Obleciał mnie strach. Jakby ktoś ciągnął coś ciężkiego. Musiałem sprawdzić, kto to taki. Ostrożnie wzięłem drabinę, której używam do czyszczenia muru z trawy i mchu, i cicho oparłem ją o płot. Wlazłem na górę, pilnując, żeby nie zaskrzypiała, i wyjrzałem na drugą stronę.

Zobaczyłem sąsiada, który ociekając potem, przeciągał bale, takie jak te, które dał mi kilka dni temu. Całkowicie skoncentrowany na swojej pracy wszedł na niedokończony ganek z tyłu domu i wniósł drewno do środka. Po chwili usłyszałem odgłos uderzeń młotkiem. Kiedy znów się pojawił, zawołałem go. Tym razem to on omal nie umarł z przerażenia.

To koleś w średnim wieku, korpulentny, trochę łysiejący. Ma na imię Miguel i, zdaje się, prowadzi firmę handlującą sprzętem medycznym. Jest

rozwiedziony, mieszka sam z małym psychotycznym psiakiem, który szczeka na wszystko, co się rusza. Oświadczył, że „odmawia dzielenia przestrzeni z motłochem zebrany w Bezpiecznej Strefie”. Myśli, że będzie bezpieczniejszy w domu, i w pewnym sensie trzeba przyznać mu rację. Teraz zabija drzwi i okna w swojej willi, na wypadek gdyby tamci zdołali sforsować żelazną bramę. Mówi, że ma łódź w porcie jachtowym i jeśli sytuacja się pogorszy, możemy nią uciec. Powiedziałem mu, że zgoda, ale w głębi duszy uważam, że to głupota. Znam jego łódź; to pięciometrowka zacumowana niedaleko miejsca, gdzie zostawiam swój zodiak. Nawet nie zdołalibyśmy wypłynąć nią w morze, zakładając, że w ogóle udałoby nam się bez szwanku dotrzeć do portu. Stało się na tym, że pogadamy za kilka godzin.

Wróciłem do domu i odetchnąłem z ulgą. Nie jestem sam, w pobliżu znajduje się inny człowiek. To mi przypomina, że tak naprawdę ani on, ani ja nie jesteśmy sami. Musi być coś jeszcze, co nie jest już ludzkie i co nieuchronnie nadchodzi.

25 stycznia. Godzina 2.36

Wpis 32

Już tu są.

Cholera. Widzę ich z okna. Są ich dziesiątki, setki, tysiące. Są wszędzie. Niech Bóg mnie strzeże. Chryste przenaświęty, to niemożliwe...

Chyba zwymiotuję.

25 stycznia. Godzina 18.38

Wpis 33

Jestem już spokojniejszy. Tej nocy przeżyłem prawdziwy koszmar. Później, w świetle dnia, było trochę lepiej, ale i tak dotarła do mnie groza sytuacji. Teraz znów zapada zmrok. Za kilka godzin będzie zupełnie ciemno (rzecz jasna latarnie uliczne nie działają) i nie zobaczę tamtych. Ale wiem, że są tam, na

zewnątrz. I myślę, że oni w jakiś sposób wiedzą, że gdzieś w pobliżu są żywi ludzie.

Wszystko zaczęło się około pierwszej w nocy. Wróciłem spod ogrodowego muru, po spotkaniu z Miguelem, sąsiadem z willi na tyłach mojego domu, jedyną ludzką istotą, która została w okolicy. Oczywiście mogliśmy porozmawiać przez telefon i dzięki temu uniknąć straszliwego nocnego chłodu, ale potrzeba ujrzania ludzkiej twarzy była ogromna. Przeniosłem swoją kwaterę główną do sypialni od frontu, na piętrze. Przez ostatnie dwa lata nie byłem w stanie spać w tym pokoju. Teraz nie mam innego wyjścia, bo tu znajduje się jedyne okno, z którego widać cokolwiek ponad ogrodzeniem. Mogę stąd zobaczyć całą ulicę, aż do skrzyżowania, i kawałek głównej szosy. Wniosłem krótkofalówkę, laptop, mały czternastocalowy telewizor i kuszę, po czym złożyłem wszystko obok fotela, który przysunąłem do okna. Usiadłem i czekałem.

Początkowo nie byłem w stanie rozeznaczyć sytuacji. Najpierw rozległ się dźwięk. W grobowej ciszy słyszałem dziwny hałas, jakby ciągnięto coś po asfalcie, od czasu do czasu dobiegały mnie jęki. Włosy na rękach dosłownie stanęły mi dęba. Po chwili zobaczyłem pierwszego. Mężczyznę, ubranego po cywilnemu, mniej więcej trzydziestopięcioletniego. Miał na sobie koszulę w niebiesko-białą kratkę i dzinsy. Brakowało mu jednego buta. Jego twarz przecinała straszliwa rana, a całe ubranie było przesiąknięte krwią, która zaczynała zasychać. Za nim pojawiło się ich więcej, mężczyzn i kobiet (nawet dzieci, na miłość boską!). Wszyscy byli ranni, niektórzy nawet poważnie okaleczeni. Mają błękitną skórę, ciemne żyły wyróżniają się na bladym ciele niczym delikatny tatuaż. Rogówka oczu jest żółtawa. Poruszają się dość wolno, jakby mieli problemy z koordynacją. W pewnym sensie przypominają sposobem chodzenia podpitego człowieka, który wraca do domu po całonocnej imprezie. Całkiem nieźle, zważywszy na to, że są martwi. Kurewsko i totalnie martwi. Bo co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Widziałem kilka tych potworów, miały śmiertelne obrażenia, a mimo to przeszły pod moim oknem jak gdyby nigdy nic. To przerażające.

Początkowo było ich kilkadziesiąt, ale wkrótce zrobiło się kilkaset, może kilka tysięcy, nie wiem. Potwory przypominały manifestantów albo tłum wychodzący z koncertu, tyle że pogrążony w grobowej ciszy, zakłócanej jedynie szuraniem ciągniętych po asfalcie stóp i sporadycznymi jękami. Jest ich, kurwa, cała masa i kierują się prosto w stronę centrum, do Bezpiecznej Strefy. Niestrudzone. Niewzruszone. Nie do powstrzymania.

Powód jest bardziej niż oczywisty. Nie wiem, ile osób zebrało się w centrum, ale tylu ludzi robi hałas, dużo hałasu. W nocnej ciszy pełnej chodzących trupów słyszę go z oddali, z odległości ponad dwóch kilometrów. Dźwięk głośników, hałas generatorów elektrycznych dostarczających światło i ciepło, odgłosy pojazdów. Magnes dla tego niepokohowanego tłumu żadnego pulsujących ludzkich ciał. Natrą na nich, a oni nie będą w stanie nic zrobić.

Kilka godzin później od strony centrum dobiegł mnie odgłos wystrzałów. Najpierw kilka pojedynczych, przypadkowych. Potem huk karabinów stał się głośniejszy i na chwilę zamienił się w prawdziwą kanonadę. Przysięgłbym, że w pewnym momencie usłyszałem nawet coś przypominającego salwę armatnią. W ostatnich dniach powietrznodesantowe brygady lekkiej piechoty wycofywały się do różnych punktów w Hiszpanii, ale musiał jeszcze zostać pokaźny kontyngent, który najwyraźniej porządnie zabrał się do roboty. Przez kilka niekończących się godzin fale radiowe były przeciążone historycznymi wiadomościami, które przekazywały sobie poszczególne jednostki. Błagania o pomoc, pilne prośby o amunicję, otoczone plutony wzywały posiłki, donoszono o stratach, punktach zgrupowania, przedarli się w takim a takim miejscu, mijają nas w innym... Powoli zapadała cisza. Odgłosy broni palnej stopniowo ustawały i o świcie nie było słychać już nic. Fale radiowe są nieme, martwe. Nad centrum wznoszą się dwa słupy dymu, znacząc miejsce, gdzie kiedyś znajdowała się Bezpieczna Strefa mojego miasta.

Mamy nieźle przerąbane. Jakieś dziesięć, dwadzieścia potworów zostało tutaj i krążą po mojej ulicy jak roboty. Jeden wali jednostajnie w bramę obok, do domu lekarza. Nie wiem, dlaczego to robi, bo jestem pewien, że nie ma tam żywej duszy, ale uderza od kilku godzin i wkrótce doprowadzi do tego, że

puszczą mi nerwy.

Nadchodzi kolejna noc. Mam nadzieję, że ujrzę światło dnia.

26 stycznia. Godzina 17.57

Wpis 34

Dzień strasznie się dłuży. Piszę w pokoju na piętrze, z którego jest widok na ulicę i skąd wychodzę tylko do łazienki albo po coś do jedzenia. Przy moim ekwipunku stoi pół butelki dżinu. Dziś rano była pełna. Nie sądzę, żebym wpadł w alkoholizm, ale łyk czy dwa pomagają mi przetrwać. Cholera, to napięcie mnie wykańcza.

Dziś o świcie drzemałem przed telewizorem, który włączam tylko od czasu do czasu, żeby oszczędzać baterie (dalej wyświetlają herb rodziny królewskiej, ale od wielu godzin nie nadali żadnych wiadomości). Nagle coś mnie obudziło. Strzały. Usłyszałem strzały, niedaleko stąd. Rozlegały się przez jakiś czas, po czym niespodziewanie ucichły. Brzmiały jak z pistoletu albo z dwóch pistoletów, a może i z czegoś większego kalibru. Strzelba myśliwska? Nie wiem, ale przynajmniej dowiedziałem się czegoś ważnego: w pobliżu jest więcej żywych osób! Albo było jeszcze przed chwilą...

Miguel, mój sąsiad, jest coraz bardziej podekscytowany. Uważa, że pozostanie tutaj to samobójstwo i że najlepiej zrobimy, jeśli wsiądziemy do samochodu i przedrzemy się do portu jachtowego, do jego łodzi. Przez pół ranka próbowałem odwieść go od tego szaleństwa. Po pierwsze, nie wiemy, czy jego łódź wciąż tam stoi, najprawdopodobniej już zniknęła. Poza tym droga na pewno jest odcięta w kilkunastu miejscach i musielibyśmy porzucić samochód i iść pieszo, podczas gdy w okolicy krążą tysiące tamtych... Nie przeżylibyśmy nawet minuty. Chyba udało mi się go przekonać, ale nie wiem, na jak długo.

Ma jednak trochę racji. Albo zrobimy coś, żeby poprawić naszą sytuację tu, na miejscu, albo trzeba będzie się stąd ruszyć, i to już niebawem.

Potwory cały czas są na ulicach. Kiedy rozległy się wystrzały, widziałem ich setki. Szły główną drogą w kierunku źródła hałasów. Dołączyło do nich kilka

spośród tych, które kręcą się tu od wielu godzin, reszta jednak pozostała w pobliżu domu, a w ciągu dnia pojawiły się nowe. Nawet teraz widzę z okna jedenaście postaci wałęsających się bez celu po ulicy: cztery kobiety, dwójkę dzieci i pięciu mężczyzn (jednego z nich nazwałem Łomotnikiem, bo od kilku godzin wali otwartą dłońią w metalową bramę). Wszyscy mają ten sam błękitny odcień skóry, nieobecny wzrok, sztywne, podarte i poplamione krwią ubrania. Niektórzy są w straszliwy sposób okaleczeni. Zmiażdżona talia jednej z kobiet wygląda tak, jakby przejechał ją samochód. Musi mieć połamane kości biodrowe, bo chodzi z wielkim trudem.

Ale najbardziej zainteresował mnie jeden z mężczyzn, równie martwy jak pozostali. Jest żołnierzem, na rękawie nosi naszywkę galisyjskiej powietrznodesantowej brygady lekkiej piechoty. Na szyi ma straszliwą ranę i brakuje mu fragmentu policzka. Za każdym razem, kiedy kulejąc, przechodzi pod moim oknem, widzę fragmenty jego uzębienia. Zakrzepnięta krew utworzyła osobliwe grudki na górnej części jego bluzy.

Najważniejsze jednak, że wciąż ma plecak. I pas z czymś, co wygląda na kilkanaście kieszonek. I pistolet. Pistolet! Alkohol, stres i brak snu sprawiły, że mój umysł zaczął gorączkowo obmyślać tuzin różnych planów, jak zdobyć tę broń i ten plecak. Są mi potrzebne. Kłopot w tym, że dysponuję jedynie kuszą do polowań pod wodą.

Nawet zakładając, że byłbym w stanie powalić go na ziemię, musiałbym jeszcze wszystko to z niego ściągnąć, a w tym czasie rzuciłyby się na mnie pozostałe potwory. Po chwili miałem gotowy plan. Bardzo zły, ale najlepszy, jaki wymyśliłem.

Nie chcę prosić o pomoc sąsiada. Jest zbyt nerwowy, by można było na nim polegać. Poza tym, gdyby mu się coś stało z mojego powodu, wykończyłyby mnie wyrzuty sumienia. Nie. To mój plan, moje ryzyko i moja wygrana. Nie mam najmniejszego pojęcia, jak strzelać z pistoletu, ale dzięki niemu bez wątpienia będzie mi różniej. Z pistoletem może nawet odważyć się stąd wyjść. W ostateczności bez wahania go użyję, nawet przeciwko samemu sobie, żeby

nie zamienić się w jednego z tamtych. Tego jestem całkowicie pewny.

Teraz wiem, co powinienem robić, muszę tylko wybrać odpowiedni moment. Wolę odczekać jeszcze kilka godzin. Chcę mieć pewność, że nie będzie innych osobników poza tymi, którzy znajdują się w polu mojego widzenia. Załadowałem kuszę i wypróbowałem ją na pniaku w ogrodzie. Gumowa cięciwa zostaje uwolniona po naciśnięciu spustu. Strzała pomknęła niczym rakietą i z łatwością weszła w pień. Niezłe się napociłem, żeby ją stamtąd wyciągnąć. Nie pomyślałem o tym wcześniej. Nie będę miał czasu na odzyskiwanie strzał. A jest ich tylko sześć. Powinienem celować bardzo, bardzo precyzyjnie.

27 stycznia. Godzina 11.25

Wpis 35

Ręce mi się trzęsą.

Musiałem odczekać dłuższą chwilę i wlać w siebie kolejny solidny łyk dzinu, żeby móc usiąść i napisać te słowa. Boże święty, jeśli tak dalej pójdzie, puszcza mi nerwy...

Przystąpiłem do realizacji swojego planu, kiedy zaczęło się rozwidniać i było wystarczająco dużo światła. Tamci są pozornie niezdarni, ale kiedy chcą, potrafią się szybko poruszać. Nie mam pojęcia, jak u nich z widzeniem w ciemnościach, wiem za to, że mój wzrok jest gównem wart. Poza tym jest ich więcej, dlatego nie będę tego sprawdzać. Przynajmniej na razie.

Jak się dobrze nad tym zastanowić, mój plan to czyste szaleństwo. Ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy w ciągu tych gorączkowych godzin. Muszę coś zrobić, znaleźć ujście dla pełnego niepokoju napięcia ostatnich dni, od kiedy się tu pojawili. Zresztą ten pistolet i ten plecak stały się dla mnie czymś w rodzaju symbolu. Muszę je zdobyć za wszelką cenę. Jestem w stanie tak wielkiego podniecenia, że w końcu udzieliło się ono biednemu Lukullusowi. Przez cały ranek biegał jak szalony po patiu na tyłach domu.

Po kilku godzinach obserwacji zdałem sobie sprawę, że jedenaście potworów

sprzed mojego domu prawie się nie przemieszcza, chyba że odkryją coś, co przyciągnie ich uwagę. Około siódmej rano szczur, jeż albo coś w tym rodzaju przeciął jezdnię w miejscu, gdzie łączy się ona z główną ulicą. Kilku osobników poszło w tamtą stronę, ale oczywiście nie byli w stanie złapać zwierzaka. Jednak szóstka z nich – dwójka dzieci, trzech mężczyzn i jedna kobieta – pozostała przy wylocie uliczki, jakieś czterdzieści metrów ode mnie, wszyscy odwróceni tyłem do bramy mojego domu. Wtedy zrozumiałem, że mój plan ma szansę powodzenia.

Cały pomysł opiera się na tym, że jest tylko jedna droga prowadząca do głównej ulicy. Drugi koniec zaułka zamyka nasyp, na którym kilka nocy temu (wydaje się, że to cała wieczność) widziałem gwardzistów i żołnierzy. Nasyp jest dość stromy, wątpię więc, by któreś z nich dało radę się na niego wspiąć. Nie mam jednak co do tego całkowitej pewności. Kolejna niewiadoma w moim wspaniałym planie. Czasami widzę, jak po głównej ulicy przechadzają się niewielkie grupki, na pierwszy rzut oka bez żadnego celu, ale nie wygląda na to, by uznali mój zaułek za szczególnie pasjonujące miejsce. W ciągu kilku ostatnich godzin zapuściło się tu tylko dwóch mężczyzn, jednak po jakimś czasie sobie poszli.

Trup żołnierza chwieje się na środku jezdni, w najbardziej oddalonej części uliczki, w pobliżu nasypu. Między nim a sześcioma potworami, odwróconymi do niego tyłem, znajdują się trzy kobiety i jeden mężczyzna, Łomotnik, który krąży w pobliżu drzwi sąsiedniego domu, jakby zapałał do nich gorącym uczuciem. Jedna z kobiet, ta, której brakuje ręki i połowy piersi, tkwi dokładnie przed moim domem, niespełna dwa metry od bramy, i uważnie wpatruje się w mur. Kiedy po upływie prawie półtorej godziny nic się nie zmieniło, postanowiłem przystąpić do działania.

Długo łamałem sobie głowę nad tym, w co się na tę okazję ubrać. Oczywiście nie chcę, żeby któreś z tamtych mnie ugryzło. Nie chcę też, żeby mnie dotykali. Nie wiem, czy kontakt z ich skórą albo potem – o ile go wydzielają – zagraża przeniesieniem wirusa. Smutna prawda jest taka, że gównem o nich wiem. Tylko tyle, że są martwi, agresywni i że stoją pod drzwiami mojego domu. Cholera.

Żadne środki ostrożności nie wydają się wystarczające.

Po długich wahaniach postanowiłem włożyć kombinezon z neoprenu. Ma czternaście milimetrów grubości (łatwo marzną, a zimą woda w Galicji robi się lodowata), jest miękki i wytrzymały. Wątpię, czy dałoby się go przegryźć. Będę miał najwyżej siniaka pod warstwą neoprenu, a to można wytrzymać. Poza tym jest całkowicie gładki, zgrzewany na szwach. Nie ma żadnych zwisających dodatków, guzików ani troków, za które mogliby mnie złapać. To jakby druga skóra. Miałem moment zawahania, kiedy zakładałem kaptur. Zakrywa mi całą głowę oprócz twarzy, ale ponieważ jest bardzo gruby, po zasłonięciu uszu prawie nic nie słyszę. Nie mogłem ryzykować, że któreś z tamtych znajdzie mnie od tyłu. Poza tym ograniczał mi możliwość widzenia kątem oka.

Z ciężkim westchnieniem wziąłem do ręki nożyczki i nie bez wysiłku odciąłem kaptur od skafandra. To cudo kosztowało mnie rok temu prawie tysiąc dwieście euro i było moim najlepszym towarzyszem w czasie niejednej z weekendowych podwodnych wypraw, a teraz je niszcę. Myślę, że usprawiedliwia mnie sytuacja.

Włożyłem kombinezon z neoprenu, wciągnąłem zimowe rękawice i sportowe buty na gumowej podeszwie, miękkie, a przede wszystkim ciche. Przejrzałem się w lustrze. Miałem na nosie okulary do nurkowania, a na plecach kuszę i kilka strzał. Jezu, co za cudaczny widok! Nie wiem, czy wykończę żołnierza, czy może kiedy mnie zobaczy, sam umrze ze śmiechu. O ile ma poczucie humoru. Kurwa, plotę bzdury.

Zabrałem również stary parasol, z którego zerwałem materiał i wyłamałem wszystkie druty. Ma okropną rączkę z kości słoniowej, która waży chyba tonę. Znakomicie przyda się do zadania kilku ciosów jako ostatnia linia obrony.

Oto człowiek, który powierzył swoje życie kuszy do podwodnych polowań i rozwalonemu parasolowi. Genialnie.

Nadeszła pora, by ruszać. Zostawię Lukullusa na tylnym patiu. Mam nadzieję, że jeśli coś mi się stanie, wykaże wystarczająco dużo rozsądku, by przeskoczyć przez ogrodzenie i uciec. Mój biedny koleżka. Nie zasługuje na całe

to gównu.

Zanim otworzę drzwi, zabiorę moją „tajną broń”. Cały plan zależy od tej niewielkiej, zapomnianej, absurdalnej rzeczy, którą znalazłem, przeszukując jedną z szuflad. Jeśli zadziała, będę miał szansę. Jeśli nie... znajdę się w prawdziwych opałach.

28 stycznia. Godzina 15.45

Wpis 36

Człowiek to niesamowicie skomplikowana istota. Gdyby niecały miesiąc temu ktoś mi powiedział, że będę zdolny zrobić to, co zrobiłem wczoraj po południu, wybuchnąłbym gromkim śmiechem. A jednak mi się udało. Jeszcze żyję.

Kiedy miałem już na sobie kombinezon z neoprenu, uchyliłem lekko okno na piętrze, skąd mam dobry widok na moją uliczkę. Wysunąłem kuszę i oparłszy ją o parapet, rozważałem przez chwilę pomysł, by z tego bezpiecznego miejsca wystrzelać wszystkie potwory. To oczywiście totalna głupota. Nie da się trafić z podwodnej kuszy w cel wielkości ludzkiej głowy oddalony o trzydzieści metrów, nawet przy założeniu, że strzała dotrze z dostateczną prędkością i siłą. Poza tym nie mogłem zapominać, że posiadam tylko sześć strzał. Sześć pojedynczych strzałów. Wspaniale, prawda?

Nie byłem w stanie powstrzymać obłąkańczego, niemal histerycznego chichotu. Zastanawiałem się, czy strzelać do ludzi z okna sypialni!! Absurdalność tego pomysłu pobudziła mnie do śmiechu. Nie ulega wątpliwości, że tamci na dole nie są już ludźmi, kiedyś jednak żyli, mieli rodziny, przyjaciół... a teraz są... nie wiadomo czym. Albo byli głupszy, albo mieli mniej szczęścia niż ja. To wszystko.

Z ciężkim westchnieniem postanowiłem stawić czoło temu, co nieuchronne. Wziąłem rolkę taśmy izolacyjnej i wyciągnąłem z szuflady moją „tajną broń”. To malutki pluszowy niedźwiadek z dwoma miedzianymi talerzami w łapkach. Po wciśnięciu guzika na grzbiecie miś zaczyna wściekle walić w talerze,

wydając z siebie odgłos przypominający czkanie. Hałas jest ogłuszający.

Trafił do mnie kilka miesięcy temu, przyniesiony przez Lauritę, najmłodszą z moich kuzyneczek. Ganiała oburzonego Lukullusa po całym domu, zapaćkała zasłony czekoladą, połamała ramkę do fotografii, aż wreszcie usnęła na kanapie, a pod kanapą został porzucony miś. Znalazłem go następnego dnia i schowałem do szuflady, gdzie miał poczekać, aż prawowita właścicielka zażąda jego zwrotu.

Teraz wątpię, czy kiedykolwiek wróci.

Na miłość boską, ona ma dopiero pięć lat!! Chciałbym, żeby była zdrowa, a jeśli nie, to żeby chociaż miała kulę w głowie, byle tylko nie stała się jednym z tamtych.

Taśmą klejącą przymocowałem misia do strzały. Załadowałem kuszę i wycelowałem w ścianę domu na końcu uliczki. To willa usytuowana najbliżej skrzyżowania, obita drewnem na całej wysokości pierwszego piętra. Mój pomysł polegał na wbiciu tam strzały i wywołaniu zamętu na tyle dużego, żeby odwrócił uwagę tamtych. Ja tymczasem zająłbym się trupem żołnierza, który stał najdalej, a tym samym musiał minąć moje drzwi ostatni. Prosty plan. Wyjątkowo gówniany plan, w którym mogło się nie udać tysiąc rzeczy, ale nie wymyśliłem niczego innego.

Włączyłem zabawkę, wziąłem głęboki oddech, wycelowałem w fasadę i nacisnąłem spust. Pocisk wyleciał niczym błyskawica, ale miś okazał się zbyt ciężki i zmienił tor lotu strzały. Zamiast wbić się w ścianę, uderzyła w ceglana część domu, wydając głuchy dźwięk, i spadła do biegnącego dołem kanałika odprowadzającego wodę deszczową. Przez krótką chwilę nic nie było słychać. Uznałem, że mój pracownice obmyślony plan już na wstępie spalił na panewce, kiedy z rowka u stóp muru zaczął się wydobywać ostry dźwięk talerzy. Miś Laurity nie zostawił mnie na lodzie.

Hałas wywarł na tamtych piorunujący efekt. Wszyscy odwrócili się w stronę, z której dobiegały odgłosy uderzeń, i ruszyli w ich kierunku. Musiałem się pospieszyć. Błyskawicznie zbiegłem po schodach i otworzyłem drzwi domu.

Skierowałem się w stronę żelaznej bramy, spod której usunąłem wcześniej drewniane podpory, i ostrożnie ją uchyliłem. Cicho obróciła się na zawiasach, nasmarowanych, dzięki Bogu, zaledwie trzy tygodnie temu. Pierwszy raz od wielu dni wychodziłem na ulicę.

Wszystkie potwory minęły już moją bramę. Szybki rzut oka w lewo pozwolił mi zobaczyć ich plecy; kierowały się ze zwodniczą powolnością w stronę rowka na deszczówkę, skąd dochodziły dźwięki. Żołnierz szedł ostatni, był zaledwie kilka metrów ode mnie, odwrócony plecami. Chwyciłem jedną ze strzał i zacząłem ładować kuszę, rozglądając się gorączkowo na wszystkie strony. Piętnaście sekund później guma była już napięta, a strzała gotowa do użycia. Pobiłem rekord. Podniosłem broń i wycelowałem. Dzieliły nas niecałe trzy metry. Z takiej odległości nie mogłem spudłować. Miałem nadzieję, że Bóg, jeśli jeszcze troszczy się o potępiony rodzaj ludzki, wybaczy mi, bo chodziło o moje życie.

Nacisnąłem spust. Bełt wystrzelił z cichym furkotem i wbił się w tylną część czaszki żołnierza. Ten zatrzymał się gwałtownie i runął na ziemię z głuchym łoskotem. Szybko podbiegłem do ciała. Żołnierz wyglądał teraz na stuprocentowo martwego, ale nigdy za dużo ostrożności. Odłożyłem na ziemię kuszę i rączkę parasola, po czym zacząłem się mocować z paskami plecaka. Troki były pokryte grudkami zakrzepłej krwi, dlatego nie mogłem ich poluzować. Pot spływał mi po plecach. Rzut oka wystarczył, bym zobaczył, że jeden z tamtych wkłada właśnie rękę do rowka i szuka źródła dźwięku. Za chwilę znajdą je i zniszczą. Wtedy będzie po mnie.

Coś musiało zwrócić uwagę kobiety o zmiążdżonej talii, bo odwróciła się w moją stronę. Usłyszała mnie? Wywąchała? Poczowała? Prawdę mówiąc, nie wiem. Faktem jest, że obejrzała się i mnie zobaczyła.

Ruszyła w moim kierunku, wykonując te dziwne ruchy. Szła powoli, bo musiała najpierw wysuwać jedną nogę, a potem dociągać drugą. Z trudem utrzymywała równowagę. Mimo to zostało mi tylko kilka sekund. Walczyłem zdrętwiałymi rękami, próbując ponownie załadować kuszę. Kropla potu

spłynęła mi do oka, kiedy przyciągałem gumę do siebie. Cztery metry. W końcu udało mi się wszystko ustawić. Trzy metry. Podniosłem kuszę i wycelowałem w głowę kobiety. Dwa metry. Strzeliłem.

Strzała uderzyła głucho z miażdżącą siłą. Kobieta zatrzymała się i runęła na twarz, niczym pień drzewa. Jednak sytuacja stawała się z każdą chwilą coraz gorsza. Jeden z potworów podniósł misia i potrząsając nim, wysypał baterie. Talerze zamilkły. Hałas padającego ciała kobiety sprawił, że wszyscy odwrócili głowy w moją stronę. Musiałem się pospieszyć. Miałem coraz mniej czasu.

Chwyciłem zwłoki żołnierza za nogę i zacząłem je ciągnąć w stronę otwartej bramy, za którą czekało mnie wybawienie. Nie miałem czasu, żeby poluzować troki, musiałem więc zabrać cały pakunek. Byłem już blisko bramy, kiedy z za zaparkowanego samochodu wyszedł nagle kolejny z tych osobników. Cholera! Tego nigdy wcześniej nie widziałem. Niezaładowana kusza zwisała mi z ramienia, nie dałbym rady założyć nowej strzały. Puściłem nogawkę spodni żołnierza i wykonałem zamach trzymaną oburącz rączką od parasola. Z całej siły uderzyłem nią w skroń potwora. Nie wiem, czy go zabiłem; w każdym razie coś zachrząściło w jego czaszce po lewej stronie i upadł na ziemię. Odrzuciłem parasol, chwyciłem ponownie zwłoki żołnierza, wszedłem na moją posesję i zamknąłem za sobą bramę. Zdążyłem w ostatniej chwili. Brakowało im kilku metrów.

Zostawiłem zwłoki przed drzwiami. Zwymiotowałem z nadmiaru napięcia. Od prawie dwudziestu czterech godzin nie rozstaję się z butelką. Jestem pijany. Najgorsze, że tamci wiedzą już, że się tu ukrywam. Ale żyję. A ten, kto żyje, może następnego dnia znów walczyć o swoje życie.

29 stycznia. Godzina 17.14

Wpis 37

Zwariuję, jeśli będą dalej to robić. Od paru godzin bezustannie łomoczą w bramę. Słyszę ich przez cały czas, niezależnie od tego, gdzie się schowam. Straszne! I to wycie... Chryste Panie! Rujnują mi nerwy. Od kilku dni dużo piję,

wiem, ale nie przychodzi mi do głowy, co innego mógłbym robić, żeby to wytrzymać.

Mój sąsiad, Miguel, w niczym mi nie pomaga, jest raczej uciążliwy. Ciągłe nalega, żebyśmy przedostali się do portu jachtowego, wsiedli na jego łódź i odpłynęli dokądkolwiek. Problem w tym, że nie ma odwagi zrobić tego w pojedynkę. Głowa mi pęka od jego bezustannych narzekań. Jest nie do zniesienia.

Próbowałem przedstawić mu faktyczny stan rzeczy, ale mnie nie słucha. Drogi, których tamci jeszcze nie odcięli, są zablokowane przez porzucone samochody, wraki, wysadzone w powietrze mosty i tak dalej. Organizowanie podróży jak w normalnych warunkach to absurdalny pomysł. A nuż zdarzy się coś nieprzewidzianego. A jeśli się zdarzy, konsekwencje mogą być fatalne. Skoro chcemy przeżyć, trzeba wszystko dokładnie zaplanować, zanim przystąpimy do działania.

Dziś w nocy odważyłem się wejść na stryszek. To niewielkie pomieszczenie pod dachem, trochę większe od dużej szafy. Nie byłem tam od dwóch lat. Jest wypełnione kartonami z rzeczami mojej żony. Nikt nie korzystał ze składanej drabiny od dnia po jej pogrzebie, kiedy moja siostra i jej chłopak wnieśli wszystko na górę, do dnia, kiedy trzy tygodnie temu przyszedł technik, żeby zainstalować panele słoneczne. Wszystko pokrywa warstwa kurzu. Mimo strasznej duchoty, jaka zwykle panuje w zamkniętych pomieszczeniach, wyczuwam jeszcze lekki znajomy zapach. To perfumy, którymi na zawsze przesiąkły jej ubrania. Coś chwyciło mnie za serce, rzuciłem się na starą kanapę, a po mojej twarzy popłynął strumień łez. Przez kilka godzin płakałem jak dziecko, trzymając jej stary sweter. Tak strasznie za nią tęsknię... Boże, przynajmniej nie musi na to wszystko patrzeć...

Po jakimś czasie trochę doszedłem do siebie. Jestem jeszcze rozbity, ale płacz przyniósł mi ulgę. W ostatnich dniach żyłem w potwornym napięciu. Może pomysł, by na kilka godzin zamknąć się tu, na górze, był rozsądną decyzją. Podziałało to na mnie jak balsam.

Zauważyłem ślady butów pozostawione przez technika od paneli. Prowadzą od klapy w podłodze do miejsca pod okienkiem w dachu. Pod świetlikiem leżą jeszcze kawałki kabla i mała plastikowa torebka, w której kiedyś były jakieś śrubki. Pozostałości po instalacji, niemi świadkowie pracy, którą ktoś wykonał tu, wydawałoby się, milion lat temu. Ciekawe, co spotkało tego człowieka. Pewnie krąży gdzieś jako jeden z tamtych...

Otworzyłem okienko; do środka wpadło lodowate powietrze. Czepiając się uchwytów, bardzo ostrożnie wszedłem na górę (ostatnie, czego teraz potrzebuję, to złamanie nogi!!) i wygramoliłem się na dach. Obok świetlika jest płaskie miejsce, gdzie można usiąść. Za tym tarasikiem zaczyna się stromizna dachu, teraz pokrytego panelami słonecznymi mieniącymi się kolorami tęczy. Dokładnie pode mną – siedmiometrowa przepaść, na której dnie widzę tamtych, stłoczonych przed bramą, niezmordowanych. Nie, upadek zdecydowanie nie byłby dobrym rozwiązaniem.

Pojawiło się kilku nowych, zwabionych harmidrem, jaki robią tamci stojący przed moim domem. Trup Pogruchotanego Biodra leży na środku jezdni niczym porzucony łachman. Po tym drugim nie ma śladu, wygląda na to, że uderzenie rączką parasola nie okazało się na tyle silne, by posłać go do piekła. Szkoda.

Z tego miejsca można było zwykle podziwiać cudowną nocną panoramę miasta. Zdziwiłem się, kiedy zobaczyłem, że wszystko tonie w mroku. Tam gdzie normalnie powinny błyszczeć tysiące świateł, teraz panuje absolutna ciemność. Prąd zniknął na dobre. I nie sądzę, żeby ktoś planował wysłanie ekipy do usunięcia awarii. Zadumałem się nad tym, paląc papierosa.

Kiedy to wszystko się zaczęło, ludzie przestali chodzić do pracy. Podobnie było z obsługą elektrowni, dlatego od dwóch tygodni nikt się nimi nie zajmuje, pracują w trybie automatycznym. Próbowałem przypomnieć sobie, co tłumaczył mi narzeczony mojej przyjaciółki, inżynier. Elektrownie ciepłne na węgiel lub ropę (to olbrzymia większość) mogą działać w trybie „automatycznym” tylko przez dwadzieścia cztery godziny, potem piece wygasają z powodu braku paliwa. Elektrownie wodne albo wiatrowe

teoretycznie są w stanie funkcjonować w nieskończoność, ale wymagają konserwacji i ciągłego usuwania awarii powodowanych pracą przez całą dobę bez przerwy. Mogły przetrwać mniej więcej dwa tygodnie, zanim wszystko zaczęło się psuć. A teraz trudno zdobyć części zamienne. Na myśl o elektrowni jądrowej pracującej samodzielnie, bez konserwacji, włos mi się jeży na głowie. Pamiętam, jak inżynier mówił, uśmiechając się smutno, że Czarnobyl jest przykładem zakładu, który zawiódł z powodu braku nadzoru.

Mam nadzieję, że informacje o wyłączeniu elektrowni jądrowych były prawdziwe.

Myślę sobie, że w tej chwili cały kraj tonie w ciemnościach albo się w nich pogrąży w ciągu najbliższych godzin. Hiszpańskie Zakłady Energetyczne miały plan awaryjny na wypadek, gdyby zawiodła jedna lub dwie elektrownie, ale awaria prawie wszystkich naraz oznacza totalne załamanie systemu. Nagle znaleźliśmy się w XIX wieku... Tyle tylko, że otoczeni wędrującymi trupami, zmuszeni do walki o przeżycie. Zajebista perspektywa!

Zgasilem papierosa i wróciłem do domu. Jest zimno. Muszę jeszcze przejrzeć zawartość wojskowego plecaka. Mam nadzieję, że było warto. Ciekawe, co w nim znajdę.

Dziennik

30 stycznia. godzina 18.38

Wpis 38

Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były straszne. Kiedy myślisz, że już nic nie jest w stanie bardziej zatruć ci życia, rzeczywistość dopada cię od tyłu i szykuje nową niespodziankę.

Jakby mało było problemów (i to jakich!) z grupką tamtych, od kilku dni bezlitośnie walących w moją bramę, teraz doszły inne, na nowych frontach. Po pierwsze, na skutek powszechnego braku prądu przestał działać internet. Kaput. Koniec. Mój blog się nie otwiera, jak cała sieć. Biały ekran zamiast Explorera to wszystko, co widzę, kiedy próbuję wejść do internetu. Nic dziwnego. Serwery padły, a firmy zapewniające dostęp do sieci już kilka dni temu przestały świadczyć usługi. To, że mój dostawca przetrwał do dziś, wydaje mi się cudem. Nie do wiary, jak bardzo jesteśmy uzależnieni od prądu... Cofnęliśmy się w XIX wiek, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Nie wiem, czy jestem na to przygotowany.

Zacznę teraz prowadzić dziennik. Mam potrzebę opisywania tego, co widzę, i tego, co czuję. Muszę przelewać myśli na białą stronę, w przeciwnym razie za kilka miesięcy zwariuję. Ten dziennik jest moim rozmówcą, jedyną rzeczą, do której mam w tej chwili pełne zaufanie. Jeśli trafi mnie szlag, przynajmniej zostanie świadectwo tego, jak przeżyłem te straszne dni. Gówniana pociecha, kolego.

Zebrałem się na odwagę i wróciłem na małe patio od frontu. Otworzyłem drzwi najostrożniej jak potrafiłem i wytknąłem nos na zewnątrz. Trup żołnierza leżał tam, gdzie go porzuciłem, po wewnętrznej stronie bramy. Hałas, jaki robią tamci, jest w tym miejscu ogłuszający. Przyłożyłem dłoń do stalowej blachy i poczułem drganie wywołane uderzeniami. Jakimś cudem wiedzą, że tu jestem, i muszą czuć się strasznie sfrustrowani, że nie mogą mnie dorwać.

Usiadłem na schodkach wejściowych i paląc papierosa, przyglądałem się trupowi. Pierwszy raz miałem okazję obejrzeć jednego z tamtych uważnie i z

bliska. Zwłoki zaczęły paskudnie cuchnąć. Wygląda na to, że proces rozkładu i *rigor mortis*, jakim podlegają te potwory, jest spowolniony, ale kiedy już umrą „naprawdę”, nabiera normalnego tempa. Z dziury w czaszce żołnierza, w miejscu, gdzie weszła strzała, wypłynęła lepka ciecz, która była teraz skrzepem stężałym na gresowym podłożu. Nie sądzę, żeby ta plama kiedykolwiek dała się usunąć, zresztą nie ma to teraz wielkiego znaczenia. Jego skóra ma kolor żółtawobłękitny, naczynia krwionośne rysują się na niej niczym delikatny koronkowy wzór. W połączeniu ze strasznymi ranami na twarzy całość wygląda przerażająco.

Zdobyłem się w końcu na odwagę. Założyłem lateksowe rękawiczki wyjęte z apteczki i podniosłem kaburę. W środku znalazłem pistolet, czarny, nasmarowany, ciężki. Z boku miał napis „Glock” i numer seryjny składający się z ośmiu cyfr. Myślę, że jest naładowany. Niestety, pierwszy raz w życiu mam w rękach tego rodzaju narzędzie. Muszę je jeszcze rozpracować, ale już teraz czuję się o wiele lepiej. Jestem naprawdę uzbrojony. Wiem, że to przede wszystkim efekt psychologiczny, ale mam cudowne poczucie bezpieczeństwa.

W kieszonkach pasa były dwa magazynki, które na pierwszy rzut oka pasują do pistoletu. Zawierają po piętnaście naboje każdy. Zakładając więc, że pistolet jest naładowany, mam, bagatela, czterdzieści pięć kul. Inna rzecz, czy będę umiał je wystrzelić, nie trafiając sobie w stopę. Zobaczymy.

Oprócz amunicji do pistoletu odkryłem też kilka magazynków z czymś, co wyglądało na naboje do karabinka automatycznego. Dwa z nich były puste i jeszcze pachniały prochem. Nieborak, który leżał u moich stóp, musiał wystrzelić co najmniej dwa pełne magazynki ze swojej służbowej broni, po której, ma się rozumieć, nie zostało śladu. Kiedy tamci go dorwali, po prostu wypuścił ją z rąk. Ciekawe, gdzie ona teraz jest.

Plecak okazał się prawdziwym skarbem. W środku znalazłem śpiwór, znakomitą pelerynę w kolorach maskujących noszoną przez hiszpańskie wojska lądowe, kompas, mapę z zaznaczonymi różnymi pozycjami (to pewnie stanowiska – teraz opuszczone – na linii obrony, która powstrzymywała

tamtych podczas ewakuacji), tytoń, apteczkę pierwszej pomocy z trzema ampułkami morfiny oraz najcenniejszy łup: kilka awaryjnych żołnierskich racji żywnościowych. Puszki są niesamowite. W dolnej części mają zbiorniczek wypełniony jakąś substancją chemiczną. Po dodaniu wody jej temperatura gwałtownie rośnie, dzięki czemu można zjeść coś ciepłego bez kuchni i bez konieczności rozpalania ognia. Bardzo się przydadzą, kiedy przyjdzie mi stąd wyjść. Bo jest coraz bardziej oczywiste, że wcześniej czy później będę zmuszony ruszyć się z domu. Jeśli pozostanę tu sam, skończy się na tym, że albo ci osobnicy wtargną do mojego domu, albo umrę z głodu. Problem w tym, jak się stąd wydostać. I oczywiście dokąd się udać.

Przeszukałem wewnętrzne kieszenie. Znalazłem portfel i resztę dnia szlag trafił. Portfel należał do chłopaka, który nazywał się Vicente, miał zaledwie dwadzieścia osiem lat i pochodził z miasteczka leżącego niespełna trzydzieści kilometrów stąd. W środku znalazłem zdjęcia jakiejś dziewczyny (jego narzeczonej?) i ślicznego psa. Temu chłopcu odebrano życie. Wpakowałem dzieciakowi w głowę kawałek stali, żeby samemu przeżyć. Cholera, na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

Z wielkim trudem i nie bez odruchów wymiotnych wyciągnąłem strzałę z jego głowy. Wrzuciłem ją do blachy do pieczenia ciasta wypełnionej wrzącą wodą i gotowałem przez sześć godzin. Żeby utrzymać wodę w stanie wrzenia przez tak długi czas, musiałem zużyć połowę energii z jednego zestawu akumulatorów, ale uznałem, że dzięki temu zginie każde żyjątko, jakie mogłoby znaleźć się na pocisku. Włożyłem strzałę do pokrowca, razem z pozostałymi. Teraz mam ich cztery. Dwie inne widać doskonale z mojego okna, jedna leży porzucona obok misia, druga tkwi w Pogruchotanym Biodrze. Równie dobrze mogłyby być na Księżycu... Są dla mnie nieosiągalne.

Nie wiem, co, do kurwy nędzy, zrobić ze zwłokami. Nie mam pojęcia, jak je przerzucić przez ogrodzenie, żeby te sukinsyny mnie nie zobaczyły. Na razie włożyłem ciało w plastikowy worek. Coś wymyślę. Kolejny kłopot...

Jakby tego było mało, mój sąsiad Miguel stał się ogromnie nadpobudliwy.

Podejrzewam, że czymś się szprycuje. Popełniłem błąd, opowiadając mu o swojej przygodzie z żołnierzem, teraz uważa, że z bronią w ręku damy radę przebić się przez miasto do jego łodzi. Nie wiem, jak mu wytłumaczyć, że prawda wygląda inaczej. Ja ryzykowałem życie, mimo że wyszedłem tylko na środek ulicy, i załatwiłem dwoje tamtych. Co innego przejść pół miasta, po którym chodzą tysiące takich potworów. Trzeba by wszystko bardzo dokładnie zaplanować, a nie wyskakiwać z domu z gramem kokainy w żyłach, nie wiedząc, co nas czeka za rogiem.

Zwrócił uwagę na mój strój z neoprenu i teraz chodzi ubrany w coś w rodzaju kombinezonu mechanika. Wygląda w nim idiotycznie. Podejrzewam, że jeśli wkrótce się stąd nie ruszymy, zrobi jakieś głupstwo. Muszę to przemyśleć. Jak najszybciej.

31 stycznia. Godzina 11.49

Wpis 39

Siedziałem sobie spokojnie w kuchni, kiedy je usłyszałem. Wystrzały. Jakby z broni myśliwskiej. Tuż obok. To mój sąsiad, na pewno! Co, do diabła, ten głupek wyczynia? Czyżby chciał ściągnąć tu wszystkich umarłaków wałęsających się w promieniu dwóch kilometrów? Jezu, te wystrzały na pewno było słyhać w całym cholernym mieście...

Wszedłem na drabinę opartą o ogrodzenie i wyjrzałem na jego patio. Nikogo tam nie było. Tylko ułożone w równy stos drewniane bale do budowy ganku, który już nigdy nie powstanie. Zawołałem go cicho. Nikt nie odpowiedział. Miguela, człowieku, coś ty, idioto, narobił?

Doskonale słyszałem harmider, jaki tamci robili na ulicy przed domem Miguela. Dochodziły do mnie odgłosy uderzeń w drewniane drzwi. Te paskudztwa zdołały w jakiś sposób pokonać stalową bramę prowadzącą na frontowe patio mojego sąsiada i teraz waliły w drzwi wejściowe domu.

Zastanawiałem się, jak zejść na jego podwórze, kiedy zobaczyłem go w jednym z okien wychodzących na tyły. Powiedział, że wszystko w porządku, że

próbował dostać się do samochodu, „bo chciał mi zrobić niespodziankę i zabrać mnie spod drzwi”, ale po jego stronie ulicy były dziesiątki tamtych i nie zdołał wyjść. Poza tym wtargnęli na jego frontowe patio. Z szerokim uśmiechem oznajmił, że załatwił dwóch. Co za dupek. Żeby załatwić tych dwóch, narobił takiego zamieszania, że teraz ma przed domem co najmniej tuzin innych.

Jego kombinezon był rozerwany przy kołnierzyku i poplamiony krwią. Zapytałem, co mu jest; odparł, że jeden z tamtych próbował chwycić go za szyję, ale zdołał się bez problemu uwolnić. „To tylko krew tego gówna”, powiedział. Był bardzo blady. Nie wiem dlaczego, ale miałem wrażenie, że kłamie. W ciągu lat praktyki sądowej poznałem dokładnie nędzę i słabości natury ludzkiej i nauczyłem się rozpoznawać drobne, nieświadomie uzewnętrznione przejawy świadczące o tym, że ktoś nie mówi prawdy. Ten facet coś przede mną ukrywa, wiem to na pewno. Musi być coś jeszcze.

Jestem teraz w kuchni, przygotowuję sobie zupę z koncentratu w towarzystwie Lukullusa wygodnie rozciągniętego na moim krześle i zastanawiam się nad ostatnimi wydarzeniami. Wcale mi się to nie podoba. Ani trochę.

1 lutego. Godzina 10.58

Wpis 40

Tej nocy znowu dużo wypilem. Teraz, kiedy piszę te słowa, mam potwornego kaca, myślę, że to sprawiedliwa kara za moje wybryki. Nigdy nie byłem wielkim amatorem picia, ale od kiedy zaczęło się to piekło, narzuciłem sobie takie tempo, że mój barek prawie został opróżniony. To może i lepiej.

Od wielu nocy źle sypiam. Napięcie, niepokój, monotony, bezlitosny hałas, jaki robią tamci na zewnątrz, tworzą koktajl zbyt mocny jak na moją głowę. Myślałem o zażywaniu tabletek nasennych, ale boję się snu wymuszonego chemią. Jeśli zdołają wtargnąć do domu, kiedy będę pod wpływem kilku tabletek valium, nawet się nie zorientuję. Będę dla nich ciepłym, uspionym daniem podanym na srebrnej tacy. Nie, za valium dziękuję.

Zastanawiałem się też nad włączeniem jakiejś muzyki zagłuszającej uderzenia i jęki, ale jeśli puszczę ją tak głośno, żeby ich nie słyszeć, ściągnę pod drzwi dziesiątki, setki nowych potworów. Niczym ten pieprzony flecista z Hameln, tyle że grający dla tamtych. Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Na chwilę założyłem słuchawki od MP3, ale nie wytrzymałem w nich nawet pięciu minut. Przez cały czas wydawało mi się, że stalowa brama ustępuje pod naporem uderzeń, że wbiegają po schodach i mnie szukają. Zrywałem słuchawki trzy czy cztery razy i siadałem na łóżku cały drżący, ściskając pistolet, którego i tak chyba nie potrafię użyć. Alkohol, napięcie i brak snu wpędzają mnie w paranoję. Muszę podjąć decyzję, co dalej robić, jeśli nie chcę zwariować.

Od wczoraj wydarzyły się trzy rzeczy: jedna dobra, jedna taka sobie i jedna zła. Dobra jest taka, że kiedy przeszukiwałem krótkofalówkę, jeżdżąc po skali w obie strony, jak robię bezskutecznie od wielu dni, próbując cokolwiek złapać, nagle na coś trafiłem. Sygnał był słaby, słyszałem trzaski i zakłócenia, ale to ludzki głos, nie ma co do tego wątpliwości. Aż podskoczyłem z radości i uściskałem Lukullusa tak mocno, że przez resztę dnia mierzył mnie oskarżycielskim spojrzeniem. Prawdopodobnie to nadajnik wojskowy przekazujący krótkie informacje i zalecenia. Na Wyspach Kanaryjskich jeszcze się trzymają, znaleźli tam schronienie rząd i rodzina królewska. Wysłuchałem orędzia króla, prawie nic nie zrozumiałem z powodu zakłóceń, ale to był on, jestem tego całkowicie pewien.

Krótko mówiąc, powiedzieli, że Kanary są pełne ludzi przybyłych z Półwyspu Iberyjskiego, że zaczyna brakować paliwa, żywności i wody, więc zalecają, by nie kierować się w tamtą stronę. Jednostki marynarki wojennej zawracają każdy statek i samolot próbujący dotrzeć na archipelag. Co za skurwysyństwo. Są jak rozbitkowie z „Titanica”, którzy znaleźli miejsce w szalupach i walili wiosłami każdego, kto usiłował się na nie dostać. Siedzą teraz w tej swojej cennej, bezpiecznej szalupie i drżą, że się wywróci i zatonie, jeśli będzie tam nas zbyt wielu. Jednym słowem, w kulturalny, ale stanowczy sposób mówią nam, żebyśmy się odpierdolili. No... żebyśmy radzili sobie sami.

Wiem, to wcale nie są dobre wiadomości, ale świadomość, że nie jestem jedynym ocalałym na powierzchni ziemi, napędza mnie wielką ulgą. Zresztą, mam ich gdzieś. Skoro Kanary są bezpieczne, to znaczy, że może być więcej takich bezpiecznych miejsc. Więcej miejsc, gdzie są ludzie, gdzie można się najeść, porozmawiać, ogrzać i umyć w ciepłej wodzie (Boże, zabiłbym za porządną kąpiel!).

Oddziały stacjonujące w pięćdziesięciu dwóch prowincjach skupiły się początkowo w czterdziestu, ale w końcu musiały zostać zredukowane do czterech wielkich jednostek, których siła bojowa dramatycznie osłabła. Straty są przerażająco duże (biedny chłopak zawinięty w plastik na moim ganku mógłby to poświadczyć); mnożyły się dezercje, „zagubione” jednostki liczone w dziesiątkach. Żołnierze mogą bronić zaledwie kilku Bezpiecznych Stref, które jakoś zdołały przetrwać, choć nie wiadomo, jak długo dadzą radę je utrzymać (myślę, że do wystrzelenia ostatniego naboju). Perspektywy są absolutnie zniechęcające, ale było nie było, to zawsze coś.

Taką sobie wiadomością są odgłosy wystrzałów, które znowu dziś słyszałem. Dochodziły z południowego zachodu, z miejsca między centrum a szosą do La Coruñi. To było przed świtem. Seria krótkich wystrzałów, jakby z broni małego kalibru, a potem seria szybkich czknieć – przysięgłbym, że pochodziły z karabinu automatycznego. Rozlegały się przez jakieś pół godziny, a potem gwałtownie ucichły. Albo nie było już do kogo strzelać... albo nie było już żadnego strzelca. Co za gówno!

Zła wiadomość jest taka, że od prawie dwudziestu czterech godzin nie wiem, co się dzieje z tym kretynem, moim sąsiadem. Nie odpowiada na moje wołania, nawet jeśli krzyczę znad muru. Ma psa, brzydkiego kundla, złego jak czort, zagorzałego wroga Lukullusa, od chwili kiedy tylko przyniosłem kota do domu. Zawsze krąży w pobliżu ogrodzenia – myślę, że czeka, aż Lukullus się poślizgnie i spadnie. Godzinę temu usłyszałem przeraźliwy skowyt dobiegający z wnętrza domu. Tak jakby ktoś mordował to biedne zwierzę. Potem ucichł. Przed chwilą znowu wyjrzałem za płot. Nie dostrzegłem ani psa, ani jego właściciela. Nikt nie reaguje na moje nawoływania. Tylko stosy bali, równo ułożonych na

tylnym patiu Miguela, są świadkami tego, co tam zaszło. Mam obawy, że to coś by mi się nie spodobało.

1 lutego. Godzina 21.00

Wpis 41

Prawo Murphy'ego mówi, że jeśli coś może pójść źle, na pewno pójdzie jeszcze gorzej. Autor tego cholernego powiedzenia powinien być w tej chwili zachwycony, jeśli jeszcze żyje. Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby taki szczegół miał teraz jakiegokolwiek znaczenie. Każdy musi dbać o własną dupę w tym nowym świecie „nieżywych”, w który się wpakowaliśmy.

Spędziłem pół przedpołudnia, wisząc na murze i starając się zwrócić na siebie uwagę tego kretyna Miguela bez robienia niepotrzebnej wrzawy, ale w końcu zrezygnowałem. Wróciłem do domu poważnie zaniepokojony. A jeśli coś mu się stało? Oczami wyobraźni widzę całą serię wypadków, do których czasem dochodzi w domu i którym ten idiota mógł ulec, od upadku ze schodów po poślizgnięcie się przy wychodzeniu z wanny (zakładając, że miałby ochotę na zimną kąpiel w Galicji na początku lutego). Takie myśli męczyły mnie, kiedy podgrzewałem sobie w kuchni kawę rozpuszczalną. Przemknęło mi przez głowę, że jeden z tamtych ugryzł go w czasie bezsensownego wypadu na zewnątrz, ale szybko odrzuciłem ten pomysł. Gdyby coś się stało, chybaby mi o tym powiedział, no nie? W dalszym ciągu uważam, że wczoraj, kiedy zobaczyłem go poplamionego krwią, coś przede mną ukrywał, ale przecież nie byłby na tyle głupi, żeby kłamać w tak ważnej sprawie. Przynajmniej chcę w to wierzyć.

Ten zakuty łeb mógł ściągać na mnie tuzin problemów dziennie, ale był jedyną żywą osobą w okolicy. Poza tym dał mi za darmo drewniane pale, kiedy go o nie poprosiłem. Jestem mu winien przysługę, choć nigdy nie przyszło mi do głowy, że będę musiał mu się odwzajemnić, wlokąc go przez miasto spustoszone przez śmierć i chaos do łodzi, której może już wcale nie ma. To beznadziejnie głupi plan, ale on ma na jego punkcie obsesję. Jeśli z nim nie

pójdę, spróbuje zrobić to beze mnie i spieprzy wszystko, zanim dojdzie do rogu ulicy. Zresztą nie chcę zostać tu sam, ta perspektywa budzi we mnie paniczny lęk.

Przyszło mi do głowy, że może nie odzywa się dlatego, że jest kompletnie naćpany. W tych dniach zażywał kokainę, nie mam co do tego wątpliwości. Mógł wciągnąć o jedną kreskę za dużo albo gówno, które sprzedał mu jego diler, było podróbką. Któż to wie. Może poniosła mnie wyobraźnia, ale nie umiałem pozbyć się myśli, że leży rozciągnięty na podłodze w kuchni, w tym swoim idiotycznym kombinezonie w czerwone pasy, a z nosa wypływa mu strużka krwi. Że umiera niespełna dwadzieścia metrów dalej, a mnie nie chce się ruszyć dupy. Z głośnym stuknięciem odstawiłem filiżankę do zlewu i wyszedłem na patio.

Pod daszkiem, gdzie trzymam kosiarkę, leży zawsze lina z zawiązanymi supłami. Zwykle korzystam z niej w czasie nurkowania, kiedy przebywam zbyt długo na dużej głębokości i muszę się poddać dekompresji. Aby uniknąć gwałtownego wydzielania azotu w tkankach, trzeba się wynurzać powoli. Lina co pół metra ma grube węzły, które pomagają oszacować głębokość.

Teraz miała mi posłużyć do zejścia na podwórze sąsiada. Przywiązałem jej koniec do komina grilla, z którego rzadko korzystam, stojącego w lewym rogu patia, i przerzuciłem ją tak, że rozwinęła się, dotykając ziemi po drugiej stronie muru. Czułem nieludzkie, przejmujące zimno. Cienka warstwa szronu pokrywała cały trawnik, z wyjątkiem miejsc, gdzie robotnicy swego czasu ułożyli sterty belek. Gdyby nie tamci, bezustannie uderzający w moją bramę i wydający z siebie przeraźliwe jęki, panowałaby kompletna cisza. Jak gdyby nigdy nic wszedłem na mur po rozkładanej drabince. Przełożyłem nogi nad krawędzią i zacząłem się opuszczać na linie.

Dopiero kiedy stanąłem na patiu Miguela, zdałem sobie sprawę, że mam na sobie tylko gruby sweter i stare džinsy, a moją jedyną broń stanowi nożyk do papieru z wysuwającym ostrzem znaleziony w prawej przedniej kieszeni spodni. Tak, moi drodzy. To się nazywa przezorność! Co za profesjonalizm! Cholernie

dobra robota! Już miałem zawrócić po odpowiednie wyposażenie, kiedy usłyszałem trzask dobiegający z głębi domu. Pomyślałem, że wyjdę na głupka, jeśli zjawię się z kuszą w dłoni i ubrany w kombinezon z neoprenu, żeby zobaczyć, jak sąsiad leży na kanapie ze słuchawkami na uszach, popijając piwo. Nie, lepiej zaryzykować, ma się swoją dumę. Głupią dumę.

Ostrożnie przeszedłem przez patio i stanąłem na niedokończonym ganku. Czuć było intensywny zapach trocin i pokostu. Wszędzie leżały puste puszki po farbie i porzucone narzędzia stolarskie. Wewnątrz domu panowała ponura ciemność. Zastukałem lekko w tylne drzwi i zawołałem Miguela po imieniu. Żadnej reakcji. Kiedy wyciągnąłem rękę w kierunku kołatki, rozpętało się prawdziwe piekło.

Okno po mojej lewej stronie wystrzeliło nagle na zewnątrz. Wysunęły się przez nie ręce i głowa jednego z tamtych. Już nie Miguela, choć był nim jeszcze do niedawna. Biedny głupek. Chciał „zrobić mi niespodziankę”, a skończyło się na tym, że został ugryziony.

Był udupiony, a co gorsza, chciał udupić i mnie. Rzuciłem się jak szalony w stronę muru. Musiałem walnąć nogą w jeden z bali, bo mam teraz na kostce opuchnięcie wielkości piłki tenisowej. Dobiegłem do ogrodzenia, odwróciłem głowę i zobaczyłem, że Miguel wychodzi przez ramę okienną. Chyba się skaleczył, bo po lewej ręce spływała mu strużka krwi, przeraźliwie ciemnej, skazonej, płamiącej ubranie. Stałem jak kretyn, zahipnotyzowany, nie mogąc oderwać od niego wzroku. Zareagowałem, dopiero kiedy wylazł na zewnątrz i ruszył w moją stronę. Wydają się tak bardzo powolni, a jacy są szybcy!

Zacząłem wdrapywać się po linie. To nie jest łatwe, zwłaszcza kiedy wiesz, że jeśli się poślizgniesz, spotka cię śmierć albo coś jeszcze gorszego. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że zdołał musnąć mój but rękami. Niewiele brakowało. Spojrzałem na niego ze szczytu muru. Był wściekły, agresywny, zalany własną krwią. Był jednym z nich.

Wszedłem do domu i odszukałem aparat fotograficzny. To dość stary model, cyfrowy HP 735, ale ma świetny obiektyw Pentaxa. Towarzyszył mi w różnych

sytuacjach. Zrobiłem kilka zdjęć wyjącemu na dole osobnikowi, żeby móc potem obejrzeć dokładniej jednego z nich bez narażania się na niebezpieczeństwo.

Teraz siedzę w kuchni, oglądam zdjęcia na laptopie, słyszę drapanie i uderzenia w mur. Wiem, że trzeba z nim coś zrobić, ale jeszcze tego nie przemyślałem. Muszę podjąć jakąś decyzję. Jutro.

2 lutego. Godzina 19.54

Wpis 42

To była trudna decyzja. Spędziłem cały boży dzień, myśląc, co zrobić z osobnikiem, który skrobał mur na tylnym patiu. Choć rozwiązanie narzucało się samo, nie potrafiłem go zaakceptować. Należało po prostu skończyć z nim, z jego cierpieniem, o ile w ogóle cierpiał. Nie wiedziałem nawet, czy jest świadom własnej egzystencji, czy postrzega rzeczywistość tak jak ja, czy inaczej, dlatego nie mogłem być pewien, czy cierpi, czy nie. Prawdę mówiąc, niewiele o nich wiem...

Czy oni myślą? Czują? Czy pozostało w nich coś z dawnego ja, czy też w okresie przejściowym między śmiercią a odrodzeniem ich duch został całkowicie unicestwiony? Czy pamiętają coś ze swojego życia? Sypiają? Miewają sny...? Nic, do cholery, nie wiem o swoich prześladowcach. Tylko tyle, że chcą mnie upolować. I że ja, tak jak wszyscy inni ludzie, jestem dla nich zwierzyną łowną.

Chociaż miałem świadomość tego wszystkiego, podjęcie decyzji, co zrobić z Miguelem, dużo mnie kosztowało. Wiedziałem, że jest jednym z nich, ale przecież ten facet był moim znajomym. Moim sąsiadem, na miły Bóg! I choć zawsze wydawał mi się kompletnym kretynem, nie potrafiłbym wpakować mu w głowę jakiegoś żelastwa. Nie jestem mordercą. Nie mogłem tego zrobić.

Potrzebowałem trzech godzin i połówki ostatniej butelki dżinu, żeby zebrać się w sobie i z nim skończyć. Szalę ostatecznie przechyliły jego krzyki, od których można było dostać pomieszania zmysłów. Słyszałem go we wszystkich

częściach domu, żądał niezmordowanie mojej krwi, a jego głos wciskał mi się w uszy w każdej minucie, każdej sekundzie. Prawda jest taka, że doprowadzał mnie do szaleństwa.

Rozgorączkowany i pijany chwyciłem kuszę, załadowałem strzałę i maksymalnie naciągnąłem cięciwę. Wymagało to trzech podejść, ale w końcu złożyłem wszystko do kupy. Potykając się, wszedłem na opartą o mur drabinę i wysunąłem głowę. Kiedy mnie zobaczył, zaczął krzyczeć ze zdwojoną siłą i wyciągał ręce do góry, próbując mnie dotknąć. Dzieliły nas niecałe dwa metry. Nawet ktoś kompletnie pijany nie mógł nie trafić z takiej odległości. Nacisnąłem spust i strzała wyskoczyła z krótkim świstem. Wydając lekki trzask, wbiła się dokładnie nad jego prawym łukiem brwiowym. Zanim runął na trawnik niczym worek kartofli, na jego twarzy pojawił się grymas wyrażający zdziwienie (a może ulgę?).

Było po wszystkim. Dostałem napadu niepohamowanego śmiechu, a po policzkach spływały mi łzy jak groch. Po chwili płakałem jak bóbr, oparty o mur, trzymając w rękach rozładowaną kuszę. Zabiłem sąsiada z wierzchołka oddzielającego nas płotu. Przed chwilą wpakowałem mu w głowę kawał żelastwa. Zaledwie dzień wcześniej układałem z nim plany na przyszłość, znosiłem jego okropne dowcipy. A teraz go zabiłem. Szlag by to trafił. Czuję się bardzo samotny. Jeśli to dłużej potrwa, oszaleję.

Spuściłem się po linie z supłami na patio, gdzie leżały zwłoki. Kiedy postawiłem na ziemi stopę, w którą się wczoraj uderzyłem, przeszył mnie ból promieniujący z prawej kostki. Z trudem powstrzymałem krzyk. Boże, rwie jak cholera. Mam nadzieję, że to tylko skręcenie i że niczego sobie nie złamałem. Utykając, podszedłem do sterty bali i zdjąłem przykrywającą ją grubą ceratową plandekę. Przeciągnąłem ciało za nogawkę w kąt patia i owinąłem je w płachtę. Powinienem go pochować. Powinienem zmówić za niego modlitwę. Nawet nie wiem, czy był wierzący. Cholera. Potem coś wymyślę.

Przez chwilę w zamyśleniu przyglądałem się willi sąsiada. Tylne drzwi były zamknięte, a okno, przez które wyszedł Miguel, doszczętnie zniszczone. Ziemię

pokrywała konstelacja potłuczonego szkła i plamy zaschniętej krwi. Paskudne krwawe smugi znaczyły także powiewającą na zewnątrz zasłonę. Dom stał ciemny i cichy. Nic nie wskazywało na to, żeby ktokolwiek był w środku.

Muszę tam wejść. Wiem, że powinienem tam wejść. Po pierwsze, należałoby się upewnić, że wewnątrz nie ma więcej tamtych i że drewniane drzwi są odpowiednio zablokowane. Ostatnie, czego potrzebuję, to dziesięć czy dwadzieścia potworów na patiu za moim murem. Poza tym pamiętam, że Miguel prowadził firmę handlującą produktami farmaceutycznymi. Musi gdzieś mieć tonę próbek towaru, a ja potrzebuję środków przeciwbólowych. Ale co najważniejsze, jego dom stoi frontem do drugiej ulicy. Może tamtędy da się jakoś uciec, może coś mi przyjdzie do głowy, nie wiem.

Teraz jednak nie mogłem wejść do środka. Zapadał zmrok i wszystko tonęło w ciemnościach. W willi Miguela nie było prądu. Nie zamierzam pchać się w paszczę lwa po ciemku, bez skafandra z neoprenu i pijany jak bela. Nie, moi drodzy. Lepiej przełożyć to na następny dzień.

Niezdarnie wspiąłem się po linie i wróciłem do domu. Leżę na kanapie w salonie, bez światła, i słucham monotonnego walenia w bramę. Już trochę wytrzeźwiałem i głucho dudnienie kaca wydaje się coraz bliższe. Spróbuję pospać. Jutro wejdę do domu Miguela. I opracuję jakiś plan. Muszę się stąd wydostać.

3 lutego. Godzina 17.07

Wpis 43

Siedzę na hamaku na tylnym patiu. Ostatnie promienie zimowego słońca padają na mały prostokąt trawnika, rozgrzewając mi kości. Lukullus spokojnie drzemie na moich kolanach, śniąc swoje kocie sny. To najspokojniejszy moment, jaki przeżyłem w ciągu ostatnich tygodni. Naprawdę. Gdyby nie dobiegające z zewnątrz sporadyczne jęki tamtych i walenie w bramę, pomyślałbym, że to całkiem przyjemne niedzielne popołudnie. Niemal mam ochotę zrobić sobie filizankę gorącej czekolady i włączyć jakiś film. Tyle że

niestety to nie jest niedzielne popołudnie, a wszyscy moi sąsiedzi są martwi i chcą mnie wykończyć. Poza tym, do jasnej cholery, od dwóch tygodni nie mam w domu mleka.

Przespałem kaca prawie do południa. Kiedy wstałem, przygotowałem sobie królewskie śniadanie złożone z dwóch kubków mocnej kawy i fasoli z puszki zmieszanej z majonezem (od jakichś trzech, czterech dni różnorodność mojego jadłospisu drastycznie maleje). Nadszedł moment, by stawić czoło kilku problemom. Najpierw zwłoki żołnierza przy bramie. Rozkładają się już od tygodnia i zaczęły naprawdę mocno cuchnąć. Jeśli czegoś nie zrobię, mogę się nabawić przez nie jakiejś choroby.

Zamknąłem Lukullusa w pokoju (brakuje mi tylko tego, żeby wskoczył na zwłoki, zaczął je obwąchiwać i lizać) i powstrzymując odruchy wymiotne, przeciągnąłem owinięte w plastik ciało przez dom na tylne patio. Smród, który zostawiło po sobie w sieni, korytarzu i salonie aż do ganku, jest nie do opisanego. Pomyślałem, żeby skropić je benzyną z kosiarki i podpalić, ale powstrzymała mnie straszliwa myśl. Nie wiem, czy tamci mają węch ani czy widzą. Jeśli tak i zobaczą słup dymu wznoszący się w południe na tle błękitnego nieba, ruszą po mnie całym stadem. Niechętnie doszedłem do wniosku, że jedynym wyjściem jest pochowanie żołnierza w ogrodzie.

Zrezygnowany zabrałem się do roboty i wykopałem niezbyt głęboki grób w prawym rogu ogrodu, obok grilla. Poszło łatwo, bo podłoże jest miękkie, ziemiste, i wystarczyła mi niewielka motyka (nawiasem mówiąc, to jedyne narzędzie, jakim dysponuję). Spuściłem zwłoki i zasypałem dół, po czym brudny i spocony usiadłem obok mogiły. Zapalając papierosa, pomyślałem o ironii tej sytuacji. Na moim patiu pogrzebane jest ciało i najprawdopodobniej ten pochówek w skromnym grobie był bardziej wykwiniony niż inne, które zorganizowano w mieście w ostatnich dniach (o ile w ogóle się jakieś odbyły).

Rzuciłem niedopałek na ziemię i wróciłem do domu. Z grubsza się obmyłem w lodowatej wodzie i zrobiłem coś do jedzenia dla siebie i kota. Dzisiaj konserwy. Mam już powyżej uszu sardynek z puszki, ale Lukullus wydaje się

zachwycony taką dietą. Pieprzony kocur...

Potem przygotowałem się starannie do najtrudniejszej próby dnia. Włożyłem skafander z neoprenu i sprawdziłem kuszę oraz trzy strzały (czwarta tkwi w głowie mojego nieszczęsnego sąsiada, leżącego po drugiej stronie ogrodzenia). Rączkę parasola zostawiłem na ulicy podczas wyprawy mającej na celu unieszkodliwienie żołnierza, więc teraz moją ostatnią deską ratunku będzie jego pistolet.

Glock wydaje się w mojej dłoni ogromny i niebezpieczny. Wciąż nie mam pewności, czy będę potrafił z niego skorzystać, ale przynajmniej zidentyfikowałem już każdą z części (spust, bezpiecznik, zatrzask magazynka itd.). Jest naładowany, ale, o ile będzie to możliwe, postaram się go nie używać. Strzały, które rozlegały się w tych dniach, choć dobiegały z bardzo daleka, były doskonale słyszalne. Wiem, jak tamci reagują na hałas. Jeślibym zaczął strzelać, pewnie wyeliminowałbym kilku, ale za parę minut miałbym na głowie kilkudziesięciu kolejnych. Lepiej zachować broń na inną okazję.

Zmówiwszy wszystkie znane mi modlitwy, wszedłem po drabinie i spuściłem się po linie na patio Miguela. Wszystko wyglądało tak jak wczoraj. Owinięte w plastik zwłoki leżały w rogu jak szary, niepotrzebny toból. Podeszedłem do nich z duszą na ramieniu i dwoma silnymi pociągnięciami wyrwałem z głowy strzałę. Tym razem nie miałem już odruchów wymiotnych. Chyba się uodparniam. Ciekawe. Może jeśli przeżyję wystarczająco długo, skończę jako podręcznikowy psychopata. Interesująca perspektywa...

Położyłem strzałę na trawie z zamiarem zabrania jej w drodze powrotnej i ostrożnie ruszyłem w kierunku domu. Wciąż był ciemny i cichy. Chwyciłem za klamkę i spróbowałem ją przekręcić. Zamknięte. Mogłem się tego spodziewać. Nie pozostawało mi nic innego, jak wejść przez okno, którym przedwczoraj wylazł Miguel. Ostrożnie, żeby nie skaleczyć się odłamkami szkła uwalanego jego skazoną krwią, wślizgnąłem się do środka. Widok był przerażający. Durny pies, albo raczej to, co z niego zostało, leżał w kącie rozszarpany na kawałki. Wyglądał strasznie, jakby zaatakowało go stado wilków. Wyobraziłem sobie

cholernego zwierzaka, jak zaniepokojony podbiega do swojego konającego pana, który zamieniony w nieludzkiego drapieżnika w kilka sekund rozrywa go na strzępy. Co za kurewstwo.

Szybko przeszukałem dom. Przynajmniej ten jeden raz nie miałem racji. Był pusty i bezpieczny. Żadna z bestii nie zdołała wejść do środka; mogą przez całe wieki walić w pancerne drzwi, nie dadzą rady ich ruszyć. Wszedłem na piętro i wyjrzałem przez okno. Widziałem stąd całą ulicę; dokładnie naprzeciwko stały zaparkowane dwa samochody. Jeden to furgonetka dostawcza z logo firmy Miguela. Drugi, mercedes, także należący do mojego sąsiada, miał otwarte drzwi od strony kierowcy. Na tapicerce widniały ślady krwi, na ziemi obok auta leżały zwłoki, a niedaleko, w połowie drogi między willą a samochodem, kolejne ciało. Pewnie ci dwaj, których sprzątnął Miguel. Ci, którzy kosztowali go życie.

Obszedłem cały dom i odetchnąłem z ulgą. Moje terytorium dwukrotnie się powiększyło (z czego połowa jest jeszcze do zbadania), a co najważniejsze, ulica oferuje kilka interesujących możliwości. Może da się tędy wydostać.

Zabrałem opakowanie dość silnych tabletek przeciwbólowych, które leżało na stole, i wróciłem do siebie. Niedługo miało się ściemnić, a ja nie wziąłem latarki. Nie chciałem łązić po ciemku po cudzym domu, kiedy tamci czekają na zewnątrz. Wrócę rano, wtedy nakradnę się do woli. Będę miał czas na obmyślenie planu.

6 lutego. Godzina 17.57

Wpis 44

Od dwóch dni niczego nie napisałem. Prawdę mówiąc, czuję się emocjonalnie wykończony. Powolny, nieustanny napór tamtych, którego odgłosy dochodzą do mnie z daleka, zapewne nie wystarczy do wyważenia bramy, ale niszczy mi nerwy. Planuję uciec z tego miejsca. Pozostanie w domu co prawda gwarantuje mi na pewien czas bezpieczeństwo, ale oznacza także wyczerpywanie się zapasów, a przede wszystkim obłąd.

To główny powód, dla którego powinienem się stąd ruszyć. Człowiek jest z natury istotą społeczną, potrzebuje relacji z innymi, a nie licząc mojego niewydarzonego sąsiada, od tygodni z nikim nie rozmawiałem ani nie widziałem żadnej ludzkiej istoty... żywej, rzecz jasna. Potrzebuję kontaktu, muszę z kimś pogadać. Przelewanie wszystkiego na kartki dziennika działa jak terapia, daje ujście napięciu skumulowanemu w ciągu dnia, ale nie wystarcza. Mam od dawna zwyczaj regularnie rozmawiać z Lukullusem jak z człowiekiem, ale ostatnimi czasy zbyt często prowadzę z nim te „konwersacje”. To znak, że trzeba stąd uciekać.

Sposób, w jaki używałem paneli słonecznych i akumulatorów z piwnicy, jest wysoce nieodpowiedni i nie ma nic wspólnego z celem, w jakim zostały zaprojektowane. Ich pierwotnym przeznaczeniem było zaopatrzenie w prąd w razie kilkugodzinnej awarii albo spadku napięcia; nie służą do dostarczania energii przez cały dzień. Przypuszczam więc, że wcześniej czy później i tak by się to stało. Przeciążyłem system. W sobotę w południe uruchomiłem mikrofalówkę, podczas gdy miałem już włączoną jedną z płyt ceramicznych i światło w kuchni. Wiem, to niewybaczalne niedopatrzenie, ale nie zorientowałem się w porę.

Zakładamy, że elektryczność po prostu jest, i zachowujemy się tak, jakby miała być zawsze. Ja zwyczajnie zapomniałem, że korzystam ze skąpych rezerw w piwnicy. Akumulatory były niemal rozładowane, bo przez całą noc gotowałem wodę z kranu, którą przelewałem do pustych butli. Włączenie pierdolonej mikrofalówki spowodowało spadek napięcia i w rezultacie ją spaliłem... a także agregaty zamrażarek w piwnicy. Cały mój zapas mrożonek diabli wzięli. Zakopię je na patiu sąsiada, obok jego zwłok, wcześniej jednak napcham się wszystkim, co zdołałem uratować.

Bez prądu sytuacja jest jeszcze bardziej niepokojąca. Miguel nie miał dużych zapasów żywności. Kilka puszek konserw, trochę makaronu i dwa kilo spleśniałych ziemniaków to najcenniejsze łupy. Oprócz tego dziesiątki torebek z zupkami w proszku, liofilizowanymi kremami i risotto do przygotowania w minutę. Z jednej strony to super, bo mogę je przenieść w plecaku i nie będzie

mi zbyt ciężko, ale z drugiej ich wartość odżywcza jest bardziej niż dyskusyjna, a ja muszę być w pełni sił. Nie mówiąc o „przepyszny” smaku...

Nie znalazłem w jego domu wiele więcej. Nie miał broni, poza strzelbą myśliwską. To dubeltówka Zabala z lufami ułożonymi jedna pod drugą, ale jedyną amunicją, na jaką trafiłem, był ołowiany śrut. Strzelając takimi nabojami, nie można przeszyć ludzkiej czaszki, chyba że z bardzo bliska. A „z bardzo bliska” jest niewykonalne, jeśli chodzi o tamtych. Miguel mógłby zaświadczyć, gdyby nie leżał pochowany w swoim ogrodzie. Poza tym dubeltówka robi straszny hałas. Mimo to zabiorę ją ze sobą, razem z amunicją, znalazłem łącznie jakieś piętnaście kulek. Nigdy nic nie wiadomo.

Jak szalony szukałem kluczy do jego łodzi. Nie wiem jeszcze dokładnie, co zrobię, kiedy stąd wyruszę (na razie mój plan koncentruje się na tym, żeby wyjść w jednym kawałku, co będzie potem, zobaczymy), ale nie powinienem odrzucać możliwości odpłynięcia z portu, choć wydaje mi się ona niebezpieczna i mało prawdopodobna. Przewróciłem do góry nogami cały dom w poszukiwaniu tych cholernych kluczy, aż wreszcie wpadłem na to, gdzie mogą być. W najbardziej oczywistym miejscu.

Westchnąłem, wróciłem do ogrodu i zacząłem odkopywać Miguela, którego pochowałem zaledwie dwadzieścia cztery godziny wcześniej, niedługo po tym, jak zakopałem u siebie żołnierza. Jak tak dalej pójdzie, stanę się profesjonalnym grabarzem.

Pochowanie człowieka jest trudne, ale odkopanie jest jeszcze gorsze. Patrzysz, jak powoli wyłania się jego kształt, dłonie, ciało... czujesz ohydny smród i uświadamiasz sobie, że jest nieodwołalnie martwy. Powstrzymując wymioty, przeszukałem kieszenie kombinezonu. Rzeczywiście miał przy sobie klucze, portfel i torebkę z trzema gramami białego proszku. Biedaczysko. Był skurwielem, ale nie zasługiwał na taki koniec. Nikt nie zasługuje na taki koniec.

Ponownie zasypałem zwłoki i wróciłem do domu Miguela. Najcenniejszym odkryciem było to, że do ogrzewania wody nie używał gazu tylko butli z

butanem... I wciąż miał jedną pełną! Po prawie dwudziestu dniach bez gazu, kąpiel wydawała mi się nierealnym marzeniem. Napełniłem wannę po brzegi, wziąłem ze swojego domu butelkę dobrego wina i spędziłem całe niedzielne popołudnie, mocząc się w wodzie spowity w ogromny obłok pary. Zasłużyłem na to. Poza tym mam przecucie, że minie dużo czasu, zanim będę mógł zafundować sobie kolejny raz taką przyjemność. Myślę, że następne tygodnie będą bardzo intensywne... jeśli je przeżyję.

Mam w głowie połowicznie opracowany plan, jak się stąd wydostać, żeby nie schrupali mnie żywcem w drzwiach. Jest w nim jeszcze sporo niedociągnięć, ale sądzę, że są do naprawienia. Miałem prawie trzy dni, żeby się odprężyć, porządnie najeść i zebrać siły. Teraz czas przystąpić do działania.

7 lutego. Godzina 13.12

Wpis 45

Decyzja, co ze sobą weźmiesz, kiedy wiesz, że prawdopodobnie nie wrócisz do domu przez długi, długi czas, jest niezwykle trudna. A staje się jeszcze trudniejsza, kiedy od bagażu, który spakujesz, może zależeć twoje życie. Zbyteczne rzeczy won. Ale to nie takie proste. Zacząłem od zgromadzenia na podłodze w salonie wszystkiego, co uważam za niezbędne: mój podstawowy zestaw przetrwania, żeby jakoś to nazwać. Mam plecak marki Jack Wolfskin o dużej pojemności, jakieś sześćdziesiąt litrów, który, zanim się to wszystko stało, zabierałem, kiedy chodziłem nurkować, i który jeszcze trochę pachnie morzem. Kiedy go wyjąłem, ogarnęła mnie nostalgia i przypomniałem sobie wszystkie dobre chwile, w jakich mi towarzyszył. Było, minęło.

Poza plecakiem mam śpiwór i pelerynę na złą pogodę (spadek po martwym żołnierzu). Biorę też ze sobą laptop, krótkofalówkę, trochę ubrań, zapasowe obuwie i całe liofilizowane jedzenie, jakie znalazłem w domu Miguela. Oprócz tego polową apteczkę z morfiną, wszystkimi antybiotykami i środkami przeciwbólowymi, jakie udało mi się zgromadzić, oraz pięciolitrową butelkę słodkiej wody. Dorzuciłem mały neseser, torebkę z kilkoma zdjęciami, z którymi

nie potrafię się rozstać, zeszyt, parę długopisów, aparat fotograficzny i wszystkie baterie, jakie miałem w domu, i plecak wypełnił się po same brzegi. Będę musiał dodatkowo zawiesić na szyi mniejszą torbę. Włożyłem do niej dwie latarki (jedna to ksenonowa SeaSub, której używałem do nurkowania nocą; pożera baterie, ale świeci jak reflektor) i całą amunicję do Glocka i zabali. W sumie masa kilogramów. Okropność.

Jestem świadom, że przez ten ciężar będę się poruszał z prędkością ślimaka, podczas gdy kluczem do przeżycia może się okazać zwinność, ale nie wiem, z czego mógłbym zrezygnować. Do tego dochodzi jeszcze strzelba, pistolet i kusza, które przewieszę przez piersi, oraz klatka podróżna z przestraszonym perskim kotem, przez co zostanie mi tylko jedna wolna ręka. Będzie trudno.

Oczywiście muszę przetaszczyć to wszystko tylko do samochodu, którym planowałem uciec, ale najpierw powinienem się do niego dostać. Obładowany takim ciężarem i z kotem w ręku nie dam rady stawić czoła nawet jednemu z tych potworów, nie mówiąc już o całej bandzie. Tak przynajmniej mi się wydaje.

Po ulicy Miguela błąka się pełno tamtych. Dwudziestu, trzydziestu osobników, zwabionych wcześniejszymi wystrzałami. Widok z okna jest groteskowy. Trzydziestu sztywnych umarlaków z różnymi obrażeniami (niektóre są naprawdę straszliwe), w ubraniach przesiąkniętych zakrzepłą, zaschniętą krwią, kursuje chwiejnym krokiem w tę i z powrotem po jezdni, a inna grupka wali niestrudzenie w drzwi. Nie mam żadnego pomysłu, jak oczyścić ulicę, żeby dostać się do samochodów Miguela, zaparkowanych dokładnie naprzeciwko domu. Tamtych jest za dużo i są za bardzo rozproszeni, żeby znów zadziałała „strategia misia”. Nie, od tej strony zdecydowanie nie wyjdę.

Na mojej ulicy sytuacja przedstawia się nieco inaczej. Ze wszystkich potworów, od których wcześniej się tu roiło, zostały tylko cztery, przynajmniej tyle widzę z okna. Przypuszczam, że większość przeszła na sąsiednią ulicę, kiedy usłyszała wystrzały. Co za ironia losu. Może koniec końców śmierć

Miguela nie okaże się kompletnie absurdalna. Stwarza mi szansę przeżycia. Czwórka tamtych skupiona jest koło mojej bramy, przez którą, chcąc nie chcąc, muszę wyjść, powinienem więc wymyślić sposób, żeby odciągnąć ich z tego miejsca. Chyba wiem, jak to zrobić, ale mam tylko jedną szansę. Jeśli mi się nie uda, będę naprawdę udupiony.

Kiedy wszystko było już spakowane, zostawiłem bagaż na ganku obok bramy, przez którą wyjdę za kilka minut. Lukullus jest bardzo zdenerwowany, długo musiałem go namawiać, drapać za uszami i przekonywać, żeby wszedł do klatki. Nigdy jej nie lubił (w samochodzie zawsze jeździ na swoim fotelu), ale nie ma innego wyjścia. Nie mogę ryzykować i nieść na rękach zwiniętego w kłębek kota, kiedy tamci będą próbowali nas złapać. Współczuję Lukullusowi, ale musi posiedzieć w klatce. Jeśli te bestie mnie dopadną, mojego małego przyjaciela pozbawionego możliwości ucieczki czeka niechybnie śmierć, myślę jednak, że powinniśmy spróbować.

Włożyłem piankę z neoprenu i zrobiłem przegląd swoich trzech sztuk broni: kuszy, glocka i strzelby. Ostatni raz obszedłem dom, obrzucając wzrokiem wszystkie bliskie mi kąty. Nie wiem, czy kiedykolwiek je zobaczę. Tutaj jest całe moje życie, a teraz muszę wyruszyć w nieznanym kierunku, nie mając pewności, czy za pół godziny będę jeszcze żył. To szaleństwo. Mój salon, moja kuchnia, mój gabinet (nie zdołałem pomalować go na kolor, który naprawdę by mi się podobał), kanapa z obiciem podrapanym przez mojego małego współlokatora... Ze łzami w oczach wszedłem na strych i wziąłem jej stary sweter. Odkąd zginęła, wszystkie jej rzeczy są tutaj, a teraz zostawię je na zawsze...

Otarłem łzy; zaraz pójdę na tylne patio, żeby przystąpić do realizacji swojego planu. W następnym wpisie opowiem, jak mi poszło. O ile w ogóle napiszę... Jeśli nie, to znaczy, że coś się nie udało i po mieście krąży nowy trup, ubrany w skafander z neoprenu. Jednak wcześniej drogo sprzedam swoje życie. Jestem przerażony. Jestem zdenerwowany. Ale też jestem zdecydowany. Do roboty.

7 lutego. Godzina 21.01

Wpis 46

Żyję.

Jestem wyczerpany, wystraszony i myślę, że w szoku, ale żyję. Lukullus też ma się dobrze, nawet lepiej niż ja. Siedzimy w dość bezpiecznej kryjówce, przynajmniej taka się wydaje. Nie wiem, jak to zrobiłem, ale w trakcie tego niekończącego się dnia zgubiłem część mojego wyposażenia. Mimo to nadal mogę walczyć. Chryste przenajświętszy, są ich tysiące... Powiniennem zrelacjonować ostatnie wydarzenia, ale jestem kompletnie wykończony i nie mam ochoty pisać. Zrobię to jutro, kiedy odpocznę i trochę się uspokoję.

Dziś pierwszy raz w życiu strzeliłem z broni palnej. I myślę, że nie ostatni.

8 lutego. Godzina 12.39

Wpis 47

Zimowe słońce jest w Galicji bardzo łagodne, wielu powiedziałoby, że słabe. Jego muśnięcie w lodowate poranki nie wystarcza, żeby ogrzać, ale przynajmniej pozwala poczuć ciepło w kościach, kiedy przez chwilę dotknie swoimi promieniami. Lepsze to niż nic. Leżymy z Lukullusem na dachu tej małej prowizorycznej kryjówki, skąd zamierzamy ruszyć dalej. Jem fasolę instant, którą znalazłem w plecaku żołnierza, a mój umysł bez przerwy przywołuje obrazy z wczorajszego straszliwego dnia.

To było niewiarygodne. I przerażające. Ale teraz czuję się bardziej żywy niż w ciągu ostatnich trzech tygodni. Kiedy przeszedłem przez ogrodzenie oddzielające tylne patio mojego domu od willi sąsiada, nie wiedziałem, czy mój plan się powiedzie. W miarę jego realizacji byłem coraz mniej pewien końcowego efektu, ale nie mogłem się już cofnąć. Przebiegłem szybko przez podwórze Miguela i wszedłem do pogrążonego w mroku domu. Wyraźnie słyszałem wściekłe walenie w drzwi. Byli bardzo rozjuszeni. Myślę, że wyczuwali moją obecność po drugiej stronie. Dwójka z nich uderzała nawet w

zabite okna parteru. Straszny odgłos. Ostrożnie wspiałem się po schodach na piętro i otworzyłem okno sypialni. Nie bałem się, że mnie zobaczą, to stanowiło część planu. Na ulicy stała zaparkowana jak gdyby nigdy nic furgonetka dostawcza firmy medycznej Miguela. Nieraz skarżył się, że jacyś narkomani próbowali sforsować zamek drzwi w poszukiwaniu rohypnolu czy amfetaminy, choć nie rozprowadzał tego rodzaju specyfików. Wiedziałem też, że z tego powodu zainstalował w swoich furgonetkach głośny system alarmowy (co jakiś czas budził mnie w nocy, kiedy włączał się przez przypadek). Ciekawe, jak zareagują tamci.

Mocno chwyciłem zabalę i włożyłem do każdej z luf po kilka kulek. Potem spokojnie wycelowałem w stronę furgonetki, podczas gdy na dole tłum potworów dalej walił w drzwi, wciąż nieświadom, że stoję w oknie. Wystrzeliłem. Suchy trzask dubeltówki zabrzmiał w ciszy poranka niczym wystrzał armatni, mieszając się z odgłosem tłuczonego szkła z prawej szyby, która rozprysła się na milion kawałeczków.

Natychmiast zabrzmiał alarm samochodu. Seria głośnych klaksonów i błysk kierunkowskazów towarzyszyły przenikliwemu, nieprzerwanemu wyciu syreny. Na tłumie z dołu wywarło to piorunujące wyrażenie. Większość otoczyła furgonetkę i zaczęła nią potrząsać. Kilku osobników, usłyszawszy strzał, zlokalizowało mnie w oknie i teraz tłoczyło się pod drzwiami, wyciągając w moją stronę ręce, a w ich zamglonych oczach palił się płomień nienawiści.

Zadowolony pospiesznie ruszyłem w stronę patia. Nie miałem dużo czasu. Za kilka minut wystrzał i alarm zwabią w tę okolicę wszystkie potwory znajdujące się w promieniu dwóch kilometrów. Zrobi się tu bardzo gorąco. Jak małpa wspiałem się po linie na mur i zszedłem po drabinie do mojego ogródka. Kiedy oparłem ciężar ciała na uszkodzonej kostce, przeszywający ból rozszedł mi się po nodze i dotarł aż do oczu. Przez moment widziałem wszystko na białło i byłem bliski omdlenia. Musiałem się pospieszyć. Wszedłem do domu i wbiegłem na górę do sypialni, żeby ocenić sytuację.

Z ulgą zobaczyłem, że plan działa. Trzy potwory sprzed mojej willi zmierzały

chwiejnym, niepewnym krokiem w stronę wylotu głównej szosy, skąd mogły dostać się na równoległą ulicę. Furgonetka nadal wyła, przyciągając wszystkie bestie, które lgnęły do niej niczym ćmy do światła. Czwarty osobnik uznał nie wiedzieć dlaczego, że krótsza droga prowadzi przez nasyp ziemny po drugiej stronie. Podejrzywałem, że spadnie, ale miałem to w nosie. Był wystarczająco daleko, żebym mógł spróbować bezpiecznie dotrzeć do mojego samochodu.

Bez tchu wbiegłem na ganek i zarzuciłem plecak. Przewiesiłem przez piersi strzelbę, kuszę i małą torbę, po czym dwoma uderzeniami wybiłem belki podpierające bramę. Ostrożnie wychyliłem głowę. Droga wolna. Drugi raz w ciągu miesiąca ryzykowałem wyjście na zewnątrz, tyle że teraz z zamiarem wyruszenia w podróż, której mogłem nie przeżyć.

Ściskając w jednej dłoni uchwyt klatki z Lukullusem, a w drugiej pistolet, powoli przeciąłem jezdnię, kierując się do samochodu. Klucze miałem zawieszane na prawym nadgarstku. Wykonując dziwny ruch, zdołałem ująć je dwoma palcami i wcisnąć guzik. Pierwszy błąd. Drzwi zostały otwarte, ale podwójne piknięcie i błysk kierunkowskazów przyciągnęły uwagę tamtych. Odwrócili się i teraz zmierzali w moją stronę. Cholera. Czas się kończył, musiałem działać szybko. Otworzyłem drzwi kierowcy i rzuciłem plecak na tylne siedzenie. Zrobiłem to dość gwałtownie, przypuszczam, że wtedy musiała wypaść część moich rzeczy. Z przyzwyczajenia okrążyłem auto, żeby otworzyć drugie drzwi i umieścić Lukullusa na miejscu pasażera, tak jak zwykle.

Drugi błąd. Kiedy obchodziłem samochód, zobaczyłem potwora. Jednego z tamtych, dwudziestokilkuletniego mężczyznę z długimi włosami i bródką. Był ubrany w czarny T-shirt, przeraźliwie brudny i poszarpany, i miał obie nogi obcięte poniżej kolan. Nie wiem, jak je stracił. Leżał na ulicy tuż za samochodem. Nie mam pojęcia, kiedy się tam doczołgał ani ile czasu czekał. Wpadłem na niego znieczeka i wystraszony zrobiłem krok w tył, ale nie zdążyłem uciec: złapał mnie za kostkę (tę zdrową, Bogu dzięki) i wbił w nią zęby.

Wszystko działo się bardzo szybko. Ponieważ przesuwalem nogę do tyłu, nie

był w stanie zacisnąć szczęki wokół kostki, poza tym neopren jest zbyt gruby i sprężysty, żeby go przebił jednym szybkim ugryzieniem. Na zewnętrznej warstwie materiału zostawił jednak doskonale widoczny ślad zębów. Upuściłem klatkę na ziemię i z najwyższym wstrętem połączonym z przerażeniem w czystej postaci chwyciłem oburącz pistolet. Mierząc prosto w głowę, wystrzeliłem z odległości niespełna metra.

Nie jestem doświadczonym strzelcem (pierwszy raz użyłem krótkiej broni), ale nie mogłem chybić z tak bliska. W zdenerwowaniu wpakowałem mu w głowę kilka kulek. Co za widok. Wciąż się trzęsę z obrzydzenia, kiedy o tym pomyślę. Wcale nie jest tak jak na filmach. Nie powstaje mała dziurka, pocisk robi w głowie olbrzymią wyrwę, a skrzepy krwi, kawałki mózgu i odłamki kości rozpryskują się na wszystkie strony.

Drżąc z wrażenia, wsparłem się na samochodzie, żeby złapać oddech, ale odpoczynek siłą rzeczy musiał być krótki. Tamtych dzieliło ode mnie jakieś trzydzieści metrów. Zbliżali się bardzo, bardzo szybko. Podniosłem z ziemi klatkę z Lukullusem i bez ceregieli wrzuciłem ją do samochodu. Biedak miauczał rozpaczliwie, wystraszony tym, co się dzieje. Zanim usiadłem na miejscu kierowcy, wycelowałem z pistoletu w potwory nadchodzące od wylotu ulicy i otworzyłem ogień. Trzeci błąd. Nie mam zielonego pojęcia o strzelaniu, tym bardziej z odległości ponad trzydziestu metrów. Tylko niepotrzebnie opróżniłem magazynek i narobiłem jeszcze większego hałasu. Ale to nieistotne. Harmider, jaki wywołałem, na pewno było słychać aż w Vigo.

Rzuciłem opróżniony pistolet na podłogę samochodu i czym prędzej wsiadłem do środka. Przekręciłem kluczyk. Astra zapaliła po dwukrotnym kasznięciu, które zmroziło mi krew w żyłach. Od wielu dni silnik nie był uruchamiany i przez moment myślałem, że zgaśnie. Wtedy dopiero miałbym przechlapane. Na szczęście maszyna opla jest wytrzymała. Toporna, ale wytrzymała. Wrzuciłem pierwszy bieg i zacząłem posuwać się ku wylotowi ulicy. Skręcając dwukrotnie jak pijany kierowca, wyminąłem trójkę tamtych, którzy zaszli mi drogę (prowadziłem kilka spraw o potrącenie; wiem, co ludzkie ciało może zrobić z szybami i podwoziem, kiedy uderzy w samochód), po czym

wyjechałem na główną szosę. Widok przyprawiał o dreszcze. Prawdziwa nie-ludzka fala, setki tamtych szły jezdnią z centrum miasta, zwabione hałasem.

Także z przeciwnej strony nadciągały dziesiątki żądnych ofiar potworów. Miałem tylko jedno wyjście: wąską drogę powiatową, która zaczynała się jakieś dwadzieścia metrów dalej. Wjechałem w nią, dodając gazu, i

9 lutego. Godzina 15.09

Wpis 48

Kiedy wczoraj pisałem z Lukullusem na kolanach, usłyszałem hałas w dolnej części mojej dziwacznej kryjówki. Zszedłem z sercem w gardle, ściskając pistolet, ale choć długo szukałem, niczego nie znalazłem. Fałszywy alarm. Albo znak, że z powodu zmęczenia zmysły zaczynają mi płatać figle, a to niedobrze. Albo mam omamy słuchowe będące wynikiem stresu bojowego, to jeszcze gorzej. No cóż.

Jak już pisałem, kiedy dojechałem do wylotu ulicy, sytuacja nie wyglądała różowo. Na drodze prowadzącej do centrum zobaczyłem setki istot idących tym swoim dziwnym krokiem, na pozór powolnym, a w rzeczywistości szybkim. Zajmowały całą szerokość ulicy. To najstraszliwszy widok, jaki można sobie wyobrazić.

Setki trupów, rannych i okaleczonych, ociekających krwią, białych, z budzącym grozę wyrazem twarzy, spragnionych mordu, zmierzały w stronę mojego samochodu, żeby mnie schwytać. Do wszystkich diabłów! Chodzący trup jest tak przerażający, że nie sposób go sobie wyobrazić, dopóki sam któregoś nie zobaczysz, ale widok setek takich istot, usiłujących cię dopaść, zjeży włosy na głowie nawet najbardziej opanowanej osobie.

Po drugiej stronie sytuacja wyglądała niewiele lepiej. Co prawda potworów było mniej, ale i tak za dużo, żebym przejechał wśród nich, nie powodując wypadku. Nawet jeśli uszedłbym z niego z życiem, tamci już by zadbali, żebym szybko je stracił. Miałem tylko jedną możliwość: droga powiatowa.

Teren, na którym znajduje się moje osiedle, został zurbanizowany

stosunkowo niedawno. Jest jeszcze kilka wąskich wiejskich dróg, wijących się pomiędzy dawnymi gospodarstwami, gdzie stopniowo powstają ulice, bliźniaki albo domki jednorodzinne, jak mój. Przede mną otwierała się właśnie jedna z takich dróg. Nie zauważyłem na niej żadnego z tamtych, była to więc moja szansa.

Dodałem gazu, podskakując na olbrzymiej dziurze przy wjeździe. W lusterku wstecznym widziałem, jak tamci zlewają się w jedną masę i podążają moim śladem. Z przerażeniem zrozumiałem, że hałas silnika przyciągnie dziesiątki stworów wszędzie, gdzie będę przejeżdżał. Jedynym rozwiązaniem było przemieszczanie się wystarczająco szybko, żeby nie mogły mnie dopaść i zgubiły trop. Proste w teorii. Kurewsko trudne w praktyce.

Droga bez wątpienia nie była autostradą. Szeroka na jeden samochód, z dziurawą nawierzchnią, na niektórych odcinkach wysypana okrągłymi kamykami. Co najgorsze, nie wiedziałem, dokąd mnie doprowadzi. Jeśli to ślepa uliczka, byłem w poważnych tarapatach. Jechałem z małą prędkością, może dwadzieścia kilometrów na godzinę, i często musiałem hamować i skręcać, żeby ominąć dziury w ziemi, przez co tamci ani na chwilę nie tracili mnie z oczu. Lukullus miauczał żałośnie w swojej klatce przy każdym wstrząsie. Był przerażony i doskonale go rozumiem; ja czułem to samo.

Trzymałem kurczowo kierownicę, a samochód posuwał się naprzód, podskakując na wybojach. W pewnej chwili rozległ się straszny trzask, nie wiem, czy w silniku, czy w układzie kierowniczym, w każdym razie nie wróżył niczego dobrego. Dotarłem do szczególnie wąskiego miejsca, przejechałem za szybko i straciłem oba lusterka boczne i część tylnego zderzaka, który utknął między dwoma kamiennymi murami. Czort z nim. Musiałem się stamtąd wydostać za wszelką cenę.

Chwilę później niespodziewanie wyjechałem na szerszą drogę. Gwałtownie zahamowałem, wzniecając obłok kurzu. W zasięgu wzroku nie było nikogo, ani żywego, ani trupa. W oddali, nad rzeką Lérez, zobaczyłem miasto Pontevedra, milczące, nieruchome... martwe. Jedynie w kilku miejscach wznosiły się słupy

dymu, pozostałości po pożarach. Porażony oglądałem ogromne czarne blizny, tam gdzie spłonęły całe ulice.

Przypuszczam, że kiedy odcięli prąd, szlag trafił niektóre transformatory i małe rozdzielnie. Stąd pożary. I nie było nikogo, kto by je ugasił.

Słyszałem jedynie warkot swojego silnika. Pokiwałem głową. Kiedy chmura kurzu opadała, poprawiłem klatkę Lukullusa na siedzeniu, szepcząc mu uspokajające słowa. Nie miałem czasu, by go głaskać, będzie musiał trochę wytrzymać. Należało postanowić, dokąd pojedziemy. Nagle doznałem olśnienia.

Wiedziałem już, gdzie jestem. To ta pieprzona boczna droga, którą próbowałem wyjechać z miasta prawie miesiąc temu. Ta sama, na której zatrzymał mnie patrol. Było raczej nieprawdopodobne, żebym znów się na jakiś natknął, a gdyby nawet, to obsypałbym ich pocałunkami, błagając, żeby się nami zaopiekowali. Już zbyt długo odgrywam rolę Samotnego Jeźdźca.

Toczyłem się przez kilka kilometrów wyludnioną drogą, nie spotykając absolutnie nikogo. Ani żywej duszy, poza dwiema zakrwawionymi, kołyszącymi się postaciami, które dostrzegłem w pewnej odległości, na skraju pola kukurydzy. Od szosy dzieliła je rzeczka, nie mogły więc pójść za mną, ale pojawienie się ich w większej liczbie było tylko kwestią czasu. Wreszcie minąłem miejsce, gdzie kiedyś stał patrol. O obecności wojska przypominały tylko betonowe bloki. Prawdopodobnie zostawili je, żeby odciąć drogę, ale później ktoś je przesunął, chcąc przejechać. Widać było jeszcze ślady, jakie zostawił ciągnięty po ziemi beton. Nie wiem, kto je ruszył, czym to zrobił ani dokąd zmierzał czy zmierzali. Nie wiem zresztą wielu innych rzeczy.

Ujechałem kolejne kilka kilometrów coraz bardziej zaniepokojony. Niedługo dotrę do skrzyżowania z główną drogą. A to oznacza więcej domów. I więcej samochodów, prawdopodobnie porzuconych na środku jezdni. I więcej tamtych, dużo więcej. Droga powiatowa przechodziła przez celowo niezabudowaną część pasa wokół miasta, miejsca takie należały jednak do wyjątków. Pozostałe tereny były gęsto zaludnione, spotkam tam tysiące

trupów. Poza tym nie powinienem zapominać o tłumie, który mnie ściga. Wielu zboczy na inne drogi albo zrezygnuje, ale nie miałem żadnych wątpliwości, że sporo zdoła dotrzeć aż tutaj.

W dodatku zmierzchało. Noce są bardzo ciemne, zwłaszcza na terenach miejskich pozbawionych oświetlenia ulicznego. Ciemne jak dno studni. W takich warunkach dalsza jazda byłaby samobójstwem. Musiałem znaleźć jakieś schronienie, i to szybko.

Straciłem już nadzieję, kiedy nagle je zobaczyłem. Było idealne. Na niewielkim wzgórzu, pośrodku pola osłoniętego wysokimi, gęstymi janowcami, dostrzegłem pomarańczowy daszek. Odetchnąłem z ulgą. Znajomy widok. Tak wyglądają stacje gazociągu, który przecina Galicję z północy na południe i zaopatruje główne miasta. Doskonale się nada.

Delikatnie skręciłem kierownicę i wjechałem na drogę prowadzącą na szczyt wzgórza. W miarę jak podjeżdżałem, coraz bardziej się zewężała z powodu zarośniętych poboczy. Niemal wpadłem na ogrodzenie, wysokie, z siatki. Widać było tylko furtkę; resztę płotu całkowicie zakrywała co najmniej piętnastometrowa warstwa gęstej roślinności. Nie dało się dotrzeć przez tę puszcę do ogrodzenia, chyba że torując sobie przejście maczetą, ale nie sądzę, żeby potwory potrafiły tego dokonać. Na wzgórzu można było się dostać jedynie od strony ledwo widocznej drogi. Idealne miejsce na nocleg.

Na szczęście furtka nie miała kłódki, tylko zwykłą zasuwę, dwukrotnie owiniętą drutem. Prowizoryczne zabezpieczenie, ale wystarczająco skomplikowane, żeby powstrzymać każdą istotę niebędącą człowiekiem.

Zaryglowałem za sobą furtkę i podszedłem do budki. Była mała, bardzo mała, ledwo rozmiaru pokoju, solidna i pozbawiona okien. Miała metalowe drzwi zamknięte na klucz, ale po paru minutach zdołałem sforsować zamek za pomocą łomu, który wozilem w bagażniku.

Wnętrze było ciemne i zakurzone, rozjaśnione jedynie wiązką światła wpadającego przez okienko w dachu i otwarte drzwi. W środku znajdowały się jakieś rury, manometry i liczniki. Zadaniem stacji było odpowietrzanie

przewodów. Nie wiem, czy w rurach został gaz, nie zamierzam tego sprawdzać. Za nic w świecie nie dotknę tych urządzeń. Brakuje mi tylko tego, żebym się zagazował albo wysadził w powietrze.

Ułożyłem się wygodnie i przespałem ciurkiem prawie dwanaście godzin. Dzisiaj tak samo. Pierwszy raz od kilku tygodni odpoczywam, nie słysząc ciągłego walenia i odgłosów wydawanych przez tamtych. Fantastyczne uczucie. Mam wrażenie, że mógłbym tu zostać na zawsze. Tyle że jest strasznie niewygodnie. Poza tym kończy się woda, zostało trochę więcej niż pół litra. A zaczyna mi doskwierać pragnienie.

10 lutego. Godzina 20.11

Wpis 49

Zanim się to wszystko zaczęło, sceptycznie podchodziłem do kwestii przeznaczenia. Myślałem, że znaki i przepowiednie to tylko bajki, głupie gadanie starych bab. Ale dziś rano, kiedy patrzyłem w zamyśleniu na klucze do łodzi Miguela, przestałem być tego taki pewien. Może to, że tak nalegał, byśmy popłynęli jego łodzią, miało jakiś ukryty sens. Koniec końców boskie znaki są jak najbardziej na miejscu, kiedy w ciągu kilku tygodni cały świat biorą diabli, niczym w nieludzkiej wersji apokalipsy.

Siedziałem na daszku stacji gazowej, grzejąc się w promieniach porannego słońca. W ostatnich dniach wzrosła nieco temperatura, ale za to niebo często się chmurzy, dlatego każdy moment jest dobry, żeby skorzystać ze światła. Po tylu dniach horroru i zamknięcia jestem za nie bardzo wdzięczny.

Opracowałem plan. Polega na zrobieniu dokładnie tego, od czego próbowałem odwieść Miguela, argumentując, że to niewykonalne: na przedostaniu się do miasta i dotarciu do portu jachtowego przy alei Orillamar. Tam wsiądę na jego łódź i popłynę w stronę miejsca, które jak sądzę, powinno być jeszcze bezpieczne, i gdzie, o ile się nie mylę, musi być prąd, woda, jedzenie i ludzie. W tych okolicznościach to istny raj.

Pontevedra leży przy ujściu zatoki riasowej o tej samej nazwie. W tej zatoce,

która w najszerszym miejscu ma parę kilometrów, znajduje się wyspa Tambo. W ciągu wieków była celtycką osadą, miejscem modlitw Swebów, leprozorium, a ostatnio służyła jako prochownia wojskowa należąca do pobliskiej bazy morskiej w Marín. Prochownia jest od dawna pusta (wydaje mi się, że od lat siedemdziesiątych), a wyspę zamieniono w park narodowy. To jeden z niewielu dziewiczych obszarów w rejonie tak gęsto zaludnionym jak zatoka Pontevedry. Tam właśnie zmierzałem.

Sądzę, i chyba nie bez racji, że kiedy wszystko zaczynało się walić, niejednemu musiało przyjść do głowy, żeby uciec na Tambo. Zostały tam budynki wojskowe, baraki, składy. Na miejsce można się dostać tylko łódką, a wokół są silne prądy. Poza tym mam nadzieję, że wojskowi przejęli kontrolę nad wyspą. Teoretycznie jest najbezpieczniejszym punktem w promieniu wielu kilometrów. I o to chodzi.

Pozostawał jedynie „drobny” problem zdobycia łodzi, którą dotarłbym na miejsce. To nie będzie proste. Miałem pewien pomysł, nieco ryzykowny, ale mógł wypalić. W zakurzonej kącie rozdzielni stały dwie duże beczki z niebieskiego plastiku z pokrywkami, podobne do tych, których używa się w czasie górskich wypraw do przenoszenia sprzętu. Z etykietek wynikało, że zawierały produkty chemiczne, ale teraz były puste.

Z niemałym trudem zdołałem wpakować je do astry – musiałem złożyć tylne fotele. Potem wróciłem po plecak i klatkę z kotem i jakoś upchnąłem to wszystko w samochodzie. Zostawiłem amunicję do strzelby, bo zgubiłem zabalę, sam nie wiem kiedy, prawdopodobnie wsiadając do opla. Moje uzbrojenie zmalało do czterech stalowych strzał, glocka i trzydziestu nabojów, ocalałych po bezładnej serii, którą bez sensu posłałem potworom przed domem.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce. Silnik wydał z siebie przerażający zgrzyt. Na pewno się coś uszkodziło, kiedy uciekałem wyboistą drogą. Poczułem, jak krew odpływa mi z twarzy. Jeśli samochód nie zapali, już jestem martwy. W zamieszkaney okolicy nie znajdę daleko na piechotę. Zacząłem gwałtownie przekręcać kluczyk, raz i drugi, przeklinając pod nosem. Jezu, spraw, żeby

silnik zaskoczył, no dalej, dalej, dalej, DALEJ!

Najpierw rozległ się przytłumiony wybuch, potem samochód stęknął i zapalił. Wydałem okrzyk radości, wrzuciłem jedynkę i ruszyłem w stronę głównej szosy, zostawiając za sobą tę dziwną kryjówkę, w której na kilka dni znalazłem schronienie. Dotarłem do drogi powiatowej i skręciłem w kierunku szosy krajowej. Wiedziałem, że tam sytuacja znacznie się skomplikuje, miałem jednak nadzieję, że będę musiał przejechać nią jedynie parę kilometrów, zanim dotrę do celu.

Podróż minęła szybko, bardzo szybko. Gdy dostrzegłem skrzyżowanie z drogą krajową, położyłem naładowanego glocka na siedzeniu obok i wcisnąłem pedał gazu. Szybkość będzie miała fundamentalne znaczenie. Z piskiem opon wjechałem na skrzyżowanie i skręciłem na północ. Jezdnia była pusta, choć tylko na pierwszy rzut oka, bo zza pobliskich domów wyłaziło już kilka istot zaalarmowanych warkotem. Z rykiem silnika przyspieszyłem, żeby się od nich oddalić. Miałem do przejechania tylko dwa kilometry. Tylko dwa przekłete kilometry. Ale po przebyciu stu metrów napotkałem pierwszy problem. Wypadek: dwa samochody zderzyły się czołowo i blokowały prawie całą drogę. Asfalt pokrywały plamy krwi, choć nie widać było żadnego ciała. Został mi tylko niezbyt szeroki przejazd lewym poboczem. Ostrożnie wykręciłem, żeby nie utknąć na jezdni, i poprowadziłem samochód wąskim skrajem drogi. Nagle coś gwałtownie walnęło w szybę od strony pasażera.

Dwie otwarte dłonie uderzały natarczywie w szkło; za nimi wychynał nie wiadomo skąd ich właściciel, z którego ust wydobywał się nieprzerwany jęk. Prawie dostałem zawału.

Drżąc ze strachu, zdołałem wyprzedzić tę istotę. Obmyślałem kolejny ruch. Jeszcze kilometr. Widziałem liczne samochody zostawione na drodze albo roztrzaskane. Na niektórych były ślady krwi, inne wyglądały na porzucone przez właścicieli w chwili paniki, może szaleństwa, tego nie wiem. Wszędzie coraz więcej tamtych. Ani jednego żywego człowieka w zasięgu wzroku. Pięćset metrów do zjazdu. Już prawie jestem na miejscu. Trzysta metrów. Dwieście.

Nagle, znienacka, na środku drogi pojawiła się dwójka tamtych, kobieta i mężczyzna. Zaskoczyli mnie, nie zdążyłem skręcić i wjechałem wprost na nich. Ciało mężczyzny odbiło się od zderzaka i spadło na przednią szybę, rozbijając ją na kawałki. Przestałem cokolwiek widzieć przez roztrzaskane szkło, dlatego gwałtownie zahamowałem. Mężczyzna wyleciał do przodu i poturlał się przed samochodem. Po kobiecie chyba przejechałem.

Zderzenie sprawiło, że silnik zgasł. Próbowałem go znów zapalić, ale zamilkł. Tablica rozdzielcza przypominała konstelację czerwonych światełek. Nie dało się już nic zrobić. Kaput. Ciekawe, ale przyszła mi wtedy do głowy absurdałna myśl, że nie muszę już wymieniać oleju...

Wysiadłem z samochodu. Do celu zostało jedynie sto metrów. Założyłem plecak i wziąłem klatkę z kotem. Rozglądając się na wszystkie strony, otworzyłem bagażnik, żeby wyciągnąć beczki. Brakujące sto metrów miałem z górki, więc poturlają się same. Kopnięciem posłałem je w dół i ruszyłem za nimi. W tym momencie mężczyzna powoli zaczął się podnosić; po tym, jak go stuknąłem, wyglądał jeszcze bardziej przerażająco. Był niemłody, miał jakieś sześćdziesiąt lat. Bez chwili namysłu, zanim zdążył podejść za blisko, podniosłem glocka i strzeliłem z niecałych trzech metrów. Pierwsza kula przeszła mu mostek, mimo że celowałem w głowę. Dopiero za drugim razem, kiedy był tuż przy mnie, trafiłem go w twarz. Ten widok będzie mnie prześladował do końca życia. Nie chcę nawet o tym myśleć. Ciało runęło na ziemię, a ja odwróciłem się, żeby sprawdzić, co z kobietą. Nadal leżała na jezdni. Może przetrąciłem jej kręgosłup, nie wiem, nie zamierzałem tego sprawdzać.

Potykając się, zszedłem na dół, do beczek. Wreszcie dotarłem do celu: do przystani nad rzeką Lérez. Tak jak się spodziewałem, była pusta. Łódki wypożyczają się tu tylko latem, zresztą nie o nie mi chodziło. Lérez płynie w dół przez całe miasto, aż do zatoki, gdzie znajduje się port jachtowy i mój ratunek. Musiałem tylko wskoczyć do rzeki i pozwolić się nieść nurtowi aż do łodzi Miguela. Tamci nie dopadną mnie w wodzie, dzięki czemu bezpiecznie pokonam miasto.

Szybko włożyłem plecak i pistolet do jednej z beczek i zamknąłem pokrywkę. Do drugiej wsadziłem klatkę z Lukullusem, który żałośnie pomiaukiwał. Ostatnio jego życie jest tak pełne wrażeń, że zaczyna już chyba mieć dosyć... Jedną ze strzał nakłujęm pokrywkę. Należy się trochę wody, ale przynajmniej kot będzie mógł oddychać. Związałem obie beczki liną i wlokąc je po ziemi, podszedłem do krawędzi pomostu. Ciemna woda wyglądała mało przyjaźnie.

Byli prawie przy mnie. Nabrałem głęboko powietrza i skoczyłem, pociągając za sobą beczki. Aż krzyknąłem, zanurzając się w lodowaty nurt Lerezu. Cholera, jest luty i o tej porze roku woda ma ze cztery stopnie. Na szczęście byłem w pianie. Mimo to szok termiczny i tak okazał się straszny.

Prąd niósł mnie powoli w dół rzeki. Tamci bezradnie przyglądali mi się z przystani. Dwóch wpadło do wody i nie widziałem, żeby wypłynęli na powierzchnię. Pewnie zostali na dnie albo porwał ich nurt. W każdym razie nie było ich w pobliżu.

Boli mnie nadgarstek od pisania, poza tym Lukullus uporczywie domaga się jedzenia. Obaj jeszcze dochodzimy do siebie po tej przygodzie i przyzwyczajamy się do naszego nowego domu, „Koryntu”, cacka, które spadło nam z nieba.

11 lutego. Godzina 15.49

Wpis 50

Zimno. Myślę, że nie ma straszliwszego uczucia niż zimno, kiedy doświadczasz go w wodzie. Czujesz, jak mięśnie się kurczą, jak palce stopniowo przestają reagować, a tysiące małych igiełek wbija ci się powoli w całe ciało. Okropne.

Kiedy odcinałem kaptur od mojej pianki (wydaje się, że to było milion lat temu), nie przyszło mi do głowy, że kiedykolwiek użyję jej jeszcze w wodzie. Teraz, gdy płynęliśmy z Lukullusem w dół rzeki, za kołnierz wlewał mi się lodowaty strumień. Izolacja, jaką mogła mi zapewnić gruba warstwa neoprenu, została w ten sposób poważnie osłabiona.

Nurt jest w tym miejscu leniwy. Nie wziąłem pod uwagę, że przecież

znajduję się w pobliżu zatoki i mogę trafić na przypyływ, a wtedy cofka znacznie zredukuje moją prędkość. Tak więc to, co uznałem za łatwą trasę możliwą do pokonania w kilka minut, zamieniało się powoli w odyseję, która trwała już ponad półtorej godziny. Szacowałem jednak, że zostało mi niewiele. Ostatnim razem, kiedy niechcący łyknąłem wody, stwierdziłem, że jest słona: woda morska mieszała się z rzeczną. Musiałem być bardzo blisko ujścia Lerezu do zatoki.

Największy problem stanowił zapadający zmrok. Słońce w Galicji zachodzi zimą bardzo wcześnie i około szóstej po południu jest już ciemno. Powoli nadchodziła noc i coraz mniej widziałem, co zmieniało moją sytuację. I to bynajmniej nie na lepsze.

Teraz istniało niebezpieczeństwo, że po ciemku nie zauważę portu jachtowego, przepłynę obok, a odpływ i nurt poniosą mnie na środek zatoki. To oznaczałoby wyrok śmierci, bo przy tej temperaturze wody na otwarte morze wypłynęłyby moje zwłoki, a może rzeka wyrzuciłaby mnie na brzeg, skostniałego, bezradnego, nieświadomego, co zastanę kilka metrów dalej. Najgorsze, cholera, było to, że nie miałem zielonego pojęcia, co powinienem zrobić. Nic nie przychodziło mi do głowy.

Kiedy brzegi spowiła noc, zyskałem pewną przewagę, bo pozostawałem niezauważony. Przykryłem część głowy plastikową torbą, która przepływała obok; z brzegu było widać jedynie dwa związane baniaki i zaczepiony o nie worek. Dryfujące śmieci. Nic ciekawego. Idealny kamuflaż.

W miarę jak rzeka zapuszczała się coraz głębiej w miasto, pojawiały się mosty łączące brzegi. Najbardziej niepokoił mnie pierwszy most. Odległość dzieląca go od powierzchni wody była tak mała, że gdyby stał na nim któryś z tamtych i postanowił na mnie skoczyć, na pewno by mnie dopadł. Kiedy przepływałem pod spodem, nie miałem odwagi podnieść wzroku. Nie wiem, czy na moście było coś albo ktoś, w każdym razie nie zostałem zauważony.

Stopniowo brzegi nabierały miejskiego wyglądu. Wokół leniwie płynącej rzeki wyrastały powoli budynki, ulice i aleje.

Miasto było wyludnione, nie licząc wszechobecnych tamtych. Dziesiątki, setki, niektórzy okaleczeni, inni zakrwawieni, a wielu na pozór nietkniętych, błąkały się po przyległych ulicach, krążąc niestrudzenie w tę i z powrotem.

Widok budził grozę, największe wrażenie robiła jednak cisza. Całkowita, absolutna, posepna. Nie słyszałem niczego poza szumem otaczających mnie wód. Miasto było milczące, ciemne. Martwe. Mogłem się przekonać, w co zamieniło je to cholerstwo. Porzucone samochody z otwartymi drzwiami. Wszędzie wypadki, na które nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi. Niektóre lokale pootwierane, inne z zamkniętymi kratami. Tysiące papierów, toreb i śmieci wirujących na pustych chodnikach. Żadnego zapalonego światła, zgaszone semafony, potłuczone latarnie. Wiatr świszczący na wyludnionych ulicach wymarłego miasta. Obraz pustki. Obraz zniszczenia. Obraz apokalipsy.

Widoczność stawała się coraz bardziej ograniczona. Po kilku minutach mogłem jedynie domyślać się kształtu budynków tworzących wokół mnie coś w rodzaju kanionu. Poczułem lęk. Nigdy nie lubiłem przebywać w wodzie nocą, nie wiedzieć, co jest dookoła. Płynąłem uczepiony beczek, próbując przebić wzrokiem ciemności, dostrzec czyhające zagrożenie, prawdziwe albo wymyślone.

Moja rozgorączkowana wyobraźnia galopowała jak szalona. Ze trzydzieści razy sądziłem, że minąłem port, i trzydzieści razy był to fałszywy alarm. Nagle wyłoniły się przede mną fantasmagoryczne kontury klubu jachtowego oświetlonego słabym blaskiem księżyca. Uda mi się!

Klub Jachtowy Pontevedry zajmuje budynek wzniesiony na palach na brzegu Lerezu. Starając się jak najmniej pluskać, poruszałem zdrętwiałymi nogami, żeby prąd zniósł mnie w stronę słupów. Miałem zamiar wspiąć się na pomost i mijając mojego zodiaka, dotrzeć do stanowisk cumowniczych w głębi, gdzie na kotwicy stała łódź Miguela. Bułka z masłem. Najwyżej trzy minuty.

Wdrapałem się na pomost, co wymagało tytanicznego wysiłku, bo ręce zgrabiałe po dwóch godzinach spędzonych w rzece odmówiły współpracy. W końcu padłem na deski, łapiąc powietrze otwartymi ustami jak ryba bez wody,

totalnie wyczerpany. Gdyby w tym momencie pojawił się jeden z tamtych, mógłby mnie zjeść w kilka sekund. Nie byłem w stanie ruszyć nawet palcem, nie mówiąc o obronie.

Leżałem wyciągnięty na deskach, z zamkniętymi oczami, i wyteżalem słuch. Panowała kompletna cisza. W porządku. Podniosłem się z trudem i wciągnąłem beczki na pomost. W pierwszej kolejności Lukullus. Wyjąłem jego klatkę i zgrabiającymi palcami walczyłem z rygłem drzwiczek. Biedak był wystraszony, otumaniony, głodny, mokry, ale żywy. Mój mały przyjaciel zasłużył na nagrodę. Zniósł podróż rzeką bez najmniejszej skargi, przerażony, ale spokojny. Zuch chłopak.

Z plecakiem na grzbiecie i klatką w dłoni ruszyłem w stronę łodzi. Dotarłem do głównego pomostu i zamarłem. To niemożliwe.

Nie było ani jednej łodzi. Ani jednej, nawet mojego zodiaka. Wszystko, co potrafiło pływać, zniknęło. Ale jakim cudem?

Opadłem na kolana, całkowicie wykończony, niezdolny do myślenia, sparaliżowany tym, co zobaczyłem. Spełniały się moje najgorsze przewidywania. Łodzi nie było. W ostatnich chwilach istnienia Bezpiecznej Strefy przerażony tłum zapewne rzucił się biegiem w stronę przystani, żeby wsiąść na cokolwiek, co pływało, i uciec przed potworami. Powinienem był wcześniej o tym pomyśleć.

Z wody sterczały maszty żaglówek spoczywających na dnie rzeki. Myślę, że zawiniło nadmierne obciążenie albo brak doświadczenia. Nie odpłynęły daleko. Stopniowo zacząłem zauważać więcej szczegółów. Włosy stanęły mi dęba. Wszędzie widać było plamy krwi i dziury po kulach. Ślady walki. Na tej przystani doszło do masakry, do bitwy na śmierć i życie o łodzi. O to, kto okaże się silniejszy i przetrwa. Krajobraz piekła. O mój Boże...

Nagle coś sobie przypomniałem. Może nie wszystko jeszcze stracone. Setki razy widziałem żaglówki na drugim brzegu, zakotwiczone z dala od pomostów. Czekały w kolejce na miejsce do cumowania. Dla ich właścicieli było to męczące, bo za każdym razem, kiedy chcieli wejść na pokład, musieli

podpływać pontonami. Może tłum nie zdołał się tam dostać. Może któraś została. Zdecydowanym ruchem zapakowałem Lukullusa do jednej beczki, plecak do drugiej, i uważając, by nie robić hałasu, ponownie zanurzyłem się w ciemnych wodach rzeki Lérez.

Musiałem tylko kilka razy machnąć ramionami, ale czułem się tak, jakbym przepływał kanał La Manche. W miarę jak się zbliżałem, moje nadzieje topniały. Nic. Nic... A jednak... Zaraz! W głębi, w odbitym na wodzie świetle Wenus dostrzegłem kołyszący się maszt. Jeden został. Tak!

Rozchlapując wodę, ostatkiem sił dopłynąłem do jachtu. Był szeroki, długi na dwanaście metrów, miał smukłą linię. Na wypolerowanej do połysku rufie widniała nazwa. „Korynt”. Moja nowa łódź. Moje ocalenie. Z trudem chwyciłem reling i wdrapałem się na pokład. Jeden rzut oka wystarczył, żebym zrozumiał, dlaczego nikt jej stąd nie zabrał. I co muszę zrobić, jeśli chcę nią odpłynąć.

13 lutego. Godzina 11.26

Wpis 51

Leje jak z cebra. Tego ranka niebo jest szare, ołowiane. Wieje nieprzyjemny, w porywach silny wiatr z północy, który uderza kaskadami wody o pleksiglasowe iluminatory „Koryntu” sunącego łagodnie po falach zatoki. Słyszę gwizd wichru targającego linami i szum strumieni deszczu zalewających pokład. Siedzę sobie wygodnie w kabinie przy filiżance parującej kawy; próbuję uporządkować w myślach wydarzenia ostatnich godzin i zaplanować następny ruch. Przede mną, na otwartym morzu szaleje zapewne potężna burza, bo cofająca się fala wstrząsa łodzią. Moją łodzią. Moim nowym, tymczasowym domem.

Kiedy wszedłem na pokład „Koryntu”, roztaczający się wokoło widok nie należał do budujących. Ktoś był tu wcześniej i próbował odpłynąć, ale nie zdołał tego zrobić. Skądinąd nie bez powodu.

Wszędzie są ślady zakrzepłej krwi. Kawałki fiberglasu i paskudna rysa na bomie świadczą o tym, że na pokładzie strzelano co najmniej z jednej sztuki

broni. Jestem w stanie doskonale wyobrazić sobie tamtą scenę. Tej nocy, kiedy padła Bezpieczna Strefa i tysiące potworów przekraczały falami linie obrony, cywilni uciekinierzy musieli wpaść w panikę. Zacumowane w porcie łodzie były naturalną drogą ucieczki, dlatego setki ludzi rzuciły się w ich stronę. Nie dla wszystkich starczyło miejsca na pokładzie, dlatego na pomostach zaczęło obowiązywać prawo silniejszego. Ślady walki są tego dowodem.

Najprawdopodobniej bójki toczyły się również na odbijających od brzegu i uciekających ze skazanego na zagładę miasta łodziach, przeładowanych i nadmiernie zanurzonych. Tamtego dnia rzeką spłynęło wiele trupów. Niezły widok. Owej fatalnej nocy na pokładzie „Koryntu” coś poszło nie tak, coś, co stało się dla mnie oczywiste dopiero po przeprowadzeniu dokładnych oględzin.

„Korynt” to dwunastometrowa cudowna łódź o wydłużonej drapieżnej sylwetce, typowy produkt holenderskich stoczni znad ujścia Renu, kolebki prawdziwych królowych mórz. Niektóre elementy pokładu są chromowane i wykończone drewnem tekowym. Istne cacko. Wnętrze jest funkcjonalne – ciasne, jak to zwykle bywa na tego rodzaju łodziach, ale wygodne. Nie mogłem pojąć, dlaczego nadal stoi, skoro zniknęła nawet stara drewniana łajba strażnika portowego. Wkrótce jednak zrozumiałem.

Ponieważ „Korynt” nie był zacumowany przy pomoście, lecz tkwił przy ujściu rzeki, musiał stać na kotwicy wbitej w muliste dno. Spuszczono ją nie na zwykłej linie z włókna i nylonu, tylko na łańcuchu. Obecnie żeglarze rezygnują ze zbyt ciężkich łańcuchów kotwicznych na rzecz lin podobnych do tych, jakimi posługują się alpinieści, bardzo wytrzymałych, a przy tym lekkich i zajmujących niewiele miejsca.

Jednak poprzedni właściciel „Koryntu” był zapewne człowiekiem staromodnym, ponieważ jego łódź miała jeszcze kotwicę na łańcuchu. Ważyła więcej, korzystał zatem z małego silniczka umieszczonego obok kluzy dziobowej, otworu, przez który wciągano łańcuch. W tamtą obłąkańczą noc, kiedy padła Bezpieczna Strefa, na pokład żagłówki dostała się jakaś grupka osób zamierzających wypłynąć nią na pełne morze. Strzelali do innych

uciekinierów, jednocześnie broniąc się przed ostrzałem, o czym świadczą krew i ślady po kulach. Ktoś próbował podnieść kotwicę. Ten ktoś nie miał jednak o tym zbyt dużego pojęcia, nie pomyślał, że jej pazury są głęboko zagrzebane w mule. Zamiast wciągać łańcuch po trochu, żeby ustawić go w pionie i dopiero wtedy oderwać kotwicę od dna (co jest prawidłowym manewrem), od razu włączył silnik kabestanu na pełnych obrotach. Ten nie mógł podnieść kotwicy, bo kąt między łańcuchem a dnem był zbyt mały. Przegrzał się i spalił.

Człowiek, który obsługiwał urządzenie, musiał być zbyt przerażony tym, co działo się wokół niego, by zdać sobie sprawę, że kabestan jest nadmiernie przeciążony. Potem było już za późno. Ze spalonym silnikiem nie da się podnieść kotwicy. Ktoś próbował odrąbać łańcuch (na kluzie dziobowej pozostała siekiera i ślady po uderzeniach), ale zdołał jedynie odłupać kawałek płyty z włókna szklanego. Łańcucha nie odciął, a czas uciekał. Łódź, której nie można było ruszyć z miejsca, stała się bezużyteczna, dlatego myślę, że opuszczono ją w poszukiwaniu czegoś bardziej przydatnego. Oto i cała historia.

Teraz ja stałem na pokładzie „Koryntu”. Zastanawiałem się, jak uwolnić zaczepioną o dno kotwicę, żeby odpłynąć jeszcze przed wschodem słońca. Musiałem za wszelką cenę uwolnić zagłówkę. Był na to sposób, ale wymagał ponownego wejścia do wody.

Osuszyłem trochę Lukullusa i zostawiłem go w kabinie, a sam znów zanurzyłem się w ciemną otchłań Lerezu i popłynąłem w kierunku Klubu Jachtowego. Dotarłem tam i ukryłem się w kącie, z którego mogłem obserwować główne wejście. Żelazna brama była zamknięta; po drugiej stronie dostrzegłem wałęsające się bez celu potwory, nieświadome mojej obecności. Wszędzie widziałem ślady walki. Widocznie ocalali zamknęli za sobą kratę, żeby tamci (albo inni, którzy przeżyli) nie przeszkodzili im w ucieczce. Dla mnie była to znakomita wiadomość, bo to znaczyło, że w środku nie wpadnę na żadnego błakającego się trupa.

Wiedziałem, gdzie trzymano klucz. Moim celem były drzwi w niżej położonej części budynku. Mieścił się za nimi skład, w którym ładowano butle tlenowe.

Byłem w nim mnóstwo razy. Teraz liczyłem, że znajdę tam sprzęt, z którym będę mógł zejść na dno, zlokalizować „słabe ogniwo” i wyjąć zatyczkę łączącą ucho kotwicy z łańcuchem.

Klucz był pod boją, tuż przy wejściu. Otworzyłem drzwi najciszej jak potrafiłem. Po ciemku pokój wyglądał przerażająco. Przeżyłem najbardziej absurdalny moment ostatnich kilku miesięcy, kiedy wydało mi się, że widzę w głębi czyjąś groźnie wyglądającą postać. Strzeliłem do niej z kuszy, a kilka sekund później odkryłem, że przedziurawiłem pozostawiony na wieszaku strój nurka. Nie ma to jak profesjonalizm.

W jednym z kątów leżał przykryty brezentem sprzęt instruktora nurkowania. Nic nadzwyczajnego, ale musiał zdać egzamin. Zanim założyłem aparat na plecy, sprawdziłem poziom tlenu w butli i działanie regulatorów. Wsunąłem płetwy i zacząłem rozglądać się za okularami, ale ich nie znalazłem. Cudownie! Miałem wejść w mętne wody rzeki po ciemku i bez okularów, co oznaczało konieczność usunięcia zatyczki na oślep. Nie pozostawało mi nic innego, jak wskoczyć do wody i popłynąć w kierunku „Koryntu”. Kiedy dotarłem do łańcucha, zanurzyłem się i zszedłem aż do kotwicy. Na głębokości około trzech i pół metra woda była ciemna niczym ropa naftowa. Po omacku stwierdziłem, że kotwica zaczepiła o jakieś zardzewiałe żelastwo wystające z dna. Dlatego silnik się spalił. Cierpliwie poruszając zatyczką z brązu, powoli ją obluzowywałem. Już zdrętwiały mi palce, kiedy nagle wysunęła się sama. Ledwo miałem czas, żeby chwycić łańcuch, bo „Korynt” spychany odpływem sunął już po zatoce w stronę morza.

Wspiąłem się po łańcuchu na pokład, zdjąłem butle z pleców i pierwszy raz od kilku godzin mogłem ściągnąć mokre ubranie. Potem zarzuciłem małą kotwicę awaryjną wysuwaną z kluzy rufowej. Kiedy łódź była zabezpieczona, chwiejnym krokiem poszedłem do kajuty i wyczerpany zwałem się na koję. Spałem ponad pół doby. Od kilku dni czekam, aż przejdzie burza i będę mógł popłynąć na wyspę Tambo.

14 lutego. Godzina 18.38

Wpis 52

Masz ci los!

Tambo nie wchodzi już w rachubę.

Kiedy rano zarzuciłem kotwicę w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów od jednej z małych zatoczek wyspy, zobaczyłem, że wałęsają się po wybrzeżu. Nie było ich wielu, na oko z tuzin, ale to wystarczyło. Wyspa i wszyscy, którzy się na niej znaleźli, wpadli w ich ręce. Kiedy – tego nie wiem. Jak – nie mam pojęcia. Nie wiem też, czy ktokolwiek przeżył.

To straszne. „Korynt” zbliżał się do brzegu, widziałem rosnący w oczach znajomy zarys wyspy. W ciągu ostatnich lat dziesiątki razy podpływałem do niej na odległość niecałych stu metrów, a nawet kilkakrotnie schodziłem na ląd, mimo że jest to zabronione, ale nigdy nie zmierzałem do tego skrawka ziemi z takim entuzjazmem jak teraz. Tym boleśniesz było moje rozczarowanie.

Od brzegu dzieliło mnie kilkadziesiąt metrów i właśnie się zastanawiałem, jak je pokonać, żeby łódź nie osiadła na mieliźnie, kiedy zobaczyłem żołnierza marynarki wojennej idącego drogą między drzewami. Miał na sobie biały mundur, jaki noszą w bazie morskiej, i charakterystyczną płaską czapkę. Chyba mnie nie zauważył, bo skierował się w stronę niknącej w zaroślach ścieżki. Pobiegiem na dziób i zacząłem wymachiwać rękami jak szalony, kiedy tamten nagle potknął się o kamień i omal nie runął na ziemię. Przy okazji odwrócił się do mnie lewym bokiem. Brakowało mu połowy twarzy, a jego nieskazitelnie biały mundur miał po tej stronie rdzawy kolor zaschniętej krwi. Patrzył pustym, zagubionym wzrokiem, jak wszystkie te przeklęte stwory. Okrzyk radości, który miałem z siebie wydać, zamarł mi w gardle. Dotarli nawet tutaj. Cholera. Nie wiem, jakim sposobem, jakim cudem, ale dotarli.

Wróciłem chyłkiem do kabiny. Upijając się cienkim winem, patrzyłem zdesperowany na brzeg. Tak daleki i tak bliski. Zejście na ląd nie wchodziło w rachubę. To oznaczałoby samobójstwo. Naliczyłem co najmniej kilkunastu

tamtych, a przecież musiało być ich o wiele więcej. Nie miałem pojęcia ilu, nie znałem wyspy i nie wiedziałem, jakie niespodzianki mogą na mnie czekać. Nie było nikogo, kto pospieszyłby mi z pomocą, gdyby coś poszło nie tak.

Gorzko zapłakałem. Przekląłem sam siebie. Splunąłem wściekły na pokład, patrząc, jak potwory krążą po brzegu, chyba nieświadome, że na „Koryncie”, parę metrów od nich, czeka świeże mięso, gotowe do podania. Niech się wałą!

Po południu podjąłem decyzję. Podniosłem kotwicę, opłynąłem zachodni kraniec Tambo i dotarłem do zatoczki, w której kiedyś już byłem. Jest tam źródło wody pitnej. Zatokę łączy z wnętrzem wyspy tylko stroma wyboista dróżka. Nie wiedziałem, czy tamci potrafiliby nią zejść; w każdym razie zajęłoby im to dużo czasu. Z tą nadzieją podpłynąłem do brzegu w małym pontonie na wiosła znalezionym na „Koryncie” i napełniłem beczkę do pełna, co najmniej pięćdziesiąt litrów wody pitnej, zapas wystarczający na znacznie dłużej niż podróż, którą miałem zamiar odbyć.

Kiedy nabierałem wody, nie pojawiła się żadna z tych istot. Przez moment rozważałem pomysł, by wspiąć się ścieżką na górę i rozejrzeć trochę po wyspie, ale odpędziłem od siebie tę myśl. Nie jestem komandosem i właściwie nie mam broni. Utrzymanie się przy życiu i tak zbyt wiele mnie kosztuje, żebym miał jeszcze zgrywać bohatera. Jeśli ktoś ma na tej wyspie kłopoty, to bardzo mi z tego powodu przykro. Będzie musiał (albo musiała) sam sobie dać radę. W tym nowym świecie tylko ten, kto potrafi zadbać o własną dupę, ma szansę zobaczyć kolejny wschód słońca.

Z trudem wiosłując, przyholowałem beczkę z wodą do „Koryntu”. Ostatni raz obrzuciłem wyspę spojrzeniem, podniosłem kotwicę i skierowałem łódź na zachód, ku ujściu zatoki Pontevedra. Ku nowemu przeznaczeniu.

15 lutego. Godzina 2.19

Wpis 53

Jeszcze żyję. To prawdziwy cud.

Ostatnie godziny były potwornie wyczerpujące. W miarę jak „Korynt”

podpływał do ujścia zatoki, warunki na morzu pogarszały się z każdą minutą. Potężny sztorm musiał nawiedzić w tych dniach okolice Azorów, skąd na wybrzeże Galicji napływają falami kolejne burze – typowe dla pory zimowej porywiste wiatry północno-zachodnie, które sprawiają, że przy takiej pieprzonej pogodzie nikt przy zdrowych zmysłach nie wypływa w morze. Ja, oczywiście, nie miałem wyboru.

Zostawiałem Tambo za sobą, a w głowie kłębiły mi się różne myśli. Mój wspaniały plan ucieczki zakładał dotarcie na wyspę w jednym kawałku. Potem mieli się mną opiekować żołnierze czy ktokolwiek inny sprawujący tam kontrolę. Odkrycie, że wyspa jest kolejną częścią piekła, które pochłonęło planetę Ziemię, było dla mnie niczym cios maczugą. Przez jakiś czas nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić.

Po powrocie z wyprawy po wodę, kiedy wciągałem beczkę za pomocą bloku, mój wzrok padł przypadkiem na południowy brzeg zatoki, gdzie znajduje się port Marín. Wyglądał na opuszczony. Również i tam wszystko, co pływało, wykorzystano do ucieczki. Opustoszały nawet pirsy bazy morskiej. Tam gdzie zwykle stały dwie, trzy szare, nowoczesne fregaty marynarki wojennej, a czasami nawet lotniskowiec, na przykład „Príncipe de Asturias”, teraz królowała pustka. Wszędzie widać było zniszczenia, bałagan i dziesiątki zakrwawionych postaci, które chwiejnym krokiem snuły się bez celu.

No cóż. Świetnie. Tylko dokąd, do kurwy nędzy, wszyscy sobie poszli? Nie mieści mi się w głowie, że tak po prostu rozpierzchli się na cztery strony świata. Musieli mieć jakiś cel. Może inną Bezpieczną Strefę. To nawet prawdopodobne. Port w Vigo, jeden z kluczowych na europejskim wybrzeżu Atlantyku, znajduje się zaledwie dwadzieścia mil morskich stąd. Pewnie tam się wszyscy zgromadzili.

Tak! Tak musiało być! Najprawdopodobniej Bezpieczna Strefa w Vigo stawiała jeszcze opór i kto mógł, płynął właśnie tam, ufając, że podróż drogą morską nie będzie zbyt ryzykowna. Z głową pełną bulgoczących myśli rzuciłem się do kotwiczki, gotów wziąć kurs ku mojemu nowemu przeznaczeniu.

Może powodem było zmęczenie, może podniecenie wywołane perspektywą wyruszenia tam, gdzie, jak sądziłem, czekał mnie ratunek, a może przemożna chęć, by się stąd wyrwać, w każdym razie coś przegapiłem. Niezależnie od przyczyny, zrobiłem coś niewybaczalnego. Całe życie spędziłem nad zatoką i wiem, kiedy warunki nie pozwalają wyjść w morze, ale tym razem nie zwróciłem na nie uwagi.

Różne drobne oznaki, takie jak brudnoszare grzbiety fal, mewy lecące w stronę lądu, porywiste zmienne wiatry z północy, powinny być dla mnie sygnałami zwiastującymi niebezpieczeństwo, ale mój mózg nie był w stanie ich przetworzyć. Wszystkie myśli sprowadzały się do jednej: jak najszybciej stąd wypłynąć.

Po trzech, czterech godzinach żeglugi stało się absolutnie jasne, że morze będzie bardzo, ale to bardzo wzburzone. Trzymetrowe fale wstrząsały „Koryntem” jak łupinką orzecha. Zalewały mnie prawdziwe kaskady wody, które rozbijały się o pokład, podczas gdy ja, uczepiony sterownicy, próbowałem za wszelką cenę trafić w miejsce, gdzie zatoka przechodzi w morze. Jeśli tak było tutaj, nawet nie chciałem sobie wyobrazić, co mogło mnie spotkać na oceanie.

Wiatr dmuchał wściekle, bezlitośnie. „Korynt” ślizgał się po wodzie niczym prawdziwy pogromca fal, prując je jak nożem. Potoki piany ledwo pozwalały się domyślać, gdzie jest brzeg. Było oczywiste, że w takich warunkach łódź długo nie wytrzyma. Uznając wyższość tego, co nieuniknione, postanowiłem wziąć kurs na Bueu, nieco ponad dwie mile za wyjściem z zatoki, i tam zakotwiczyć, by w porcie zaczekać na poprawę pogody.

Przekonany o słuszności tego, co robię, popełniłem drugi tego dnia błąd. Nawet najbardziej doświadczony żeglarz nigdy nie powinien ufać morzu. A to właśnie zrobiłem. Kiedy skręciłem w stronę wybrzeża, wicher wydał spinaker i „Korynt” ustawił się pod wiatr. Wyszedłem z kokpitu na rufie, żeby przejść na dziób i przywiązać żagiel, ale boczna fala uderzyła nagle w kadłub łodzi, pozbawiając mnie równowagi.

W mgnieniu oka zawisłem na relingu, całym ciałem na zewnątrz, ze stopą uwięzioną w zwoju lin, a tymczasem pozbawiona kontroli łódź pruła fale, płynąc w stronę brzegu. Z całej siły rąbnąłem głową i ramieniem o burtę. Przez chwilę byłem ogłuszony, myślę, że na moment straciłem przytomność. Natychmiast jednak doszedłem do siebie ocucony przez fale, które rozbijały się o moją twarz, nie pozwalając złapać oddechu. Sytuacja była naprawdę niebezpieczna. Jeśli nie zdołałbym wejść na pokład, to albo bym utonął, zwisając głową w dół, albo bym spadł i został w wodzie, a łódź roztrzaskałaby się o przybrzeżne skały. Nie liczyłem na to, że Lukullus przejmie stery. Co jak co, ale koty nie są wilkami morskimi.

Po kilku pełnych trwogi minutach gwałtowna zmiana kierunku wiatru sprawiła, że „Korynt” przechylił się na drugą stronę. Nagle wystrzeliłem w górę i uderzyłem o burtę. Skorzystałem z okazji, żeby chwycić się knagi i wdrapać na pokład. Zmoczony, drżący i oszołomiony dopełzłem do kokpitu rufowego i ponownie złapałem za sterownicę. Skorygowałem kurs, kierując dziób „Koryntu” w stronę portu w Bueu. Łódź reagowała posłusznie, drgania powoli ustępowały. Niecałą minutę później sunęliśmy szybko do brzegu, korzystając ze sprzyjającego bocznego wiatru.

Dopiero wtedy zacząłem się trząść jak osika. O mały włos nie straciłem życia. Mogłem zginąć w totalnie absurdalny sposób albo ciężko ranny dryfować teraz po morzu, co w tych warunkach wychodziło na jedno i to samo. Poczułem mdłości, wysunąłem głowę za reling i zwymiotowałem, przede wszystkim słoną wodą, której się nałykałem.

Dostałem niezłą nauczkę. Wykończyć mnie mogą nie tylko tamci, Nieumarli. Nadal możliwe są wszystkie normalne przyczyny śmierci: wypadki, choroby, głód. One nie zniknęły, przyciały się tylko w cieniu, czyhając na okazję. Dopadną mnie, jeśli nie będę ostrożny. W ostatnich dniach myślałem tylko o moich prześladowcach i prawie zapomniałem o fundamentalnej prawdzie: człowiek jest bardzo, ale to bardzo kruchą istotą.

Teraz stoję na kotwicy w porcie Bueu, w rozsądnej odległości od przystani.

Nad miasteczkiem szaleje straszna burza. Wybrzeże jest ciemne, ciche, rozświetlają je od czasu do czasu błyskawice, które na moment wydobywają z mroku sylwetki budynków, nadając im fantasmagoryczne kształty, a huk grzmotów wprawia w drgania całą łódź.

Wiem, że są tam, na brzegu. I wiedzą, że przyplłynąłem. Ale nie to jest najgorsze.

Najgorsze, że zdałem sobie sprawę, iż potrzebuję czegoś, bez czego nie mogę się obejść. I że aby to zdobyć, będę musiał zejść na ląd.

Dokładnie tam, gdzie znajdują się oni. Znowu będę pośród tamtych. W paszczy lwa.

16 lutego. Godzina 10.13

Wpis 54

Nigdy nie przepadałem za deszczem, co tu, w Galicji, gdzie opady stanowią nieodłączny element krajobrazu, jest dosyć absurdalne. Ale dziś, kiedy patrzyłem na oberwanie chmury nad małym portowym miasteczkiem, utwierdzałem się w przekonaniu, że w gruncie rzeczy może to i lepiej, że leje. Myślę, że nieraz jeszcze na tym skorzystam.

Pada od prawie dwunastu godzin. Burza i wiatr chłoszczą całe wybrzeże. Skłębione morze ma złowieszczy stalowoszary kolor, który zwykle skłania łodzie do pozostania w porcie, a żeglarzy do wypicia czegoś ciepłego w tawernie. Tyle że, o ile mi wiadomo, nie ma już łodzi ani żeglarzy, przynajmniej żywych.

„Korynt”, chociaż bezpieczny za falochronem portu w Bueu, kołysał się gwałtownie, miotany odpryskami potężnej burzy, które docierały od morza aż tutaj. Porywisty wiatr szarpał takielunkiem i niósł istne ściany deszczu. Luki odpływowe nie były w stanie odprowadzić nadmiaru wody, która gromadziła się na pokładzie. Strumienie deszczu pozwalały zobaczyć zaledwie zarysy domów na brzegu. Pięć minut na zewnątrz wystarczało, żeby przemoknąć do suchej nitki. Jednym słowem, pogoda pod zdechłym psem.

Ale taka pogoda była mi na rękę. Odgłosy wiatru i ulewy zagłuszą hałas, jakiego narobię na lądzie. A ściana wody ograniczy widoczność. Pomyślałem sobie, że tym razem warunki atmosferyczne są moim sprzymierzeńcem.

Zresztą nie miałem wyjścia: musiałem zejść na brzeg. Pilnie potrzebowałem map morza. Uciekinierzy, którzy opanowali „Korynt”, nie mogli uprowadzić łodzi, ale przeszukali ją dokładnie i wynieśli wszystko, co uznali za przydatne, w tym mapy, które powinny znajdować się w schowku obok stołu nawigacyjnego. Bez nich groziło mi, że utknę na mieliźnie albo wpadnę na podwodne skały w zatoce, nad którą leży Vigo. Poza tym w czasie pospiesznej ucieczki ktoś próbował wyrwać wbudowany w konsolę sterową GPS, ale zdołał jedynie potłuc ciekłokrystaliczny ekran. GPS do niczego się już nie nadawał, a ja musiałem dysponować takim, który działa. Nawet gdybym w drodze do Vigo miał poruszać się tylko wzdłuż wybrzeża, doświadczenie z Tambo nauczyło mnie, że nie wolno być niczego pewnym. Może przyjdzie mi popłynąć dalej, więc powinienem się do tego przygotować.

Oprócz tego musiałem uzupełnić zapasy, które coraz bardziej się kurczyły. Ja wytrzymałbym jeszcze kilka dni na zmniejszonych o połowę racjach żywnościowych, ale Lukullus patrzy na mnie zgorzony, obwąchując skąpe porcje, które mu wydzielałem. Nie wiem, co sobie o tym wszystkim myśli, ale jestem pewien, że tak naprawdę mojego małego przyjaciela bardziej martwi katastrofalny stan naszej spiżarni niż strach, wstrząsy czy zmoczone futerko. Nie chciałbym mieć buntu na pokładzie, nawet kociego.

Trzeba przyznać, że znosi wszystko bardzo dzielnie, czym zaskarbił sobie moją wdzięczność. Jest moim jedynym towarzyszem od ponad miesiąca i gdyby nie on, pewnie byłbym na najlepszej drodze, żeby postradać zmysły z powodu tłoczących się wszędzie tamtych.

Podjąłem już decyzję. Pozostało mi jeszcze obmyślenie jakiegoś planu, ale szczerze mówiąc, perspektywa jego realizacji była naprawdę przerażająca. Nie miałem pojęcia, jak wyglądają ulice niewidoczne z pokładu. Nie wiedziałem, co czeka mnie za pierwszym rogiem. Dlatego mój plan ograniczał się do tego, by

dotrzeć do brzegu, zdobyć potrzebne rzeczy, robiąc przy tym możliwie jak najmniej hałasu, i spieprzać stamtąd ile sił w nogach. Resztę trzeba będzie improwizować na bieżąco.

Wdziałem kombinezon z neoprenu, zabrałem glocka, dwa magazynki i kuszę z czterema stalowymi strzałami. Opróżniłem plecak w kajucie i założywszy go na grzbiet, zszedłem do pontonu, który kołysał się na wodzie przywiązany do „Koryntu”. Był do połowy wypełniony wodą. Nie zwracając uwagi na zimno ogarniające mnie od stóp, w miarę jak przemiękały mi buty, powiosłowałem ostrożnie w kierunku opustoszałego brzegu, w stronę pomostu.

Woda w porcie, zwykle mętna i oleista, wydawała się dziwnie czysta. Wiosłując, myślałem, jak niewiarygodnie może zmienić się środowisko po prawie miesięcznej nieobecności człowieka. W tych dniach nie widywałem zwierząt, z wyjątkiem ptaków. Są ich setki, głównie mew. Poczujęm dreszcz na plecach, kiedy przypomniałem sobie, że mewy żywią się nie tylko rybami; to także padlinożercy. Ostatnio nie brakuje im pożywienia, nie muszą go łowić. Nastały dla nich tłuste lata.

Dotarłem wreszcie do schodków prowadzących na pomost. Przywiązałem ponton do pachołka i po cichu wspiałem się po stopniach na górę. Omiotłem molo szybkim spojrzeniem. Było puste. Burza przybierała na sile. Szum deszczu i świst wiatru hulającego po ulicach nakładały się na łoskot grzmotów, które huczały w tle w równych odstępach czasu. To była straszliwa burza. Wiatr chłostał mnie po twarzy, zalewając oczy deszczem. Nic nie widziałem ani nie słyszałem na odległość większą niż pięć metrów. Wymarzona pogoda.

Ostrożnie poszedłem moim aż do budynku giełdy towarowej. Oparłem się plecami o ścianę i wysunąłem głowę za róg. Zobaczyłem dwoje tamtych, młodego mężczyznę i kobietę w starszym wieku. Stali nieruchomo na środku deptaka, mieli dziwnie smutny wygląd. Deszcz lał się na nich strumieniami i przyklejał im ubrania do ciał. Po prawie miesiącu przebywania pod gołym niebem odzienie tych osobników jest coraz bardziej zniszczone. Budzą niepokój swoim wyglądem, przypominają bohaterów horroru, którzy właśnie zeszli z

ekranu.

Jakby wcześniej wyglądali inaczej. Trzeba się z tym, cholera, oswoić.

Przyklejony do ściany zacząłem przesuwać się dalej, z kuszą i pistoletem gotowymi do strzału. Minąłem ich w odległości niecałych czterech metrów, ale mnie nie dostrzegli. Szedłem pod osłoną burzy, w coraz gęstszej ciemności i deszczu, a jednak wyczuli moją obecność. Jestem tego pewien.

Kiedy przechodziłem obok nich, mając nerwy napięte niczym struna, sprawiali wrażenie, jakby zaczęli wychodzić z transu. Poruszali się niespokojnie, obracali na wszystkie strony, próbując mnie zlokalizować. Wydaje się, że po przekroczeniu progu śmierci ich zmysły uległy wyraźnemu przytępieniu, rozwinęli za to w sobie swoistą umiejętność wyczuwania żywych istot. Zorientowali się, że tu jestem. Blisko. Bardzo blisko. Ale nie wiedzą, gdzie dokładnie. Wcześniej czy później i tak mnie odnajdą. Musiałem działać, i to bardzo szybko.

Przemykałem ulicą pod ścianami domów, kucając od czasu do czasu między porzuconymi na jezdni samochodami, i tak dotarłem do znanego mi sklepu z akcesoriami żeglarskimi. Kiedy znalazłem się na miejscu, uświadomiłem sobie dwie rzeczy. Po pierwsze – krata w sklepie była opuszczona. Co za idiota ze mnie...! Nie pomyślałem o tym wcześniej. Jak, do cholery, miałem podnieść kratę bez prądu i bez klucza?

Po drugie niepostrzeżenie nadeszło kilkunastu tamtych. Pojawili się na ulicy zwabieni moją obecnością, którą nie wiem jak odkryli.

Musiałem znaleźć jakieś rozwiązanie. Jak najszybciej. Nagle je dostrzegłem. Przy ścianie sklepu, na podjeździe sąsiedniego domu od strony portu, stała zaparkowana furgonetka. Wdrapałem się na maskę, a potem na dach. W tym deszczu było to trudniejsze, niż sądziłem, kilka razy o mało nie zleciałem na bruk. Wpadłem w panikę, a tamci byli coraz bliżej. Musiałem wejść na górę. Cholera.

W końcu udało mi się wgramolić na dach furgonetki. Od balkonu na pierwszym piętrze, dokładnie nad sklepem, dzielił mnie niecały metr.

Podskoczyłem i wciągnąłem się na górę, niemal tracąc równowagę na śliskim, pokrytym mchem występie. Ciężko dysząc, osunąłem się na taras. Przeszkłone drzwi były zamknięte. Stukłem szybę kolbą pistoletu. Miałem wrażenie, że słyszano mnie w całej okolicy, choć szum ulewy zagłuszał wszelkie dźwięki.

Drzwi balkonowe obróciły się lekko na zawiasach, nie robiąc żadnego hałasu. W środku dostrzegłem masywne drewniane meble wyglądające na bardzo stare. Kiedy przekroczyłem próg, w nozdrza uderzyło mnie ciężkie powietrze zamkniętego pomieszczenia z dodatkiem jakiegoś innego zapachu.

Słyszając własny nierówny oddech, ruszyłem w stronę drzwi pokoju, który okazał się sypialnią z antycznym, monstrualnie wielkim łóżem ozdobionym baldachimem. W całym domu czuć było wilgoć i zaduch typowy dla zamkniętych pomieszczeń, ale wychwyciłem też lekką woń zgnilizny, czegoś w stanie rozkładu. Przygotowałem się na najgorsze. Doszedłem do drzwi, wyciągnąłem rękę w stronę gałki ze rżniętego kryształu i nabierając głęboko powietrza, szybko ją przekręciłem, jednocześnie odskakując do tyłu.

No i nic. Tylko następny tonący w ciemnościach pokój. Zdrętwiałymi palcami znalazłem na dnie pustego plecaka latarkę. Poświeciłem sobie i wszedłem do środka. Słyszałem szum deszczu i wody płynącej rynnami, a w tle od czasu do czasu potężne grzmoty, od których dudniło w całym domu. Burza przechodziła akurat dokładnie nad tym maleńkim miasteczkiem. Przyznam szczerze, że umierałem ze strachu.

Z sąsiedniej jadalni wychodziło się do małego holu z prowadzącymi na parter schodami. Przypuszczałem, że mieszkanie i sklep żeglarski są jakoś ze sobą połączone. Może należały do tego samego właściciela. Skąd niby miałem to wiedzieć? W każdym razie, kiedy stanąłem na pierwszym stopniu i już miałem zacząć schodzić, usłyszałem odgłos, który nie miał nic wspólnego z burzą. Coś w rodzaju nieustającego rytmicznego postukiwania, któremu towarzyszyły... dzwoneczki?

„Stuk, stuk, stuk, stuk, stuk, stuk!” I nagle przerwa. A potem znowu, z tymi cholernymi dzwoneczkami w tle. Można było zwariować!

Ten dźwięk nie dochodził z dołu. Dobiegał z tego samego piętra. Z głębi mieszkania. Mogłem go zignorować, zejść po schodach, ukraść to, co było mi potrzebne, i wyjść tą samą drogą, którą przyszedłem, ale jestem człowiekiem. A ludzie oprócz tego, że są irracjonalni, głupi i nieprzewidywalni, przede wszystkim są ciekawscy. Chciałem wiedzieć, co to, do cholery, za dźwięk, musiałem sprawdzić, co to, do kurwy nędzy, było. Dlatego robiąc w portki ze strachu, ściskając glocka w prawej dłoni i latarkę w drżącej lewej, zawróciłem i przeszedłem na drugą stronę domu.

Minąłem salonik, gdzie stał wyłączony telewizor, były dwie kanapy i mały stoliczek, na którym leżało kilka czasopism sprzed ponad dwóch miesięcy oraz porzucone druty z zaczętą robótką. Pomieszczenie miało w głębi drugą parę drzwi. Dźwięk dochodził tu wyraźniej. Podeszedłem bliżej i przyłożyłem oko do dziurki od klucza. Kompletnie nic nie było widać, za to smród zgnilizny wydawał się bardziej intensywny. Trzymając latarkę w ustach, szarpnąłem za klamkę. Zobaczyłem następny korytarzyk, krótszy, z dwójgiem drzwi.

„Stuk!” Dźwięk zabrzmiał mocno, wyraźnie, głośno. Powiew zgniłego powietrza zaatakował moje nozdrza. „Stuk!” Zrobiłem dwa kroki i wyszedłem ostrożnie na korytarz, starając się powstrzymać odruchy wymiotne. Smród przyprawiał o mdłości. „Stuk! Stuk!” Kierując światło latarki we wszystkie kąty, sprawdziłem, że korytarz jest pusty. Zobaczyłem tylko kilka starych litografii z widoczkami morskimi i dwie pary drzwi. Jedne z nich były uchylone, odgadłem, że za nimi jest łazienka. Pchnąłem je delikatnie. Kiedy otwierały się ze zgrzytem, omiotłem snopem światła całe pomieszczenie. Puste.

„Stuk! Stuk! Stuk! Stuk!” Skrzypienie zawiasów w łazience sprawiło, że za drugimi, zamkniętymi drzwiami, dzwonki i uderzenia rozległy się ze zdwojoną siłą. To nie brzmiało jak mechaniczne dźwięki. Ktokolwiek tam był, usłyszał mnie. Wstrzymując oddech, stanąłem przed progiem.

Jeszcze miałem czas. Jeszcze mogłem się odwrócić i odejść. Cokolwiek to było, wiedziałem, że tam jest i że jeszcze nie wyszło. Albo nie mogło, albo nie miało ochoty mnie zobaczyć. Szczerze mówiąc, ja też nie miałem. Ale musiałem

się dowiedzieć, co to, kurwa, takiego, chwyciłem więc klamkę i silnym szarpnięciem otworzyłem przeklęte drzwi.

Jezu! Jeszcze teraz przechodzą mnie dreszcze. Ten nieszczęsny pokój musiał być kiedyś główną sypialnią. W świetle błyskawic przedostającym się przez do połowy spuszczone żaluzje dostrzegłem ogromne łoże przykryte lnianą narzutą. U jego stóp leżały zwłoki kobiety w trudnym do określenia wieku wydzielające piekielny smród. W dłoniach trzymała wycelowaną do góry strzelbę. Włożyła sobie lufę do ust i pociągnęła za cyngiel. Z górnej części jej głowy nie zostało absolutnie nic. Musiała być martwa od co najmniej trzech tygodni. Skierowałem światło w stronę tego, co kiedyś było twarzą, i zobaczyłem wielkie białe robaki wychodzące z resztek ust. Zemdliło mnie, pochyliłem się w rogu pokoju i zacząłem wymiotować. Miałem wrażenie, że trwa to całą wieczność. Mój drobny wkład w tę piekielną scenografię.

„Stuk!” Słyszając ponowne stuknięcie, błyskawicznie się wyprostowałem. Z ust zwisał mi jeszcze zaprawiony żółcią śluz. Zaświeciłem latarką w kąt pokoju i wtedy je zobaczyłem. Malutkie dziecko. Miało na sobie dżinsowe ogrodniczki. Siedziało bez bucików w foteliku do karmienia niemowląt, mocno przywiązane paskami.

Było jednym z nich.

W świetle latarki zaczęło podrygiwać i uderzać fotelikiem o ścianę, wydając dźwięki, które słyszałem wcześniej. Przywiązane z przodu krzeselka grzechotki dzwoniły, kiedy patrzące pustymi, martwymi oczami dziecko wyciągało rączki, próbując mnie chwycić. Obłąkańczy spektakl.

Ze wstrętem cofnąłem się w kąt, obserwując małego potworka. Kobieta, która leżała u moich stóp, musiała być jego matką. Jej synek złapał jakimś sposobem wirusa, a ona nie mogła się z tym pogodzić. Kiedy zobaczyła, w co się przekształca, nie miała chyba odwagi, by go zabić, ale też by dalej żyć. Zamknięta w tym domu, zrozpaczona, samotna, strzeliła sobie w końcu w głowę. Potworek musiał być przywiązany do fotelika od wielu tygodni. Uwięziony na zawsze, nie był w stanie się uwolnić i szukać – jak wszyscy jego

bracia – ciepłej krwi i żywych istot.

Monstrum nie przestawało się kiwać, zaalarmowane moją obecnością. Zachowując resztki spokoju, przyłożyłem kuszę do policzka i wycelowałem w głowę dziecka. Z jego ciemnych ust wydobył się cichy pomruk, któremu towarzyszył paskudny odór. Zaczęło się wiercić, jakby chciało mnie przestraszyć. Zdałem sobie sprawę, że łzy spływają mi po twarzy, kiedy drżąc na całym ciele, mierzyłem w jego stronę. Zamknąłem oczy.

Strzeliłem.

Wiem, że postąpiłem właściwie, ale nie mogę pozbyć się myśli, że zabiłem niemowlę. To najstraszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem; będzie mnie prześladować do końca życia.

Jednym ruchem wyszarpnąłem zakrwawioną strzałę i wytarłszy ją o ubranie martwej kobiety leżącej na podłodze, wyszedłem chwiejnym krokiem z pokoju, który zasługiwał na miano piekła. Musiałem się pozbierać. Poszedłem tam w określonym celu. Byłem na miejscu. Musiałem działać. Dla siebie. Dla Lukullusa. Po to, żeby zobaczyć, jak wstaje nowy dzień. Otarłem łzy i skierowałem się w stronę zejścia do sklepu.

Było ciemno. Cholernie ciemno.

Schody prowadzące na parter tonęły w mroku, niczym wlot tunelu. Snop światła latarki pozwalał dostrzec drewniane stopnie ginące gdzieś w dole i wymyślne kształty poręczy z kutego żelaza. Jeszcze się trząsałem, a w ustach czułem gorzki smak żółci. Język miałem jak wiór, potwornie suchy. W tamtym momencie byłbym gotów zabić za szklankę wody.

Zacząłem ostrożnie schodzić. Stopnie skrzypiały pod moim ciężarem, wydając głośnie jęki. Na zewnątrz burza rozszalała się na dobre. Wiatr dmuchał wściekle, a światło piorunów nadawało przedmiotom fantasmagoryczne kształty. Sceneria godna kinowego horroru. Tyle tylko, że to nie był żaden film, do cholery. A ja tkwiłem w samym środku tego gówna. Nagle poczułem przemożną chęć, by zawrócić, wybiec stamtąd co sił w nogach i schronić się na „Koryncie”, ale takie wyjście nie wchodziło w rachubę. Już nie.

W końcu dotarłem na parter. Z boku były drzwi. Zamknięte na klucz, ale ten wisiał na okrągłej klamce. Kiedy go przekręciłem, rozległo się głośnie „klik” i zamek ustąpił. Bingo.

Bardzo ostrożnie wsunąłem głowę do środka i wycelowałem latarkę w znajdujący się w pobliżu niewyraźny kontur. Światło wydobyło z mroku regał, na którym zobaczyłem mnóstwo kołowrotek do wędek ułożonych w równych rzędach. Byłem w sklepie żeglarskim. Znakomicie. Z większą pewnością siebie zrobiłem kilka kroków w głąb, omiatając snopem światła pozostałe regały i dokonując w myśli błyskawicznego przeglądu mojej listy zakupów. Nie powinienem zbyt długo tu marudzić. W kącie dostrzegłem kilka rodzajów upręży bezpieczeństwa dla żeglarzy. Po wypadku, jaki mi się przydarzył, kiedy płynąłem do Bueu, pomyślałem, że będzie to bardziej niż rozsądny „zakup”. Odłożywszy na półkę pistolet, kuszę i odwróconą w moją stronę latarkę, zacząłem dobierać rozmiar, całkowicie pochłonięty tą czynnością. Mało brakowało, a przypłaciłbym to życiem.

Pęk stojących w kącie wędek runął z hukiem, pchnięty parą jasnoblękitnych dłoni. Zza nich wyłoniła się reszta śmiertelnie bladego, widmowego ciała należącego do mniej więcej czterdziestoletniego mężczyzny o martwym wyrazie oczu i półotwartych ustach. Jednego z nich.

Stałem za blisko, a on był zbyt szybki. Rzucił się na mnie, zanim zdążyłem zdać sobie z tego sprawę. Broń leżała za daleko, żebym mógł z niej skorzystać. Jego ręce niczym szpony wbiły się w moje ramię, siłą rozpędu popchnął mnie do tyłu. Pozbawiony oparcia zachwiałem się i runąłem plecami na gablotę, pociągając potwora za sobą.

Z łoskotem wylądowaliśmy na podłodze pośród mnóstwa kompasów. Nie mogłem się od niego oderwać. Zdołałem unieruchomić mu dłonie, a dzięki zgiętej w kolanie nodze utrzymywałem jego usta w pewnej odległości od mojej głowy. Miał obłąkany wyraz twarzy, otwierał i zamykał szczęki, kłapiąc wściekle zębami. Był bliski odgryzienia mi nosa. Zbyt bliski.

Mój umysł pracował na pełnych obrotach. Sukinsyn leżał na mnie, a swoje

ważył. W dodatku był dość silny, a nie wiedziałem, czy ci osobnicy w ogóle się męczą. Ja oczywiście tak. Zacząłem odczuwać skurcze w ramionach. Sytuacja stawała się beznadziejna.

Ostatkiem sił przekręciłem się na prawą stronę. Ciało tamtego uderzyło z łoskotem o podstawę leżącej obok gabloty, której stalowy róg wbił mu się w plecy. Każda istota ludzka skrzyłaby się z bólu po czymś takim, ale on chyba w ogóle tego nie zauważył. Odrażający typ.

Leżeliśmy teraz na boku, niczym para splecionych uściskiem kochanków, tyle że tamten nie zachowywał się tak, jakby poszukiwał doznań zmysłowych. Po obrocie jego ręka została uwięziona pod moim ciałem. Czułem, że próbuje przebić mi paznokciami skafander, ale na szczęście neopren był zbyt gruby, a on leżał w zbyt niewygodnej pozycji, by mu się udało.

Za to ja miałem teraz jedną rękę wolną. W całym tym zamieszaniu latarka spadła i zgasła. Zapanowała ciemność. Macając na oślep, przesuwałem dłonią po półkach za moją głową i próbowałem coś znaleźć, cokolwiek. Zahaczyłem o jakiś walcowaty, ciężki przedmiot. Z całej siły uderzyłem nim w skroń przeciwnika. Nie wyglądało na to, żeby cokolwiek poczuł. Walnąłem kolejny raz, potem jeszcze jeden. Na próżno. Wiedziałem już, że te skurwysyny nie tracą przytomności od uderzenia w czaszkę, ale w tamtym momencie owa wiedza nie mogła mi pomóc w uratowaniu życia. Po zadaniu ostatniego ciosu coś się jednak wydarzyło.

Poczułem, że spływa na mnie jakaś ciekła, śliska, lepka substancja. Najpierw uznałem, że tamten krwawi, ale ciecz wydawała się zbyt gęsta i było jej zbyt dużo. Potem przyszło mi do głowy, że może na mnie wymiotował. Obrzydzenie na myśl o tym, co mógł zwrócić, pomogło mi wykrzesać z siebie resztkę sił. Puściłem jego drugą rękę i uwolniłem się, odpychając go zgiętą nogą. Siła odrzutu sprawiła, że z zadziwiającą prędkością odjechałem ślizgiem do tyłu i z impetem wyrznąłem głową w drugi rząd regałów.

Zobaczyłem wszystkie gwiazdy. Przed oczami przedfilował mi milion białych, zielonych, czerwonych i niebieskich punkcików. Kiedy wstałem,

ślizgając się na mokrej podłodze, usłyszałem, że tamten pada mniej więcej półtora metra ode mnie. Oparłem się o regał i zdałem sobie sprawę, że to ten sam, na którym zostawiłem swoje rzeczy. Desperacko macając, szukałem broni i modliłem się, żeby nie leżała na ziemi razem z latarką. W tym czasie za moimi plecami potwór bezskutecznie próbował stanąć na nogi.

Krople potu spływały mi po czole. Nagle natrafiłem palcami na znajomy kształt kolby glocka. Odwróciłem się i strzeliłem po ciemku.

Wystrzał zabrzmiał w zamkniętej przestrzeni sklepu niczym odgłos działa. Dzwoniło mi w uszach. Umysł próbował przyswoić sobie to, co zobaczyłem w błysku pierwszego wystrzału. Wycelowałem dokładniej w niewyraźną sylwetkę i trzykrotnie nacisnąłem spust, raz za razem.

Pomieszczenie wypełniły huk broni i zapach prochu. Tamten przestał się ruszać, tak po prostu. Ciężko dysząc, mierzyłem z glocka we wszystkie strony i usiłowałem przebić wzrokiem ciemności. Schyliłem się i zacząłem po omacku szukać latarki. Potrząsnąłem nią mocno i zadowolony stwierdziłem, że nie słychać, żeby była rozbita. Zapaliłem ją ponownie i rozejrzałem się dookoła.

Otoczenie wyglądało tak, jakby przeszedł tamtędy huragan. W wyniku szarpaniny połowa gablot przewróciła się na podłogę albo została przesunięta. Trup tamtego leżał pod ścianą, jakby spał. Na środku czoła miał olbrzymią czarną dziurę, z której bezustannie płynęła krew. Podłogę pokrywała warstwa gęstej oleistej substancji. Zaskoczony przykucnąłem, żeby spojrzeć na nią z bliska, i dopiero wtedy zrozumiałem, co się wydarzyło.

Uderzyłem tamtego w głowę puszką z olejem do silnika jachtowego. Kiedy wykorzystałem ją jako młotek, odpadło wieczko i wylała się na nas cała zawartość (to były te rzekome „wymiociny”, które niedawno czułem na sobie). Właśnie dzięki niej odsunąłem się ślizgiem tak daleko. I również dzięki niej potwór przewrócił się kilkakrotnie, dając mi czas na znalezienie broni. Zwykła puszka uratowała mi życie. Jest w tym jakaś ironia losu.

Byłem pokryty od stóp do głów olejem silnikowym. Musiałem wyglądać dość ponuro, stojąc pośrodku tego rumowiska wysmarowany ciemną lepką

substancją. W miarę jak adrenalina przestawała buzować w moim organizmie, zaczynało do mnie docierać, że żyję dzięki zwykłemu przypadkowi. Gdyby nie ta puszka i gdyby nie celny strzał, ten sukinsyn potraktowałby mnie jak przekąskę i zostałbym jednym z nich. Znowu poczułem odruchy wymiotne. Nie miałem już jednak czego zwracać.

To musiał być ojciec dziecka znalezionego na górze. Teraz zrozumiałem, w jaki sposób malec został zarażony. Kobieta zamknęła męża na dole, w sklepie, kiedy zobaczyła, w co się zamienił, i uciekła z synkiem na górę, nie wiedząc, że już wydano na nie wyrok. Niezłe szambo.

Krata była spuszczone i wyglądało na to, że nikt więcej nie włączy się na parterze. Ale odgłos wystrzałów przyciągnął tłumek, który cisnął się po drugiej stronie kraty i walił w nią na oślep.

Miałem teraz do wykonania trzy zadania. Zabezpieczyć teren, poszukać rzeczy, po które przyszedłem, oraz znaleźć sposób, żeby uciec z tego domu wariatów. Musiałem się spieszyć.

22 lutego. Godzina 18.15

Wpis 55

O ile dobrze pamiętam, to Roosevelt powiedział, że jedynym, czego powinniśmy się bać, jest sam strach. Od razu widać, że nigdy nie ociekał adrenaliną i olejem silnikowym zamknięty w ciemnym sklepie w odległości zaledwie dwóch metrów od potworów walących w kratę w drzwiach i marzących o tym, by go zabić. Na pewno on też by się bał. I to bardzo. Pieprzony dupek!

Zaraz po wykończeniu tamtego zdałem sobie sprawę z powagi sytuacji. Osunąłem się wyczerpany i drżący na stos płaszczy przeciwdeszczowych, nie mogąc oderwać wzroku od kraty, która drżała za każdym razem, kiedy jeden z tych na zewnątrz uderzał w nią pięścią. To było przerażające.

Nie słyszałem niczego innego, nawet grzmotów. Wyglądało na to, że burza rozeszła się, wyładowawszy całą swoją złość. Tylko bezustanne bulgotanie

wody w studzienkach odpływowych przypominało o nawałnicy, która przeszła nad Bueu, kiedy walczyłem o życie ze strzępem leżącym teraz na podłodze.

Wstałem z wielkim trudem, opierając się o regał za plecami. Ostrożnie obszedłem pomieszczenie, a potem, mając wszystkie zmysły postawione w stan gotowości, przeszukałem cały parter, by upewnić się, że nie spotka mnie już żadna niespodzianka. Wszędzie panował spokój. Nie było innych drzwi, znalazłem tylko niewielką ubikację i składzik, w którym leżały porządnie ułożone sterty najrozmaitszych towarów. Nic nadzwyczajnego, nie licząc rdzawej plamy z utlenionej krwi w kącie magazynu, gdzie, jak się domyślałem, facet, który mnie zaatakował, przeszedł przeobrażenie. Sam, po ciemku, porzucony jak pies... Na myśl o tym ciarki przeszły mi po grzbiecie.

Nie miałem wiele czasu. Za kilka minut tamci mogli otoczyć cały dom, a to oznaczałoby dla mnie wyrok.

Szybko załadowałem do plecaka dwa pełne zestawy map morskich wybrzeży Hiszpanii i Afryki Północnej, jeden naszej marynarki wojennej, drugi admiralicji brytyjskiej (nadal należą do najlepszych). Przywłaszczyłem sobie również wysokiej jakości GPS z podłączeniem do plotera, dwa kompasy, kilkadziesiąt baterii do latarki, race sygnalizacyjne, wędkę teleskopową, pudełko haczyków, żyłki, uprząż ratunkową i zapasowy kombinezon z neoprenu, na wszelki wypadek. Na ladzie leżały wystawione kusze różnych rodzajów. Wybrałem znakomity model firmy Omersub i drugi, z włókien węglowych, firmy Beuchat, a także dwa tuziny stalowych długich strzał o złowieszczym wyglądzie. Jeśli mam być szczery, z trzema załadowanymi kuszami czułem się pewniej niż z jedną.

Opuściłem sklep z wypchanym plecakiem i przewieszonymi przez pierś kuszami. Na schodach prowadzących na piętro dostałem ataku histerycznego śmiechu, nad którym nie potrafiłem zapanować. Nie mogłem przestać myśleć, że z kuszami, plecakiem, w zniszczonej i podartej piance, skąpany w oleju i umazany krwią, musiałem wyglądać na maniakałnego miłośnika horrorów.

Na piętrze poszedłem do kuchni, żeby sprawdzić, czy znajdę tam coś

przydatnego. Ostatnią rzeczą, o jakiej marzyłem, było bieganie po całym miasteczku i szukanie otwartego albo nieograbionego jeszcze sklepu, tak by nie spotkać żadnego potwora. Kiedy opuszczałem swój dom w Pontevedrze, zastanawiałem się, czy zanim ruszę do portu, nie powinienem odwiedzić najbliższego centrum handlowego, by zrobić zapasy żywności, ale zdałem sobie sprawę, że w ostatnich dniach istnienia Bezpiecznej Strefy na ten sam pomysł wpadły bez wątpienia tysiące ludzi. Najprawdopodobniej splądrowano już wszystkie większe powierzchnie handlowe w kraju, zarówno te niekontrolowane, jak i wojskowe, żeby nakarmić tłumy w Bezpiecznych Strefach. Tej żywności, o ile w ogóle jeszcze istniała, już tam nie było; pozostawała poza moim zasięgiem.

Na szczęście domowa spiżarnia okazała się zaopatrzona całkiem nieźle, zwłaszcza w makarony, konserwy, sos pomidorowy, znalazłem też trochę ryżu i mąki pszennej. Zabrałem również kilka paczek cukru i dwa kilo kawy. Już miałem odejść, zadowolony ze zdobyczy, kiedy w małej szafeczce odkryłem prawdziwy arsenał słoiczków z przecierami dla dzieci. Patrzyłem na nie porażony, świadom, że ten, dla kogo były przeznaczone, zginął z moich rąk niespełna godzinę temu. Na samą myśl o tym poczułem się chory.

Ze łzami w oczach zapakowałem do plecaka cały zapas zgromadzony przez matkę dziecka. Nie miałem zamiaru jeść przecierów, ale Lukullus na pewno będzie zachwycony. Zajrzałem jeszcze do barku. Wyciągnąłem stamtąd dwie butelki dzinu i – ku mojej radości – pół kartonu marlboro. Miałem ochotę upić się po powrocie na łódź, żeby móc zasnąć. Żeby zapomnieć.

Mój plecak nie był zapełniony do końca, ale i tak ważył dość dużo, więcej niż pozwalał na to rozsądek, zważywszy, że czekała mnie jeszcze droga powrotna i że musiałem wymknąć się wyjącemu na dole tłumowi. Wyjrzałem ostrożnie przez okno, którym wszedłem. Nie dam rady. Ze dwa tuziny mokrych, wyglądających jak zjawy Nieumarłych cisnęły się przed domem w szerokim na sześć metrów zaułku.

Skierowałem się zwawo do kuchni. Jej okno wychodziło na jeszcze węższą

uliczkę, która wyglądała na pustą. Wysunąłem głowę, spojrzałem w lewo i zobaczyłem morze. To będzie moja droga ewakuacyjna. Zostawiłem plecak i ponownie zszedłem do sklepu. Starając się nie patrzeć na niewyraźny kontur zwłok, odciąłem mniej więcej siedmiometrowy kawałek liny okrętowej ze zwoju, który znalazłem. Wróciłem do kuchni i przywiązałem jeden koniec do kaloryfera, drugi spuściłem przez okno. Trzeba było już tylko zsunąć się po niej i dotrzeć do końca uliczki, zanim zobaczą mnie te pijawki. Pestka.

Ale wcześniej musiałem podnieść opuszczoną do połowy żaluzję. Pośpiech sprawił, że szarpnąłem zbyt mocno. W panującej dookoła grobowej ciszy zagrzmiała niczym pistolet maszynowy.

Błyskawicznie spuściłem się na dół i ostrożnie stanąłem na ziemi, żeby znowu nie urazić stłuczonej w kostce nogi. Rzuciłem się biegiem w stronę końca uliczki, wymijając z łatwością dwoje tamtych, którzy wyrosli na mojej drodze, jedno na skrzyżowaniu, drugie za budką telefoniczną. Nawet nie przystanąłem, żeby na nich spojrzeć, po prostu przeszedłem na drugą stronę ulicy i biegłem dalej, nie oglądając się za siebie. Nie miałem odwagi. W mojej rozgorączkowanej wyobraźni kłębiły się obrazy tłumu trupów wypełniających całą szerokość jezdni, podążających za mną w ciszy, żeby otoczyć mnie w jakimś ślepych zaułku i wykończyć...

Na szczęście uliczka nie była ślepych zaułkiem, ale wychodziła na port, bo biegła równolegle do tej, którą przyszedłem. Na czworakach pokonałem falochron, żeby mnie nie zobaczyli, i powoli zbliżyłem się do miejsca, w którym zostawiłem ponton. Przebycie ostatniego odcinka zajęło mi prawie trzy razy więcej czasu i kosztowało kilka siniaków nabitych na śliskich skałach. Kilka razy się zamoczyłem i najadłem strachu. Szczerze mówiąc, o mały włos nie rozwaliłem sobie głowy. W normalnym świecie nikt przy zdrowych zmysłach nie chodzi na czworakach po skałach smaganych burzą, pokrytych warstwą śliskich alg, popychany wściekłym wiatrem. Ale to już nie jest normalny świat; to świat trupów.

Wreszcie dotarłem na miejsce, wdrapałem się na pomost i szybko

wskoczyłem do pontonu. Dniało. Wiosłowałem spokojnie po lekko wzburzonym morzu, zbliżając się do „Koryntu”, kiedy nagle krew zastygła mi w żyłach. Na pokładzie coś się poruszało! Te sukinsyny jakoś tam dotarli!

Cień na pokładzie przerwał swoją wędrówkę, jakby mnie zobaczył. Powitało mnie długie miauknięcie. Lukullus! Biedny kot, zdezorientowany, wystraszony, zaalarmowany moją długą nieobecnością, zdołał wydostać się na pokład w poszukiwaniu swojego pana. Na samą myśl o tym niemal pęka mi serce. Kiedy zbliżałem się do „Koryntu”, zalała mnie fala wdzięczności i olbrzymiej czułości: siedział na nadburciu, przemoczony i drżący z zimna, ale niezwykle z siebie dumny.

Czuwał na pokładzie przez całą burzę, czekając na mój powrót. Zuch chłopak.

Resztką sił wspiąłem się na łódź, wciągnąłem ponton i opróżniłem plecak. Wziąłem porządny prysznic i wysuszyłem dokładnie Lukullusa, który nie przestawał mruczeć, po czym obaj zasiedliśmy do kolacji w kokpicie, obserwując teraz ciche i ciemne ulice Bueu, gdzie kilka godzin wcześniej niemal straciłem życie.

Wkrótce wstanie świt. Burza ucichła. To był okropny tydzień. Czas ruszać w dalszą drogę. Ku kolejnemu celowi. Ku nadziei.

23 lutego. Godzina 18.00

Wpis 56

Całe szczęście, że jedyne lustro na pokładzie znajduje się w szafce w małej łazience – nie muszę obserwować podniecenia na mojej twarzy, coraz większego, w miarę jak „Korynt” zbliża się do Vigo.

Ostatnie godziny były intensywne, porywające, wyzwalające. Wraz z pierwszym światłem poranka podniosłem kotwicę i pozwoliłem, by łódź odpłynęła leniwie od pomostu w Bueu na środek zatoki, niesiona morskimi prądami i pływami. Pośród grobowej ciszy przerywanej jedynie krzykiem mew i kormoranów „Korynt” powoli wychodził w morze, oddalając się od brzegu.

Ranek był rzeński, słoneczny, po straszliwej burzy z poprzedniego dnia nie zostało ani śladu. Idealny dzień na żeglowanie.

Gdyby nie to piekło, z portu wypływałyby teraz łodzie rybackie, prawdopodobnie zobaczyłbym też jakąś żaglówkę z Klubu Jachtowego wymijającą slalomem ciężkie statki handlowe zmierzające do bazy morskiej w Marín. Ale wczoraj rano, kiedy szczelnie opatulony stałem na rufie z filiżanką mocnej kawy i przytrzymałem koło steru, by skierować łódź na obszar silniej smagany wiatrem, rozglądałem się naokoło i nikogo nie dostrzegłem. Wszystko było całkowicie wymarłe. Ani żywej duszy. Czułem się jak ostatni człowiek na ziemi. Bardzo niepokojące wrażenie.

Kiedy uznałem, że bryza jest wystarczająco silna, rozwinąłem genuę oraz mały fok i „Korynt” wyrwał do przodu, szybko i nerwowo, niczym koń, który zbyt długo odpoczywał w stajni. Po chwili płynęliśmy z prędkością dobrych siedmiu węzłów.

Spoglądałem na białe falki zostawiane w tyle przez łódź, kiedy na pokładzie pojawił się Lukullus. Przeciągnął się i zwinnym ruchem wskoczył mi na kolana. Odkąd przestał być małym kłębkim sierści, zrobił się bardzo niezależny, jak wszystkie koty. Ale teraz, pośród tego chaosu, wręcz nie mogę się od niego opędzić. Prawdopodobnie czuje na swój koci sposób, że wszystko uległo zmianie, i woli być blisko ostatniego elementu swego małego świata, który jeszcze nie zniknął, czyli mnie.

Jestem wdzięczny za tę metamorfozę, ale kiedy pomarańczowy pers postanawia okazać ci uczucie, staje się dokuczliwy. Bardzo dokuczliwy. Mimo wszystko jest przesłodka. I na razie to mój jedyny towarzysz.

Ranek mijał, wiatr przybliżał nas do ujścia zatoki. Bez przerwy przeczesywałem wzrokiem oba brzegi, obserwując przez lornetkę ciche miasteczka, próbowałem wypatrzeć jakieś oznaki życia. Ten widok zupełnie mnie dobił. Bueu, Combarro, Sanxenxo, O Grove... powoli przesuwały się za burtą „Koryntu”, a jedyne, co mogłem dostrzec, to ciemne, wymarłe budynki, porzucone samochody i mnóstwo tamtych błakających się bez celu po ulicach.

Wciąż się zastanawiałem, jak to możliwe, że są także w miejscach, które teoretycznie zostały ewakuowane, zanim upadły Bezpieczne Strefy.

Moim zdaniem tamci zachowują jakimś sposobem coś w rodzaju szczątkowej pamięci o tym, kim byli za życia, która każe im wracać do miejsc, gdzie wcześniej mieszkali. Nie brzmi to do końca niedorzecznie, ale równie dobrze może być kompletną bzdurą. Zważywszy jednak, że jestem jedyną żywą istotą ludzką w promieniu wielu kilometrów, zakładam, że moje teorie są najlepsze w tej części świata.

Te rozważania doprowadziły mnie do następującego pytania: jeśli w jednym z tysięcy domów rozsianych na brzegach zatoki pozostał ktoś żywy... co sobie pomyśli na widok żaglówki prującej fale w kierunku otwartego morza? Gdybym to ja utknął gdzieś w odległości dwóch kilometrów od wylotu zatoki i zobaczył przepływającą łódź, chyba pękłoby mi z żalu serce...

Na wszelki wypadek pomodliłem się w duchu, żeby nikt nie dał mi żadnego znaku z brzegu czy z okolicznych gór. Nie zdołałbym podплыnąć, żeby kogokolwiek ocalić, ale poczucie winy nie pozwoliłoby mi go zostawić i próbowałbym zrobić jakieś głupstwo, które naraziłoby mnie na niechybną śmierć.

Przemyślawszy lepiej całą sprawę, schowałem lornetkę do pokrowca i przestałem wpatrywać się w to, co nieodwołalnie zostawało w tyle. Powinienem się teraz skoncentrować na czymś znacznie bardziej produktywnym. Razem z Lukullusem od prawie dwóch miesięcy żywiliśmy się jedzeniem z torebek i puszek. Najwyższy czas urozmaicić nieco naszą dietę. Umocowałem na rufie wędkę z dwiema przynętami i usiadłem w słońcu z papierosem w ustach, rozkoszując się miłym porankiem na rybach. Zaledwie dwadzieścia minut później w wiadrze szamotało się już pół tuzina makreli, w sam raz na ruszt. Boskie uczucie. Na kilka godzin zdołałem zapomnieć o potworach, o końcu świata i o braku wieści od najbliższych. Przez kilka godzin byliśmy tylko ja, mój kot, moja łódź i morze. Cudowne.

Dopiero kiedy wszedłem do kajuty w poszukiwaniu noża do wypatroszenia

ryb i mój wzrok padł na brudny, poszarpany strój z neoprenu, ciemna chmura przesłoniła ten idealny dzień. Znoszony skafander, który kilkakrotnie uratował mi życie, kołysał się w rytmie fal na wieszaku w kącie kajuty, przypominając o całej zgniliznie i niegodziwości czekających na brzegu, zupełnie jakby mi mówił: „Nie zapominaj; wcześniej czy później musisz wrócić na ląd”. Niech to szlag.

Za to ryba usmażona na grillu zainstalowanym na rufie okazała się przepyszna. Pierwsze świeże jedzenie od tygodni. Na widok Lukullusa, który drżał ze zniecierpliwienia przed swoją miseczką, kiedy serwowałem mu makrelę, zrozumiałem sens wyrażenia „aż ślinka do ust cieknie”.

Warunki zmieniły się nieco, kiedy skręciliśmy za cyplem półwyspu Morrazo wyznaczającym południowy kraniec sąsiedniej zatoki riasowej w Vigo. Silne, dwu-, trzymetrowe fale zaczęły kolebać „Koryntem”, który okazał się prawdziwym morskim lwem. Podnosząc spinaker, osiągnąłem niebywałą prędkość dziewięciu węzłów, dziób pruł fale, wznosząc grzywy piany. Krzyknąłem. Wrzeszczałem jak szalony, z dzikim wyrazem twarzy, kiedy krople zimnej morskiej wody zalewały otwarty kokpit na rufie, mocząc mnie do suchej nitki. Cudowne uczucie.

Noc okazała się nieco trudniejsza, bo prawie nie spałem, pilnując kursu żagłówki. Ostatnie godziny były wyczerpujące, ale wspaniałe. „Korynt” w pełni podporządkował się sterowi, więc udało nam się wpłynąć do zatoki w Vigo dokładnie trasą zaznaczoną na mapie. Teraz, po prawie dwudziestu godzinach nieprzerwanej żeglugi, zarzuciłem kotwicę naprzeciwko opustoszałej plaży, przygotowując się do pokrzepiającego snu w promieniach zachodzącego słońca. Jutro o świcie pokonam ostatnie mile morskie dzielące mnie od mola Citroëna w olbrzymim porcie handlowym w Vigo. Mam nadzieję, że ci, którzy tam zostali, zgotują mi gorące powitanie.

Vigo

5 marca 2006 r. Godzina 17.38

Wpis 57

Minęło dziesięć dni od ostatniego wpisu w tym dzienniku. Przez tyle czasu nie pozwalali mi zejść na „Korynt”, żeby zabrać zeszyt i przybory toaletowe.

Moją łódź kołysał delikatnie łagodny wiatr wiejący od strony lądu, a fale odpływu pluskały leniwie wokół spiczastego kadłuba. Goły maszt chwiał się lekko przy akompaniamencie brzęku wydawanego przez stalowe pierścienie, które od czasu do czasu uderzały w aluminiowy top. A w środku tej jakże sielankowej scenerii, na pokładzie, siedziałem ja, oparty o klapę luku, z do połowy opróżnioną butelką dzinu w dłoni i oczami pełnymi łez.

Vigo było martwe. Całkowicie, absolutnie i przerażająco martwe. Trup. Kaput. Nie dostrzegłem żywej duszy z miejsca, w którym się znajdowałem, niewiele ponad dwieście metrów od przystani handlowej tego, co kiedyś było ćwierćmilionowym miastem. Owszem, na brzegach panował tłok, ale wypełniały je wyłącznie potwory. Do tej pory jeszcze nie widziałem takiej ich liczby. Były ich setki, błąkały się po instalacjach portowych, w tę i z powrotem, wśród niewyobrażalnych zniszczeń.

Cały port przypominał pole bitwy. Zwęglone samochody, olbrzymie hale przemysłowe jakby rozerwane od środka jakąś potężną eksplozją, nawet dwa porzucone transportery opancerzone wojsk lądowych z otwartymi włazami, wszystko na tle jeżącego włos na głowie krajobrazu. Wszędzie leżały setki, może tysiące trupów, częściowo spalonych, w stanie rozkładu, a pośrodku tego horroru, obojętni na to, co ich otacza, snuli się oni, Nieumarli, zwycięzcy tej bitwy.

Miałem rację. Bezpieczna Strefa w Vigo stawiała opór do końca, jako ostatni bastion w południowej części Galicji. Ale dotarłem tu zbyt późno.

Teren dookoła głównych przystani to najstraszliwszy obraz w tym piekle. Dziesiątki masztów i rei okrętowych sterczały w głębi doków, częściowo zanurzone w wodzie. Gdzieniegdzie wystawały kadłuby na wpół zatopionych

statków, dwa leżały nawet odwrócone do góry pękatym dnem i bezwstydnie pokazywały śruby.

Obrazu chaosu dopełniały zwisające z dźwigów portowych, niczym kiście dojrzałych owoców, dziesiątki ciał wisielców. Nie potrafiłem wyobrazić sobie, jakież to piekielny karnawał rozpętał się na tych pomostach niespełna dwa tygodnie temu, ale widok był dantejski, pełen grozy. Wszędzie ślady po kulach i pożarach. Z instalacji Pescanovy nie zostało nic. Zwęglone aż po fundamenty. Reszta przyprawiała o mdłości.

Zaledwie kilka godzin wcześniej, kiedy zbliżałem się do Vigo i z pokładu „Koryntu” coraz wyraźniej widziałem miasto, ogarnęło mnie złe przeczucie. Przez lornetkę zobaczyłem brzydkie szramy, które olbrzymie, niszczycielskie pożary zostawiły w wielu jego częściach. Jeszcze dymiący żar wskazywał, że to nie strażacy, ale niedawne burze zajęły się gaszeniem płomieni. Kiedy zacumowałem na wprost portu, miałem już pewność, że nikogo tu nie zastanę.

Oparłem się o klapę luku i siedziałem tak kilka godzin, zbyt ogłupiały, żeby zdobyć się na jakąkolwiek reakcję. Nie wiedziałem, co robić. Nie wiedziałem, dokąd się udać. W głowie kłębiły mi się straszliwe czarne myśli. To, co widziałem, było zbyt wstrząsające, żeby mogło dziać się naprawdę.

Dopiero jakiś czas później, po solidnej dawce alkoholu i współczucia dla samego siebie, dostrzegłem jedyny element niepasujący do tej całej scenerii. Mniej więcej sześćset metrów od brzegu stał zakotwiczony jak gdyby nigdy nic stary olbrzymi statek towarowy, czerwony z białą nadbudową. Głębokie bruzdy wyżarte rdzą przecinały linię wodną, zresztą cały wygląd frachtowca wskazywał, że ma za sobą ciężkie chwile. Mimo to przetrwał w jednym kawałku, a przede wszystkim był poza „Koryntem” pierwszą jednostką utrzymującą się na wodzie, którą ujrzałem, odkąd wypłynąłem z Pontevedry. Sama jego obecność w tym miejscu przeczyła wszelkiej logice.

Przypuszczam, że tym, co skłoniło mnie, żebym do niego podpłynął, był brak możliwości zrobienia czegokolwiek innego. Bez specjalnego entuzjazmu, korzystając ze sprzyjającej mi łagodnej bryzy, podniosłem kotwicę i

pozwoleń, by „Korynt” w żółwym tempie zbliżył się do tej ogromnej bryły. Ja tymczasem zastanawiałem się, jak wejść na pokład, żeby ukraść trochę zapasów żywności.

Wkrótce dostrzegłem nazwę statku i jego portu macierzystego. „Zaren Kibish – Nassau”, głosiły olbrzymie, wytarte białe litery na rufie. Z topu grotmasztu zwisała hiszpańska flaga, zwiotczała i wystrzępiona, a z głównego masztu – kawał szmaty tak wyblakłej i wygniecionej, że mogła reprezentować każde państwo na świecie, jeśli to w ogóle była flaga. Tuż obok sterczał maszt radarowy z nieruchomą anteną.

Kiedy podpłynąłem bliżej, zobaczyłem pod światło dziwny statyw, który bezsensownie wystawał z burty. Co to, do diabła, takiego? Nagle statyw się podniósł i krzycząc, zaczął biegać po pokładzie. Przez chwilę miałem wrażenie, że zwariowałem. Sekundę później uświadomiłem sobie, że to, co wziąłem za konstrukcję ze stali, w rzeczywistości było ludzkimi nogami przewieszonymi przez burte. Ludzkie nogi. Nogi żywej istoty. Czyjeś nogi, na Boga!

Przez moje ciało przeszedł jakby prąd. Wydałem z siebie okrzyk wojenny, którego pozazdrościliby mi Komancze, i pobiegłem na rufę, machając rękami jak wariat. Wkrótce do pierwszej postaci dołączyły dwie kolejne, a za nimi pojawiło się jeszcze co najmniej pół tuzina osób.

Łzy ciekły mi po policzkach, kiedy podpływałem „Koryntem” do burty „Zaren Kibish”. Wiązałem liny żagli i przygotowywałem odbojnice do zamortyzowania zderzenia z kadłubem frachtowca, nie przestając myśleć, kim będą pierwsze spotkane od wielu tygodni ludzkie istoty.

Z góry zrzucili mi dwie liny, którymi przywiązałem „Korynt” od strony rufy i dziobu. Potem spuścili sznurkową drabinę, po której wspiąłem się jak małpa, chcąc jak najszybciej znaleźć się na statku i uściskać nowych przyjaciół.

Ku mojemu zdziwieniu pierwsze, co zobaczyłem, kiedy postawiłem nogę na pokładzie i podniosłem głowę, były dwie czarne lufy karabinów automatycznych celujące w moją twarz. A za nimi grupka nieprzyjaźnie nastawionych facetów wyglądających na cudzoziemców.

Dotarłem na „Zaren Kibish”. I nie zostałem dobrze przyjęty. Coś tu było nie tak.

6 marca. Godzina 17.26

Wpis 58

Promienie słońca padały pionowo na pokład „Zaren Kibish” i odbijały się od jego stalowych płyt. Stałem nieruchomo, czujnie obserwując zachowanie załogi. Po plecach ciekł mi pot i nie wiedziałem dokładnie, czy z gorąca, czy ze strachu.

Wygląd tych mężczyzn budził wielki niepokój. Co najmniej połowa z nich miała wyraźnie azjatyckie rysy, a druga przypominała objeżdżającą świat delegację ONZ. Podniosłem ostrożnie ręce, żeby pokazać, że nic w nich nie mam, i przywitałem się po hiszpańsku nieśmiałym „dzień dobry”. Wyraz ich twarzy pozostał niezmienny. Spróbowałem przedstawić się we wszystkich znanych mi językach, po angielsku, potem po galisyjsku, portugalsku i francusku, ale nie podnieśli nawet brwi.

Sytuacja zaczynała być groteskowa. Tuzin facetów smaży się na pokładzie statku w południowym słońcu i lustruje mnie wzrokiem, nie wykonując żadnego ruchu. Najgorsze, że stałem po złej stronie karabinów i po pięciu minutach trzymania rąk w górze zaczynałem mieć skurcze.

Nagle, odsuwając kilku marynarzy, pojawił się potężny osobnik w średnim wieku, o wyraźnie słowiańskim wyglądzie, ubrany w grubą płócienną kurtkę, z gęstą złocistą brodą ubrudzoną resztkami jedzenia. Ze sposobu, w jaki pozdrowiło go dwóch członków załogi, wywnioskowałem, że to kapitan. Z każdą minutą coraz bardziej żałowałem, że wszedłem na pokład tego czegoś, co nosi nazwę „Zaren Kibish”.

Podszedł bliżej, ujął się pod boki i przez dobre kilka chwil w zamyśleniu lustrował mnie spojrzeniem. Wreszcie najwyraźniej podjął jakąś decyzję, bo w nieznanym mi języku wyszczekał dwa zdania do facetów, którzy trzymali mnie na muszce, a ci opuścili broń.

Zrobił kilka kroków, wyciągnął wielkie jak udźce wieprzowe graby i zmiażdżył w uścisku moje dłonie, obdarzając mnie szerokim uśmiechem. Atmosfera na pokładzie wyraźnie się rozluźniła. A ulgi, którą poczułem, nie da się opisać.

Olbrzym przedstawił się po angielsku z wyraźnym słowiańskim akcentem. Nazywa się Igor Uszakov, jest Ukraińcem, kapitanem „Zaren Kibish”, i wita mnie na tej kupie złomu. Ani się obejrzałem, a tłumek marynarzy poklepywał mnie po plecach; uśmiechali się szeroko, przemawiając różnymi kompletnie niezrozumiałymi językami. Na szczęście w porę przyszedł mi z odsieczą kapitan Uszakov. Krzyknął coś swoim potężnym głosiskiem, dzięki czemu uniknąłem zgniecenia pod ciężarem tych dowodów sympatii.

W głowie kłębiły mi się pytania, kiedy kapitan prowadził mnie w głąb statku. Dwóch marynarzy zeszło w tym czasie na „Korynt” po Lukullusa, który wyciągał szyję, nie przestając rozpaczliwie miauczeć.

Kiedy weszliśmy do kajuty Uszakowa, uświadomiłem sobie, że moje przybycie przerwało mu posiłek. Ruchem ręki pokazał, żebym usiadł z nim przy stole. Zanim się zorientowałem, miałem przed sobą talerz z czymś, co – wykazując dużą wyobraźnię – można by nazwać sztufadą, oraz szklanek zimnego piwa. Rzuciłem się na jedzenie jak wilk, a Uszakov przez cały czas obserwował mnie w zamyśleniu. Chwilę później, kiedy dojadałem resztki zadziwiająco dobrego mięsa, zaczął zadawać mi pytania. Kim jestem? Skąd przypląnąłem? Dokąd się udaję? Ilu ludzi spotkałem po drodze?

Zadowolony, rozparłem się na krześle i przystąpiłem do relacjonowania dwóch ostatnich miesięcy mojego życia. Wydawało się, że bardziej interesuje go obecna sytuacja w ujściu zatoki niż moje niebezpieczne przygody z potworami, niemniej grzecznie wysłuchał mnie do końca. Wtedy przyszła kolej na moje pytania.

Statek nazywał się „Zaren Kibish” i pływał pod tanią banderą Bahamów, choć w rzeczywistości armator był grecki, a frachtowiec należał do grupy estońskich przedsiębiorców. Przewoził czterdzieści tysięcy ton zwojów blachy

stalowej i od ponad miesiąca stał zakotwiczony w zatoce w Vigo. Większość załogi pochodziła z Filipin i Pakistanu (jak zresztą często na wielu międzynarodowych frachtowcach), inni stanowili reprezentację krajów Trzeciego Świata. Jedynymi zawodowymi marynarzami na statku byli kapitan i pierwszy oficer, także Ukrainiec, którzy zwracali się do załogi w tagalskim i urdu, w zależności od tego, czy chodziło o Filipińczyka, czy Pakistańczyka. Pozostali byli tanią siłą roboczą na starej łajbie, która nie przeszłaby nawet najbardziej pobieżnego przeglądu. Jednym słowem statek-śmieć, jakich setki tysięcy co roku przemierzają wody na całym świecie. A raczej przemierzały.

Kapitan Uszakow, pomrukując, wstał od stołu i podszedł do szafki, z której wyjął butelkę ukraińskiej wódki i dwie kryształowe szklaneczki, małe i eleganckie. Wlał do nich hojnie dwa strumienie alkoholu i podał mi jedną, drapiąc się po głowie, jakby szukał słów, by kontynuować rozmowę w swojej dźwięcznej angielszczyźnie.

– Wpłynęliśmy do zatoki w Vigo na krótko przed tym, nim zamknięto porty w Unii Europejskiej – zaczął. – Wtedy nie wydano jeszcze rozkazu, żeby ludność gromadziła się w Bezpiecznych Strefach, więc na początku nie zauważyliśmy niczego niezwykłego. Vigo było pierwszym portem, który zobaczyliśmy po prawie dwóch tygodniach żeglugi, chcieliśmy więc zejść na ląd, żeby sprawdzić, co się, do cholery, dzieje.

– Dwóch tygodniach? – przerwałem. – Skąd, do licha, płynie „Zaren Kibish”?

Niewiarygodne. Ze słów tego mężczyzny wynikało, że kiedy świat diabli brali, on i jego załoga żeglowali niczego nieświadomi przez pół świata.

– Z portu w Pusanie, w Korei Południowej – odpowiedział. – Płynęliśmy do Rotterdamu, ale musieliśmy zacumować w Vigo z powodu awarii wału, do której doszło w czasie sztormu w rejonie Wysp Kanaryjskich – mruknął, wzruszając ramionami, i wyciągnął rękę, żeby nalać nową kolejkę palącej gardło wódki.

– I od tamtej pory jesteście tutaj? – zapytałem zdziwiony. – Dlaczego nie zwialiście, kiedy już było wiadomo, co jest grane? Na przykład na Wyspy

Kanaryjskie?

– Nie mogliśmy – odpowiedział lakonicznie.

– Nie mogliście? – powtórzyłem oniemiały.

– Nie wolno mi zmienić trasy statku bez formalnego zezwolenia spółki. Taka jest polityka firmy.

– Ale pańska firma już nie istnieje! – odparłem zdumiony jego uporem.

– Nie ma mowy – powiedział twardo, dolewając sobie wódki. – Gdybym to zrobił, straciłbym pracę.

Ten argument ucinął wszelką dyskusję z tym upartym facetem. Był człowiekiem swojej spółki, koniec, kropka. Jego statek miał awarię, więc spuścił kotwicę w porcie i czekał, aż spółka wyda mu dalsze instrukcje. Dopóki nie nadejdą, nigdzie się nie ruszy.

Na próżno próbowałem mu wytłumaczyć, że jego szefostwo najprawdopodobniej snuje się teraz gdzieś w Estonii czy Grecji, zamienione w stwory podobne do tych, które widać na brzegu, ale nie znalazłem sposobu, by go przekonać. Uszakov był dawniej kapitanem sowieckiej marynarki wojennej, po rozpadzie Związku Radzieckiego przeszedł do floty cywilnej. Teraz nie nosił munduru, ale zachował mentalność wojskowego. Bez rozkazu nie kiwnie palcem. Przyjmował jako oczywiste, że nad nim nadal jest ktoś, kto podejmuje decyzje. Że niby nikt nie rządzi? To nie do pojęcia!

Ale została mi jeszcze do wysłuchania najstraszliwsza część historii. Niechętnie zaczął opowiadać o ostatnich dniach Bezpiecznej Strefy w Vigo i wyjaśniać, dlaczego załoga frachtowca wciąż żyje.

Władze wojskowe i cywilne tego obszaru uznały najwyraźniej, że najbezpieczniejszym miejscem będzie strefa wolnościowa portu w Vigo. Wydawało się, że to doskonałe rozwiązanie: była całkowicie ogrodzona, pełna niepsujących się produktów spożywczych, miała obszerne hale i magazyny, teoretycznie idealne do pomieszczenia tłumów, oraz instalację odsalającą wodę i znajdowała się nad samym morzem, co gwarantowało zaopatrzenie drogą wodną. Zdumiona załoga „Zaren Kibish” była świadkiem, jak w ciągu kilku dni

prawie dwustutysięczny tłum wypełnił instalacje portowe do granic możliwości.

Powierzchnia, na pierwszy rzut oka zbyt wielka, by można ją zająć w całości, w krótkim czasie okazała się niewystarczająca do przyjęcia takiej masy ludzi. Ścisk stawał się nie do wytrzymania, w miarę jak do miejscowych dołączali uciekinierzy z innych części Galicji, a nawet z północy sąsiedniej Portugalii. W tej sytuacji strefa wolnościowa szybko osiągnęła limit pojemności, ale uchodźcy przybyli ze wszystkich stron nadal tłoczyli się pod bramą, a nikt, kto znalazł miejsce w Bezpiecznej Strefie, nie miał odwagi jej opuścić. Tamci, Nieumarli, krążyli już w pobliżu i wyjście bez ochrony byłoby samobójstwem.

Teoretycznie Bezpieczną Strefą kierował cywilny komitet, w którego skład wchodził burmistrz miasta, zastępca przedstawiciela rządu centralnego w prowincji i dwóch *conselleiros*, członków władz Galicji przypadkowo uziemionych w Strefie. W rzeczywistości jednak cały ten chaos kontrolowali kapitan fregaty marynarki wojennej i pułkownik wojsk lądowych, którzy wspólnie zarządzali siłami zbrojnymi broniącymi tego obszaru.

Nagle Uszakow przerwał i zerknął na mnie znad szklaneczki wódki.

– Od tego momentu historia robi się nieprzyjemna... – Przyjrzał mi się uważnie. – Jest pan pewien, że chce usłyszeć ciąg dalszy?

Przełykając ślinę, skinąłem głową, niezdolny do wypowiedzenia słowa. Uszakow westchnął i kontynuował swoją opowieść.

7 marca. Godzina 18.42

Wpis 59

Na początku wszystko szło zgodnie z planem. Utrzymywaniem porządku w obrębie Bezpiecznej Strefy zajmowały się siły wojskowe, prawie sześćset mężczyzn należących do różnych jednostek wojsk lądowych, marynarki wojennej i Gwardii Cywilnej wraz z resztkami lokalnej policji. Mieli do dyspozycji dużo sprzętu bojowego, łącznie z transporterami opancerzonymi i dwoma śmigłowcami szturmowymi. W porcie stały zakotwiczone okręt transportowy marynarki i jedna z najnowszych fregat F-100, świeżo

zwodowana w Ferrolu, z nowoczesnym systemem kierowania ogniem AEGIS (całkowicie bezużytecznym w tej sytuacji), na której zainstalowało się dowództwo cywilne i wojskowe Bezpiecznej Strefy.

– Pierwsze fale Nieumarłych, które dotarły do Strefy, zostały z łatwością wyeliminowane przez jej obrońców – ciągnął Uszakow. – Byli dobrze okopani i mieli wystarczającą siłę ognia, żeby trzymać ich na dystans. Ale tamtych przybywało. I powoli kończyła się amunicja.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Byłem wtedy z załogą na łądzie – powiedział, wzruszając ramionami. – Mój marynarz leżał w szpitalu polowym zorganizowanym w jednej z hal przemysłowych, złamał biodro, kiedy upadł podczas sztormu. Często schodziliśmy na ląd.

– Dlaczego tam nie zostaliście?

– Nie mogłem opuścić swojego statku – odparł, a na jego twarzy malowało się: „przecież-to-więcej-niż-oczywiste”. – Poza tym władze Strefy nie pozwalały nam przebywać na łądzie dłużej niż kilka godzin. – Nalał sobie następną kolejkę. – Zaczynało brakować jedzenia i nie chcieli mieć do wykarmienia dodatkowych gąb.

Wraz z upływem dni Strefa coraz bardziej się przeludniała. Dwustutysięczna populacja stopniowo wzrosła do trzystu pięćdziesięciu tysięcy, zasilana grupami uciekinierów z innych Bezpiecznych Stref i pojedynczymi ocalałymi, jak ja, którzy ściągali do najprawdopodobniej jedyne miejsce w promieniu ponad czterystu kilometrów znajdującego się w ludzkich rękach.

Wkrótce zaczęły się problemy z zaopatrzeniem i choroby. Ponadtrzystutysięczny tłum pochłania olbrzymie ilości jedzenia, kilka ton dziennie, więc portowe zapasy szybko okazały się niewystarczające. Oczekiwane dostawy drogą morską nigdy nie nadeszły, mimo obietnic władz Strefy. A nie nadeszły pewnie dlatego, że w pobliżu nie było żadnego miejsca, które mogłoby wysłać pomoc. Co za ironia losu.

Władze pośpiesznie zorganizowały ekipy rabunkowe do zaopatrywania

ludności i codziennie z Bezpiecznej Strefy wyjeżdżały kolumny ciężarówek eskortowanych przez opancerzone pojazdy wyładowane żołnierzami i uzbrojonymi po zęby ochotnikami. Wracały po zmroku z tonami prowiantu. Jednak na dłuższą metę plan skończył się fiaskiem. Kiedy już ograbiono centra handlowe w mieście, ekspedycje musiały wyruszać coraz dalej, a łupy były coraz skromniejsze. W lepszych dniach przywozili do Strefy około trzydziestu ton jedzenia, które absolutnie nie wystarczały do wykarmienia tylu osób. Wkrótce wprowadzono racjonowanie żywności.

– Racjonowanie? – zapytałem zaskoczony. – Jak to możliwe? Byłem setki razy w tutejszych centrach handlowych, są olbrzymie. Muszą mieć zapasy na lata.

– Drogi przyjacielu... – Uszakov pokręcił głową. – Niech pan pomyśli o ilości jedzenia niezbędnej do codziennego wyżywienia trzystu pięćdziesięciu tysięcy osób. Jedno centrum handlowe może byłoby w stanie utrzymać taką masę ludzi przez tydzień. Potem zapasy by się skończyły, a bez ciężarówek dostawczych nie sposób uzupełnić brakujących produktów.

Zamilkłem, zdumiony tym, co usłyszałem. Wyobraziłem sobie desperację ekip rabunkowych, kiedy przemierzały wymarłe miasto, otoczone przez tysiące tamtych, zmuszone do plądrowania małych osiedlowych sklepików, żeby zdobyć pożywienie; ryzykowały życiem dla kilkudziesięciu kilogramów prowiantu. Jasna cholera, to musiało być dla nich straszne.

– Jedzenie nie było jedynym problemem – ciągnął bezlitośnie Uszakov. – Przy braku odpowiedniej infrastruktury trzysta pięćdziesiąt tysięcy osób, które wytwarzały odpadki, srały i szczały, sprawiło, że port wkrótce cuchnął jak kloaka. – Na twarzy kapitana pojawił się smutny uśmiech. – Nagle mieszkanie na pokładzie „Zaren Kibish” stało się prawdziwym luksusem w porównaniu z warunkami panującymi na lądzie.

Nie byłem w stanie nic odpowiedzieć. Czułem straszliwy ucisk w piersiach, który narastał, w miarę jak przed moimi oczami przesuwały się przywoływane przez kapitana obrazy.

– Po brudzie szybko przyszedł czas na choroby, jak to zwykle bywa w takich przypadkach. W porcie jest w sumie jakieś tysiąc, dwa tysiące toalet, co daje średnio trzysta pięćdziesiąt osób na jeden sracz, prawda? – Uszakow nie przebierał w słowach. – Toteż Bezpieczną Strefę zaczęły pustoszyć tyfus i inne choroby.

– Inne... choroby? – zdołałem wydusić z siebie ochrypłym głosem. Moje gardło było jak papier ścierny.

– No tak, inne choroby. Nie można zapominać, że mimo wyjątkowej sytuacji ludzie nadal chorowali na raka, nadciśnienie, choroby dziecięce, były kobiety w zaawansowanej ciąży... – Twarz kapitana przybrała ponury wyraz. – Z powodu spożywania zepsutego jedzenia doszło nawet do zatruc jadem kiełbasianym. – Westchnął. – Spotkało to między innymi marynarza z tego statku. Wkrótce choroby zaczęły zbierać żniwo. Część portu, którą dobrze widać z pokładu „Zaren Kibish”, została zamieniona w cmentarz. Po kilku tygodniach całkowicie wypełniły go setki mogił. – Butelka wódki była już prawie pusta. – Ci mieli szczęście.

Uszakow parsknął i nie przerywając opowieści, podniósł swoje olbrzymie cielsko, żeby wyjąć z szafki drugą flaszkę.

Sytuacja wymknęła się spod kontroli, Bezpieczną Strefę ogarnęła desperacja i zaczęło obowiązywać prawo dżungli. Liczba bójek, kłótni i zabójstw narastała lawinowo, bo ludzie musieli walczyć o pożywienie. Wojskowi wzięli sprawy w swoje ręce i wprowadzili w całej Strefie stan wojenny. Niedługo potem ku przestrodze na portowych dźwigach zawisły dziesiątki morderców i rabusiów, ale skorzystały na tym tylko kruki i mewy, które urządziły sobie ucztę z oczu wisielców.

Panował straszny głód, więc walki trwały nadal. Ocalali mogli wybrać między czyścćem portu a piekłem na zewnątrz. W tak nieludzkiej znaleźli się sytuacji.

– Kiedy sprawy przybrały naprawdę zły obrót, wyładowana wojskowymi motorówka podpłynęła do „Zaren” i przetrząsnęli statek w poszukiwaniu

zapasów jedzenia. – Uszakow puścił do mnie oko. – Oczywiście niczego nie znaleźli. Schowaliśmy niemal cały nasz prowiant w ładowni, między tonami zwojów stalowej blachy. Dzięki temu dotąd nie byliśmy głodni.

Przez chwilę jego postawa wydała mi się straszliwie egoistyczna, ale kiedy lepiej się nad tym zastanowiłem, zrozumiałem, że podjął najrozsądniejszą decyzję. Sam pewnie zrobiłbym to samo. Kiedy tak patrzyłem na zadumanego Ukraińca, zagubionym wzrokiem wpatrującego się w gródź, pomyślałem, że to pokrętny człowiek. I sprytny. Bardzo sprytny.

– Co było potem?

– Potem było jeszcze gorzej – odpowiedział. – Którejś szczególnie ciemnej nocy fregata i wojskowy transportowiec podniosły kotwice i cichaczem opuściły port. Na pokładzie była cała załoga marynarki, władze cywilne i jakieś dwieście, trzysta osób, mających znajomości, wpływy albo pieniądze. – Pokręcił głową. – Nie wiem, dokąd popłynęli, przypuszczam, że na Wyspy Kanaryjskie czy gdziekolwiek indziej, gdzie zaraza nie dotarła. W każdym razie uciekli, zostawiając resztę na pastwę losu – podsumował, dopijając wódkę jednym haustem.

Następnego dnia, kiedy mieszkańcy Strefy odkryli brak okrętów wojskowych, zapanował chaos. Najbardziej zdziwił się chyba pułkownik wojsk lądowych, który został w Bezpiecznej Strefie z grupą niewiele ponad trzystu żołnierzy. W ciągu ostatnich tygodni jego relacje z kapitanem fregaty stały się bardzo napięte i najwidoczniej konflikt między nimi osiągnął takie rozmiary, że nikt nie zadbał o poinformowanie go o planach ucieczki. Ów pułkownik, niejaki Jovellanos, był formalistą jak się patrzy, strasznie surowym. Jednak napięcie ostatnich tygodni i spoczywająca na nim odpowiedzialność za bezpieczeństwo wszystkich tych ludzi zgromadzonych w Bezpiecznej Strefie okazały się ciężarem ponad jego siły.

Takim ciężarem, że w końcu stracił nad sobą panowanie.

Kiedy cała ta rzesza ludzi zobaczyła, że okręty wojskowe opuściły zatokę, wybuchło prawdziwe szaleństwo, każdy próbował dostać się na którąkolwiek z

łodzi zacumowanych w porcie. Krążyły pogłoski, że fregata zmierza w stronę archipelagu Wysp Kanaryjskich i że każdy statek, który z nią przybędzie, zostanie przyjęty na wyspach, jedynym miejscu na terytorium hiszpańskim, gdzie nie dotarła plaga. Jovellanos wiedział, że to nieprawda i że w dodatku osiemdziesiąt procent jachtów nie jest przysposobione do pokonania tysięcy mil na otwartym morzu, zrobił więc to, co uważał za słuszne. Rozpędził tłum strzałami, doprowadzając do prawdziwej jatki, po czym wydał rozkaz przedziurawienia wszystkich stojących w porcie łodzi, żeby poszły na dno. Uznał, że pozbawieni możliwości ucieczki, ocalali ze Strefy będą walczyć do końca albo zginą. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że dla Bezpiecznej Strefy w Vigo nie było już żadnej nadziei.

„Zaren Kibish” uratował się przed zatopieniem, bo jako jedyny statek cumował w sporej odległości od portu i nie mógł nigdzie odpłynąć z powodu awarii wału. Mimo to każdego dnia dziesiątki zdesperowanych osób przedostawały się wpław do frachtowca, błagając, żeby ich przyjęli. Uszakov musiał wykazać ogromną stanowczość i zakazał swoim ludziom nawet wychodzenia na pokład. „Zaren Kibish” (i jego zapasy) nie mógł sobie pozwolić na przygarnięcie kilkudziesięciu wygłodniałych, chorych i zrozpaczonych niedobitków.

– Tak wyglądała sytuacja w Bezpiecznej Strefie – podsumował Ukrainiec – kiedy to się stało.

– Kiedy to się stało... Co pan ma na myśli?

– Kiedy nadszedł dzień, w którym Bezpieczna Strefa w Vigo padła – odparł.

8 marca. Godzina 17.13

Wpis 60

Kiedy rozmawialiśmy w dusznej kajucie z marną wentylacją, niebo pokryła gęsta masa chmur. Nadchodząca burza wydawała się niczym w porównaniu z trzęsieniem ziemi, którym była dla mnie opowieść Uszakowa. Mimo to nie potrafiłem przerwać płynącej z jego ust historii. Musiałem ją usłyszeć.

Musiałem wiedzieć wszystko.

– Ostateczne załamanie nastąpiło jakiś tydzień po odpłynięciu okrętów. – Spojrzał na mnie zamglonymi oczami. – Można się było tego spodziewać.

– Można się było tego spodziewać? Dlaczego?

– Proszę trochę pomyśleć, panie mecenasie. Na statkach uciekła cała załoga marynarki i żołnierze, którym dopisało szczęście. Przemęczony pułkownik Jovellanos z pomocą ledwo trzystu ludzi musiał bronić całej Bezpiecznej Strefy i setek tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy się w niej schronili.

– I...? – Muszę przyznać, że wypita wódka mąciła mi myśli i nie potrafiłem dostrzec logicznych związków między faktami. Uszakow, jak na Ukraińca przystało, był bardziej nawykły do tej trucizny i nie wyglądał nawet na wstawionego.

– Przecież to bardziej niż oczywiste! – parsknął. – Kiedy zorientował się, że ma za mało ludzi, musiał zacząć rekrutować ochotników spośród cywili, którzy tłoczyli się w porcie jak szczury, i wyposażyć ich w sprzęt bojowy. – Zrobił przerwę. – W tych okolicznościach było to jedyne rozwiązanie, jeśli zamierzał dalej bronić Strefy, ale zważywszy na panujące nastroje, tylko przyspieszył katastrofę.

Przez mgłę, którą alkohol zasnuwał mój umysł, stopniowo docierało do mnie, co ma na myśli, kiedy bez znieczulenia relacjonował mi kolejne wydarzenia widziane z pokładu „Zaren Kibish”. Jovellanos zwerbował kilkuset cywili, uzbroił ich po zęby i kazał im patrolować port lub zdobywać żywność poza Bezpieczną Strefą.

Ale to nie byli wojskowi. Zwykli uzbrojeni cywile przebrani za żołnierzy, niemający pojęcia o wojnie miejskiej ani o sztuce przeżycia, do tego zdesperowani i głodni. Dlatego straty w ludziach rosły z zawrotną prędkością. Za każdym razem, kiedy ginął jakiś ochotnik, jego oddział przegrywał z kretesem, przez co powoli, ale nieubłaganie, słabła obrona Strefy.

– W tym czasie po drugiej stronie ogrodzenia tłoczyły się już dziesiątki tysięcy tamtych. – Zdawało się, że kapitan mówi teraz sam do siebie. –

Widziałem ich dokładnie z pokładu przez lornetkę. Straszliwy spektakl, tysiące swołoczy, ściśniętych, milczących, z tymi okropnymi ranami, wszyscy martwi, a mimo to na nogach. – Zmarszczył czoło. – To kara boska, nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– A potem...? Co się stało?

– To, co musiało się stać. Potwory zdołały wejść do portu.

– Ale jak?

– Jak? A co to za różnica? Po prostu weszły. To najważniejsze. Nie mam pojęcia, jak im się udało. – Spojrzał na mnie uważnie, jakby z wyrzutem. – Mogły to zrobić na milion sposobów. Może któryś z cywilów wysłanych z misją na zewnątrz Strefy wrócił zarażony i zabrakło mu odwagi albo dyscypliny, żeby o tym poinformować, aż zrobiło się za późno. A może tamci znaleźli jakąś szczelinę w mającym ponad cztery kilometry ogrodzeniu. A może po prostu którejś nocy ktoś zapomniał zamknąć dobrze bramę albo nie sprawdził kłódki. – Rozłożył ręce, jakby chciał podkreślić, że naprawdę nie ma pojęcia. – W końcu weszli i wybuchła panika.

Oczami wyobraźni widziałem to, co opisywał Uszakow. Jakimś sposobem kilku przedarło się do środka i zapanował chaos, nieunikniony w tak przepełnionym miejscu. Istne lawiny ludzi przetaczały się w tę i z powrotem, bezskutecznie próbując uciec przed potworami. Właśnie ta panika doprowadziła do ich zguby. Gdyby Jovellanos dysponował większą liczbą zawodowych żołnierzy, może zdołałby cokolwiek zrobić, ale nie miał żadnych szans z tą swoją zbieraniną cywilów i niedobitków ze zdziesiątkowanych jednostek. Oddziały, które wysyłał do zaprowadzenia porządku, były miażdżone przez spanikowany tłum głuchy na wszelkie argumenty. Grupki zawodowych wojskowych, którzy jeszcze się ostali, próbowały torować sobie drogę pośród ludzkiej masy do miejsc, gdzie, jak sądzili, mogli być Nieumarli, żeby stawić im czoło, ale ponieważ było ich tak niewielu, ciżba uniemożliwiała im szybkie poruszanie się po porcie.

– Nieważne, jaką siłą ognia dysponujesz, jeśli zostaniesz na polu bitwy sam

na wprost morza przeciwników, masz przesrane. – Uszakow podrapał się po głowie, spoglądając na mnie z powagą. – Tego przed laty nauczyliśmy się w Afganistanie, i to samo stało się tutaj.

Nieliczni ocalali wojskowi, odcięci od reszty swoich oddziałów, odważnie stawili czoło rosnącej liczbie tamtych, niektórzy bohatersko i desperacko, w końcu jednak pochłonęła ich fala Nieumarłych. Od tej pory los tysięcy osób, które znalazły schronienie w Strefie, był przesądzony. Pozbawionych broni, uwięzionych w porcie, spanikowanych i bezradnych czekał tylko jeden koniec.

– Najwięcej szczęścia mieli ci, którzy umarli zdeptani przez tłum albo uduszeni pod dziesiątkami ciał. – Głos Uszakowa był teraz niemal szeptem. – Oni przynajmniej nie widzieli, co stało się potem.

Nie miałem odwagi zapytać. Ale musiałem to zrobić.

– Co się stało? – wykrztusiłem.

– A to, że pułkownik, kiedy zobaczył, że wszystko stracone, wprowadził swoje własne „ostateczne rozwiązanie”. W poprzednich tygodniach jego ludzie rozmieścili ładunki wybuchowe w większości hal i baraków portowych, z których jeden był pełen nawozów chemicznych, wysoce lotnych substancji. Jeśli wszystko wzięliby diabli, zamierzał posłać do piekła tyle tych przeklętych potworów, ile zdoła. – Odchylił swoje olbrzymie cielsko do tyłu, potarł oczy i zamrugał. – Ale mu nie wyszło.

– Co się wydarzyło?

– Źle obliczyli zasięg wybuchu. – Wyciągnął z kieszeni kurtki pogniecioną paczkę i podał mi papierosa. Przyjąłem go, chcąc poczuć w ustach coś, co nie smakowałoby wódką.

– Kiedy eksplodowały ładunki, w halach ukrywało się wielu ludzi, płonące konstrukcje zwały im się na głowy. – Zapalił papierosa i wypuścił słup dymu. – Ci zginęli w płomieniach albo przygnieceni, niemal natychmiast. Mieli dużo szczęścia.

– Niby dlaczego?

– Bo reszta, całe tysiące, nadal biegała w kółko po porcie, bez żadnych szans na ratunek – mruknął drżącym głosem. – Niech pan sobie wyobrazi tę scenę, którą ja widziałem tamtej nocy. Pośród absolutnej ciemności, rozświetlonej jedynie blaskiem płomieni, tysiące osób biegną bez wytchnienia, przerażone, nie wiedząc, czy grupa, która nadchodzi z przeciwka, to ludzie, czy tamci. Do „Zaren” dobiegały krzyki, jęki, wycie i odgłosy pojedynczych wystrzałów, powietrze wypełniał zapach dymu i palonych ciał, aż się chciało rzygać. – Pochylił się i obrzucił mnie rozgorączkowanym spojrzeniem. – To było okno wprost do piekła. Dosłownie.

Przeszedł mnie dreszcz. Mogłem sobie wyobrazić przerażenie i desperację ludzi uwięzionych w porcie, kiedy tamci otaczali ich coraz ciaśniej kręgiem. Kiedy stawali się ofiarami ich ugryzień, kiedy dawni mieszkańcy Bezpiecznej Strefy, teraz zamienieni w myśliwych, dołączali do stada Nieumarłych, atakując swoich znajomych, przyjaciół, członków rodziny. Wszystko to oświetlone blaskiem dziesiątek straszliwych pożarów. Obłąkańczy spektakl.

– Nie ma wiele do dodania – ciągnął Uszakow. – Rzeź trwała jeszcze co najmniej dwanaście czy czternaście godzin, ale dym nie pozwalał nam zobaczyć ze statku żadnego fragmentu brzegu. Wreszcie wszystko ucichło. Niczego nie było słychać, poza sporadycznym trzaskiem jakiejś zwęglonej konstrukcji, która waliła się na ziemię, czy głuchym jękiem któregoś z tamtych. – Przerwał. – No i oczywiście tym hałasem.

– Hałasem? Jakim hałasem?

– Na początku nie wiedzieliśmy, co to może być. Przywykliśmy do wrzawy kilkuset tysięcznego tłumu i nagle port stał się niezwykle cichy, tak jak teraz. – Wskazał świetlik kajuty. – Wtedy nas to zdziwiło. Dlatego usłyszeliśmy hałas.

– Wciąż mi pan nie powiedział, co to było – zaprotestowałem.

– Bo pan mi ciągle przerywa – odparował. – Odkryliśmy źródło hałasu, kiedy dym uleciał w górę. – Nie był w stanie powstrzymać się od wzdrygnięcia. – Ten hałas robiły setki, tysiące stóp, obutych i bosych, szurających po cemencie i

asfalcie portu. – Spojrzał na mnie. – Stóp wszystkich mieszkańców Strefy, którzy nie zginęli, zostali zarażeni, zamienili się w Nieumarłych.

Zaniemówiłem przerażony, przygnieciony straszliwą wizją niewinnych istot w okrutny sposób zaatakowanych, pogryzionych i okaleczonych, które ponownie wstały, ale tym razem jako armia... potworów. Boże, to wstrząsające.

Kręciło mi się w głowie w tej kajucie. Potrzebowałem powietrza.

– Oczywiście nie wszyscy mieszkańcy polegli. Najsprytniejsi, najtwardsi, w sumie kilkadziesiąt osób, może kilkaset, zdołali przeżyć tę straszliwą noc i przeczekali ukryci w ruinach portu, aż olbrzymia masa Nieumarłych rozlała się na wszystkie strony. Kiedy w porcie zostało ich tylko kilkuset, jak teraz, pouciekali, każdy w kierunku, który uznał za najlepszy, sami albo w małych grupkach – zakończył Uszakow.

– Tak? – Spojrzałem na niego szklanymi oczami. – A skąd pan to wie?

– To bardzo proste – odparł z uśmiechem, wykonując dłonią teatralny ruch. – Bo jeden z tych, którzy przeżyli, jest teraz na pokładzie „Zaren Kibish”. Właśnie zamierzałem go panu przedstawić – powiedział, po czym wstał i ruszył do drzwi.

Podniosłem się, żeby pójść za Uszakowem. Czułem lekkie mdłości. Kiedy tylko stanąłem na nogach, zdałem sobie sprawę, że mój delikatny zachodni żołądek nie jest stworzony do takiej mieszanki: wódka, wilgotne ciepło, zapach jedzenia i smaru silnikowego, a do tego ta makabryczna rozmowa. Roztrącając krzesła, szybko podbiegłem do bulaju, otworzyłem go i zostawiłem na burcie „Zaren Kibish” piękny malunek z wymiocin. Nie ma co, zrobiłem zajebiste wrażenie na moich nowych przyjaciółach.

Otarłszy z ust resztki rzygowin, odwróciłem się i podszedłem do Uszakowa, który stojąc w drzwiach kajuty, patrzył na mnie z wyrazem lekkiej ironii w oczach. Myślę, że uznał mnie za babę, ale jeśli tak było, nic nie powiedział, ograniczył się do wskazania ruchem głowy, bym mu towarzyszył.

Ruszyliśmy krótkim korytarzem pełnym rur i przewodów. Po obu stronach

znajdowało się kilka par drzwi. Generalnie rzecz biorąc, frachtowiec wyglądał na kompletną ruinę, toteż dziwiło mnie, że niedawno przyplłynął z południowo-wschodniej Azji, pokonawszy dziesiątki tysięcy mil morskich. Wreszcie dotarliśmy do drzwiczek w grodzi, gdzie kończyły się schody prowadzące do bebeczków statku. Smród zamkniętego pomieszczenia i wilgoci był tu o wiele bardziej intensywny, ale wydawało się, że tylko ja zwracam na to uwagę.

Po otwarciu drzwi zobaczyłem pomieszczenie przypominające kajutę kapitana, z której przyszliśmy, ale o mniejszej powierzchni i z podwójną koją zamiast obszernego łóżka. Na jednej z pryczy siedział mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, gruby, z twarzą zoraną zmarszczkami i bardzo wyraźnie widocznymi żyłkami na nosie, co wskazywało na nadmierne zamiłowanie do napojów alkoholowych. Przed nim, po drugiej stronie odwróconej do góry dnem drewnianej skrzyni, która służyła za prowizoryczną szachownicę, siedział inny człowiek – mniej więcej czterdziestoletni, silnie zbudowany, ale niski, miał jasne włosy, oczy w dziwnie niebieskim kolorze i proste wąsy zwisające znad górnej wargi. Jego wygląd nieuchronnie skojarzył mi się z Asterixem.

Kiedy weszliśmy, Asterix i Pijacki Nos wyglądali na pochłoniętych ostatnimi ruchami zacieklej partii szachów, ale pospiesznie powstali na nasz widok.

Uszakow wymienił z nimi kilka szybkich zdań po rosyjsku. Kilkakrotnie wskazał na mnie w trakcie rozmowy, co było bardzo krępujące. Kapitan i Pijacki Nos żywo o czymś dyskutowali, podczas gdy Asterix przyglądał się im smutno i od czasu do czasu kierował w moją stronę zrezygnowane spojrzenie. W końcu Uszakow odwrócił się i dał mi znak, żebym podszedł.

– Panie mecenasie – nie podobał mi się lekceważący, lekko ironiczny ton, jakim to powiedział – przedstawiam panu pierwszego oficera „Zaren Kibish”, pana Aleksandra Grigoriewicza Kricyniewa – oznajmił, wskazując człowieka z czerwonym nosem.

Ostrożnie uściśnąłem mu dłoń, za co zostałem zalany potokiem rosyjskich słów, których nie byłem w stanie odszyfrować.

– Mój pierwszy oficer jest marynarzem ze starej szkoły i mówi, że żałuje, ale

nie opanował w dostatecznym stopniu żadnego innego języka poza rosyjskim, dlatego za moim pośrednictwem przekazuje panu słowa powitania.

– Proszę mu powiedzieć, że jest mi bardzo miło, że mogę przebywać na pokładzie tego statku i że jestem tu razem z panami.

– Och, to nie będzie potrzebne – odparł Uszakow tonem, który zaczynał mi się coraz mniej podobać. – Myślę, że wśród przyjaciół nie należy przesadzać z uprzejmościami, nieprawdaż? Pozwoli pan, że przedstawię Wiktora Pritczenkę, Ukraińca tak samo jak Aleksander i ja, ocalałego z Bezpiecznej Strefy w Vigo.

Przyjrzałem się niskiemu wąsatemu blondynowi i ściskając mu dłoń, próbowałem ukryć swoje zaskoczenie. Co, do cholery, Ukrainiec robił w porcie Vigo? Cóż za dziwny zbieg okoliczności... Ale moje zdumienie było jeszcze większe, kiedy krępy Ukrainiec odezwał się do mnie zardzewiałą, prymitywną hiszpańszczyzną.

– Miło mi pana poznać. Moje imię Wiktor, Wiktor Nikołajewicz Pritczenko.

– Mówi pan po hiszpańsku? – odpowiedziałem pytaniem, całkowicie osłupiały. To nie był typ ocalańca, jakiego się spodziewałem.

– *Da*, ja mieszkam w Hiszpania sześć miesięcy. Ja mieszkał w Hiszpania przedtem kilka razy, od czterech lat. Ja przyjeżdżać Hiszpania co roku – odparł ze smutkiem w jasnych oczach.

– Po co przyjeżdża pan do Hiszpanii?

– Ja pracuję. Co roku pracuję dla Siunty.

Byłem zbyt oszołomiony, żeby zapytać go, czym albo kim, u diabła, jest Siunta. Przyjdzie jeszcze na to czas. Patrząc na małego człowieczka i czując na sobie jego szczerze niebieskie spojrzenie, zrozumiałem, że nie kłamie. Ale bał się, strasznie się czegoś bał. Coś przejmowało go lękiem, ale zabijcie mnie, nie byłem w stanie odgadnąć co.

Uszakow nie znał hiszpańskiego i wyraźnie nie podobało mu się, że nie wie, o czym rozmawiamy. Postanowił przerwać naszą wymianę zdań. Szczeknął kilka rozkazów swojemu zastępcy i wysłał go razem z małym Ukraińcem na

górze, a mnie zaprosił, bym poszedł za nim, tym razem na wyższy pokład. Kiedy wchodziliśmy po schodach, opowiedział mi historię Wiktora Pritczenki. W noc masakry w Bezpiecznej Strefie podpłynął wpław do „Zaren Kibish” i zaczął krzyczeć. Uszakov, usłyszawszy człowieka wołającego po rosyjsku, postanowił zabrać go na pokład. Był chyba ładowaczem albo technikiem portowym czy kimś w tym rodzaju. Sposób, w jaki zrelacjonował tę historię, wzbudził moje podejrzenia. Ten facet nie powiedział mi prawdy, przynajmniej nie całą. Co konkretnie przede mną ukrył? A przede wszystkim dlaczego?

Na szczycie schodów odkryłem ze zdziwieniem, że wchodzimy na mostek kapitański znajdujący się kilkadziesiąt metrów nad pokładem. Uszakov usiadł na swoim fotelu i popatrzył na mnie badawczo.

– I co teraz? – zapytałem, coraz bardziej zaniepokojony.

– No cóż, panie mecenasie. O ile się nie mylę, mówił pan, że pochodzi z miasta położonego blisko Vigo.

– Tak, z Pontevedry, tylko trzydzieści kilometrów szosą – odpowiedziałem, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza.

– Wnioskuje z tego, że dobrze zna pan Vigo. Prawda?

– Tak... szczerze mówiąc, tak. – Byłem coraz bardziej niespokojny. Nie rozumiałem, do czego mają prowadzić te absurdalne pytania, ale czułem, że coś wisi w powietrzu.

– *Da*, doskonale. – Przez moment jakby się nad czymś zastanawiał, po czym nieoczekiwanie wypalił: – Wie pan, gdzie mieści się główny urząd pocztowy w Vigo?

– Oczywiście, ale jakie to ma, do diabła, znaczenie, kapitanie Uszakov?

– Myślę, że człowiek tak inteligentny jak pan wie, o co chodzi. To oczywiste, że potrzebuję czegoś, co tam jest.

Musiałem mieć komiczny wyraz twarzy. Na poczcie? Co się stało temu facetowi?

– Od dwóch miesięcy nie mam żadnych wiadomości ze spółki – zaczął

zmęczonym głosem. – Kiedy po burzy zacumowaliśmy w Vigo, od razu zadzwoniłem do agenta w Hiszpanii z prośbą o instrukcje, bo telefony w Estonii nie działały, a w Grecji nikt nie odpowiadał. – Wyciągnął się na fotelu. – Obiecał mi wysłać z Madrytu instrukcje, ale ewakuacja Bezpiecznej Strefy uniemożliwiła nam odebranie przesyłki z poczty.

– Po co mi pan o tym wszystkim opowiada?

– Myślę, że to jasne, młody przyjacielu. Ta paczka jest mi potrzebna. I ktoś musi po nią pójść. Ktoś, kto wie, gdzie jest poczta. I tym kimś jest pan.

Utkwiłem w nim wzrok, starając się odgadnąć, czy żartuje. Nie mógł mówić serio. Ten facet prosił mnie, żebym zszedł na ląd w mieście pustoszone przez tysiące Nieumarłych, żebym się po nim przespacerował jak ktoś, kto wychodzi po pieczywo, zajrzał do urzędu pocztowego i wrócił na statek z jego cholerną paczką, jakbym był listonoszem. Wódka musiała mu zaszkodzić zdecydowanie bardziej niż mnie.

– Kapitanie, nie mówi pan chyba poważnie. Przykro mi z powodu pańskiej przesyłki, ale dla mnie może sobie leżeć na tej poczcie do końca świata. Nawet pan nie wie, o co mnie pan prosi. Byłem wśród tych istot i zapewniam pana, że to potwory. – Ogarniała mnie coraz większa irytacja; nie potrafiłem się powstrzymać. – To istne szaleństwo! Nie ma takiej możliwości, żeby te piekielne istoty nie wykończyły każdego, kto chodzi po mieście. Mówię poważnie.

– No tak, ale oczywiście nie pójdzie pan sam. Będą panu towarzyszyli mój oficer i kilku marynarzy. – Uśmiechnął się złośliwie. – W końcu to przesyłka spółki, a pan jest osobą z zewnątrz. Nie możemy jej panu powierzyć – zakończył. – Pańskim zadaniem będzie zaprowadzenie ich na miejsce i przyprowadzenie z powrotem.

Ten człowiek oszalał. Musiałem stamtąd uciekać.

– Żałuję bardzo, kapitanie, ale proszę nie liczyć, że wezmę udział w czymś tak nonsensownym – powiedziałem, wstając. – Dziękuję za pańską pomoc i gościnność, myślę, że powinienem już wracać. Jeśli więc nie ma pan nic

przeciwko temu...

– Boję się, że doszło do nieporozumienia – przerwał mi. – Ja pana nie proszę. Ja panu rozkazuję. Jeśli się pan sprzeciwi, za pięć minut będzie się pan unosił na wodzie z kulą w głowie. Chyba nie ma pan wyboru.

Skurwiel odchylił się do tyłu razem z fotelem i patrzył na mnie wyraźnie zadowolony. Miał mnie w garści. Obaj o tym wiedzieliśmy.

Przełknąłem ślinę, czując, jak na widok Uszakowa wygodnie rozpartego w wysokim fotelu przez żyły przepływa mi fala lodowatej krwi. Wyglądało na to, że ten sukinsyn znakomicie się bawi.

– Dobrze już, dobrze, *towariszcz*, niech pan nie bierze tak sobie tego do serca.
– Pochylił się i szepnął, niemal przykładając mi usta do ucha: – W końcu proszę pana tylko o drobną przysługę w zamian za inną przysługę, nieprawdaż? Ja wzięłem pana na statek, a pan w zamian przyniesie drobiazg, który jest mi potrzebny. To wszystko.

– Nie ma pan najmniejszego pojęcia, dokąd nas pan posyła, kapitanie. Możemy wszyscy zginąć z powodu jakiejś nędznej przesyłki nadanej przez kogoś, kto w tej chwili na pewno jest już martwy – odpowiedziałem, hamując wściekłość.

– Liczę na to, że przyprowadzi pan wszystkich z powrotem, ma pan przecież doświadczenie. W końcu dotarł pan aż tutaj bez najmniejszego zadrapania. Mam podstawy sądzić, że odbędzie pan tę wycieczkę i wróci z niej cało.

– Mam wybór? – zapytałem z możliwie najbardziej skwaszoną miną.

– Obawiam się, że nie.

– Przypuszczam zatem, że odwoływanie się do pańskich uczuć i pańskiego człowieczeństwa będzie całkowicie daremne? Jest pan gnojkiem, przyjacielu. Idź pan do diabła!

Zanim się zorientowałem, Uszakow skoczył do przodu jak na sprężynie, złapał mnie olbrzymimi łapskami za szyję i uniósł, przyciskając do grodzi. Kompletnie nie byłem na to przygotowany. Niewiarygodne, że tak wielki facet

poruszał się tak szybko. Trzymając mnie kilka centymetrów nad ziemią, przysunął swoją zamienioną w diabelską maskę twarz do mojej twarzy.

– Od ponad miesiąca siedzę uziemiony w tej dziurze, na tym cholernym statku, z całą załogą, rozumie pan?! – krzyknął, poczerwieniały z wściekłości. – Odkąd tu jestem, czekam daremnie na kogoś, kto zająłby się statkiem i dostarczył tę przesyłkę, i wie pan, kto przyjechał? – zapytał. – Nikt! Absolutnie nikt!

Brakowało mi powietrza, widziałem już przed oczami tańczące kolorowe punkciki. Ten psychopata chciał mnie udusić. Nagle zdał sobie chyba sprawę z dziwnego koloru mojej twarzy, a może i z tego, że jeśli mnie zabije, nie będzie miał listonosza. Tak czy inaczej, rozluźnił uścisk. Upadłem na podłogę i dysząc, próbowałem zaczerpnąć trochę powietrza.

– Ta paczka jest mi potrzebna! Po prostu potrzebna. Tydzień temu wysłałem na ląd ekipę, ale od tamtej pory nie mieliśmy od niej wieści. Nie mogę sobie pozwolić na to, by stracić więcej ludzi. – Znowu usiadł i spojrzał na mnie uważnie. – Pójdzie pan po tę paczkę. A jeśli wpadnie panu do głowy, żeby zboczyć choćby pół metra z drogi, przysięgam na Boga, że wpakuję panu kulę w łeb. Dlatego niech pan nie próbuje mnie wkurzać. Zrozumiano, panie mecenasie?

Przytaknąłem ruchem głowy, niezdolny do wypowiedzenia ani jednego słowa, i z trudem podniosłem się z podłogi. Ten sukinsyn gotów był mnie zabić, jeślibym odmówił. Najgorsze, że nie miałem dokąd pójść. Z mostka kapitańskiego doskonale widziałem kilku marynarzy, którzy rozsiedli się wygodnie na pokładzie „Koryntu” z AK-47 na kolanach, paląc papierosy. Poza tym nie wiedziałem, gdzie jest Lukullus.

– Zgoda – odparłem, kiedy byłem w stanie cokolwiek wyartykułować. – Daje mi pan słowo, że jeśli przyniosę paczkę, pozwoli mi pan odpłynąć?

– Bez dwóch zdań. Niech pan wypełni swoją część umowy, wtedy ja wypełnię moją.

Jasne. Na pewno. A w prezencie dwie blondynki w bikini i beczka piwa.

Oczywiście.

Musiałem podejść do sprawy pragmatycznie i przejąć inicjatywę, zanim wszystko wymknie się spod kontroli. Wyjąłem z kieszeni rozgniecione marlboro i oparty o koło sterowe uważnie wpatrywałem się w kapitana przez spiralę dymu. Długo się namyślałem.

– W porządku – powiedziałem. – Ale pod jednym warunkiem. Na lądzie ja wydaję rozkazy. Pana chłopaki zrobią, co im powiem, i nie będą mi przeszkadzać. Stoi?

– Całkowicie się zgadzam.

– Zresztą i tak nie wiem, po co się tym martwię. Najprawdopodobniej zabiją nas wszystkich dziesięć minut po zejściu na ląd. Poza tym nie znam żadnego słowa w tagalskim ani w urdu. Jak, kurwa, mam się z nimi dogadać? Alfabetem Morse'a?

– Niech pan nie stroi sobie żartów. Pańska sytuacja na to nie pozwala. Pritzenko mówi po hiszpańsku – odparł. – Pójdzie też z wami mój zastępca, więc będzie pan mógł dogadać się z ich pomocą z całą grupą.

– A dlaczego nie wyśle pan po prostu Pritzenki? Czy nie mieszkał przedtem w Vigo?

– Nie mieszkał – rzucił lakonicznie.

– Ale powiedział pan...

– Dosyć już tych bzdur. Ma pan przed sobą mnóstwo roboty – przerwał mi i pokazał, bym poszedł za nim.

9 marca. Godzina 23.00

Jeszcze żyję. Jestem cały poobijany, mam kilka siniaków, z neoprenowego kombinezonu zostały strzępy, ale jednak żyję. Tyle że nadal nie zdołałem otrząsnąć się ze strachu. Dzień był długi, bardzo długi, pragnę jedynie kilku godzin odpoczynku. Nasza misja, „podróż”, sam nie wiem, jak to nazwać, od początku była skazana na porażkę. Od kiedy zesłiliśmy na ląd, wszystko toczy

się w zawrotnym tempie. Nie mamy żadnego planu, poruszamy się po omacku, a najgorsze jest to, że nie wiemy, co powinniśmy zrobić.

Teraz siedzimy ukryci w starym sklepie kolonialnym, który jakiś czas temu ktoś bezlitośnie ograbił.

Spuszczona metalowa żaluzja, a raczej to, co z niej zostało, jest podparta od wewnątrz dwoma stalowymi regałami. W świetle lampy naftowej widzę niedobitki z naszej ekipy, śpią ściśnięci, i Szafika, który stoi na straży i beztrąsko chrupie baton czekoladowy. Nie mogę zasnąć. Obrazy z ostatnich dwudziestu czterech godzin wirują mi w głowie i walczą, by jakoś wydostać się na zewnątrz. Nie mam z kim o tym wszystkim porozmawiać, żadnego ramienia, na którym mógłbym się oprzeć i zapłakać. Piszę, żeby nie zwariować, by jutro mieć pewność, że to nie był zły sen i że nie odchodzę od zmysłów. Cholera, i tak nie wiem, od czego zacząć. Chyba od początku.

Spędziłem dwa tygodnie na pokładzie „Zaren Kibish”, w warunkach bardzo kontrolowanej „wolności”. W tym czasie kapitan i jego zastępca byli zajęci przygotowaniami do wyprawy na ląd. Z nędznej kajuty, którą mi przydzielono, wychodziłem tylko do ubikacji, kilka razy pod prysznic i na krótko na pokład „Koryntu”. Oprócz Uszakowa widywałem jedynie kucharza, przyszczatego Filipińczyka ze śladami po ospie, który nie zna słowa po hiszpańsku, miałem więc dużo czasu, żeby przemyśleć całą sytuację i uświadomić sobie, że nad niczym nie panuję.

Właśnie pisałem, kiedy Uszakow osobiście pojawił się w mojej kabinie i kazał mi pójść za sobą.

Weszliśmy schodami na pokład, gdzie czekali na mnie członkowie mojej „grupy”. Byli wśród nich mały Wiktor Asterix Pritczenko, którego nie widziałem od naszego ostatniego spotkania (myślę, że jest takim samym więźniem jak ja), drugi oficer z giwerą wiszącą u pasa i czterech marynarzy „Zaren Kibish” wyglądających na Pakistańczyków. Wszyscy w grubych marynarskich ubraniach w ciemnym kolorze i z wypchanymi plecakami. Wszyscy, z wyjątkiem Wiktora, trzymali w rękach kałasznikowy, wyglądało na

to, że nie dali mu broni. W jego spojrzeniu widać było coś pomiędzy rezygnacją a przerażeniem. Miał tak samo przerażane jak ja, bez dwóch zdań.

– Ty też zgłosiłeś się na ochotnika, co? – zapytałem, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Jak to? – odpowiedział zmieszany.

– Nic. Nieważne. – Było jasne, że nie wyczuł ironii. Zwróciłem się do Uszakowa: – A moja broń?

– Panu nie będzie potrzebna broń, przyjacielu. Będą pana ochraniać moi ludzie. Pan ich tylko poprowadzi i przyniesie mi to z poczty – odparł, wyciągając do mnie jakiś świstek. Kwit upoważniający do odbioru paczki.

Wziąłem go niedbałym ruchem, a drugą ręką poprawiłem stary skafander z neoprenu, na który obecni patrzyli z pewnym zdziwieniem. Myślę, że zadawali sobie pytanie, czy z moją głową wszystko w porządku i czy przypadkiem nie wybieram się popływać na desce. Ale kiedy obejrzałem kwit, przeszła mi ochota do żartów. Kurwa! Nic dziwnego, że poprzednia grupa zaginęła. Paczka wcale nie leżała na Poczcie Głównej, którą prawie było widać z portu. Tego cholernego kwitu nie wystawiono na poczcie. Pochodził z VNT, lokalnej firmy kurierskiej. Przesyłka czekała w biurze. A to znajdowało się niemal na drugim końcu miasta.

Pokiwałem głową zrezygnowany i schowałem kwit do małego pustego plecaczka, który mi podano. Nie mieli żadnych wątpliwości, kto będzie musiał nieść paczkę w drodze powrotnej. Związałem troki i rzuciłem okiem na martwe miasto. Wyglądało ponuro, smutno, przerażająco. Oprócz zniszczonego portu, widziałem stąd ulice Vigo, pełne porzuconych byle gdzie samochodów, śmieci, odpadków, fruujących papierów i plastikowych toreb, a pośród tego wszystkiego dziesiątki wałęsających się istot na przechadzce bez końca. Przeklęta Martwa Strefa. A my właśnie tam szliśmy. Wzdrygnąłem się i zwróciłem do Uszakowa:

– Jest coraz ciemniej. Wyjdziemy jutro rano, kiedy będzie dość światła.

– Nie, panie mecenasie. Wyjdziecie właśnie teraz, pod osłoną nocy.

– Czy pan wie, co pan mówi? Przecież nie będziemy w stanie ich zobaczyć! – odparłem wzburzony. Nie mogłem uwierzyć własnym uszom.

– Oni was też nie zobaczą – odrzekł Uszakow nieprzyjemnym tonem.

To oznaczało koniec dyskusji. Próbowałem mu wytłumaczyć, że „oni” nie muszą nas widzieć, by wyczuć, że tam będziemy, ale nie udało mi się go przekonać. Może myślał, że chcę jedynie odwlec wyjście. Uszakow był wojskowym i rozumował jak wojskowy. Dla niego to oczywiste, że taki wypad trzeba przeprowadzić po ciemku, jeśli ma się zakończyć powodzeniem, więc do pełnej potworów strefy posyłał nas nocą, do tego bezksiężycową. Coraz lepiej.

Dość duży zodiak czekał na nas przycumowany do „Koryntu”. Kiedy szliśmy w stronę relingu, zobaczyłem jednego z marynarzy „Zaren Kibish” z Lukullusem na rękach. Mężczyzna miał kilka głębokich zadrapań na policzku. Widocznie mój kot też nie był zachwycony tym, że znalazł się w rękach porywaczy. Ujrzał mnie, wydał z siebie długie rozpaczliwe miauknięcie i poruszył się niespokojnie, jakby chciał do mnie uciec. Ale typ, który go trzymał, przewidział tę reakcję, dlatego włożył grube rękawice. Wykonał zręczny ruch prawą ręką i poskromił biedne zwierzę, całkowicie je unieruchamiając. Jeszcze trochę, a przetrąciłby mu kark. Lukullus żałośnie zamiauczał, patrząc na mnie błagalnie.

Krew napłynęła mi do twarzy. Zrobiłem krok w stronę tego człowieka, ale ktoś pchnął mnie mocno od tyłu. Zszedłem po drabince do zodiaku. Kiedy sadowiłem się na dziobie, Uszakow wychylił swoje ogromne cielsko przez reling „Zaren Kibish” i zwinął dłonie w trąbkę.

– Postarajcie się szybko wrócić, mecenasie! Mój filipiński kucharz od kilku tygodni nie ma świeżego mięsa, a w jego kulturze znają mnóstwo przepisów na dania z kota! – Zarechotał. – Nie wiem, jak długo uda mi się go powstrzymać!

Silnik zaskoczył z potężnym rykiem przy trzeciej czy czwartej próbie i zodiak ruszył do brzegu, a mnie w uszach ciągle dźwięczała pogróżka Uszakowa. Przeklęty skurwiel...

Zmierzchało błyskawicznie, jak zwykle w Galicji o tej porze roku. Wkrótce miała zapaść ciemna noc. Coraz wyraźniej dostrzegałem niektóre szczegóły

wybrzeża. Wolałbym ich raczej nie oglądać. Była to zapowiedź tego, co czekało nas w odległości zaledwie kilkuset metrów. Nagle zdałem sobie sprawę z całkowitego milczenia, jakie panowało w zodiaku. Odwróciłem się i napotkałem sześć par wpatrzonych we mnie wyczekująco oczu. Czerwony Nos szczerknął w stronę Wiktora jakieś długie zdanie po rosyjsku. Ten przytaknął i spojrzał na mnie oczami o niemal dziecięcym wyrazie.

– Oficer Kricyniew pyta, gdzie wysiąść, gdzie ziemia. Mówi, że pan musicie prowadzić.

Skinąłem głową. Zgoda. Ja tu dowodziłem, przynajmniej na razie. Musiałem się uspokoić. Musiałem zacząć myśleć, jeśli chciałem wyjść cało z tego koszmaru i odzyskać swojego kota i swoją łódź. Zebrałem się w sobie i przyjrzałem uważnie brzegowi, rozpaczliwie szukając odpowiedniego miejsca do zejścia na ląd, bezpiecznej przystani, jakiegoś znaku... Czegokolwiek!

Nagle zobaczyłem. Jasne, że tak, do cholery! Może się uda. Dlaczego nie? To chyba najlepsza opcja. Odwróciłem się do Pakistańczyka, który obsługiwał silnik, i pokazałem mu na migi, by popłynął w tamtą stronę.

Może to i szaleństwo. Ale nie miałem zbyt wielkiego wyboru.

Po tylu dniach na pokładzie statku wrażenia, jakich dostarczał stały ląd pod nogami, były dość egzotyczne. Cienie rosły, a ja starałem się odgadnąć kształty otaczających nas budynków. Wyglądały dziwnie, bardzo dziwnie. Za plecami słyszałem krzątanie Ukraińców i Pakistańczyków znoszących na brzeg nasze rzeczy. Odetchnąłem głęboko, ale zaraz tego pożałowałem. Smród zgnilizny, śmieci, odchodów i spalonego mięsa przyprawiał o mdłości. Z tym wszystkim mieszał się jeszcze jakiś łagodniejszy zapach, delikatny, ale wyraźny. Nie potrafiłbym go opisać, choć towarzyszy mi od kilku tygodni. Myślę, że to ich zapach. Tamtych. Przysięgłbym, że mają własną woń. A może już pomału wariuję, nie wiem.

Pakistańcy i dwaj Słowianie stali za mną gotowi do drogi. Z wyjątkiem Wiktora, który był jakby lekko nieobecny duchem i zrezygnowany, reszta ekipy wyglądała na dość kompetentną i zgraną. Sposób, w jaki się rozstawili i w jaki

trzymali broń, wskazywał, że ci faceci nie są zwykłymi marynarzami, za których się podawali. Gówno prawda. Ci goście to zawodowcy, którzy wiedzą, co robią, a stąd już tylko krok do pytania, kim, do licha, są i jaką rolę mają odegrać. Nie mówiąc już o prawdziwej zawartości paczki, po którą szliśmy, tak cennej, że dla jej zdobycia warto było ryzykować życie siedmiu osób. Czyste szaleństwo.

Zeszliśmy na ląd na najbardziej oddalonym krańcu Bezpiecznej Strefy, dokładnie rzecz biorąc, między olbrzymimi halami i gigantycznym placem, na którym biuro handlowe Citroëna trzymało samochody przed ich załadowaniem na wielkie statki rozwożące je po całym świecie. Plac wypełniony był setkami francuskich aut porzuconych na łasce losu w ciemnościach nocy.

Doskonale widziałem te, które stały najbliżej. Bardzo długi szereg samochodów, gotowych do pierwszej jazdy, mających jeszcze siedzenia pokryte folią. Wszystkie samochody były jednak brudne i zaniedbane. Podeszedłem do jednego z nich i przesunąłem dłonią po karoserii, zostawiając na niej wyraźny ślad. W ciągu długich tygodni, kiedy nikt się nimi nie zajmował, pokryła je gruba warstwa kurzu i czegoś jeszcze. Dreszcz przeszedł mi po plecach, gdy zrozumiałem, że ta substancja to popiół z pożarów, które wybuchły w okolicy. Może ludzkie prochy. Kurwa mać.

Odsunąłem się od samochodów, które prawdopodobnie nigdy nie pomkną szosą w blasku słońca. Tamte czasy nie wrócą. Teraz trzeba wykazać się dostatecznym sprytem, by dożyć następnego dnia.

Zakątek, w którym zeszliśmy na ląd, był szczególnym miejscem. Stała tu niewielka niska hala, z wąskim placem obok, otoczona wysokim ogrodzeniem z cegły i betonu. Tym, co zwróciło moją uwagę, nie było jednak ogrodzenie ani plac, lecz olbrzymi napis górujący nad budynkiem: „Seguritsa”. Hala służyła za portową bazę agencji ochroniarskiej świadczącej usługi przewozowe bankom. Jeśli zważyć, że w strefie wolnocłowej operowały setki firm, nie dziwi, że miała tu swój oddział. Sama portowa giełda towarowa obracała codziennie milionami euro – ktoś musiał pilnować całej tej forsy i

przewozić ją do banków.

Budynek był prawdziwym bunkrem, liczyłem na to, że zgniłki nie zdołały sforsować jego murów. Oczywiście mogłem się mylić, wtedy mielibyśmy przerąbane, ale nie pozostawało nam nic innego.

Szybkim, czytelnym gestem przywołałem do siebie Wiktora. Szepnąłem mu do ucha, że trzeba sprawdzić, co jest w środku budynku. Mały Ukrainiec kiwnął głową, przemknął się niczym węgorz do reszty grupy ukrytej w gęstniejących ciemnościach nocy, po czym długo i zawile tłumaczył coś po rosyjsku Kricyniewowi. Ten z kolei wydał kilka poleceń w urdu Pakistańczykom, którzy zwinni niczym daniela minęli mnie i wtopili się w cień otaczający budynek.

Czułem lekkie obawy na myśl o tym, jak bardzo skomplikowane jest przekazywanie poleceń. Trzeba je parokrotnie tłumaczyć, zanim dotrą do końcowego adresata, więc zawsze istnieje ryzyko, że po drodze zostaną źle zinterpretowane. Niby nic, ale najmniejszy błąd mógł zaprowadzić nas wszystkich do grobu. Tylko w łeb sobie strzelić. W tej małej grupce ocalałych jest tyle narodowości, że ONZ może się przy nas schować.

Po pięciu wlokących się w nieskończoność minutach jeden z Pakistańców wychynął z nicości, dokładnie na wprost nas, pokazując mi uniwersalnym gestem, że wszystko w porządku. Przemykaliśmy chyłkiem w stronę budynku, a ja zastanawiałem się, co takiego dziwnego jest w tych ludziach. Byli dość młodzi, mieli po dwadzieścia kilka lat. Szczupli, żyłaści, wszyscy z wielkimi czarnymi wąsami doskonale pasującymi do miedzianego koloru ich skóry. Wydawali się superkompetentni w tym, co robili.

Dotarliśmy do ogrodzenia i przyłgnęliśmy do muru niczym przyssawki. W żyłach buzowała mi adrenalina. Wszędzie było ciemno jak w grobie.

Choć nie wyglądało na to, żeby w pobliżu znajdował się któryś z tamtych, w tle wyraźnie słyszeliśmy szuranie stóp. Przerazający dźwięk, od którego włos jeżył się na głowie. Coś w rodzaju „szzzzzzzzzur-tup, szzzzzzzzzur-tup”, powtarzane dziesiątki razy. Poczułem, że ze strachu kurczą mi się jądra. Te istoty były bardzo blisko, zbyt blisko, może po drugiej stronie muru, o który się

opieraliśmy.

Podszedłem ostrożnie do drzwi hali. Tak jak się spodziewałem, była to olbrzymia brama ze stali pancерnej z małymi okienkami po bokach. Chwyciłem klamkę i nacisnąłem. Drzwi ani drgnęły. Wszystko zamknięte na cztery spusty.

Przez chwilę nie wiedziałem, co robić. Nawet nie przyszło mi do głowy, że drzwi mogą być zamknięte. Utknęliśmy w martwym punkcie. Nie mogliśmy ani wrócić, ani wejść do hali, ani iść dalej. Ciężka sprawa.

Czułem na sobie wzrok wszystkich obecnych. Odwróciłem się w stronę Wiktora i wzruszyłem ramionami w niemym geście, który miał wyrażać: „I co teraz? Nie mam zielonego pojęcia, co robić”. Kricyniew wystąpił naprzód, zdjął kałsznikowa z pleców, odbezpieczył, robiąc przy tym mnóstwo hałasu, i wycelował w zamek. Zanim zaczął swój strzelecki koncert, chwyciłem za lufę i skierowałem ją w stronę ziemi, przykładając palec do ust. Strzelanie do drzwi absolutnie nic by nie dało, nie licząc niepożądanego rozreklamowania naszej obecności w tym miejscu. Ruchem ręki wskazałem mu róg hali wychodzący na plac.

To była jedyna możliwość, która nam pozostała.

Ruszyliśmy chyłkiem, próbując wtopić się w ścianę. Panowała już absolutna ciemność. Nie pamiętam, czy świecił księżyc, czy nie, ale chmury musiały szczelnie zasnuwać niebo – nie było widać ani jednej gwiazdy. Całkowity mrok jeszcze bardziej komplikował sytuację.

Powiedzieć, że robiłem w portki ze strachu, to mało. Na swoje usprawiedliwienie dodam, że nie ja jeden. Twarze Kricyniewa, Pritczenki i Pakistańczyków – to dopiero był widok. Nie mogłem nie poczuć satysfakcji, widząc lęk w ich oczach. Dobrze im tak. Czym innym jest oglądanie korydy z pokładu „Zaren Kibish”, a czymś zupełnie innym konieczność wyskoczenia na arenę.

Dotarłem do rogu budynku, wysunąłem ostrożnie głowę i zobaczyłem... zero. Absolutnie nic. Ciemność była zbyt gęsta, żeby dojrzeć cokolwiek w odległości większej niż kilka metrów. Nie pozostawało nic innego, jak włączyć jakieś

światło, dlatego pokazałem na migi, żeby podali mi latarkę.

Olbrzymia polar torch na baterie znalazła się w moich dłoniach jak za sprawą czarodziejskiej sztuczki. Ująłem ją spoconymi dłońmi i wycelowałem w ciemność. Na chwilę ogarnął mnie lęk. A co będzie, jeśli włączę latarkę i odkryję dziesiątki przycupniętych potworów, których martwe oczy będą odbijać światło? A jeśli światło zwabi setki kolejnych? Nie mogłem się zdecydować. Trzymałem palec na włączniku i czułem, jak po plecach spływają mi krople potu. Stojący z tyłu Kricyniew szturchał mnie w bok. Szepnął mi do ucha kilka słów po rosyjsku i nawet bez tłumaczenia Wiktora odgadłem, że powiedział coś w rodzaju: „Na co, kurwa, czekasz?”.

Dobra. Wóz albo przewóz. Nacisnąłem guzik i potężny snop światła natychmiast oświetlił wszystko dookoła. Widać było jedynie olbrzymi pusty parking i mur z wielką metalową bramą przesuwaną na szynie. Wejście na teren, także zamknięte. Wypuściłem z płuc strumień powietrza i zdałem sobie sprawę, że aż do tej chwili wstrzymywałem oddech.

Przecieliśmy szybko podwórze i podeszliśmy pod czarną, ciężką, olbrzymią przesuwaną bramę. Przyglądałem się jej zdesperowany. Była za wielka, żeby ją wyważyć. Podwórzem nigdzie nie dało się dojść. Stałem oszołomiony, patrząc na te gigantyczne wrota, i zadawałem sobie pytanie, co, do diabła, mam robić. Wiedziałem, że pozostali czekają, aż podejmę jakąś decyzję, ale nie miałem pojęcia, co im powiedzieć. Wiktor zbliżył się do bramy i zaczął ją uważnie oglądać. Przez chwilę ze zdziwieniem obserwowałem małego Ukraińca. Co on, do licha, wyprawiał? Obmacywał palcami przylegający do ściany bok, jakby czegoś szukał. Stuknąłem go w plecy. Odwrócił się do mnie z uśmiechem, perlisty pot wystąpił mu na czoło. Wyszeptał tylko jedno słowo: „Popsuta”.

Ze zgrzytem, który w środku nocy zabrzmiał niczym wystrzał, brama przesunęła się o kilka centymetrów. Nie była zamknięta!! Właściwie nie była też otwarta, poprawiłem się w myślach. Widziałem już wcześniej taką bramę, w czasie odwiedzin u pewnego klienta w więzieniu. Chodziło o supernowoczesny model urządzenia zamykającego i otwierającego z

wykorzystaniem zamków elektromagnetycznych. Dopóki dochodzi prąd, taki zamek jest absolutnie nie do sforsowania, a w razie przerwy w dostawie dzięki akumulatorom system działa jeszcze przez kilka dni. Ale nawet najbardziej zapobiegliwemu producentowi nie przyszło do głowy, że prądu może nie być przez kilka miesięcy. Dlatego mechanizm był najzwyczajniej w świecie wyłączony, a bramę dało się otworzyć, popychając ją palcem.

Przeklęty Wiktor... Jak on, kurwa, na to wpadł? Kim był ten facet i skąd się wziął w Hiszpanii?

Brama przesunęła się po szynie łagodnym ślizgiem, odsłaniając część ulicy na zewnątrz. Ulica. Na zewnątrz. Miejsce, gdzie koczowali tamci, choć kiedy wychyliliśmy ostrożnie głowy, nie zauważyliśmy ani jednego.

Świeciłem gorączkowo na prawo i lewo, starając się dostrzec którąś z tych istot. Przysięgam na Boga, że gdybym zobaczył jedną z nich w odległości mniejszej niż dwa metry, jak najprędzej zatrzasnąłbym bramę i nie wyszedł nawet pod groźbą pistoletu... Teraz żałuję, że tak właśnie się nie stało. Ominęłoby nas to wszystko, co zdarzyło się później.

W momencie kiedy pomyślałem, że omiotłem już światłem całą ulicę, skierowałem latarkę na prawo i serce prawie zamarło mi z przerażenia. Olbrzymie czerwone oko, złośliwe, błyszczące, wpatrywało się we mnie uważnie bez mrugnięcia z odległości kilku metrów. Było przerażające. Przez ułamek sekundy stałem zahipnotyzowany jego blaskiem. Wreszcie zareagowałem i uskoczyłem tak gwałtownie, że latarka prawie wypadła mi z ręki.

Na szczęście nie krzyknąłem i w ten sposób zaoszczędziłem sobie wstydu, jakim byłoby tłumaczenie całej grupie, dlaczego drę się jak dziecko na widok odbicia światła latarki w kawałku szkiełka. To, co wziąłem za olbrzymie oko, okazało się światełkiem odbłaskowym na drzwiach porzuconego na chodniku furgonu.

Reszta grupy stała w bramie zbита w gromadkę, celując w oba końce ulicy, a ja nieufnie podszedłem do tego wielkiego grata. Dopiero w połowie drogi

zdałem sobie sprawę, że jestem całkowicie bezbronny. Gdyby w środku samochodu siedział jakiś Nieumarły, moje zdrowie w ciągu kilku sekund mogłoby poważnie ucierpieć...

Był to żółty opancerzony furgon z napisem „Seguritsa” namalowanym na boku grubymi czarnymi literami. Uchylone drzwi od strony pasażera miały zamocowane szkło odblaskowe, żeby przy otwieraniu odbijało w nocy światło reflektorów. Właśnie to wziąłem nieopatrznie za wielkie oko. Zdecydowanie potrzebowałem ziółek na uspokojenie. I urlopu na Karaibach. Ale i jedno, i drugie pozostawało poza moim zasięgiem.

Zbliżałem się powoli do furgonu z taką samą nieufnością, z jaką Lukullus podszedłby do psa, gotów w każdej chwili wziąć nogi za pas. W końcu dotarłem do samochodu. Był wielki, jak wszystkie opancerzone furgony, i na pewno sporo ważył. Przyłożyłem dłoń do maski. Okazała się całkowicie zimna. Stał tu pewnie porzucony od tygodni, może nawet miesięcy. Wsunąłem głowę do kabiny kierowcy. Pusto. Wsiadłem ostrożnie i zajmąwszy miejsce w obitym skórą fotelu, spróbowałem zebrać myśli.

Furgon nie został zaparkowany, lecz byle jak porzucony na chodniku. Kimkolwiek był jego ostatni kierowca, musiał pospiesznie wysiąść, bo nie zatroszczył się nawet o zamknięcie drzwi. Kluczyki nadal tkwiły w stacyjce. Czując ciarki na plecach, pomyślałem o opancerzonej części, która znajdowała się za mną. Wyobraziłem sobie kilku konwojentów zamienionych w Nieumarłych, zamkniętych w ciasnej przestrzeni, którzy zepsutymi zębami przywierają do oddzielającego nas okienka, a w końcu je rozbijają, żeby chwycić mnie rękoma...

Odwróciłem głowę przestraszony, ale okienko było puste i ciemne. Skierowałem światło latarki do środka i zobaczyłem kilka wielkich worów z logo spółki, pokrytych kurzem, niedbale zwalonych na podłogę obok dwóch pustych foteli. Odetchnąłem z ulgą. Fałszywy alarm. Nie licząc mnie, furgon był absolutnie pusty. Jak widać, ktoś zostawił z tyłu kilka worków, wypełnionych, jeśli się nie myliłem, papierkami bankowymi, które jeszcze

niedawno, zanim przybyły potwory, stanowiły obiekt wielkiego pożądania.

Na podłodze znalazłem metalową podkładkę do pisania z przypiętą klipsem kartką. Była to rozpiska trasy z końca stycznia, z ostatniego dnia, kiedy furgon odbywał swój zwykły kurs. Z liczby worków leżących z tyłu i odhaczeń na liście wynikało, że tego dnia kończyli objazd, kiedy kierowca zauważył nagle coś, co przeraziło go tak bardzo, że natychmiast zwiął do bazy. Mówię „przeraziło”, bo nie sądzę, żeby istniał jakiś inny powód porzucenia na środku ulicy furgonu z milionami euro, otwartego na oścież i z kluczykami w stacyjce. Nie trzeba być jasnowidzem, żeby wiedzieć, co ten biedak zobaczył. Przez głowę przemknęło mi pytanie, kim był, gdzie się teraz znajduje i w jakim jest stanie.

W każdym razie furgon stanowił bardzo interesującą opcję dla kogoś, kto miał przejechać przez miasto. W tym gracie mieściła się spokojnie cała nasza siódemka. Był opancerzony, mocny i na tyle ciężki, że nawet tłum tamtych nie zdołałby go przewrócić. Im dłużej nad tym myślałem, tym doskonalszy wydawał mi się ten pojazd. Ale jeden rzut oka na stacyjkę wystarczył, żeby ostudzić mój entuzjazm. Kluczyk znajdował się w pozycji ON, a silnik nie pracował.

Ostatni kierowca porzucił samochód w pośpiechu. Tak szybko, że nawet nie miał czasu zgasić silnika, który zapewne pracował na wolnych obrotach przez kilka tygodni, aż zużył całe paliwo i zgasł. Miałem więc doskonały pojazd do przejechania przez umarłe miasto, ale bez kropli paliwa. No i nie wiadomo, co z akumulatorem.

Dokładnie w tym momencie Kricyniew i Pritczenko wsunęli głowy do środka, zaniepokojeni moją opieszałością. Mało nie zemdlałem, tak mnie wystraszyli. Kiedy powiedziałem im, jakie możliwości oferuje samochód, na ich twarzach pojawił się uśmiech.

10 marca. Godzina 0.02

Fałszywy alarm. Po prostu wśród typków na zewnątrz zapanowało lekkie poruszenie.

Sytuacja nie mogłaby być gorsza. Jesteśmy zamknięci w tym pieprzonym sklepie, wyczerpani i coraz bardziej osaczeni. Staram się jak najmniej wyróżniać i nie przyciągać uwagi, ale Kricyniew już kilka razy mruczał pod nosem, że to wszystko moja wina, a spojrzenia, jakie mi posyła, nie są bynajmniej uspokajające. Ale znowu uprzedzam bieg wydarzeń.

Kiedy stwierdziliśmy, że opancerzony furgon jest na pierwszy rzut oka w dobrym stanie, postanowiliśmy go wykorzystać. Im dłużej rozważaliśmy ten pomysł, tym bardziej wydawał się nam logiczny. W końcu opancerzona furgonetka to jakby cywilna wersja czołgu. Stała zaparkowana przed nami, z kluczykiem w środku, domagając się głośno, żeby do niej wsiąść. Pierwszy problem stanowił bak wyschnięty jak Sahara.

Wyjście z tej sytuacji znaleźliśmy dzięki Szafikowi, jednemu z Pakistańczyków. To żylasty, dwudziestokilkuletni facet, o bardzo ciemnej skórze i nedorzecznym, monstrualnej wielkości czarnych wąsiskach, przy których wąsy małego Wiktora Pritczenki wyglądają śmiesznie.

Kiedy stwierdziliśmy, że bak jest pusty, Kricyniew wyrzucił z siebie całą serię słów w urdu, skierowanych do tego chłopaka. Jeden z Pakistańczyków wrócił na pierwsze podwórze Seguritsy, a w tym czasie Szafik zaczął zdejmować z siebie ekwipunek, aż został tylko w koszulce i krótkich spodenkach, z nieodłącznym kałasznikowem na plecach. Wiktor i ja siedzieliśmy oparci plecami o mur, przyglądając się z lekkim zdziwieniem temu widowisku, natomiast pozostali Pakistańczycy pilnowali ulicy przez uchyloną bramę, by nie zbliżyli się do nas jacyś niepożądani goście.

Po kilku minutach wysłany na zwiady Pakistańczyk wrócił na główne patio z długim kawałkiem gumowej rury z węża do podlewania. Szafik wziął rurę i pusty około pięciolitrowy plastikowy baniak, po czym bez słowa ruszył w stronę zodiaka. Odcumował go i niespiesznie powiosłował w stronę pobliskiego terminalu Citroëna, odległego o mniej więcej pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym się znajdowaliśmy. Szybko straciliśmy go z oczu w ciemnościach nocy, mogliśmy jedynie słyszeć miarowy plusk wioseł, aż w końcu i ten ucichł w

oddali.

Siedziałem, marząc o papierosie, i wyobrażałem sobie całą scenę. Skulony Szafik biegnie między niekończącymi się rzędami zaparkowanych samochodów gotowych do załadunku na statki płynące w różne strony świata, z kluczami w stacyjkach, ale zaledwie kilkoma litrami paliwa w bakach, wystarczającymi, żeby dojechać do statku, a stamtąd na ciężarówkę. Samochodów, które nigdy nie dotrą do żadnego salonu.

To było oczywiste. Miał przelać zawartość zbiorników do bańki, a potem napełnić bak furgonu. Zważywszy, że baniak mieścił zaledwie pięć litrów, Pakistańczyk musiał obrócić co najmniej dziesięć razy, żeby zatankować pod korek, bo nie mieliśmy żadnych kanistrów, nie licząc naszych manierek. Wymagało to sporo czasu, ale przynajmniej zapewniłoby nam bardziej niż bezpieczny pojazd, dzięki czemu nie musielibyśmy iść przez miasto na piechotę. Poza tym moglibyśmy wyruszyć w drogę przy świetle dziennym. Możecie nazwać mnie tchórzem, ale wolę widzieć, co mam dookoła siebie, niż zapuszczać się po ciemku w martwe miasto pełne tamtych.

Usadowiłem się wygodniej, by przez chwilę wypocząć, a do głowy napływały mi tysiące niepokojących myśli. A jeśli opróżniając baki zaparkowanych samochodów, przez nieuwagę zmiesza benzynę z olejem? A jeśli wszystkie samochody są benzynowe? (Furgon oczywiście miał silnik diesla). Oblał mnie zimny pot. A jeśli wszystkie auta zostały rozebrane na części przez ocalałych z Bezpiecznej Strefy? Nie mówiąc już o tym, że jakiś dawny pracownik fabryki, zamieniony w żywego trupa, może się tam włóczyć i od tyłu zaskoczyć Szafika przy robocie... Im dłużej nad tym rozmyślałem, tym więcej możliwych, fatalnych w skutkach błędów przychodziło mi do głowy, a im większy czułem strach, tym mniej było we mnie wiary.

Wszystkie moje obawy okazały się jednak bezzasadne. Szafik wrócił z baniakiem wypełnionym bursztynowym olejem napędowym i z szerokim uśmiechem na ustach. Nie, nie było możliwości pomyłki, brał paliwo tylko z furgonetek z silnikiem diesla. Owszem, mnóstwo z nich już wcześniej

opróżniono, ale stoi jeszcze kilkadziesiąt z nietkniętymi bakami. Tak, będzie musiał teraz pójść po paliwo trochę dalej, ale to żaden problem, okolica wydaje się spokojna.

Nieco odprężony oparłem się znowu o ścianę, Szafik zaś ponownie ruszył w drogę. Przyglądałem się facetom o miedzianej skórze. Dziwna sprawa. Dla tych ludzi przebywanie w ciemnościach, z bronią gotową do strzału i ze świadomością, że narażają życie, było najnormalniejszą rzeczą na świecie. Można by powiedzieć, że to ich chleb powszedni.

Nabierałem coraz większej pewności, że epidemia musiała uderzać tym mocniej, im bardziej rozwinięty był kraj, do którego dotarła. W Hiszpanii tylko wojsko, siły bezpieczeństwa i kilka tysięcy cywili mieli broń palną albo pozwolenie na jej posiadanie. Tak nakazywało bezpieczeństwo, prawo i wygoda wysoko rozwiniętej starej Europy. Ale w takich miejscach jak Pakistan, Liberia, Somalia czy Bóg jeden wie gdzie jeszcze, normą był karabin zwisający na szyi nawet niemowlaka przy piersi, czy coś większego kalibru przy drzwiach każdego domu. Tam zwykle najpierw strzelano, a dopiero potem zadawano pytania.

Dlatego teraz, kiedy najbardziej rozwinięte obszary cywilizowanego świata padały bezbronne, niszczone od wewnątrz przez własnych obywateli, Nieumarli mieli najmniejsze szanse właśnie na terenach najbardziej odległych, prymitywnych, odizolowanych, o ile w ogóle do nich dotarli. Dla tamtejszych ludzi brak prądu czy bieżącej wody nigdy nie stanowił problemu.

Ironia losu. Najbiedniejsze i najbardziej zacofane obszary stały się ostatnią nadzieją ludzkości. Reszta świata – jednym wielkim piekłem, z którego próbowały uciec rozproszone grupki ocalałych.

Powoli wstawał poranek. Słońce wychylało się zza horyzontu, kiedy biedny Szafik, zlany potem i wykończony, potykając się, przyniósł kolejny baniak. Zbiornik był pełen. W tym czasie inny z Pakistańczyków, Usman, zapuścił się aż na koniec ulicy, gdzie stał zaparkowany nowy model garbusa z podziurawionymi przednimi oponami. Wyrzał za róg i wrócił z informacją, że

kilku zgniłków krąży w odległości mniejszej niż dziesięć metrów stamtąd, nie podejrzewając naszej obecności tuż pod ich nosem. Wyglądał na przerażonego. Myślę, że pierwszy raz oglądał tamtych z tak bliska, a wiem z własnego doświadczenia, że to nie jest przyjemny widok. Uświadomiłem sobie, że w tej egzotycznej paczce jestem weteranem, co wcale nie podziało na mnie uspokajająco.

Wsiedliśmy do furgonu. Ku mojemu zdziwieniu zostawili mi miejsce za kierownicą. Nie ulegało wątpliwości, że mam być ich przewodnikiem pod każdym względem. Z westchnieniem usadowiłem się w fotelu i zamknąłem ciężkie drzwi. W kabinie siedzieliśmy ściśnięci: Kricyniew, Szafik i ja, a opancerzoną budę z tyłu zajmowali Pritczenko i trzech pozostali Pakistańczycy. Ustawiłem odpowiednio siedzenie i lusterka i poleciwszy się opiece wszystkich, którzy przyszli mi do głowy, przekręciłem kluczyk w stacyjce.

Rozrusznik nie wydał żadnego dźwięku. Spróbowałem jeszcze raz. Nic. Kolejny raz. Też nic. Trzeba było widzieć twarz Kricyniewa. Przypuszczam, że moja nie różniła się od niej zbyt wiele. Opadłem plecami na oparcie fotela, myśląc gorączkowo, co się, u diabła, stało. Niespokojnym wzrokiem wodziłem po tablicy rozdzielczej, szukając jakiejś wskazówki. Nagle moje spojrzenie padło na przełącznik świateł. Był włączony. Cholera. Wszystko się wyjaśniło. Facet, który wziął nogi za pas, zostawił zapalony nie tylko silnik, ale i światła. Po jakimś czasie padł akumulator.

Wyobraziłem sobie tę scenę: ulica pogrążona w ciemnościach, reflektory będące jedynym źródłem światła, coraz bardziej żółknące i mrugające w miarę jak wyczerpywał się akumulator, i setki Nieumarłych otaczających furgon porzucony w czasie ucieczki...

Należało coś z tym zrobić. Moje spojrzenie zatrzymało się na volkswagenie na końcu ulicy. Nie wyglądał na więcej niż trzyletni. Jego akumulator powinien być w dobrym stanie. Chciałem powiedzieć Kricyniewowi, żeby posłał Szafika na parking Citroëna po nowy akumulator z jednego z zaparkowanych tam samochodów, ale wiedziałem, że odmówi. Słońce stało

coraz wyżej, byliśmy już bardzo opóźnieni i Ukrainiec zaczynał się niecierpliwić. Nie chciałem tracić więcej czasu, mając pod bokiem volkswagena. Poza tym w świetle dnia parking Citroëna mógł się okazać zbyt niebezpiecznym miejscem, żeby tam spacerować. Nie pozostawało nic innego, jak pójść po akumulator okrągłutkiego niemieckiego samochodu.

Odwróciłem się w stronę Wiktora i przez małe okienko przekazałem mu, co powinien powiedzieć Kricyniewowi. Po szybkiej wymianie zdań po rosyjsku Wiktor zbladł i spojrzał na mnie z rozpaczą w oczach. Zrozumiałem natychmiast. To on miał pójść po akumulator. Chwilę potem wyprowadził mnie z błędu. Mieliśmy iść obaj. Niech to szlag.

Wysiedliśmy z furgonu odprowadzani kpinami Pakistańczyków. Posuwając się niemal na palcach, w samym środku brudnego, opuszczonego portu, podeszliśmy do volkswagena w niedorzecznym kolorze cytryny. Stał dokładnie na końcu ulicy, na rogu utworzonym przez mur ogrodzenia. Wysunąwszy ostrożnie głowę, zobaczyłem kilku tamtych, w różnych miejscach na jezdni. Wyglądali na pogrążonych w transie. Może spali. Nie wiem. Za to nie ulegało wątpliwości, że są blisko. Bardzo blisko. Zbyt blisko.

Wiktor walczył bezskutecznie z klamką od drzwi volkswagena. Były zamknięte. No tak, w końcu wszystko nie mogło iść gładko. Pritzenko owinął pięść w grubą marynarską kurtkę i zanim zdążyłem mu przeszkodzić, uderzył w okno po stronie kierowcy.

Szyba rozprysła się na milion drobnych kawałeczków, robiąc przy tym hałas, który zabrzmiał w moich uszach skandalicznie głośno. To musiało wprawić w ruch Nieumarłych. Trzeba było się spieszyć. Ze zwinnością złodzieja samochodów mały Ukrainiec wślizgnął się do środka garbusa i pociągnął za uchwyt do otwierania maski. Podniosłem ją, jednym okiem pilnując rogu ulicy, czy nie pojawią się tamci.

Akumulator znajdował się po prawej stronie, wychodziła z niego potężna wiązka kabli. Zacząłem się z nimi mocować, ale zaczepy wyslizgiwały mi się ciągle ze spoconych palców. Stojący obok Pritzenko patrzył na mnie

wyczekująco, natomiast Pakistańczycy, przyklękawszy obok furgonu, wyluzowani przyglądali się widowisku.

Kiedy mały miedziany zacisk wyślizgnął mi się kolejny raz, Wiktor Pritzenko stracił cierpliwość. Delikatnie mnie odsunął i pochylił się nad akumulatorem. Chwycił oburącz za zaciski, pociągnął i po prostu je wyrwał. Mocnym szarpnięciem za uchwyt wy dobył akumulator z przegrody. Spojrzał na mnie z uśmiechem, mamrocząc pod nosem coś, co zabrzmiało jak „Najlepiej załatwiać takie rzeczy w starym radzieckim stylu”, po czym ruszył w stronę opancerzonego furgonu.

W samą porę. Na rogu pojawił się idący chwiejnym krokiem pierwszy zwabiony hałasem Nieumarły. Była to kobieta w średnim wieku, cała zalana krwią, gruba, z jedną obwisłą piersią na wierzchu. Piszę „z jedną”, bo tam, gdzie powinna być druga, widniała olbrzymia dziura w kolorze krwistej czerwieni.

Kiedy zobaczyliśmy z Pritzenką pierwszych wychodzących zza rogu Nieumarłych, stanęliśmy jak sparaliżowani i patrzyliśmy na nich przez kilka sekund. To nieuniknione. Niezależnie od tego, jak bardzo jest odrażająca i jak strasznie wygląda, istota tak nienormalna jak wędrujący trup w każdym nieuchronnie budzi fascynację. Fascynację niebezpieczną niczym kobra. Chyba pisałem już mnóstwo razy w tym dzienniku, że ci cudacy są szybcy, cholernie szybcy, choć wydaje się, że ledwo powłóczą nogami. Dwadzieścia sekund później byli tuż przy nas.

Jeden z nich miał na sobie tylko szpitalną koszulę, związaną od tyłu, w nieokreślonym kolorze z powodu plam z krwi i brudu. Wiatr tarosił dość długie włosy mężczyzny; z ramienia zwisały mu resztki tego, co kiedyś było kroplówką. Kiedy nas zobaczył, przystanął, wyciągnął dłonie i wydał z siebie warknięcie, głośne, gardłowe, przejmujące dreszczem.

To wystarczyło, by czar prysł. Chwyciłem Pritzenkę za ramię. Oparty o maskę samochodu stał osłupiały z akumulatorem w ręku i przyglądał się tym istotom. Musieliśmy wynieść się stamtąd, zanim nas dorwą, w przeciwnym

razie bylibyśmy załatwieni. Przysunąłem się do niego od tyłu i mówiłem szeptem, a potem coraz głośniej: „Biegnij... biegnij... biegnij...”. „BIEGNIJ!”, wrzasnąłem w końcu. Odwróciliśmy się i puściliśmy pędem w stronę furgonu. Tamci byli tak blisko nas, że niemal czuliśmy na plecach ich oddechy.

Trzysta metrów. Wydawało się, że furgon stoi w odległości stu kilometrów. Neoprenowy kombinezon nie jest najwygodniejszym strojem do biegania. Dwieście metrów. Pritczenko pędził tuż obok mnie, jakby gonił go sam diabeł. Przysięgłbym, że z przerażenia miał zjeżone wąsy. Pocięła mnie świadomość, że nie ja jeden srałem ze strachu. Sto metrów. Mogłem już rozróżnić twarze Pakistańczyków i Kricyniewa. Krew odpłynęła mi z głowy, kiedy zobaczyłem, że podnoszą broń i celują prosto w nas. Przez chwilę myślałem, że wykonają na nas egzekucję w trybie doraźnym. Pięćdziesiąt metrów. Prawie dobiegliśmy, kiedy zaczęli strzelać.

Dźwięk pięciu karabinów AK strzelających jednocześnie jest ogłuszający, zwłaszcza kiedy terkoczą blisko twoich uszu, a nigdy wcześniej ich nie słyszałeś. Zdyszany zwałem się u stóp Pakistańczyków obok zmienionego na twarzy Pritczenki i patrzyłem na kilkunastu Nieumarłych, na których spadł grad kul. Z przerażeniem zauważyłem, że marynarze celują w ich korpus. Doskonale wiedziałem, że w ten sposób nie wyrządzą im żadnej krzywdy. To nic nie dawało! Podniosłem się, krzycząc jak szalony, żeby strzelali w głowę, ale w całym tym zamieszaniu nie zdałem sobie sprawy, że wrzeszczę to po hiszpańsku i że ci przekłeci Pakistańczycy za cholere mnie nie rozumieją.

Pritczenko zaczął wrzeszczeć jak opętany: „*Head! Head!*”, skacząc niemal na linii strzału. Nie wiem, jak to się stało, że go nie trafili, ale w końcu załapali, o co chodzi. Skorygowali linię strzałów i w niespełna minutę tuzin Nieumarłych leżał na ziemi, teraz już ostatecznie martwych, każdy z kilkoma strasznymi dziurami w głowie.

Niespełna miesiąc temu na widok podobnej jatki wyrzygałbym własną wątrobę, a teraz obserwowałem tę scenę z obojętnością, z jaką dziecko wyrzywa musze skrzydełka. Chyba rzeczywiście się uodporniam. To pewnie normalne, co

wcale nie znaczy, że mi się podoba.

Mieliśmy mało czasu. Za sprawą tej beładnej strzelaniny każda krążąca w okolicy zjawia kierowała się teraz w naszą stronę. Za kilka minut wszystkie ściągną w to miejsce. Usiadłem za kierownicą, a Pritczenko i jeden z Pakistańczyków uwijali się przy silniku, podłączając akumulator z volkswagena. Nie wiem, czy to była prosta robota, czy też Wiktor musiał ponownie zastosować „stare radzieckie metody”, w każdym razie po chwili dał mi znak, żebym przekręcił kluczyk. Silnik wydał z siebie dwa długie kasznięcia i zgasł, ale przynajmniej podświetliły się wskaźniki. Mieliśmy już akumulator, za to coś szwankowało z dopływem paliwa.

Zza podniesionej maski dotarła do mnie gwałtowna wymiana zdań po rosyjsku i w urdu. Choć wiedzieli, że się nie rozumieją, próbowali coś sobie powiedzieć. Wreszcie najwyraźniej doszli do zgody, bo obaj wychylili się, żeby dać mi znak. Ponownie przekręciłem kluczyk i tym razem silnik zapalił z potężnym rykiem, który odbił się echem w wąskiej ulicy. Zatrzasnęli maskę i szybko wskoczyli do samochodu. Byliśmy gotowi.

W samą porę. Zza najdalszego rogu uliczki wychodził gęsty tłum. Z drzeniem obserwowałem tę masę, która blokowała nam wyjazd, podczas gdy silnik wydawał coraz bardziej niepewne dźwięki. Jeśli zgaśnie, jesteśmy zgubieni, uwięzieni na zawsze w tym ciasnym pojeździe.

Widok był przerażający. Ulica o długości około trzystu metrów, z jednej strony zamknięta wysokim murem, z drugiej tylną ścianą olbrzymiej hali przemysłowej. Wąski korytarz szeroki zaledwie na sześć metrów dzielących czerwonawe cegły muru od pomalowanej na biało ściany hali. Na jednym krańcu ulicy, przy metalowej bramie Seguritsy, sapiący opancerzony furgon nieużywany od ponad półtora miesiąca, z siedmioma osobami stłoczonymi w środku. Na drugim końcu, pełnym Nieumarłych – piekło.

Wystrzały z kałasznikowów ocaliły życie mnie i Pritczence, ale straszny hałas, jakiego narobiły, zwabił wszystkie okoliczne potwory. Teraz prawdziwa fala, dziesiątki, setki tych istot, zmierzała wąską uliczką w naszą stronę.

Parskanie silnika przyciągało ich niczym latarnia ćmę. Wiedzieli, że jesteśmy w środku. Nie mam pojęcia skąd, ale wiedzieli.

Harmider wewnątrz furgonu był ogłuszający. Czterej Pakistańcycy nerwowo nawijali w urdu, nie przestając pokazywać palcami nadchodzącego tłumy. Blady Pritczenko skulił się w kącie ze wzrokiem wbitym w tamtych. Na czoło wystąpił mu perlisty pot. Nie trzeba być psychologiem, by się domyślić, że wspominał swoje doświadczenia z ostatnich chwil Bezpiecznej Strefy, tylko że tym razem nie miał dokąd uciec. Kricyniew siedział obok mnie trupio blady i patrzył na wszystko oczami wielkimi jak talerze, a żyłki na jego nosie rysowały się niczym linie na mapie. Obserwować te istoty przez lornetkę z bezpiecznego pokładu „Zaren” i stać na wprost nich, gdy nic nie przeszkadza im podejść bliżej, to dwie różne rzeczy. Wyglądał na wystraszonego, bardzo wystraszonego, jak wszyscy. Pierdol się, powtarzałem w myślach mimo grozy sytuacji.

Nagle Kricyniew się ocknął i potrząsnął mnie za ramię, nerwowo wykrzykując jakieś słowa po rosyjsku. Wzruszyłem ramionami i spojrzałem na niego, przypuszczam, że z takim samym przerażeniem, jakie malowało się na jego twarzy. Nie bardzo wiedziałem, co robić. Na coś takiego nikt nie mógł być przygotowany. Zwolniłem hamulec ręczny, wrzuciłem pierwszy bieg i pozwoliłem, by furgon potoczył się powoli w stronę bezkształtnej masy, która zajmowała całą szerokość ulicy.

Silnik dyszał głośno, kiedy podjeżdżaliśmy do tej ściany z ciał, kości i żądz krwi. Odległość szybko malała, tłum i samochód zbliżały się do środka ulicy. Kiedy dzieliło nas niespełna sto metrów, mogliśmy zobaczyć twarze pierwszych Nieumarłych i domyślić się, jak olbrzymia rzesza szła za nimi. To było przerażające, jakbyś próbował utorować sobie drogę pośród manifestacji albo chciał przejechać samochodem przez wypełnioną publicznością salę koncertową.

Moja głowa pracowała na pełnych obrotach. Panika i krążąca w żyłach adrenalina zachęcały mnie, żebym natarł na tę grupę. Było to nieprzyzwoicie

rozkoszne rozwiązanie: docisnąć do końca pedał gazu i przejeżdżać przez kolejne rzędy Nieumarłych jak kosiarką, zostawić ich za sobą, daleko, w drodze do miejsca, gdzie nie zobaczę żadnego z nich nawet na obrazku...

Jednak natychmiast wziął górę zdrowy rozsądek. Natarcie na tę kołyszącą się tłuszcę nie wchodziło w grę. Ludzkie ciało wpadające na przednią szybę, nieważne jak bardzo jest martwe i jak bardzo pancerna jest szyba, pozostaje siedemdziesięciokilogramowym pakunkiem rzuconym na maskę i może wyrządzić samochodowi dużą, naprawdę dużą szkodę. W tym tłumie rozbita szyba oznaczała wyrok śmierci.

Przypomniałem sobie kilka eksperckich raportów, dotyczących potrąceń, które wylądowały na moim biurku. W większości wypadków potrącone osoby ginęły, uszkodziwszy jednak poważnie podwozie, zawieszenie bądź koła i układ kierowniczy pojazdów, które na nie wpadły. Prawdziwe życie znacznie różni się od filmów. Samochody nie są niezniszczalne, psują się, i to bardzo łatwo. Pojazd, który przejedzie po ludzkim ciele, zwykle doznaje poważnego uszczerbku, o ile nie przewróci się na dach albo nie rozbije o drzewo.

Mimo to mieliśmy jedno wyjście, ale wymagało ono od nas dużo zimnej krwi. Pozwoliłem, by furgon zmierzał powoli w stronę tłumu, od którego dzieliło nas już zaledwie dwadzieścia metrów, i pospiesznie wytłumaczyłem Wiktorowi, na czym polega nasz plan. Przejedziemy przez nich w zwolnionym tempie, z prędkością idącej pieszo osoby. Wierzyłem, że w ten sposób delikatnie rozsunę na boki większość Nieumarłych stojących na naszej drodze. Jeśli któryś wpadnie nam pod koła, no cóż... Nie sądzę, by przy tak ograniczonej prędkości i wobec tego, że ważyliśmy ponad trzy tony, wyrządził nam dużą krzywdę. Co mogło stać się tamtym, to już inna sprawa.

Słabym punktem planu było to, że potwory otoczą furgon na bardzo, bardzo długi czas i pewnie nieraz uderzą w boki i szyby auta. Gdyby nie opancerzenie samochodu, nie dalibyśmy rady zrobić tego, co proponowałem.

Byliśmy już całkowicie okrążeni przez te istoty, setki istot. Widok ich twarzy przyklejonych do szyby po drugiej stronie budził grozę. Choć wiedziałem, że to

hartowane szkło, trudne do rozbicia jednym uderzeniem, czułem dreszcze za każdym razem, kiedy czyjaś pięść waliła w okno. Oni doskonale nas widzieli i najwyraźniej doprowadzało ich to do szału. Martwe oczy tamtych pałały żądzą krwi, kiedy rzucali się na samochód. Furgon wypełnił przenikliwy smród moczu. Ktoś zsiakał się ze strachu. Nic dziwnego. To było najbardziej przerażające doświadczenie, jakie mogłem sobie wyobrazić.

Z cichym warkotem samochód powoli zagłębiał się w tłum. Zostaliśmy osaczeni. Postawiliśmy wszystko na jedną kartę, zawierzywszy ciężarowi i pancierzowi naszego pojazdu-schronu. W środku byliśmy bezpieczni. Przez moment poczułem się nawet całkiem pewnie.

Furgon jechał niespiesznie pośród gęstej masy trupów, które nacierały na nas ze wszystkich stron. Od czasu do czasu podskakiwał, miażdżąc kogoś, kto nie poruszał się wystarczająco szybko albo nie miał gdzie się odsunąć i kończył pod kołami ciężkiego pojazdu. Straszne uczucie.

Widziałem wszystko jak przez mgłę i dopiero kiedy przesunąłem ręką po oczach, zdałem sobie sprawę, że przyczyną były łzy. Płakałem z przerażenia. Nie bez powodu. Jechaliśmy z prędkością pięciu, sześciu kilometrów na godzinę pośród olbrzymiej rzeszy trupów w różnym stanie rozkładu, z różnymi obrażeniami, w różnym wieku i różnej płci. Dojrzałe kobiety, młodzi mężczyźni, starcy, dzieci... Widok tych ostatnich był najbardziej wstrząsający.

Mniej więcej ośmioletnia dziewczynka w koszulce z lalką Bratz, poszarpanej i poplamionej czymś ciemnym, z głębokim cięciem na głowie oblepiałym krwią jej brudne jasne włosy, przez dziesięć minut towarzyszyła nam po drugiej stronie mojej szyby. Jedną ręką mocno trzymała lusterko, a drugą uporczywie uderzała w okno, jęcząc zawzięcie i pokazując nam swoje ciemne usta i bladą skórę upstrzoną popękkanymi żyłami. Po jakimś czasie zaczęła wściekle walić głową w szybę, pewnie sfrustrowana, że nie może mnie dosięgnąć, choć jestem tak blisko. W pewnym momencie usłyszałem trzask, jaki wydały jej siekacze łamiące się wskutek uderzenia. Boże, wciąż drzę na wspomnienie tamtego momentu.

10 marca. Godzina 1.05

Czuję się już lepiej. Już jestem spokojniejszy. Chcę opisać wszystkie przeżyte chwile, ale są sytuacje, które wywarły na mnie tak silne wrażenie, że dostaję mdłości, kiedy je wspominam. Półgodzinna podróż furgonem jest jedną z nich.

Pisałem o dziewczynce. Po dziesięciu minutach puściła lusterko, nie wiem, czy z powodu zmęczenia (te istoty w ogóle się męczą?), czy dlatego, że odsunął ją silny, olbrzymi mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. Skurwysyn wyglądał jak wyjęty żywcem z koszmaru albo czegoś jeszcze gorszego. Połowę ciała miał spaloną i pokrytą bąblami, jakby spędził za dużo czasu w ogniu, a u jednej dłoni brakowało mu trzech palców. Wiem, bo walił nią bez przerwy w przednią szybę, a drugą trzymał się maski. Każdemu uderzeniu towarzyszył nieludzki ryk, a ciosy zadawał z taką wściekłością, że po krótkiej chwili jego kikut zamienił się w miazgę czerwonego mięsa rozmazanego na szkle. Skurwiel odpuścił, kiedy furgon z trzaskiem zmiażdżył jedną z tych istot. Zdążył jednak napędzić mi niezłego stracha.

To tylko dwa przykłady. Pamiętam dwadzieścia czy trzydzieści innych i potrafiłbym wszystkie dokładnie opisać, ale nie mam teraz na to ochoty. Nie mogę. To zbyt przerażające. Mieliśmy wokół siebie setki tamtych, krzyczeli, jęczeli i uderzali z wściekłością w każdy centymetr powierzchni opancerzonego furgonu. Wrzawa na zewnątrz kontrastowała z grobową ciszą panującą w środku samochodu, przerywaną jedynie gardłowym, monotonnym szeptem dwóch Pakistańczyków odmawiających modlitwy. Rozbawił mnie pomysł modlenia się do Boga w sytuacji, gdy już trafiliśmy do piekła, ale powstrzymałem się od komentarza. Mieliśmy dość problemów z tymi na zewnątrz.

Kricyniew ścisnął kurczowo swoją piersiówkę, jak tonący koło ratunkowe; oczy wyszły mu na wierzch i od czasu do czasu pociągał długi, głęboki łyk, od którego jego grdyka podnosiła się i opadała jak podskakująca piłeczka. Pritzenko był blady i wystraszony, ale znad ogromnych jasnych wąsów patrzyły spokojne oczy, które wszystko uważnie obserwowały. Pomyślałem, że

jest jedyną osobą w tym samochodzie, której mogę zaufać, jeśli chcę wyjść z tego żywy.

Szło nam dobrze przez jakieś trzydzieści minut. Za każdym razem, kiedy furgon niebezpiecznie przechylał się na bok, jaja podchodziły mi do gardła, że użyję tak nieeleganckiego określenia. W razie wywrotki musielibyśmy pożegnać się z życiem, bo albo padlibyśmy ofiarą tych istot, albo umarlibyśmy z głodu i pragnienia zamknięci w samochodzie, otoczeni niemożliwym do sforsowania tłumem Nieumarłych. Najlepszym rozwiązaniem byłaby wtedy kulka w łeb, ale szczerze mówiąc, nie miałem ochoty odgrywać ponurej wersji oblężenia Numancji, tym bardziej nie w takiej obsadzie.

Od czasu do czasu furgon gwałtownie podskakiwał, przejeżdżając po kilku Nieumarłych naraz. Parokrotnie groziło nam, że przewróci się na bok, mimo to kontynuowaliśmy naszą powolną, mozolną jazdę w stronę centrum miasta. Aż dotarliśmy do tunelu.

Nie był to tak naprawdę tunel, raczej podziemny przejazd pod skrzyżowaniem. Mgliście pamiętałem, że kiedyś jechałem tamtędy na spotkanie służbowe w Vigo. Nie jest specjalnie długi, jakieś trzysta metrów, ale wąski, zbyt wąski, i ma całą masę filarów. Do tego teraz był ciemny jak studnia o północy. Nie wiedziałem, co zastaniemy w środku, ani nawet czy w ogóle jest przejezdny. Jeślibym się tam na coś natknął, musiałbym wyjechać na wstecznym, a po ciemku, otoczony tym tłumem, najprawdopodobniej wpakowałbym się na jakiś filar i pozostałibyśmy tam uziemieni na zawsze. Za żadne skarby świata nie wjadę do tego tunelu, nawet gdyby Kricyniew przyłożył mi pistolet do piersi.

To właśnie powiedziałem Pritczence, prosząc, żeby przetłumaczył swojemu rodakowi. Kiedy Wiktor mówił, kątem oka obserwowałem reakcję pierwszego oficera „Zaren Kibish”. Wzruszył tylko ramionami i mruknął coś po rosyjsku, nie odrywając wzroku od oblegającej nas, zawodzącej masy, która bez przerwy uderzała w szyby. Kricyniew był zbyt otepiały, żeby podejmować decyzje. Tutaj rządziłem ja. To sprawiło, że poczułem się pewniej. Może zbyt pewnie. Nie

wiem.

Skoro nie chcieliśmy skorzystać z tunelu, musieliśmy wjechać na pobliski wiadukt. Znajdował się zaledwie dwieście metrów dalej, a tłum wokół trochę się przerzedził, może dlatego, że dojechaliśmy do szerszej ulicy. Ostatnie kilometry pokonaliśmy z większą prędkością, lawirując między porzuconymi samochodami. Okoliczności nam sprzyjały, mieliśmy czas na wykręcenie, zanim nadejdą nasi stosunkowo ślamazarni prześladowcy, bo nie ulegało wątpliwości, że za kilka minut znów się pojawią.

Wjechałem na wiadukt i dotarłem mniej więcej do połowy.

Nagle gwałtownie zahamowałem. Na środku jezdni stał seat cordoba, który wpadł na betonowe bloki, jakich używa się podczas kontroli drogowych. Jakiś biedak chciał za szybko przejechać, uciekając Bóg wie przed czym, roztrzaskał się o blokadę i porzucił tu wrak swojego samochodu. Wokół było mnóstwo plam krwi i sporo krwawych śladów pozostawionych przez kogoś (lub coś), kto wdepnął w kałużę, oddalając się od pojazdu. Przeszedł mnie dreszcz. Jeśli ten gość przeżył wypadek, to nie cieszył się z tego zbyt długo, prawdopodobnie wkrótce spotkało go coś znacznie nieprzyjemniejszego.

Kiedy Kricyniew zorientował się, że nie ma już tylu Nieumarłych, wyszedł z letargu. Ryknął coś do Wiktora, który pospiesznie przetłumaczył mi jego słowa. Skurczybyk kazał mi przejechać przez porzucone auto. Pokręciłem przecząco głową. Powiedziałem, że naoglądał się za dużo filmów i że w ten sposób tylko zniszczymy furgon. Zaczął krzyczeć, plując śliną, czerwony na twarzy. Pijany, wystraszony i wściekły Ukrainiec to bez wątpienia ciekawy widok, a ten jeszcze wyzywał mnie od najgorszych. Wiktor taktownie ominął mniej sympatyczną część jego przemowy, powiedział tylko, żebym zamienił się miejscami z Szafikiem, bo to on teraz będzie prowadził.

Nie mam w zwyczaju dyskutować, kiedy celują do mnie z pistoletu, dlatego ustąpiłem miejsca Szafikowi, przez co obaj musieliśmy się nieźle nagimnastykować w wąskiej, zatłoczonej kabinie. Usiadłem na środkowym fotelu, pomiędzy Szafikiem a Kricyniewem. Zdążyłem jeszcze powiedzieć przez

okienko Wiktorowi, żeby się tam z tyłu czegoś mocno złapał, po czym zapiąłem pas.

W samą porę. Pakistańczyk dodał gazu i niczym nacierający baran rzucił do przodu trzytonową bryłę furgonu w kierunku porzuconego seata cordoby. Uczepiłem się tablicy rozdzielczej. Uderzenie było straszne, ktoś w tylnej części musiał gwałtownie polecieć do przodu, bo rozległo się silne uderzenie o przegrodę, a zaraz po nim jęk bólu.

Ale nie było czasu, żeby sprawdzać, co się stało. Szafik wrzucił wsteczny bieg i wyjechał ze zmasakrowanego samochodu, który o dziwo odskoczył o jakieś pięćdziesiąt centymetrów w bok. Ponownie przypuścił atak. Zdążyłem się przytrzymać, zanim ciężki furgon wyrwał do przodu.

Tym razem uderzeniu towarzyszył nieprzyjemny dźwięk żelaza szorującego po cemencie, kiedy cordoba obracała się wokół własnej osi niczym fryga, robiąc miejsce na przejazd. Szafik wydał z siebie okrzyk zadowolenia, który uwiązał mu w gardle niespełna sekundę później. Uderzenie zniosło furgon w lewo: ześlizgiwaliśmy się w niekontrolowany sposób w stronę barierek wiaduktu.

Większość spraw sądowych o wypadki drogowe łączy to, że poszkodowani zazwyczaj relacjonują wydarzenia z najdrobniejszymi szczegółami, bo ich zdaniem „wszystko odbywa się jakby w zwolnionym tempie”. Do tej pory było to dla mnie czystą teorią. Ale kiedy ciężki opancerzony furgon Seguritsy zaczął ześlizgiwać się w stronę balustrady, poczułem, że przyjdzie mi to sprawdzić na żywo... ze sobą w roli głównej.

Bok samochodu uderzył w barierkę z aluminiowej plecionki, a ta rozerwała się, jakby była z papieru. Jedna z opon pękła z głośnym wybuchem, najechawszy na wyrwany słupek. Furgon sunął w agonii po wiadukcie, pchając przed sobą czterometrową barierkę, która sypała iskrami, trąc o cement. Wreszcie uderzył w jeden z betonowych bloków i zawisł tyłem nad krawędzią mostu.

Wytrzymał w tej pozycji zaledwie kilka sekund, choć miałem wrażenie, że

czas stanął w miejscu. Tylna część zakołysała się z powodu ogromnego ciężaru opancerzenia. Próbowałem przełożyć rękę nad oszołomionym Szafikiem, żeby otworzyć drzwi, ale było już za późno. Z trzaskiem i metalicznym zgrzytem furgon ześlizgiwał się w próżnię.

Siła uderzenia była monstrualna. Samochód spadł na tył z wysokości jakichś sześciu metrów, ze straszliwym hukiem gniecionego metalu i tłuczonego szkła. Po chwili przewrócił się na bok i leżał nieruchomy pośród gęstej chmury dymu i kurzu.

Przez kilka minut trwałem przypięty do siedzenia, zbyt oszołomiony, żeby zareagować. Przed oczami miałem kolorowe światełka, a w uszach uporczywe świszczanie. Kiedy wreszcie spróbowałem się poruszyć, poczułem przeszywający ból w szyi. Spadliśmy na tył pojazdu, który zamortyzował uderzenie, ale mimo to wstrząs z przodu był potworny. Dwuosobowy fotel, na którym siedziałem z Kricyniewem, oderwał się i wpadł na przegrodę. Żelazna konstrukcja, teraz całkowicie odkształcona, złagodziła upadek, dzięki czemu obaj cudem wyszliśmy cało z tej przygody.

Nie dało się powiedzieć tego samego o reszcie podróżujących furgonem. Szafik stracił przytomność za kierownicą, głowa opadła mu na bok, a z kącika ust płynęła strużka krwi. W tylnej części ktoś rozpaczliwie jęczał z bólu, a do zapachu moczu doszedł teraz odór wymiocin i krwi. Musiałem się stamtąd wydostać.

Powoli wysunąłem rękę. Dotarłem do klamry pasa i zdołałem go odpiąć. Potem przeczołgałem się po ciele nieprzytomnego Szafika i natrafiłem na przycisk otwierający drzwi. Kiedy usłyszałem, że odblokowuje się magnetyczny zamek od strony kierowcy, poczułem głęboką ulgę. Nie wyobrażam sobie, że zdołałbym otworzyć siłą opancerzone drzwi, do tego lekko wgniecione wskutek uderzenia. Oparłem dłonie na framudze, podciągnąłem się na rękach i wyszedłem na zewnątrz. Stałem na boku samochodu, żeby się rozejrzeć.

Wyglądało to niezbyt ciekawie. Tył opancerzonego furgonu był zgnieciony jak harmonijka, jakby stracił jedną trzecią długości. Przednie prawe koło

zniknęło, a z podwozia ciekło paliwo, tworząc coraz większą kałużę. Obrzuciłem wzrokiem okolicę. Ulica, gdzie spadliśmy, była oddzielona od drogi, którą wcześniej jechaliśmy, i nie wydawała się łączyć w pobliżu z żadną inną. Nikogo na niej nie zobaczyłem, ale podejrzewałem, że wkrótce będziemy mieli towarzystwo.

Obok mnie spadło kilka kamyczków, głośno uderzając w blachę furgonu. Podniosłem wzrok i zobaczyłem pół tuzina Nieumarłych wychylających się zza wyłomu w barierce. Wyglądali na wielce zdezorientowanych faktem, że znajdujemy się teraz na innym poziomie. Jeszcze nie skakali, ale nie wiedziałem, jak długo to potrwa. Należało działać szybko.

Kricyniew gramolił się z furgonu, miał mętny wzrok i głęboką ranę na prawym ramieniu. To wszystko przerastało faceta w jego wieku i w jego kondycji fizycznej. Przez moment poczułem litość, ale szybko przypomniałem sobie zadowolony wyraz oczu tego łajdaka, kiedy marynarz prawie udusił Lukullusa.

Nie pomogłem mu wyjść z kabiny. Podeszedłem do bocznych drzwi i nacisnąłem klamkę, modląc się, by ustąpiła za pierwszym razem. Drgnęła pod ciężarem mojej dłoni. Pociągnąłem ciężkie drzwi. Widok był przerażający. Jeden z Pakistańczyków leżał w głębi z szyją wykręconą w nienaturalnej pozycji i głęboką dziurą w głowie, z której ciekła mała strużka krwi. Facet nie żył, a pół jego mózgu rozbryznięto się na przegrodzie. Cuchnęło wymiocinami.

Drugi Pakistańczyk, Usman, wrzeszczał jak opętany, trzymając się za rękę. Złamał ją przy gwałtownym zderzeniu i wyglądała tak, jakby między łokciem a nadgarstkiem przybył mu trzeci staw, przez który wystawały resztki roztrzaskanych kości. Musiało go cholernie boleć. Trzeci Pakistańczyk siedział przyczepiony pasem do siedzenia. Na pierwszy rzut oka nie był ranny, ale z ust płynęła mu krew.

Pritczenko uwalniał się ze swojego fotela. Skurczybyk miał niesamowity fart, bo kilka otaczających go worów wypełnionych do połowy pieniędzmi zamortyzowało uderzenie. Mały Ukrainiec dryfował w morzu banknotów po

pięćdziesiąt euro, które utworzyły najdroższą i najoryginalniejszą poduszkę powietrzną świata. Mimo to na środku czoła miał olbrzymi guz wielkości jajka. Spojrzał w górę i posłał mi szeroki uśmiech. Teraz naprawdę przypominał postać z kreskówki.

Nie było czasu, żeby kontemplować miejski krajobraz. Pomogliśmy wysiąść Usmanowi i jego koledze, Wakarowi, a Wiktor zajął się wyciąganiem z fotela kierowcy nadal lekko oszołomionego Szafika.

Kilka minut później z plecakami na grzbiecie ruszyliśmy w stronę centrum miasta. Pritzenko niósł kałasznikowa martwego Pakistańczyka, a ja broń Usmana, tego ze złamaną ręką, ale robiliśmy tylko za tragarzy – wcześniej przezornie wyjęli magazynki. Taka mała uprzejmość ze strony Kricyniewa.

Słońce już zachodziło, poza tym wkrótce będzie tu pełno Nieumarłych, gdy tylko znajdą sposób, żeby dostać się na naszą ulicę. Po dziesięciu minutach marszu przez środek miasta widma stało się oczywiste, że tego wieczoru już nigdzie nie dotrzemy. Wakarowi cały czas płynęła krew z ust i był coraz słabszy, pozostali, zmęczeni i poobijani, także zasługiwali na chwilę odpoczynku. To Kricyniew zobaczył sklepik.

Był to mały spożywcza, jakie można spotkać na każdym rogu. Jego drzwi sforsowano jakimś ciężkim pojazdem (przypuszczam, że transporterem opancerzonym), a sklep ograbiono. W pobliżu leżało kilkadziesiąt gnijących trupów, każdy z kulką w głowie. Ktoś trzymał te potwory na dystans, kiedy szukająca jedzenia grupa z Bezpiecznej Strefy plądrowała wewnątrz.

Wydawało się, że to dobre miejsce na nocleg.

Światła było coraz mniej, zaczął padać drobny deszcz – zapowiedź burzy – mocząc wszystko, co znajdowało się pod gołym niebem. Przy akompaniamencie kropli uderzających w ziemię jeden po drugim ostrożnie weszliśmy przez wąską szczelinę do środka.

Wnętrze zostało całkowicie spustoszone. Grupa rabunkowa porządnie wykonała swoją misję. Puste półki porozrzucane po podłodze, porozrywane, opróżnione kartony, zniszczone, powywracane gabloty... Widok przejmował

grozą.

Przyjrzałem się uważnie i dostrzegłem pewne interesujące szczegóły. Grabieży dokonano w sposób metodyczny, ale w pośpiechu, co wcale nie dziwi, jeśli wziąć pod uwagę tempo, w jakim tamci gromadzą się w miejscu, w którym zlokalizują ludzką istotę. Podczas zamieszania rozerwało się kilka paczek makaronu do zupy i cały korytarz pokryty był gwiazdkami. Nie wiem dlaczego, ale na ten widok wstrząsnął mną dreszcz, podziałał na mnie bardziej niż wszystkie barbarzyństwa oglądane w ostatnich dniach.

Osunąłem się na podłogę, oparłem plecami o ścianę i patrzyłem na tę nierównomierną warstwę makaronu. Przypomniałem sobie mamę i zupę, którą gotowała mi w deszczowe dni. Wspomnienie było wyraźne i bardzo bolesne. Niepokój, który tłumiałem w jakimś zakątku umysłu, wylał się niczym nieujarzmiony strumień. Zacząłem po cichu płakać. Wielkie, łzy spływały mi po policzkach.

Od miesiący nie wiedziałem nic o swojej rodzinie. Cały czas miałem tego świadomość, ale była to wiedza abstrakcyjna – aż do tej pory nie chciałem przyjąć do wiadomości najbardziej prawdopodobnej wersji wydarzeń. Teraz, gdy zadałem sobie pytanie, co stało się z moimi rodzicami i siostrą, wypełniło mnie potworne uczucie bólu i pustki. Próbowałem wyobrazić sobie ich położenie, zastanawiałem się, czy są w wystarczająco bezpiecznych schronieniach, ale jeśli nawet tak było, panuje zbyt duży chaos, żeby pośród szaleństwa, które się rozpełtało, jakikolwiek stan trwał dłużej niż pięć minut.

Mogli przebywać gdziekolwiek. Mogli być żywi, albo – co bardziej prawdopodobne – martwi. Mogli być nawet, nie daj Boże, wśród tamtych i snuć się gdzieś bez celu.

Na samą myśl przeszły mnie ciarki. Jeśli przypadkiem natknąłbym się na nich w takiej postaci, stanął z nimi twarzą w twarz, chyba nie potrafiłbym się bronić. Nie przed nimi.

Ból coraz bardziej się pogłębiał, w miarę jak odzywały uczucia nagromadzone podczas ostatnich tygodni. Jeden z Pakistańczyków zrobił

pogardliwą minę, kiedy zauważył, że płaczę. Pewnie uznał, że jestem słaby albo wystraszony po wypadku. Nie wyprowadziłem go z błędu, bo tak naprawdę jego zdanie nic mnie nie obchodziło. Pragnąłem jedynie jak najszybciej z tym skończyć, wyjść z tego cało, odzyskać swojego kota i swoją łódź, a potem – kto wie? – może poszukać sposobu na skontaktowanie się z rodziną. Nie mam pojęcia. Jeśli czegokolwiek się nauczyłem w tym apokaliptycznym świecie, to tego, żeby planować wyłącznie na krótką metę.

Ból nie ustąpi, ani teraz, ani w ciągu następnych tygodni, ale wiem też, że się nie pogłębi i że będzie powoli wygasał, niczym żarzący się węgiel. Nie chcę już pisać o tak smutnych rzeczach.

Zabarykadowaliśmy roztrzaskaną metalową żaluzję kilkoma gablotami i regałami, szykując się do spędzenia nocy w sklepie. Zapaliłem papierosa i z zaciekawieniem obserwowałem, jak Pritczenko montuje maszynkę spirytusową z myślą o przygotowaniu kolacji, a Kricyniew i Szafik nastawiają Usmanowi złamanie.

Jeden trzymał go za plecy, a drugi włożył mu między zęby kawałek drewna. Nagle Kricyniew oburącz chwycił uszkodzoną rękę i szybko wykręcił nadgarstek, umieszczając kość we właściwej pozycji. Rozległo się suche uderzenie i chrzęst, od którego zjeżyły mi się włosy. Usman tylko wywrócił oczami, po czym zemdlał. Reszta poszła gładko. Za pomocą metalowej listwy i rolki bandaży założyli mu prowizoryczną szynę. Unieruchomili kończynę, ale nie było to profesjonalne nastawienie złamania – gdyby lekarz zobaczył tę prowizorkę, najprawdopodobniej protestowałby oburzony.

Chłopak do końca życia będzie miał spieprzoną rękę. Tak wygląda ten nowy świat, gdzie nie istnieje już służba zdrowia i w razie wypadku jesteśmy równie bezbronni jak jaskiniowcy.

Z Wakarem sprawa miała się gorzej. Facet był strasznie blady, zwłaszcza jak na Pakistańczyka, i ciągle pluł krwią. Bez przerwy skarżył się na silny ból brzucha i powoli opadał z sił. W wyniku gwałtownego zderzenia musiał doznać jakichś wewnętrznych obrażeń. To pewnie śledziona. Niedobrze. Bardzo

niedobrze, mając na uwadze fakt, że w pobliżu nie ma żadnego szpitala. Nie wiedzieliśmy, co robić, a nawet gdybyśmy wiedzieli, nie mieliśmy środków, żeby mu pomóc. Operację można było przeprowadzić tylko w odpowiednio wyposażonym szpitalu dysponującym wykwalifikowanymi specjalistami, a niestety na całym kontynencie nie zostało za wiele ani jednych, ani drugich.

Wkrótce po pomieszczeniu rozszedł się zapach gulaszu. Ułożyliśmy nieprzytomnego Usmana obok lampy gazowej, którą sobie świeciliśmy, a Wakara – który był w coraz gorszym stanie i nie chciał jeść – posadziliśmy opartego o ścianę. Razem z Kricyniewem, Pritczenką i Szafikiem pożarliśmy odgrzaną potrawkę, wsłuchani w szalejącą na dworze burzę.

Posiłek był smutny, ponury. Ogólnie cała ta „misja” szła jak po grudzie. Nie wiedzieliśmy, gdzie dokładnie się znajdujemy, nie dysponowaliśmy żadnym środkiem transportu, straciliśmy jednego z członków wyprawy, mieliśmy dwóch rannych, w tym jednego ciężko. Zajebicie.

Wakar z wysiłkiem podniósł się z podłogi, żeby pójść do toalety w głębi sklepu. Było mi żal chłopaka, wyglądał coraz gorzej. Wstałem, żeby mu towarzyszyć, bo najwyraźniej miał poważne problemy z chodzeniem.

Szedł zaledwie dwa metry przede mną, ale to mnie uratowało. Na drzwiach toalety widniał wymalowany akwarelą obrazek, przedstawiający grupę grubych facetów w dziewiętnastowiecznych strojach, walących w drzwi ustępu, jakby bardzo chciało im się sikać. Pod spodem czerwony napis głosił: „Proszę poczekać na swoją kolej”. Niewątpliwie dawny właściciel lokalu miał duże poczucie humoru.

To była nasza wina: kiedy weszliśmy do sklepu, żaden z nas nie sprawdził łazienki. Wakar podszedł do drzwi i pociągnął za klamkę. W tym samym momencie coś nagle mocno popchnęło je od środka. Pakistańczyk z jękiem bólu upadł na podłogę, a to coś rzuciło się na niego.

Zareagowałem niemal instynktownie. Wakar leżał na plecach i próbował za wszelką cenę trzymać na dystans potwora, który kłapał w powietrzu zębami i usiłował dosięgnąć jego gardła. Był to młody mężczyzna, ubrany w za duży

wojskowy strój maskujący, ze zbyt długimi jak na żołnierza włosami. Ochotnik z Bezpiecznej Strefy, wydedukowałem, pokonując szybko dwa metry, jakie dzieliły mnie od niego. Zaraził się podczas któregoś z wypadów i postanowili go tu zostawić, zamkniętego w toalecie, żeby nie musieć strzelać do dawnego kolegi. Nie mieli tyle zimnej krwi. Nie pomyśleli tylko, że ktoś może kiedyś te drzwi otworzyć. Jasna cholera.

Chwyciłem tego osobnika za tył kurtki i z olbrzymim wysiłkiem zdołałem odciągnąć go na kilka centymetrów od Wakara. Nieumarli są jak ćpuny naszprycowane kokainą albo prochami; niezwykle trudno ich okiełznać, czasem to wręcz niemożliwe, siła fizyczna jednej osoby nie wystarcza. Nie mówiąc już o tym, że jeśli cię ugryzą, masz przerąbane. Wakar wykorzystał tę krótką przerwę i poturlał się na bok, umykając z pułapki.

Wycieńczony upadłem na plecy, a potwór wstał i odwrócił się, żeby sprawdzić, co go pociągnęło. Sukinsyn zobaczył, że leżę bezbronny na podłodze, i rzucił się na mnie z triumfalnym pomrukiem.

Rozległo się kilka strzałów i głowa Nieumarłego eksplodowała niczym dojrzały arbuz, zostawiając na ścianie dziwny rysunek z kawałków mózgu. Ugiął kolana i jego ciało w zwolnionym tempie zwałyło mi się do stóp.

Odwróciłem głowę w kierunku drzwi. Stał w nich Szafik z dymiącym kałasznikowem i patrzył na mnie z dużo większym szacunkiem niż zaledwie kilka minut wcześniej. Ten Pakistańczyk ocalił mi życie. Ale huk wystrzałów oznaczał wyrok dla nas wszystkich. Wiedzieli już, że tu jesteśmy.

10 marca. Godzina 2.35

Z Wakarem dzieje się coś bardzo złego. Nie jestem lekarzem, ale mógłbym przysiąc, że krwotok wewnętrzny, czy to, co mu dolega, pogarsza jego stan z minuty na minutę. Już nie leci mu krew z ust, ale jest okropnie blady, a brzuch w okolicach pachwiny strasznie mu stwardniał i skóra napięła się jak na bębnie. Ma też ogromny krwiak na piersi i głębokie nacięcie do żywego mięsa na prawym ręku.

Dostał wysokiej gorączki. My zaś mamy tylko kilka tabletek przeciwgorączkowych i opakowanie clamoxylu, antybiotyku o średnim spektrum działania. Nie dysponujemy niczym, co mogłoby uśmierzyć ból. Podałem mu dwie tabletki przeciwgorączkowe, żeby obniżyć temperaturę, i zmuszam go do picia dużych, dużych ilości wody. Pritczenko co dziesięć minut zmienia mu na czole wilgotne okłady. Tylko my zajmujemy się tym biednym chłopakiem.

Kricyniew znalazł skrzynkę wina i jakiś czas temu przestał istnieć dla świata. Dwaj pozostali Pakistańczycy nie są zbyt pomocni, tylko się modlą i patrzą na nas wystraszeni. Od czasu do czasu mówią coś w urdu, ale ani ja, ani Wiktor niestety ich nie rozumiemy. Muszą się czuć całkowicie bezradni.

Na zewnątrz zebrało się sporo potworów. Nie wiemy dokładnie ile, bo żaluzja jest spuszczone i na szczęście na razie nieźle się trzyma, ale słyszymy ich walenie i wściekłe ryki. Wygląda na to, że sklep nie ma tylnych drzwi ani żadnego innego wyjścia. Znaleźliśmy się w cholernie niebezpiecznej sytuacji. Jesteśmy uwięzieni.

Martwi mnie Wakar. Myślę, że jeśli go stąd nie wyciągniemy, za kilka godzin wyzionie ducha. Ignorancja tych ludzi nie mieści mi się w głowie. Zejść na ląd bez apteczki pierwszej pomocy, zaledwie z kilkoma pojedynczymi tabletkami! Z tego co widziałem, przeszukując plecaki Pakistańczyków, stan reszty zapasów nie jest dużo lepszy.

Najwyraźniej myśleli, że to będzie zwykły spacer: pójdziemy do biura VNT, zabierzemy paczkę i wrócimy na pokład. Kretyni. To jest piekło na ziemi, a w piekło byle wypadek może szybko zamienić się w tragedię. Tak jak teraz.

Jest 2.46. Czuję się tak wyczerpany, że nie mogę spać. Wakar zaczyna majaczyć.

10 marca. Godzina 2.50

Wcale mi się to nie podoba. Wakar jest półprzytomny. Dalej majaczy w urdu,

ale czasami zapada w letarg i dostaje drgawek. Z opuchniętej, zaczerwienionej rany na rękę wypływa mu przezroczysty płyn o dość odrażającym zapachu. Kiedy leżał nieprzytomny, próbowałem mu to oczyścić gazą, ale obudził się, wrzeszcząc z bólu, i po omacku próbował mnie odepchnąć.

To nienormalna reakcja u osoby z krwotokiem wewnętrznym. Uważnie przyjrzałem się ranie. Ma rozcięcie po wewnętrznej stronie ręki, o długości jakichś dwudziestu centymetrów. Przypomina głębokie zadrapanie.

Nieuchronnie pomyślałem o najgorszym. Nie pamiętałem, żeby miał to zadrapanie, kiedy wyciągnęliśmy go z furgonu. Musiało powstać później i przychodzi mi do głowy tylko jedna możliwość. Podniosłem wzrok i napotkałem ogromne niebieskie oczy Wiktora obserwujące mnie z uwagą. Nie musiałem nic mówić. Wie, o czym myślę.

To zwykłe zadrapanie... Czy aby na pewno?

Znowu zemdłał.

10 marca. Godzina 4.30

Jakieś dwadzieścia minut temu Wakar zaczął rzezić. Rana na rękę coraz bardziej się jątrzy, wypływa z niej cuchnąca ropa, wygląda naprawdę źle. Stan jego wnętrzości musi być nie lepszy. Z jelit wycieka mu czerwonawy płyn, już jakiś czas temu stracił kontrolę nad zwieraczami. Zaczyna spazmatycznie dyszeć. Jego oddech brzmi jak sapanie parowozu wjeżdżającego pod górę i ciągnącego wagony towarowe, tyle że czasem gwałtownie się urywa, ale zaraz wraca, kiedy głęboko nabiera powietrza przez usta, jakby się dusił. Straszliwy odgłos. Jego agonია wszystkim nam szarpie nerwy.

Pociesza mnie myśl, że jakieś dwie godziny temu stracił świadomość. Gdyby był przytomny, strasznie by cierpiał.

To okropne. Jestem całkiem bezradny. Nie wiem, co robić. Widzę, jak na moich oczach gaśnie ludzkie życie, i nie mam lekarstw, środków ani wiedzy, żeby temu zapobiec.

Szafik i Usman nie przestają monotonicznie recytować sur, uczeptieni muzułmańskiego różańca. Skoro dla mnie to ciężka próba, oni muszą czuć się strasznie. Są w środku piekła, tysiące kilometrów od swoich domów, i patrzą, jak umiera przyjaciel. Boją się. Zobaczyłem w ich oczach wstręt, kiedy Wakar zaczął srać krwią.

Gwałtowna śmierć nie jest pięknym widowiskiem, jak w filmach, gdzie bohater pada na ziemię z uśmiechem na ustach i wspomnieniem ukochanej w sercu. Śmierć jest straszna, brudna i bardzo bolesna, jeśli dopadnie cię tak, jak dopadła Wakara. Ci chłopcy najwyraźniej o tym nie wiedzieli. Kilka tygodni temu ja też o tym nie wiedziałem, ale w drodze do tego miejsca miałem okazję zobaczyć kilku zmarłych, trochę się więc uodporniłem.

Mamy z Wiktorem poważny problem. Wiemy, a przynajmniej podejrzewamy, co stanie się z Wakarem za – jak sądzimy – kilka godzin, ale postanowiliśmy na razie nic nie robić. Z jednej strony nie mamy broni, co znacznie ogranicza nasze możliwości. A ani Szafik, ani Usman nie strzelą do Wakara, dopóki będzie żywy. Nic dziwnego. Koniec końców to ich kolega, jak mówi Wiktor.

Roześmiałem się gorzko, słysząc te słowa. Tak samo musiała rozumować grupa z Bezpiecznej Strefy, która zamknęła w toalecie nieszczęsnego ochotnika, i to z powodu ich „humanitaryzmu” mamy teraz taki pasztet.

Kricyniew jest zalany w trupa, nie panuje nad sobą. Nieustannie mamrocze coś bez składu po rosyjsku, a od czasu do czasu śmieje się sam do siebie, jakby ktoś opowiedział mu niezwykle zabawny dowcip, aż zgina się w pół, a po jego policzkach cieką strużki łez i mocz mu brodę. W którymś momencie zaczął wrzeszczeć jak opętany w stronę metalowych drzwi, w które wciąż walą od zewnątrz Nieumarli. Wyjął z kabury pistolet, ale Pritczenko skoczył jak tygrys i mu go wytrącił, zanim zdążył strzelić. Kricyniew posłał mu wściekłe spojrzenie, po czym nieprzytomny zwał się na ziemię, pijany jak bela. Całe szczęście.

Teraz mamy broń. Ani Szafik, ani Usman nie zrobili nic, żeby nam ją odebrać. Tym lepiej.

Nieumarli dalej stoją na zewnątrz, bezlitośnie waląc w drzwi. To straszliwy, irytujący dźwięk. Chyba ich przybywa, ale nie mam jak tego sprawdzić.

Wakar rzezi z coraz większą częstotliwością, teraz mniej więcej co dziesięć minut. Zbliża się ten moment.

10 marca. Godzina 7.58

Świta. Przez szpary w metalowej żaluzji wciska się kilka słabych promieni słońca, odcinanych od czasu do czasu przez cienie stłoczonych na zewnątrz istot. W środku sklepu cuchnie krwią, gównem, potem, ropą i strachem. Wakar umarł dziesięć minut temu po straszliwej agonii. Usman i Szafik czuwają nad zwłokami, powtarzając jak mantrę monotonną żałobną modlitwę. W jednej dłoni trzymają kałasznikowy, w drugiej Koran. Pritczenko i ja także czuwamy, ale z innych powodów.

Wakar może wrócić w każdej chwili. A raczej w każdej chwili może się podnieść coś podobnego do Wakara. To tak okropne, tak niewyobrażalne, że brak słów na opisanie naszego strachu. Cały drzę, kiedy kreślę te zdania w dzienniku. Wyglądają na nabazgrane przez sześciolatka.

Wiktor i ja oddychamy szybko, krew pulsuje nam w skroniach. Wiemy, że będziemy świadkami narodzin jednej z tych istot z kogoś, kto jeszcze kilka minut temu był może nie przyjacielem, ale przynajmniej kolegą. Kiedy wróci, on będzie drapieżnikiem, a my zwierzyną.

Agonia Wakara wyglądała przerażająco. Dwie godziny po tym, jak stracił przytomność, na całym jego ciele zaczęły się pojawiać wybroczyny. Wybroczyny to małe fioletowe plamki wielkości dziesięciocentówki powstające w wyniku anoksji, niedoboru tlenu. Układ krwionośny Pakistańczyka szwankował, nie był w stanie rozprowadzić tlenu po całym ciele. Jego organizm zaczynał umierać, powoli się dusił.

Godzinę później stało się coś, co zmroziło nam krew w żyłach. Zewnętrzny układ krwionośny Wakara, najcieńsze naczynia włosowate, zaczęły być

widoczne przez skórę. Można było wyraźnie zobaczyć wszystkie najmniejsze żyłki, jak na rysunku w podręczniku dla studentów medycyny. Nie mieliśmy jak zmierzyć mu ciśnienia, ale żeby tak wypchnąć mu na wierzch żyły, musiało strasznie podskoczyć. Jego serce biło jak szalone, bez umiaru, szacuję, że z prędkością jakichś stu dziewięćdziesięciu uderzeń na minutę. Biedny Wakar spływał potem, ale nie pozwoliłem Pritczence ocierać mu twarzy bez rękawiczek. Skoro ebola przenosi się przez pot, nie widzę powodu, dlaczego z tą plagą miałyby być inaczej.

Smutna prawda jest taka, że nikt nic nie wie o tej cholernej chorobie. W innych czasach, w innym lepszym świecie, ten chłopak leżałby na OIOM-ie podłączony do monitorów, walczyłby o życie pod opieką zastępu lekarzy i pielęgniarek na odizolowanym, aseptycznym oddziale. Teraz jednak konał pośród własnych odchodów, na podłodze brudnego, splądrowanego sklepu w samym środku miasta opustoszałego i martwego jak cała Europa, jak cały pieprzony świat.

Po półgodzinie było już widać duże naczynia układu krwionośnego: żyła główna i aorta wyrzynały się na jego ciele niczym grube kable. Jednocześnie zbyt wysokie ciśnienie rozsadzało delikatne podskórne żyłki układu promieniowego. Wakar powoli upodabniał się do istot, które prześladują mnie od miesięcy. W tym momencie nawet Pakistańczycy wiedzieli, że zamienia się w jednego z tamtych.

Cztery godziny po tym, jak stracił przytomność, ciało Wakara zaczęło obficie krwawić przez usta, uszy i oczy, podejrzewam, że także przez odbył i penis (piszę, że podejrzewam, bo nikt nie miał odwagi podejść, żeby zdjąć mu ubranie). Wszyscy, poza Kricyniewem, który spał pijany, siedzieliśmy zmrozeni strachem, obserwując to zatrważające widowisko bez słowa, zbyt przerażeni, żeby zareagować. Tymczasem w tle chór jęków i uderzeń w coraz bardziej rozwaloną żaluzję witał narodziny nowego członka legionu Nieumarłych.

Minęło jeszcze czterdzieści minut i Wakarem wstrząsnęły spazmatyczne skurcze mięśni. Wyglądało to jak atak padaczki. Jego ciało wyginało się,

przyjmując niewiarygodne pozycje, a kończyny bezładnie waliły o podłogę; nawet głowa uderzała rytmicznie w beton. Nie mogliśmy nic zrobić. Przy każdym skurczu, przy każdym drgnięciu członków Wakar wyrzucał z siebie na wszystkie strony strumienie krwi wymieszanej z ropą i ekskrementami. Chciałbym się mylić, ale sądzę, że kontakt najmniejszej drobinki tych wydzielin z odsłoniętą częścią ciała może być śmiertelny dla ocalałych.

Rozkazałem Pritczence i obu Pakistańczykom, żeby odsunęli się jak najdalej. Przeciągnąłem gablotę z pleksiglasu, w której niegdyś wystawiano kremy do twarzy, i stanąłem nieruchomo za tą zaimprovizowaną osłoną, obserwując straszliwą śmierć Wakara. Nie wiem, czy cokolwiek czułem, w każdym razie modliłem się, żeby jego umysł był już bardzo daleko.

Po czterech godzinach i pięćdziesięciu pięciu minutach od momentu zapadnięcia w śpiączkę ciało przestało się ruszać. Minęło dziesięć minut, zanim odważyłem się wyjść zza prowizorycznej zasłony z pleksiglasu i podszedłem do jeszcze ciepłych zwłok. Wyglądało na to, że nie oddycha. Nie byłem pewien. Przysunąłem się trochę bliżej, na odległość zaledwie dwóch metrów. Zwłoki leżały nieruchomo w czerwonej kałuży. Smród przyprawiał o mdłości. Zbliżyłem się jeszcze i przykucnąłem przy ciele (za żadne skarby świata nie ukląkłbym pośrodku tego ohydztwa).

Pochyliłem się do przodu, próbując wyczuć, czy oddycha. Nie oddychał...

Nagle Wakar otworzył oczy, całkowicie pokryte skrzepniętą krwią i ropą, po czym rozdziawił usta, wydając głębokie charknięcie. Przysięgam, że w całym swoim życiu nie najadłem się tyle strachu co wtedy. Z okrzykiem przerażenia skoczyłem na równe nogi i zacząłem się cofać, ale upadłem i wyrzniętem tyłkiem o cementową podłogę. Spanikowany wpatrywałem się w ciało Wakara, podejrzewając, że zaraz wstanie.

Ale nic takiego się nie wydarzyło. Próbowałem zapanować nad gwałtownym biciem serca. Wiktor, Szafik i ranny Usman wyjrzeli przez drzwi, zwabieni moim mało męskim wrzaskiem. Przyznaję, że nie czułem wstydu. Na moim miejscu każdy zesrałby się ze strachu.

Wstałem i ponownie spojrzałem na zwłoki. To było przedśmiertne rżenie, tak gwałtowne i niespodziewane, że o mały włos nie umarłem z przerażenia. Wakar nie żył. Nie wiadomo było tylko, na jak długo.

Ale to teraz nasz najmniejszy problem. Jedyne wyjście z tego lokalu prowadzi przez drzwi, przed którymi ciągle cisną się tamci. Wcześniej czy później te drzwi ustąpią.

10 marca. Godzina 20.26

Piszę przy drżącym świetle latarki, którą trzyma Wiktor. Ostatnie dwanaście godzin było najgorszym koszmarem, jaki przeżyłem, odkąd tamci pojawili się wokół mojego domu, milion lat temu.

Dwanaście minut po ostatnim charknięciu ciało Wakara zaczęło wykazywać nienaturalne objawy. Jego pierś się nie ruszała (z czego wnioskuję, że tamci nie oddychają), ale na prawej ręce, na której miał zadrapanie, występowało coś w rodzaju tiku. Był martwy, a jednak ręka drgała, jakby jej mięśnie kurczyły się wskutek jakiegoś wyładowania nerwowego. Niesamowite.

Na domiar złego kilka minut później zaczęły ruszać się jego oczy. Wakar umarł z otwartymi oczami, a teraz źrenice, nadal pokryte grudkami krwi i ropy, biegały niespokojnie w jedną i drugą stronę, nie zatrzymując się na żadnym punkcie. Miał zaczerwienione rogówki z powodu pęknięcia dziesiątków mikroskopijnych żyłek, co nadawało jego spojrzeniu diaboliczny wyraz. Całość robiła przerażające wrażenie.

Drżenie przeniosło się z ręki na inne kończyny. Po kilku minutach całe zwłoki wibrowały jak rażone prądem. W jakiś mroczny, tajemniczy i złowieszczy sposób jego ciało wracało do życia. Piszę jego ciało, bo Wakar, jego istota, jego dusza, jego duch, jakkolwiek to nazwać, odleciał już bardzo daleko. W tym ciele mieszkał tylko potwór.

Jak zahipnotyzowani oglądaliśmy to sprzeczne z naturą zjawisko. Usman był przerażony; po policzkach spływały mu wielkie łzy i szlochał głośno,

kurczowo przyciskając do siebie kałasznikowa. Chłopak był bliski postradania zmysłów. Nie wytrzymał nerwowo.

Szafik z kolei wyglądał tak, jakby nie przyjmował do wiadomości tego, co się dzieje, i obsesyjnie recytował sury Koranu, kiwając się zapamiętale w przód i w tył, w stanie swego rodzaju katatonii; jego głuche pomrukiwania jeżyły włosy na głowie. Z ulicy dobiegał ryk tłumu Nieumarłych i nieustanne walenie w kratę. Wszystko razem tworzyło piekielną muzykę.

Wiktor trzymał oburącz pistolet, który wytrącił Kricyniewowi. Zdecydowany, odetchnął głęboko, ostentacyjnie odblokował broń i wycelował lufę w głowę Wakara, który kołysał się na boki, usiłując wstać. Pokręciłem głową i przytrzymałem mu rękę, żeby opuścił pistolet. Chciałem zobaczyć. Musiałem wiedzieć. Rozpozna nas? Będziemy mogli z nim porozmawiać?

Nagle, zataczając się, do pomieszczenia wszedł Kricyniew; na widok tej obłąkańczej sceny na jego zaspanej twarzy odmalowało się ogromne zdziwienie. Ukrainiec obudził się z pełnym pęcherzem i w drodze do łazienki odkrył, że jego zakładnicy są uzbrojeni, dwóch z jego ludzi kompletnie się załamało, a trzeci właśnie ulega przeobrażeniu w potwora.

Przez moment jakby nie bardzo zdawał sobie sprawę z sytuacji, ale po kilku sekundach zapaliło mu się w głowie światełko. Podszedł do Szafika i wyrwał mu kałasznikowa. Wakar zdołał już usiąść i rozglądał się dookoła lekko oszołomiony, z pożądaniem w oczach. Narodził się nowy potwór, zaledwie dwanaście minut po śmierci Wakara. Straszne.

Kricyniew podszedł i drżącymi dłońmi wycelował w niego karabin. Łamiącym się głosem krzyknął coś w urdu. Tamten nie odpowiedział i dalej usiłował wstać. Kricyniew znowu krzyknął. Tym razem potwór, w którego zamienił się Wakar, spojrział na niego i wydał z siebie przerażający jęk, ukazując ciemne usta ociekające krwią i ropą.

To przerosło Kricyniewa. Zrobił krok do tyłu i nacisnął spust. Kałasznikow, przełączony na tryb automatyczny, podskakiwał mu w dłoniach, wystrzeliwując serię pocisków. W jednej chwili zamieniły głowę Wakara w

czarwonawą masę przypominającą rozjechany przez ciężarówkę arbuza i obryzgały Kricyniewa krwią i resztkami mózgu.

Tego było za wiele. Jeden z Pakistańczyków zwymiotował głośno, kiedy ciało Wakara runęło na plecy, wciąż wstrząsane konwulsjami. Kricyniew zachowywał się tak, jakby dostał napadu furii. Przeskoczył nad zwłokami i ruszył w naszą stronę, mierząc nam w głowy z karabinu. Przez chwilę myślałem, że cierpi na *delirium tremens* i zaraz nas wszystkich sprzątnie. Byłaby to absurdalna ironia losu: przeżyć apokalipsę i kontakt z setkami Nieumarłych po to, żeby zginąć na zapleczu opuszczonego sklepu z rąk cierpiącego na przywidzenia pijaka.

Na szczęście Kricyniew jeszcze miał resztki świadomości i nie strzelił, ale nadal w nas celował. Szczeknął do Pritczenki kilka krótkich zdań po rosyjsku i kazał nam stanąć pod ścianą. Szybkim ruchem wyrwał pistolet małemu Ukraińcowi, który nie próbował nawet stawiać oporu. Nawiasem mówiąc, to było najmądrzejsze, co mógł zrobić. Dwaj Pakistańczycy wyglądali, jakby huk wystrzałów wyrwał ich z na wpół katatonicznego stanu. Stali teraz za swoim szefem, z bronią gotową do strzału, przyglądając się nam uważnie, czekając na najdrobniejszy wrogi gest z naszej strony, żeby nacisnąć cyngiel. Nie. Najlepiej było stulić uszy po sobie i cierpliwie przetrzymać faceta.

Kricyniew mocno walnął pięścią Pritczenkę, ciskając nim o ścianę. Z miną wyrażającą sadystyczną satysfakcję obrócił się w moją stronę i uniósł rękę, żeby i mnie uraczyć tym samym. Skuliłem się, czekając na cios...

W tym momencie w sklepie rozległ się nieprzyjemny dźwięk miażdżonego żelastwa. Żaluzja zaczynała ustępować. Kricyniew zapomniał o mnie, krzyknął coś w urdu do Pakistańczyków i rzucił się do głównych drzwi, a tamci pobiegli za nim. Zostaliśmy z Pritczenką sami na zapleczu. Doszedł mnie odgłos przesuwanych pospiesznie regałów, z których próbowali zbudować barykadę.

Pomogłem Wiktorowi wstać. Miał podskórny wylew na policzku i pluł krwią, ale od tego się nie umiera. Podszedłem do drzwi zaplecza. Pakistańczycy i Kricyniew wznosili prowizoryczną zaporę dokładnie na wprost metalowej

żaluzji, już częściowo wyrwanej z jednej strony. Przy każdym ataku stojącego na zewnątrz tłumu ze skrzynki nad witryną osłaniającej mechanizm zwijający żaluzję spadały duże ilości białego pyłu i kawałki gruzu. Niektórym z tamtych udało się już wsunąć ręce przez szczeliny z boku i napierali na zwalone na kupe regały. Jeden próbował nawet wcisnąć głowę. Żaluzja musiała puścić, to była kwestia minut.

Kricyniew odwrócił się, wycelował do nas z karabinu i kazał pójść na zaplecze. Gest, jaki wykonał, był jednoznaczny. Nie ufał nam i nie chciał nas widzieć w takiej chwili. Szczerze mówiąc, nie miałem nic przeciwko temu. Dwóch Pakistańczyków śpiewało jakąś pieśń, zalatującą mi podejrzenie hymnem męczenników. Szafik zawiązał sobie nawet kawałek zielonej szmaty na głowie. Wyglądał na dużo bardziej odprężonego.

Potrząsnąłem głową. Cholera. Robiło się nieciekawie. Dwóch kandydatów na męczenników i jeden pijany, na wpół oszalały Ukrainiec. Pociągnąwszy za sobą Pritczenkę, wróciłem na zaplecze i zacząłem desperacko szukać wyjścia. Niczego takiego nie było. Ani okna, ani drugiej pary drzwi, ani przewodu wentylacyjnego... Nic!!

Kolejny raz okazało się, że życie to nie film. Nie ma w nim tylnych wyjść, wychodzących na pole okien, tuneli dla przemytników ani zamaskowanych drzwi. Tylko magazyn o ścianach z cegły i betonu, zbyt grubych, żeby dało się je obalić jednym kopnięciem.

Znaleźliśmy się w pułapce.

Nagle Pritczenko pociągnął mnie za kontuar. Nad ciężkim, wmurowanym w ścianę meblem były przesuwane drzwiczki ze sprytnie ukrytym zamknięciem. Przystawiłem stołek i pchnąłem je, spodziewając się jak głupek, że zobaczę za nimi tunel prowadzący na zewnątrz...

Papier toaletowy. Dziesiątki rolek papieru toaletowego i papierowych ręczników kuchennych, porządnie popakowanych i ułożonych jedne na drugich. Właściciel schował tam swoje zapasy, zajmujące zbyt wiele miejsca, żeby trzymać je na półkach małego sklepiku. Zaczęliśmy wyrzucać jak szaleni

paczki z rolkami papieru, kiedy usłyszeliśmy pierwsze wystrzały dobiegające ze sklepu. To był początek decydującego szturmu.

Opróżnienie całej szafy zajęło nam zaledwie trzydzieści sekund, kolejnych trzydziestu potrzebowaliśmy, by ukryć się w małym schowku, przyprawiającym o klaustrofobię, ale bezpiecznym. Mieliśmy półtoralitrową butelkę wody, dwie latarki, kilka czekoladek i mój dziennik. To wszystko.

Ułożyliśmy się w środku. Wiktor nie ma nawet metra sześćdziesięciu wzrostu, więc mieścił się doskonale. Ja leżałem trochę skulony, ale wygodnie. Mały otwór w drzwiczkach pozwalał nam oddychać i widzieć część zaplecza. Pozostawało tylko czekać.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegało nas terkotanie kałasznikowów i wycie Nieumarłych. Częstotliwość wystrzałów rosła. Trzy karabiny jednocześnie miotające ogień w zamkniętej przestrzeni robią dużo, bardzo dużo hałasu. Dochodził do nas wyraźny zapach prochu. Nie wiem, jaką siłę rażenia ma ta broń, ale wewnątrz małego sklepu musiała być niszczycielska.

Przewaga liczebna przeciwnika okazała się jednak miażdżąca. Po kilku minutach usłyszeliśmy przeraźliwy wrzask i jeden z karabinów przestał strzelać. Odgłosy walki przeniosły się bliżej drzwiczek. W polu widzenia wyrósł Kricyniew, zalany krwią, rozszalały, ustępujący pod naporem wroga. Odrzucił swojego AK na ziemię i z kabury, którą miał przy pasie, wyciągnął pistolet. Ścigany przez co najmniej kilkunastu tamtych opróżnił cały magazynek, ale w miejsce każdego zabitego pojawiało się dwóch nowych. Nie miał szans.

Kricyniew był chyba tego świadom, bo nagle odwrócił pistolet i wycelował sobie w skroń. Ale zanim zdążył strzelić, młody otyły osobnik ubrany w koszulę w paski pokrytą zaschniętą krwią ugryzł go w szyję, wrywając z niej wielki jak pięść kawał mięsa. Wydawszy z siebie pełen bólu i zdumienia wrzask, Kricyniew z wściekłością w oczach wypuścił pistolet z ręki i zniknął przywalony stosem potworów. Wolę nie wspominać o odgłosach, które wkrótce zaczęły do nas dobiegać.

Minęło ponad dwanaście godzin. Teraz sklep jest cichy i ciemny. Zwalone na

podłogę lampy pogasły, kiedy skończył się gaz. Smrodu panującego po tej jatce nie da się opisać. Nie wyszliśmy jeszcze z naszego schowka, bo kilku z tamtych nadal tu jest – niezmordowanie przechadzają się pośród cieni. Czas upływa; nie wiem, co robić.

11 marca. Godzina 21.38

Umysł ludzki jest zdumiewający. Po ponad dwudziestu czterech godzinach zamknięcia w norze wielkości średnich rozmiarów szafy, bez światła, dźwięków i jakichkolwiek innych wrażeń zmysłowych, zacząłem mieć halucynacje. Wydawało mi się, że słyszę telewizor nadający na cały regulator, w naszej sytuacji rzecz oczywiście niemożliwa. Słyszałem nawet dżingle reklam. To musiało budzić niepokój. Doskonale wiedziałem, że chodzi wyłącznie o majaczenia mojego umysłu, ale te odgłosy były bardzo realistyczne... Och, Boże! Zasłoniłem sobie uszy obiema rękami, ale nadal docierały do mnie wszystkie dźwięki.

Ta szafa mnie wykańczała. Zmęczenie, strach, nagromadzony stres i długie godziny bez światła i jedzenia sprawiły, że zmierzałem prostą drogą do szaleństwa... Nie mogłem dłużej wytrzymać. Dusilem się w tej trumnie. Widziałem, jak ściany suną w naszym kierunku, zmniejszają przestrzeń, przygniatają mnie, ściskają. Ciemność była gęsta jak ropa naftowa, nawet powietrze wydawało się ciemne. Nie mogłem oddychać, płuca pompowały powietrze jak szalone, ale nie dochodził do nich tlen... Dusilem się... Musiałem stamtąd wyjść!

Odwróciłem się w stronę drzwiczek i zacząłem desperacko skrobać po nich palcami, próbując je otworzyć. W tym momencie poczułem dwie twarde jak stal dłonie, które przygwoździły moje ręce, i usłyszałem wypowiedane spokojnym szeptem rosyjskie słowa. To był Pritczenko. Unieruchomił mnie chwytem godnym judoki i trzymał tak dłuższą chwilę. Wreszcie zacząłem oddychać spokojniej, odzyskując nad sobą kontrolę. Pieprzony Ukrainiec. Jego aparycja okazała się myląca. Wygląda niepozornie z powodu małego wzrostu i

z tym swoim wielkim jasnym wąsem zakrywającym mu usta, ale to człowiek o ogromnym hartie ducha i zadziwiającej odporności. Nie załamał się pod naporem wydarzeń, ja natomiast byłem gotów wszystko spieprzyć w napadzie klaustrofobii. Jestem jego dłużnikiem.

Rozplakałem się cicho, jak prawdziwy idiota. Nie mogłem już dłużej. Siedzieliśmy cały dzień zamknięci we wnęce wielkości szafy. Byłem głodny, spragniony, niewyspany, nękały mnie bolesne skurcze. Nie miałem pojęcia, co robić dalej. To było kurewskie piekło, a my nie wiedzieliśmy, gdzie jest neonowa tabliczka wskazująca drogę ewakuacyjną.

Narobiliśmy trochę rabanu, ale na szczęście istoty na zewnątrz hałasowały jeszcze bardziej. Krążyły w kółko po tym, co było kiedyś zapleczem, potykając się o poprzewracane półki i resztki naszych rzeczy. Na razie nas nie wyczuły. Przywarłem okiem do małego otworu w drzwiczkach. Widziałem stamtąd tylko połowę pomieszczenia i korytarzyk prowadzący do sklepu. Zaplecze tonęło w półmroku, lekko oświetlone blaskiem wpadającym przez główne wejście, gdzie kiedyś wisiała żaluzja.

Naliczyłem cienie co najmniej ośmiu istot, które pozostały jeszcze na niewielkim zapleczu, ale w sklepie i na ulicy na pewno było ich więcej.

Wykończywszy Kricyniewa i Pakistańczyków, ci skurwiele wcale sobie nie poszli, tylko dalej łazili w kółko, jakby szukali czegoś... albo kogoś.

Przez pierwsze godziny pomieszczenie było wypełnione potworami, zwabionymi przede wszystkim zamętą, którą wywołała strzelanina. Teraz instynkt, czy jak to tam nazwać, podpowiadał im, że w pobliżu jest jeszcze jakiś świeży kąsek. Jednak w miarę upływu czasu większość traciła zainteresowanie sklepem i przenosiła się na zewnątrz.

Wiedzieli, że gdzieś blisko ktoś jeszcze pozostał. Jakoś to odkryli. Nie orientowali się, gdzie dokładnie przebywamy ani ilu nas jest, ale nie miałem wątpliwości, że zwiertzyli naszą obecność. Promieniowanie cieplne? Pola elektromagnetyczne? Jakaś inna metoda czy rodzaj percepcji, których dotąd nie znałem? Nie mam pojęcia. W każdym razie zachowywali się niespokojnie,

bez przerwy krążyli po niewielkiej przestrzeni zaplecza. Myślę, że byli nieźle sfrustrowani, nie mogąc znaleźć tego, co tak wyraźnie wyczuwali.

Przez cztery przerażające godziny jeden z potworów, wysoki i niezdarny, ze straszliwą otwartą raną na plecach, stał przed ścianą, w której znajdował się schowek, waląc pięściami w dolną część przesuwanych drzwiczek. Wydawał z siebie ryki, od których aż ochrypl. Ścięło nam krew w żyłach. Byliśmy przekonani, że sukinsyn nas odkrył i że już po nas.

Ale po czterech niekończących się pełnych strachu godzinach osobnik stracił nagle zainteresowanie szafą, znowu zaczął łazić bez celu po pokoju, aż w końcu sobie poszedł, Bóg wie dokąd.

Te istoty są silne, jest ich dużo i mają coś w rodzaju „daru wykrywania”, ale nie wyglądają na zbyt inteligentne, a przynajmniej nie na wytrwałe. Ich umiejętności koncentracji i koordynacji ruchów są dość ograniczone, nie mówiąc już o możliwościach psychomotorycznych. Po krótkiej chwili sprawiają wrażenie znudzonych albo roztargnionych, chyba że ulegną jakiemuś silnemu bodźcowi (zazwyczaj jest nim istota ludzka). Wtedy i tylko wtedy stają się bezwzględne.

Ale to jedynie moje przypuszczenia. Nikt, o ile mi wiadomo, nie ma pojęcia, co te istoty mają w głowie. Epidemia rozprzestrzeniła się zbyt szybko, żeby można było przeprowadzić poważne badania naukowe. Jeśli ktoś gdzieś takowymi się zajmuje, musi to robić w jakimś bunkrze, wiele metrów pod ziemią, w tej chwili są to więc badania raczej mało przydatne, zważywszy, że tamci dotarli już wszędzie. Zresztą takie naukowe dywagacje nie wytłumaczyłyby moich omamów słuchowych. Teraz wydawało mi się z kolei, że słyszę dźwięk syreny.

Pritzenko tak mocno ścisnął mnie za ramię, że o mało nie zawyłem z bólu. On też słyszał! To nie było przywidzenie!

Trzy długie sygnały, przerwa i znowu trzy długie sygnały. Ostry, głęboki, dochodzący z daleka dźwięk, jaki wydaje turbina parowa o dużej mocy. To była syrena okrętowa. Mogła wyć tylko na „Zaren Kibish”. Zaalarmowany naszą

długą nieobecnością Uszakow próbował się z nami skontaktować za pomocą syreny. Musieliśmy mu jakoś odpowiedzieć, żeby wiedział, że żyjemy. Z tym trzeba było jednak poczekać.

Hałas podziałał elektryzująco na wszystkie istoty tłoczące się w sklepiku. Ruszyły chwiejnym krokiem w stronę drzwi. Pomieszczenie opustoszało. Wyszły wszystkie, jedna za drugą, szukając źródła dźwięku, który wytworzyła z pewnością istota ludzka, ich zwierzyna łowna.

Wszystkie, z małym wyjątkiem. Z jakiegoś niewiadomego powodu jedna z Nieumarłych, kobieta około pięćdziesiątki, w ekstrawaganckich kolczykach, z twarzą usmarowaną resztkami makijażu wymieszanymi z brudem, kręciła się jeszcze po zapleczu. Może wyczuwała zdobycz w postaci ludzi (czyli nas) tak intensywnie, że pójście za głosem syreny wydało jej się stratą czasu. A może po prostu była głucha. Diabli wiedzą. Fakt, że tam stała, przyczajona. Tak czy inaczej, to była okazja, na którą czekaliśmy. Nie musieliśmy nic mówić. Mocnym ruchem przesunąłem drzwiczki i wyskoczyłem na znajdujący się poniżej blat. Pritzenko poszedł w moje ślady. Obaj zwaliliśmy się na podłogę.

Kobieta uniosła głowę i ryknęła z wściekłości, zaskoczona naszą obecnością. Podchodziła do nas powoli, wymijając szczątki roztrzaskanych sprzętów i rozkładające się na podłodze ciała.

Próbowałem wstać, ale po dniu spędzonym w szafie w skurczonej pozycji nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Po prostu nie mogłem się podnieść. Leżałem na podłodze bezbronny i bezradny jak szczeniak. Czułem nieprzyjemne mrowienie w kończynach w miarę, jak wracało krążenie krwi.

Kolejny raz Pritzenko stanął na wysokości zadania. Ostatkiem sił, które wykrzesał nie wiadomo skąd, mały Ukrainiec podczołgał się metr do przodu i chwycił opróżniony AK, rzucony na podłogę przez Kricyniewa tuż przed śmiercią.

Wstał, używając karabinu jako laski, oparł się o ścianę i ujął kałasznikowa za lufę, jakby to była maczuga. Cichym gwizdem przez zęby prowokował piekielną harpię. Ten facet miał jaja.

Nie musiał długo czekać na odpowiedź: kobieta już sunęła niepewnym krokiem w jego stronę. Kiedy znalazła się w zasięgu Wiktora, uniósł karabin i uderzył ją w czaszkę z całej siły.

Rozległo się doskonale słyszalne „trach”. Kość ciemieniowa pękła, odsłaniając mózg o nieprzyjemnym, niezdrowym, ciemnym kolorze. Kobieta zachwiała się, co Pritczenko wykorzystał, by zadać drugi cios, po którym głowa rozbryznęła się niczym dojrzały melon. Siła uderzenia powaliła potwora na podłogę. Ukrainiec pochylił się nad nim i zadawał cios za ciosem, zamieniając jego czaszkę w czerwonawą miazgę.

Podniosłem się z trudem i chwyciłem Wiktora od tyłu, kiedy wymierzał trupowi nie wiadomo które z kolei uderzenie. Ogarnął go szal, jego ręce i klatkę piersiową pokrywały kawałki mózgu kobiety, w oczach miał obłęd. Poczul na sobie moje dłonie i odwrócił się jak kobra, obrzucając mnie spojrzeniem szaleńca. Przez chwilę myślałem, że ja też oberwę.

Rozpoznał jednak, że to ja; jego twarz zaczęła stopniowo odzyskiwać normalny wyraz. Wciąż słabe nogi nie były w stanie dłużej go utrzymać. Runął na podłogę, pociągając mnie za sobą. Teraz to on szlochał spazmatycznie, szukając ujścia dla napięcia ostatnich godzin i huczącej jeszcze w żyłach adrenaliny.

Objąłem go mocno i pomogłem mu wstać. Nie mieliśmy zbyt dużo czasu. Trzeba było natychmiast wyjść z tego piekła. Pritczenko odzyskiwał spokój. Głośno wciągnął gile z nosa i schylając się po pistolet Kricyniewa, powiedział zmęczonym głosem: „W końcu wyszliśmy z szafy”.

Wybuchnąłem donośnym śmiechem, a Ukrainiec przyglądał się osłupiały, zdziwiony, co mi odbiło. Za każdym razem, kiedy próbowałem powstrzymać chichot, widziałem zakłopotanie na twarzy Pritczenki, a to pobudzało mnie do dalszego śmiechu. Ze łzami w oczach wytłumaczyłem mu ukryty sens zdania, które wypowiedział, na co Ukrainiec zareagował głośnym rechotem. Wyzwalające uczucie. Śmieliśmy się pierwszy raz od kilku tygodni, opanowani niepohamowaną wesołością, rozładowując całe emocjonalne napięcie.

Ogarnęła nas głupawka, stan, w którym najmniejszy drobiazg, nawet najbardziej banalny, wywołuje następny atak śmiechu. Niesamowite wrażenie. Jeszcze byliśmy ludźmi. Jeszcze żyliśmy. Jeszcze mogliśmy walczyć.

Nie było co zbierać z tego pobojuwiska. Pistolet Kricyniewa stanowił naszą jedyną broń, bo wprawdzie odnaleźliśmy kałasznikowa, jednak nie trafiliśmy na amunicję. Pamiętałem, że Szafik i Usman nosili ją przy sobie, ale nie zostało po nich nawet śladu. Najprawdopodobniej szwendali się gdzieś obładowani magazynkami, zamienieni w tamtych. Niech to szlag...

Zanim ruszyliśmy w drogę, pochyliłem się nad rozszarpanymi zwłokami Kricyniewa. Wściekłość tłumu Nieumarłych była tak wielka, że zmasakrowali ciało Ukraińca. Już nigdy nie wróci do życia. Brakowało mu części mózgu, jednej ręki, obu nóg, brzuch miał rozdarty, jakby zaatakowało go dzikie zwierzę. Biedny sukinsyn, zginął potworną śmiercią. Włożyłem dłoń do kieszeni plecaka i wyjąłem kwit potrzebny do odnalezienia przesyłki, poplamiony w rogu krwią. Nie zapomniałem o tej kurewskiej paczce. To był jedyny sposób, żeby odzyskać Lukullusa.

Wyszliśmy ze sklepu, omijając wielki, piętrzący się przy drzwiach stos gnijących trupów trafionych kulami Pakistańczyków. Na zewnątrz świeciło oślepiające słońce. Pomagając Pritczence opuścić budynek, rozejrzałem się szybko dokoła. Zobaczyłem tylko dwójkę tamtych, w odległości około czterystu metrów, ale już nas dostrzegli i zacierali w naszą stronę. Trzeba było brać nogi za pas.

Utykając, pobiegliśmy ulicą w kierunku centrum, wyczerpani brakiem jedzenia i picia. Byliśmy wykończeni. W takim stanie nie zajdziemy daleko. W miarę jak posuwaliśmy się pustą aleją, z najmniej oczekiwanych miejsc wynurzali się kolejni osobnicy i przyłączali do pościgu. W mieście musiały ich być tysiące, a co najmniej kilkunastu mieliśmy już za plecami.

Nagle raptownie wyhamowaliśmy. Przed naszymi oczami rozciągał się widok jak z dantejskiego piekła. Trafiliśmy na skraj jednej z tych wielkich, pokrywających miasto blizn po niekontrolowanych pożarach, które widziałem

z pokładu „Koryntu”. Dokładnie na wprost nas ulica urywała się, ustępując miejsca pogorzeliśku, poczerniałej, zmasakrowanej dzielnicy pełnej ruin o najbardziej nieprawdopodobnych kształtach. Wyglądała jak po bombardowaniu.

To była nasza szansa. Zaczęliśmy wspinać się po rumowisku, pełzając na czworakach po stertach gruzu, między powykręcanyimi, spalonymi dźwigarami. W tej zdemolowanej części miasta Nieumarli nie byli w stanie nas gonić. Brakowało im koordynacji psychomotorycznej niezbędnej, by poruszać się w ruinach i chodzić po księżycowym, zwęglonym terenie pełnym dziur, belek, zwałów gruzu i roztrzaskanych fragmentów domów. My też nie mieliśmy łatwo, zważywszy na nasz stan, ale grunt, że mogliśmy tego dokonać, a oni nie.

Po dwudziestu minutach wędrówki wśród tych piekielnych pejzaży, ciężko dysząc, zwaliliśmy się na ziemię w jakimś zagłębieniu w samym środku pogorzeliśka. Na dnie zebrała się spora kałuża. Piliśmy deszczówkę jak wielbłądy, nadrabiając utratę płynów; potem położyliśmy się, żeby złapać oddech. Słońce pieściło nam twarze, lekki wiaterek bawił się naszymi włosami. Wiosna nadchodziła w całej swojej krasie. To fantastyczne uczucie być żywym.

12 marca. Godzina 22.41

Siedzę przy małym ognisku, nad którym wesoło bulgocze smakowity drobiowowarzynny bulion z puszki. Po drugiej stronie płomienia widzę znajomą sylwetkę Pritczenki, owiniętego w koc, chrapiącego tak głośno, że byłby w stanie obudzić zmarłych. Pierwszy raz od kilku tygodni jestem w dobrym humorze, stać mnie nawet na to, żeby sobie z tego wszystkiego pożartować. Nie bez powodu.

Kiedy wczoraj znaleźliśmy się z Pritem na tej spalonej ziemi, byliśmy totalnie wykończeni. Na szczęście mały Ukrainiec szybko znalazł miejsce, gdzie mogliśmy się schronić i odzyskać siły, co bez wątplenia uratowało nam życie.

Na dnie zagłębienia panował upał. Słońce świeciło niemiłosiernie na

błękitnym niebie, żar lał się na nas, kiedy tak leżeliśmy niczym jaszczurki koło malejącej kałuży, która przy tej temperaturze błyskawicznie wyparowywała. Gorące powietrze drgało, a ruiny dziesięć metrów od nas wydawały się poruszać wraz z nim. Panowała kompletna cisza, przerywana od czasu do czasu natrętnym bzyczeniem muchy, dobiegającymi z ruin trzaskami lub szelestem osypujących się kamieni. W pewnej chwili usłyszeliśmy w oddali szczekanie psów, które rozpląnęło się po kilku minutach.

Z resztek podartego prześcieradła próbowaliśmy zrobić sobie mały daszek, ale nie mieliśmy na czym go umocować i w końcu daliśmy za wygraną. Byliśmy zbyt osłabieni, żeby popisywać się inżynierskimi umiejętnościami.

Prawdę mówiąc, nasza sytuacja wyglądała beznadziejnie. Sami, praktycznie bezbronni, zagubieni w środku opuszczonego i częściowo zrównanego z ziemią miasta, otoczeni tysiącami Nieumarłych, wyczerpani, głodni, mieliśmy do picia tylko brudną wodę z kałuży. To na pewno nie były wakacje w Acapulco.

W tej spiekocie ociekaliśmy potem. Podszedłem do kałuży i napiłem się wody, zaczerpniętej złożonymi w miseczkę dłońmi. Widziałem na powierzchni swoje odbicie. Uśmiechnąłem się. Pritzenko i ja byliśmy do siebie zadziwiająco podobni. Po tych wszystkich przejściach obaj mieliśmy już niewielkie brody, tłuste, skołtunione włosy, ubrania w strzępach (ja tylko kąpielówki i podartą koszulkę, bo kombinezon z neoprenu zostawiłem w szafie), usmarowaną sadzą skórę, brudne dłonie, połamane paznokcie, rysy wyostrzone przez głód. Obaj śmierdzieliśmy tak, że kiedyś przyprawiałoby nas to o mdłości. Uliczny żebrak sprzed apokalipsy uchodziłby przy nas za prawdziwego dżentelmena.

Powiedziałem Wiktorowi, że gdyby któryś z moich klientów zobaczył mnie w tym stanie, toby nie rozpoznał. Chichocząc, odpowiedział, że zapewne *Siunta* również by go nie zatrudniła z takim wyglądem.

Przypomniałem sobie, że już dawno chciałem zapytać Ukraińca, czym, u diabła, jest ta *Siunta*, bo nazwa firmy z niczym mi się nie kojarzyła. Na dobrą sprawę prawie nic nie wiem o swoim małym towarzyszu, poza tym, że spędziliśmy razem trzy dni grozy i że co najmniej dwukrotnie uratował mi

życie. Otworzyłem usta, żeby zadać pytanie, ale dokładnie w tym momencie w popołudniowej ciszy martwego miasta ponownie rozległy się głośno syreny na „Zaren Kibish”.

Ochryple, dokuczliwe dla ucha buczenie rozbrzmiewało w całym Vigo. Niewiarygodne, jak dobrze wszystko słycać, gdy nie ma żadnych innych dźwięków. My, mieszkańcy miast, bombardowani tysiącami odgłosów, nie uświadamiamy sobie, że w niczym niezmaconej ciszy hałas silnika albo radia rozchodzi się w promieniu kilku kilometrów. Wycie syreny okrętowej było słyszalne nie tylko w całym Vigo, ale nawet w pobliskich miasteczkach i wsiach. Kretyni z „Zaren Kibish” dalej nadawali sygnały, niczego nieświadomi.

Niedobrze. Mogli przyciągnąć wszystkich pieprzonych Nieumarłych z okolicy w miejsce, w którym się znajdowaliśmy.

Musieliśmy stamtąd uciekać. Gdybyśmy zostali, umarlibyśmy z głodu, z porażenia słonecznego albo Bóg wie z czego. Trzeba było iść dalej. Odłożyłem na później pytania, które kiedyś powinienem zadać Pritczence. Podnieśliśmy się i ruszyliśmy w drogę, na czworakach pośród ruin, stosów gruzu, pokrzywionych dźwigarów, zwęglonych resztek samochodów i budynków.

Smród przyprawiał nas o mdłości, w powietrzu rozchodził się fetor przypalonego mięsa. Od czasu do czasu widzieliśmy góry spalonych zwłok, ale nie sposób było stwierdzić, czy należały do istot ludzkich, czy do Nieumarłych, których dopadła trawiąca tę część miasta pożoga.

Nagle stanąłem jak wryty, przerażony perspektywą, że biuro VNT spłonęło aż do fundamentów. W takim wypadku mogliśmy się pożegnać z tajemniczą paczką, chyba że leżała zamknięta w ognioodpornym sejfie. Próbowałem zachować spokój, przypomniałem sobie, że ulica, przy której powinno się znajdować biuro, wyglądała z pokładu „Koryntu” na nienaruszoną. Tym bardziej należało jak najprędzej dotrzeć do celu. Za kilka godzin powinniśmy być na miejscu. Oczywiście nie będziemy szli nocą, ale mogliśmy podejść teraz całkiem blisko i pokonać ostatni odcinek o świcie.

Po południu temperatura zaczęła spadać i wkrótce dygotaliśmy z zimna.

Wiosenne noce bywają w Galicji lodowate, bez względu na to, jak ciepło jest za dnia.

Stanęliśmy niezdecydowani. Doszliśmy do końca wypalonej pożarem części miasta. Przed nami ciągnęła się szeroka dwupasmowa ulica zasypiana pyłem i śmieciami, częściowo pokryta sadzą, ale nietknięta. Z jakiegoś powodu (może sprawiła to gwałtowna zmiana kierunku wiatru albo ulewa) ogień wyhamował w tym miejscu i nie strawił reszty miasta. Pozostała część Vigo była w większości nienaruszona, choć brudna, zaniedbana, opanowana przez tamtych. Przejście przez ruiny okazało się przeraźliwie powolne i trudne, ale przynajmniej mieliśmy pewność, że nie spotkamy tam żadnego Nieumarłego. Teraz droga będzie łatwiejsza, za to o wiele bardziej niebezpieczna.

Nie mieliśmy wyboru. Wyszliśmy na ulicę, dbając o to, by jak najmniej rzucać się w oczy. Próbowałem odczytać jej nazwę, ale tabliczkę pokrywała zbyt gruba warstwa sadzy, żeby dało się odcyfrować, co na niej napisano. Poza tym było coraz mniej światła. Zapadała noc.

Chociaż od biura VNT dzieliło nas tylko kilka przecznic, musieliśmy zrobić postój i poszukać schronienia na noc. Zaczynały się najbardziej niebezpieczne godziny. Samobójstwem byłoby chodzenie bez broni po nieznanym terenie nawiedzonym przez te istoty, nie widząc, dokąd idziemy. Nie ma mowy. Nie po to dotarliśmy tak daleko, żeby w ostatniej chwili wszystko spieprzyć. Poza tym powinniśmy jak najszybciej coś zjeść, jeśli nie chcieliśmy opaść z sił. Z żołądka Wiktora dochodziły pomruki, które wystraszyłyby nawet niedźwiedzia, a z moim wcale nie było lepiej...

Wreszcie Pritczenko przystanął i z szerokim uśmiechem pokazał mi coś palcem. Odetchnąłem z ulgą. Koniec końców mieliśmy jednak całkiem dobry dzień. Wiktor znalazł właśnie znakomite miejsce na nocleg.

Była to mała knajpka wciśnięta między oddział jakiegoś banku, który wyglądał, jakby go ograbiono, i wypożyczalnię kaset wideo ze śladami krwi na wystawie. Ścianę frontową pokrywały brud i sadza, a na drzwiach baru wisiała rozpadająca się reklama coca-coli z domalowaną u dołu nazwą: Pod Starym

Szczepem Winnym.

Bezpretensjonalna knajpa, powiedzieliby życzliwi. Podejrzana speluna, oceniliby realiści.

Dla mnie był to okropny bar, którego w normalnym życiu sprzed apokalipsy nie zaszczyciłbym nawet przelotnym spojrzeniem. Drzwi zasłaniała opuszczana, sięgająca do ziemi kraty, zamknięta na dole wielką zardzewiałą kłódką. W małym przedsionku między kratą a drzwiami leżały stare, pożółkłe gazety sprzed epidemii i mnóstwo wyblakłych, nadgniłych folderów reklamowych, od dwóch miesięcy wystawionych na działanie deszczu i wiatru.

Wiele wskazywało na to, że tę budę zamknięto, zanim jeszcze wszystko diabli wzięli. Spotkanie w środku jakiegoś Nieumarłego było mało prawdopodobne, ale mogliśmy się o tym przekonać dopiero za progiem. Mieliśmy zresztą coraz mniejszy wybór. Zapadał zmrok i wkrótce widzielibyśmy najwyżej czubek własnego nosa. Niebo pokrywało się chmurami zapowiadającymi burzę, nie można więc było liczyć na światło księżyca. Każda spędzona na ulicy minuta zwiększała ryzyko, że zostaniemy odkryci i będziemy mieli czyjeś niepożądane towarzystwo.

Drzwi filii banku były całkiem roztrzaskane. Ślady na ścianie i na asfalcie wskazywały, że ktoś z pomocą jakiegoś ciężkiego pojazdu wyrwał stojący na zewnątrz bankomat. Rabusie z dni chaosu poprzedzającego finał, jak przypuszczam. Wszystko jedno. Nocleg w tym banku praktycznie nie różnił się od spania na ulicy. A już za żadne skarby świata nie wszedłbym do wypożyczalni kaset ze śladami krwi na drzwiach. Nie czułem najmniejszej potrzeby, żeby w tym momencie szukać sobie jakiegoś filmu.

Najlepszym rozwiązaniem pozostawał więc mały bar. Podczas gdy Prit manipulował przy kłódce od kraty, ja starałem się dojrzeć przez witrynę, co jest w środku. Między wyblakłymi ogłoszeniami i plakatami zapowiadającymi mecze piłkarskie miejscowej drużyny zobaczyłem zakurzone, ciemne wnętrza i butelki równiutko ustawione w szafie za ladą. Myśl, że usiądę sobie spokojnie przy stoliku ze szklanką pianistego piwa, przekształciła się niemal w obsesję.

Musieliśmy tam wejść, wszystko jedno jak.

Cofnąłem się kilka metrów w stronę strefy zniszczeń i znalazłem kawał gruzu ważący jakieś pięć kilogramów. Zebrawszy resztki sił, cisnąłem nim w szybę wystawy. Głuchy odgłos uderzenia wystraszył Wiktora, który odskoczył w bok, w deszczu betonowych odłamków. Spojrzałem na niego strapiiony, prosząc niemym gestem o wybaczenie, Ukraińiec pokręcił jednak głową z dezaprobatą. Szyba pękła, ale jeszcze się nie stłukła.

Szkło antywłamaniowe, tyle że marnej jakości. Gdyby było naprawdę dobre, nawet waląc w nie sto razy wielkim kamieniem, nie zrobiłbym rysy. Ale mieliśmy przed sobą tylko zapyziały bar, a nie sklep jubilerski, dlatego po kilku uderzeniach „w starym radzieckim stylu” Pritczenki witryna ustąpiła. Wyłom był na tyle duży, że wcisnęliśmy się do środka bez większych problemów.

Wnętrze miało zapach kurzu i zamkniętego pomieszczenia. Odruchowo wyciągnąłem rękę w stronę kontaktu na ścianie, żeby zapalić światło. Aż się sam zaśmiałem z tego gestu. Pewnych odruchów nie sposób się wyzbyć do końca życia. Prit zastawiał stołem dziurę w szybie, blokując wejście i na nowo zamieniając bar w bunkier chroniący przed Nieumarłymi, a ja wślizgnąłem się za kontuar, żeby przeszukać szafki, dopóki mieliśmy jeszcze trochę światła. Kasa była pusta, w glinianej miseczce obok zardzewiałego noża gniły resztki spleśniałej cytryny. Znalazłem zapalniczkę. Uniosłem głowę i zobaczyłem, że Pritczenko zasłania ciężkie zasłony w oknach, tak aby wewnątrz nie było widoczne z ulicy. Doskonale.

Drżącymi rękami zapaliłem BIC-a. Przyświecając sobie zapalniczką, przejrzelśmy zawartość szuflad, aż trafiliśmy na kilka świec. Otworzyliśmy jedną z lodówek (oczywiście była wyłączona) i usiadłszy, oparci plecami o kontuar, w niespełna dwie minuty wychyliliśmy co najmniej pół tuzina buteleczek wody i dwie jakiegoś napoju gazowanego. Odżyłem, kiedy płyn zaczął krążyć w moim organizmie. Z każdą buteleczką język nawadniał się coraz bardziej; dosłownie czułem, jak moje komórki pęcznieją od tak pożądanej cieczy.

Gdy zaspokoiliśmy pragnienie, wróciło uczucie dojmującego głodu. Pisząc w notesie, słyszałem, jak Wiktor szczęka naczyńiami w małej kuchni na zapleczu. Byłem zbyt osłabiony, żeby mu pomóc. Po kilku minutach Pritczenko wrócił uśmiechnięty ze stosem konserw. Kuchnia przetrwała w nienaruszonym stanie, dość dobrze zaopatrzona. Nie na tyle dobrze, żeby wykarmić pułk żołnierzy, ale dla dwóch ocalałych wystarczy tego na kilka dni.

Tamtej nocy pierwszy raz od tygodnia spaliśmy głębokim snem. Kiedy się obudziliśmy, przez szczeliny między zasłonami wpadały promyki słońca. Zużyliśmy dwie butelki wody na powierzchniową toaletę i dokonaliśmy oceny sytuacji. Po krótkiej dyskusji zapadła decyzja o pozostaniu w barze co najmniej jeden dzień, by odzyskać siły. Zresztą przez szpary widzieliśmy na ulicy dość duży ruch Nieumarłych wędrujących Bóg wie dokąd.

13 marca. Godzina 19.30

Dziś rano odważyliśmy się w końcu wyjść na zewnątrz. Ulica była mokra, pewnie po nocnej ulewie. Szliśmy chodnikiem, kryjąc się za porzuconymi samochodami, gdy wyjrzało nieśmiałe słońce. Z powietrza ulatywała wilgoć i wszędzie unosiły się kłęby pary. Mimo przyjemnego chłodu poranka czekał nas kolejny upalny dzień.

Pritczenko miał za pasem olbrzymi nóż zabrany z barowej kuchni. Ja z kolei ścisnąłem w dłoniach tasaczek do rąbania żeberek, który nie na wiele przydałby mi się w walce z hordą tamtych, ale wydatnie zwiększał moją pewność siebie.

Może właśnie z powodu tego nadmiaru pewności o mało nie straciliśmy życia. Od adresu podanego na kwicie dzieliło nas niespełna dziesięć minut drogi, kiedy skręciwszy zbyt pośpiesznie za róg, wpadłem na kobietę.

Była to młoda, dwudziestokilkuletnia dziewczyna, dość wysoka, o zjawiskowych blond włosach sięgających do pasa i zgrabnej figurze. Nosiła obcisły, niepozostawiający zbyt wiele miejsca dla wyobraźni top i dżinsy, które naprawdę świetnie na niej leżały. Miała delikatne rysy twarzy. W jej uszach

wisiały wymyślne, duże, fantastyczne kolczyki. Była ładna, bardzo ładna. W sumie oszałamiająca piękność. Szpeciła ją tylko paskudna rana biegnąca wzdłuż łopatki, z której po gołych plecach spływały strużki krwi. Na jej niekorzyść przemawiał również fakt, że ewidentnie mieliśmy do czynienia z Nieumarłą.

Nie widziałem, skąd wyszła. Zanim się zorientowałem, była tuż obok, próbując mnie ugryźć. Jej ślina skapnęła mi na piersi, kiedy trzymała mnie w śmiertelnym uścisku. Wzdrygnąłem się na myśl, że przy najmniejszym zadrapaniu skończę jak Pakistańczyk. Wrzasnąłem, desperacko błagając Pritczenkę o pomoc.

Wiktor stanął niespiesznie za kobietą, która przypierała mnie do muru. Szybkim, wprawnym ruchem jedną ręką chwycił dziewczynę za włosy, a drugą ujął nóż i zaczął metodycznie odrzynać jej głowę.

To była iście dantejska scena. Czarna, zgniła krew ściekała, bulgocząc, z szyi dziewczyny, kiedy Pritczenko konsekwentnie przecinał nożem mięśnie i ścięgna. Gdy doszedł do tchawicy, nóż wydał przenikliwy dźwięk, rozrywając chrząstki szyjne. Prawdziwa rzeź w wykonaniu szaleńca. Krew spływała na Wiktora i na mnie, niezdolnego wyrwać się z morderczego uścisku, który wbijał mnie w ścianę. Kobieta próbowała się uwolnić, żeby zaatakować Pritczenkę, i teraz ja musiałem przytrzymać ją siłą. Patrzyłem jak zahipnotyzowany na to widowisko. Między skrzepami krwi doskonale widziałem dziurę w jej przetyku.

Nóż Ukrainca trafił na kręgi szyjne i nagle się zaklinował. Ukrainiec wyciągnął go i odskoczył do tyłu, a ja w tym czasie pchnąłem zalane krwią ciało dziewczyny. Kołysząc się, stanęła na środku jezdni, z głową zwisającą na plecy pod nieprawdopodobnym kątem.

Nadeszła moja kolej. Wziąłem zamach i uderzyłem tasakiem, próbując trafić w miejsce, z którego zwisała głowa. Ale ciało stwora cofnęło się niespodziewanie i ostrze trafiło w obojczyk. Teraz dziewczyna zataczała się jak szalona na środku ulicy, z dyndającą głową i do połowy odciętym ramieniem. Scena była tak groteskowa, że wyglądała na żywcem przeniesioną z filmu

grozy. Tylko buzująca w moich żyłach adrenalina uświadamiała mi, że wszystko dzieje się naprawdę.

Uderzyłem tasakiem jeszcze raz. Tym razem trafiłem i głowa potoczyła się po ziemi, a ciało dziewczyny runęło na jezdnię wstrząsane gwałtownymi konwulsjami.

Pritczenko podniósł głowę za włosy i wpatrywał się w nią zamyślony. Widok był przerażający. Ten kurewski czerep ciągle żył, z furią otwierał i zamykał usta, zgrzytając zębami. Nie wydawał dźwięków, bo nie miał krtani ani płuc, ale założyłbym się o wszystko, że gdyby mógł, krzyczałby z wściekłości.

Prit wykonał szeroki zamach i z całej siły cisnął głową w dół ulicy. Zatoczyła łuk w powietrzu, uderzyła o ziemię z głuchym łoskotem i potoczyła się do rogu jednej z przecznic. Myślę, że jeśli nikt jej nie ruszy, będzie tam leżeć, aż... Aż co? Jak długo mogą żyć te istoty? Czy są wieczne? Cholera, pytania, ciągle te pieprzone pytania i żadnej odpowiedzi. Można zwariować.

Obaj z Pritczenką byliśmy skąpani we krwi. Miałem teraz nowy powód do rozmyślań. Wiktor podrzynał kobiecie gardło z premedytacją, pedantycznie, cierpliwie. Przysięgłbym, że w tym czasie nawet nie podskoczyło mu tętno. Spokojny jak zawodowiec. Nie mogłem uciec przed pytaniem: kim, do cholery, jest ten facet? Ruszyliśmy w dalszą drogę, ale ja przyglądałem się małemu Ukraińcowi z lekką obawą. Została nam jeszcze jedna przecznica, niedługo powinniśmy dotrzeć do biura VNT. Miałem już tego wszystkiego dosyć. Chciałem jak najszybciej opuścić to przeklęte miasto.

Piętnaście minut później uważnie obserwowaliśmy szeroką ulicę rozciągającą się przed nami.

Plastikowe torby fruwały jak szalone z jednego końca na drugi, targane gęstym, gorącym, niosącym kurz wiatrem, który tworzył wymyślne wiry. Przez środek ulicy biegł pas zieleni oddzielający jezdnię, na którym przyroda zażarcie walczyła o swoje miejsce. Rośliny ozdobne ustąpiły pod naporem chwastów. Wszelakie zielsko, paprocie i ciernie oplatały drzewa, których nikt nie przytnie przez długi, długi czas. W szczelinach w asfalcie wyrastały nieśmiało pierwsze

żdźbła trawy. Niedługo wedrą się tam inne rośliny.

Dziesiątki pojazdów zaparkowano na poboczu albo po prostu porzucono w różnych miejscach na jezdni. W większości były to samochody osobowe, choć trafiały się także furgonetki, a nawet duże ciężarówki. Przód jednej z nich, potężnego TIR-a, wbił się w wystawę sklepu z damską odzieżą. Na drzwiach od strony kierowcy zasechł strumień krwi, ale nie było śladu po zwłokach.

Strzępy zasłon powiewały w otwartych oknach wielu mieszkań. Wszystkie budynki na ulicy wyglądały, jakby powybijano w nich szyby, a asfalt pokrywała gruba warstwa szkła. Może tych zniszczeń dokonała fala uderzeniowa jakiejś potężnej eksplozji w porcie?

Nie było widać żadnych oznak życia, nie licząc dziesiątek szurów i mnóstwa mew kołujących nad naszymi głowami. To dziwne: od kiedy się to wszystko zaczęło, widywałem psy, koty (mojego Lukullusa), szczury i mewy, ale żadnych gołębi, koni, wróbli czy innych zwierząt. Ciekawe, czy epidemia dotknęła również pozostałe żywe istoty i w jakim stopniu. Kolejne pytanie z wielu, których liczba nieustannie rośnie.

Zaczailiśmy się za wielkim furgonem należącym do jakiejś firmy budowlanej. Miał rozbitą przednią szybę, z kół uszło powietrze. Stał częściowo na chodniku, dokładnie na rogu ulicy, którą przyszliśmy. Mieliśmy stamtąd doskonały widok na całą aleję.

W okolicy nie było ani jednego potwora, ale ślady stóp wleczonych po pokrytym pyłem asfalcie mówiły same za siebie. W głębi, w odległości nie większej niż dwieście metrów, dostrzegliśmy kilka postaci wałęsających się chwiejnym krokiem. Zbyt daleko, żeby nas zobaczyły, ale nie tak daleko, jak byśmy tego chcieli.

Wszystko pokrywały śmieci i nieczystości, nie mówiąc o dziesiątkach gnijących zwłok, wszystkie z ranami postrzałowymi. Pritczenko uważa, że to Nieumarli zabici przez jakąś grupę z Bezpiecznej Strefy w czasie wypadu w celach rabunkowych.

Sam nie wiem, co o tym myśleć. Podejrzewam, że nieprzestrzeganie prawa i

porządku w dużych miastach, takich jak Vigo, miało poważniejsze konsekwencje i spowodowało większy chaos niż w małych miasteczkach. Kiedy siły bezpieczeństwa bombardowane tysiącami zgłoszeń od obywateli, którzy donosili o pojawieniu się Nieumarłych, nie były w stanie zapanować nad sytuacją, na ulicach musiało zacząć rządzić prawo dżungli. Zwłoki być może są tego dowodem. Któż to teraz wie.

Dokładnie na wprost nas, na przeciwległym chodniku, znajdowała się siedziba VNT. Był to średniej wielkości budynek, miał szklane drzwi i wielką witrynę po stronie, gdzie mieściły się biura, oraz dużą metalową bramę pomalowaną na czarno z połączonym logo firmy po drugiej. Tamtędy wjeżdżały furgony. Biuro sprawiało wrażenie opuszczonego i zamkniętego na cztery spusty.

W tylnej części furgonetki, za którą się ukrywaliśmy, znaleźliśmy duże ilości materiałów budowlanych. Wyglądało na to, że celem ostatniego wyjazdu był montaż jakiejś instalacji wodno-kanalizacyjnej, bo zobaczyliśmy kilkanaście porządnie ułożonych rur PCW o średnicy dziesięciu centymetrów każda. Tuż obok leżało mnóstwo narzędzi, wśród nich łom, który miał być naszym kluczem do drzwi biura.

Kilka miesięcy wcześniej pewien drobny złodziejasek, którego nasza kancelaria broniła z urzędu, uraczył nas szczegółowym opisem, jak wyważa się drzwi. Facet był prawdziwym ekspertem. Złapano go na gorącym uczynku po tym, jak oczyścił kilkanaście mieszkań, nie mogliśmy więc zapobiec jego skazaniu. Myślę, że kiedy wybuchło to piekło, siedział w więzieniu. Ciekawe, co się stało z tym nieszczęsnym złodziejem i ze wszystkimi, których trzymano w zamknięciu. Oczyma wyobraźni zobaczyłem całe galerie z celami pełnymi ludzi umierających z głodu i pragnienia. Dreszcz przebiegł mi po plecach. Mam nadzieję, że choć byli przestępcami, dano im szansę przeżycia.

Chwyciłem łom oburącz i skradając się, przeszedłem na drugą stronę jezdni (Pritczenko deptał mi po piętach), gotów zastosować w praktyce nauki owego złodzieja. To prawda, że wiedzy nigdy za wiele...

Poszło łatwiej, niż oczekiwałem, wystarczyło się trochę pomocować. Zrobiłem kilka szczerb w futrynie i nagle drzwi ustąpiły z głośnym trzaskiem, który zmroził mi krew w żyłach. Nie sędzę, by było go słychać na odległość większą niż dziesięć metrów, ale w moich uszach zabrzmiał wśród grobowej ciszy niczym wystrzał z armaty.

Weszliśmy do holu VNT. Wreszcie dotarliśmy na miejsce.

Dział obsługi klienta, w którym się znaleźliśmy, miał funkcjonalny i dyskretny wystrój. Drewniany kontuar z mnóstwem śladów pozostawionych przez niezliczone paczki oddzielał część dla klientów od stanowisk pracowników. W kącie stał zakurzony szkielet rośliny doniczkowej. Na niskim stoliczku pomiędzy dwoma fotelami leżały gazety sprzed paru miesięcy i kilka pism branżowych. W powietrzu unosił się słaby, ale uchwytny zapach starego dymu papierosowego. Od dawna nikt tu nie palił, ale mimo to czuło się, że ktoś, kto pracował w tym biurze, na pewno dużo kopał.

Nie był to jedyny zapach. Woń tytoniu maskowała opary czegoś o wiele bardziej intensywnego i nieprzyjemnego. Odór zgnilizny. Odór śmierci.

Natychmiast wzmożliśmy czujność. Z uniesionym tasakiem zbliżyłem się do wahadłowych drzwi oddzielających dział obsługi od zaplecza. Ukraińiec ustawił się na wprost i wycelował w nie z olbrzymiego pistoletu Kricyniewa. Cały spocony spojrzałem na Wiktora. Skinął głową. Na ten znak otworzyłem drzwi mocnym kopniakiem i zaraz potem odskoczyłem na bok, usuwając się z linii strzału.

Skulony czekałem na huk broni, ale słyszałem jedynie przyspieszony oddech Pritczenki. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że Wiktor, zmieniony na twarzy, wpatruje się w coś za drzwiami. Kiedy odwróciłem głowę, żeby sprawdzić, co przykuło jego uwagę, wymiociny podeszły mi do gardła i zgiąłem się wpół pod wpływem gwałtownego skurczu.

Na belce pod sufitem, na kawałku liny wisiały gnijące zwłoki. Ktoś założył sobie pętlę na szyję i pozbawił się życia. Miał zsunięty do pasa kombinezon firmowy VNT. Można było odnieść wrażenie, że jego twarz pokrywa

kilkutygodniowy zarost, ledwo widoczny pod warstwą oblepiających ją owadów.

Odrażający widok. Ciało weszło już w fazę gnicia, strużki śmierdzących płynów skapywały na podłogę, tworząc gęstą, ciemną kałużę. Zwłoki napuchły z powodu gazów i wyglądały obscenicznie grubo. Z otwartych ust zwisał olbrzymi fioletowy język, na którym siedziały dziesiątki zielonkawych much bzycających bezustannie. Oczy zniknęły w oczodołach, a palce rąk, nabrzmiące i fioletowe, przypominały zmiażdżone paluchy bohatera jakiejś makabrycznej kreskówki. Smród był potworny. Weszliśmy, zatykając sobie nosy i usta; staraliśmy się unikać tego przerażającego widoku, a tym bardziej kontaktu fizycznego. Szybki rzut oka na wnętrze magazynu pozwolił nam zrozumieć, co zaszło.

Nieszczęśnik siedział zamknięty w biurze od samego początku. Z pewnością zza kontuaru zobaczył pierwszych Nieumarłych idących chwiejnym krokiem ulicą i zareagował jak większość ludzi: zamknął się i czekał na pomoc.

Ale na jego nieszczęście pomoc nigdy nie nadeszła. Dla tego nieboraka zaczęło się prywatne piekło. Automat do sprzedaży przekąsek, pusty, z potłuczoną szybą, świadczył o tym, że główne (i jedyne) źródło żywności szybko uległo wyczerpaniu. Na podłodze piętrzył się stos brudnej odzieży, leżało kilka wymiętych pism pornograficznych. Mężczyzna był na tyle rozsądny, że zamienił jedną z furgonetek w wychodek i pił wodę z ubikacji, ale i tej również wkrótce zabrakło. Głód, pragnienie, samotność, obłąd – to wszystko go przerosło. Po jakimś czasie nie wytrzymał.

Biedny człowiek.

Wzdrygnąłem się na myśl, że mogłem skończyć tak samo, gdybym nie podjął decyzji o opuszczeniu domu. Potrząsnąłem głową, odpędzając od siebie te ponure rozważania. Nie mieliśmy czasu, żeby opłakiwać jakiegoś nieznanego. Nadeszła pora, by zacząć szukać nieszczęsnej paczki.

I udało nam się ją znaleźć.

Była to walizeczka firmy Samsonite z czarnej stali, opieczętowanana brzegu czymś w rodzaju czerwonej plastikowej plomby. Przez całe popołudnie przewracaliśmy ten cholerny magazyn do góry nogami, w coraz bardziej duszącym upale, aż w końcu na nią trafiliśmy.

Nie mogę uwierzyć, że już ją mamy. Myśli wirowały mi w głowie, kiedy zastanawialiśmy się nad naszym następnym krokiem. Oczywiście w pierwszym odruchu chciałem tę cholerną walizeczkę otworzyć i sprawdzić jej zawartość, ale nie tak łatwo jest rozbić Samsonite ze wzmocnionej stali, nawet korzystając ze sposobów, których nauczył mnie znajomy złodziejasek. Mógł tego dokonać tylko posiadacz kluczyka albo prawdziwy specjalista, a niestety nie mieliśmy z Pritem pod ręką ani jednego, ani drugiego.

Po jakimś czasie smród zgnilizny przestał nam przeszkadzać. Na początku zaproponowałem Wiktorowi, żebyśmy odczepili ciało i zawinęli je w jakiś koc, ale Ukrainiec wyperswadował mi ten pomysł. Powiedział, że zwłoki w takim stanie najprawdopodobniej rozpadną się nam w rękach i sprawimy sobie tylko prysznic z rozkładających się wnętrzności. Lepiej go zostawić, żeby, według jego słów, „wysechł jak *jamón curado*” [5]. Nie miałem odwagi zapytać, gdzie, u diabła, nauczył się takich słów. Na samą myśl o szynce ślinka napłynęła mi do ust.

Najlepsze zostawiłem na koniec. Ten Ukrainiec ciągle mnie zadziwia. Dziś przytrafiło mi się coś absolutnie niewiarygodnego.

Kiedy przerzucałem w biurze zawartość jednej z szuflad w poszukiwaniu kluczy do metalowych szaf stojących w głębi magazynu, natrafiłem na plik urzędowych pism, który rzuciłem niedbale na stół. Odwróciłem się, żeby otworzyć następną szufladę, kiedy wszedł Pritczenko. Wyglądał na zmęczonego. Zwalił się na krzesło i przeciągnął, głośno ziewając. Jego wzrok padł na leżące na stole papiery. W zamyśleniu wymówił tylko jedno słowo: *Siunta*.

Zamarłem, kiedy to usłyszałem. Spojrzałem najpierw na obojętną, spokojną twarz Ukraińca ozdobioną olbrzymimi jasnymi wąsiskami, potem na

porozrzucane byle jak na stole papiery. Nie mogłem się powstrzymać.

– *Siunta? Siunta?* – zapytałem podniecony, pokazując jednocześnie na papiery. – Czy to jest *Siunta*?

– *Da*, tak – odparł Prit, nieco zdziwiony moją reakcją.

Nie bez powodu. Dokumenty były zwykłym protokołem, raportem z jakiejś kontroli albo czymś w tym rodzaju. Moje zainteresowanie wzbudziło logo w górnym rogu każdej kartki.

Siunta było słowiańską, zniekształconą wersją słowa „Xunta”.

Xunta. Xunta de Galicia. Autonomiczny rząd Galicji.

Nagle doznałem olśnienia. Teraz wszystko rozumiałem. Niewielu Ukraińców pracuje dla rządu Galicji, Pritzenko musiał być jednym z nich. Co więcej, wiedziałem dokładnie, czym się zajmował mój mały przyjaciel, wcale nie musiałem go o to pytać. Dreszcz podniecenia przeszedł mi po plecach. Ależ ze mnie idiota... Dlaczego nie wpadłem na to wcześniej?

Odwróciłem głowę, żeby spojrzeć na sympatyczny profil Prita, i poczułem się nagle potwornie zmęczony. Przeżyliśmy razem pięć straszliwych dni i w końcu udało nam się odzyskać tę nieszczęsną walizeczkę, która teraz leżała sobie niewinnie na starym podniszczonym drewnianym stole. Z powodu jej zawartości zginęło co najmniej pięć osób, a i my kilka razy musieliśmy bronić własnej skóry.

Ale to już przeszłość. Mieliśmy przesyłkę. I jeszcze żyliśmy. Myślę, że w ciągu ostatnich miesięcy selekcja naturalna uległa zaostrzeniu i że ocaleli najsprytniejsi, najbardziej zdolni albo po prostu ci, którzy nie podjęli zbyt wielu błędnych decyzji. Któż to może wiedzieć...

Teraz trzeba było wyjść z tego pieprzonego magazynu. W zasadzie nic trudnego. Przede wszystkim dzięki Pritowi.

Choć on sam nie ma o tym pojęcia, jest najcenniejszym człowiekiem, jaki przetrwał w tej części świata. Nawet Uszakov, kapitan „Zaren Kibish”, nie wiedział, kim jest Wiktor, w przeciwnym razie nigdy nie wysłałby go tak

beztrosko na ląd, na prawie pewną śmierć, tylko starałby się wykorzystać jego możliwości.

Prit jest wart tyle złota, ile waży. Pan Wiktor Pritczenko, człowiek z wielkimi jasnymi wąsami, który siedział obok mnie i w milczeniu palił chestera, to jedyny w promieniu kilkuset kilometrów żyjący pilot helikopterów.

Letnie pożary lasów są w Galicji prawdziwą plagą. To jeden z najbardziej zadrzewionych regionów Europy, czego konsekwencją są gwałtowne pożary, które co roku niszczą tysiące hektarów lasów. Walka z nimi wymaga olbrzymich wysiłków, sprzętu i ludzi.

Na początku lat dziewięćdziesiątych wielka susza i potężne pożary przerosły możliwości galisyjskiego rządu. Siły powietrzne zaangażowane do gaszenia ognia okazały się niewystarczające. Zespoły strażaków nie były w stanie przenosić się dostatecznie szybko do zagrożonych stref, a samoloty musiały pracować non stop. Wtedy pierwszy raz podjęto decyzję o zatrudnieniu pilotów z Europy Wschodniej.

W olbrzymiej większości chodziło o byłych pilotów wojskowych z Rosji, Polski i Ukrainy, którzy po upadku bloku wschodniego zostali na lodzie. Uratowali swoje samoloty i śmigłowce przed zniszczeniem, dając łapówki albo odkupując je za śmiesznie niskie sumy, i dzięki nim zarabiali na życie w nowych krajach Europy Wschodniej. Brali udział w pokazach lotniczych albo mniej lub bardziej legalnie przewozili ludzi i towary z jednego państwa do drugiego. Byli doświadczeni, twardzi, tani oraz mieli własne helikoptery. Jednym słowem, doskonałe rozwiązanie dla Galicji.

Po przybyciu szybko udowodnili, że są warci pieniędzy, które płacono za ich usługi. Dla pilotów ze Wschodu, zwłaszcza tych z dawnego Związku Radzieckiego, weteranów walk w Afganistanie i Czeczenii, szturm na płonący las był dziecinną igraszką. Tam gdzie bali się latać hiszpańscy piloci cywilni, dawni sowieccy wojskowi ruszali z odwagą graniczącą z szaleństwem, nierzadko przypłacając to życiem. Ich stare radzieckie maszyny, wytrzymałe, mocne, łatwe w utrzymaniu, znacznie bardziej pojemne niż zachodnie, okazały

się idealne do takich zadań.

Od tamtej pory piloci ze Wschodu co roku przybywali do Galicii w swoich starych rzęchach (ostatnio już w coraz nowszych) i zostawali tu od marca do października, walcząc z pożarami, a zimą wracali na wschód Europy, obładowani zachodnimi produktami, które odsprzedawali potem na czarnym rynku.

Prit opowiadał mi o tym monotonnym głosem, odpalając jednego papierosa od drugiego. Miał obywatelstwo rosyjskie, ale pochodził z Zaproszpoje, mikroskopijnej wioski na północy Ukrainy. W wieku zaledwie siedemnastu lat wstąpił do Armii Czerwonej i po przeszkoleniu został skierowany do eskadry śmigłowców transportowych. Latał w Afganistanie i był świadkiem ostatnich podrygów wojny, w czasie której jego maszyna została raz strącona, brał też udział w wojnie w Czeczenii, już jako żołnierz armii rosyjskiej, przerzucając oddziały na front. Czekala go świetlana przyszłość, ale wtedy ożenił się z Iriną.

Kiedy pokazywał mi pogniecione zdjęcie, które wyjął z portfela, w oczach miał łzy i drżał mu głos. Irina była prawdziwą pięknoscią: słowiańska lala o blond włosach i olbrzymich zielonych oczach, dla mnie świetna laska. Poznał ją kiedyś na przepustce i ożenił się po roku znajomości. Rok później przyszedł na świat mały Pasza, który skomplikował ich życie. Pensja rosyjskiego pilota wojskowego była mizerna w porównaniu z tym, co mógłby zarobić na Zachodzie, a wojna czeczeńska stawała się coraz bardziej brutalna, niebezpieczna, krwawa. Wiktor miał na utrzymaniu rodzinę, więc decyzja była prosta.

Trzy miesiące po opuszczeniu armii Pritczenko zaczął pracować dla pewnej podejrzananej firmy transportowej w Niemczech. Dopiero w 2002 pierwszy raz przyleciał do Hiszpanii jako pilot straży leśnej. Od tamtej pory wracał co roku, a jego rodzina przeniosła się do Düsseldorfu. Zamierzał sprowadzić ją do Hiszpanii i zamieszkać na stałe w Galicii, kiedy nagle nadeszła apokalipsa.

Teraz Prit płakał już rzewnymi łzami. Nie miał żadnych wiadomości od swoich bliskich od końca lutego, kiedy to schronili się w Bezpiecznej Strefie w

Düsseldorfie. Sądził, że nie żyją. Nie miałem odwagi robić mu nadziei. Na nic by się to nie zdało.

Świerzbił mnie język, ale nie potrafiłem zadać mu tego pytania, kiedy tak gorzko płakał na moim ramieniu za dwiema osobami, od kilku miesięcy martwymi albo zamienionymi w potwory. Wreszcie, kiedy już trochę doszedł do siebie, zdobyłem się na odwagę.

– Wiktorze... Gdzie jest teraz twój helikopter?

– Chyba tam, gdzie go zostawiłem dwa miesiące temu... – odpowiedział ze szlochaniem. – W bazie leśnej w Monte Facho, może trzydzieści kilometrów stąd.

– A pozostali piloci? Gdzie są? Co zrobili? – bombardowałem go pytaniami.

– Och, kiedy wszystko kaput, oni sobie poszli. Nie wiem dokąd.

Ręce mi opadły. Najprawdopodobniej helikopter Pritczenki zniknął w chaosie dni poprzedzających upadek Bezpiecznych Stref, został skradziony przez innego pilota albo skonfiskowany przez wojsko. Powiedziałem o tym Pritczence, ale ku mojemu zaskoczeniu w odpowiedzi pokręcił przecząco głową.

– To niemożliwe – odparł. – Helikopter miał awarię. Potrzebował przekładni śmigła ogonowego. Mała część, ale bardzo droga. Wysłana pocztą z Kijowa do Vigo.

Poczułem, jak pulsują mi skronie. Niemal domyślałem się reszty.

– Gdzie jest ta część, Prit? Masz ją?

Ukraińiec znowu pokręcił głową.

– *Niet.* Pomylili się w VNT. Oni wiedzieli, że część była dla Ukraińca, ale dali ją innemu Ukraińcowi, kiedy po nią przyszedł.

Opadłem ciężko na krzesło, a w głowie galopowały mi myśli. Kurwa. Kricyniew albo Uszakow udał się do biura VNT, kiedy miasto było jeszcze przejezdne, żeby odebrać swoją pieprzoną walizkę, i przez pomyłkę czy niedbalstwo pracownik, który nie potrafił przeczytać napisu cyrylicą na nalepce, wręczył mu pudełko z częścią dla Pritczenki. Panował już wtedy spory chaos i wystraszony urzędnik, zainteresowany tylko tym, żeby pognać do

domu, nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić dokumenty człowieka odbierającego paczkę. W końcu przysłała z Ukrainy, a to był Ukrainiec, prawda? Kiedy Prit zgłosił się po swoją część, odkrył błąd, ale wtedy było już za późno, bo świat rozpadał się na kawałki.

Super. Mam do dyspozycji pilota i helikopter. To całkowicie zmienia sytuację. Brakuje mi jedynie dwóch rzeczy: małej części zapasowej i kota. I wiem, gdzie je znajdę. Na „Zaren Kibish”.

14 marca. Godzina 7.36

Wstaje dzień. Wewnątrz magazynu jest dość zimno. Wyruszamy z Wiktoorem za niecały kwadrans. Ukrainiec sprawdza akumulator i opony jednej z furgonetek dostawczych VNT stojących w hali dla pojazdów. Nie będzie tak uspokajająco bezpieczna jak opancerzony furgon, którym tu dotarliśmy, ale przynajmniej dojedziemy do portu na czterech kółkach. A raczej dojedziemy tam, gdzie damy radę.

Piszę w pośpiechu, podczas gdy mój towarzysz przygotowuje do drogi nasz nowy środek transportu. Zamieniliśmy zniszczone, brudne ubrania na szaroczarne kombinezony VNT, które wisiały w jednej z szatni. Nie mogliśmy wziąć prysznicza, bo nie ma wody, więc nasz zapach i wygląd wciąż pozostawiają wiele do życzenia, ale przynajmniej nie przypominamy już uciekających przed policją włóczęgów.

Długo i szczegółowo omawialiśmy strategię, którą powinniśmy zastosować na „Zaren Kibish”, gdy dojdzie do wymiany walizki na Lukullusa i część do śmigłowca. W końcu obmyśliliśmy plan. Odpowiednie przygotowania zajęły nam kilka godzin, ale myślę, że się uda.

Idzie szybko. Pritchenko przed chwilą uruchomił furgonetkę i pokazuje mi na migi, żebym podniósł bramę wyjazdową. Dźwięk silnika natychmiast przyciągnie w okolice tłum tamtych, a po drodze musimy się jeszcze gdzieś zatrzymać.

Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Ufam, że następnym razem, kiedy napiszę coś w tym dzienniku, Lukullus będzie już ze mną.

Czas ruszać w drogę. Do dzieła.

Piekło

11 kwietnia. Godzina 14.14

Musiałem dać za wygraną. Nikt nie może się równać z Wiktorem, jeśli chodzi o umiejętność prowadzenia wszelkiego rodzaju złomu. Ukraińiec robi to naprawdę znakomicie, tyle że czasami potrafi wystraszyć najodważniejszego.

Trasę pomiędzy oddziałem VNT a portem, która wcześniej zajęła nam prawie tydzień, teraz pokonaliśmy w zaledwie trzydzieści pięć minut. Z czego prawie dziesięć straciliśmy na wydostanie się z kawiarni, kiedy wjechaliśmy furgonetką w jej witrynę. Osobiście uważam, że byliśmy o włos od śmierci. Według Pritczenki tylko trochę zboczyliśmy z drogi. Pieprzony Ukraińiec...

Tak czy inaczej znajdowaliśmy się kilka metrów od wjazdu na teren portu, niedaleko miejsca, gdzie zeszliśmy na ląd. „Zaren Kibish” i „Korynt” stały tam, zasłonięte wysokimi budynkami, bardzo blisko nas. Mieliśmy plan i byliśmy gotowi do działania.

Ze zgrzytem, od którego jeżyły się włosy na głowie, Pritczenko zmienił bieg i skierował furgonetkę w stronę wjazdu do portu. Nadszedł czas, by zacząć zabawę.

Stara wojskowa maksyma mówi, że realizacja dowolnego planu jest możliwa tylko po wejściu w bezpośredni kontakt z wrogiem. Jak mieliśmy się wkrótce przekonać, nie byliśmy wyjątkiem od tej reguły.

Port wydzielał przenikliwy smród rozkładającego się mięsa. Nic dziwnego. W świetle dnia zobaczyłem, że cała dawna Bezpieczna Strefa zamieniła się w gigantyczną kostnicę. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie widać było tylko stopy na wpół zwęglonych, gnijących trupów.

Dychawiczny ryk furgonetki płoszył setki mew i tłustych szczurów o błyszczącej sierści. Nie mogłem powstrzymać dreszczu na myśl o ich jadłospisie. To było jak przejazd przez Auschwitz po całodniowej eksterminacji. Od czasu do czasu dostrzegaliśmy pomiędzy zniszczonymi halami jakąś postać zmierzającą chwiejnym krokiem w stronę naszego samochodu, ale Nieumarli

znajdowali się za daleko, a my na razie jechaliśmy zbyt szybko, żeby stanowili dla nas zagrożenie.

Darwinowska teoria doboru naturalnego wydaje się sprawdzać. W miarę upływu czasu zostają tylko najtwardsi, najszybsi i ci, którzy są największymi skurwielami (albo ci, którzy mieli najwięcej szczęścia, jak cierpko zauważył Prit). W każdym razie jestem coraz bardziej przekonany, że ujdziemy z tego z życiem. Sam fakt, że gnamy z zawrotną prędkością po terenie usianym tymi istotami, jeszcze kilka miesięcy temu zmroziłby mi krew w żyłach, teraz zaś wydaje się codzienną rutyną.

Powiedziałem Wiktorowi o czymś, co mnie niepokoi: odkąd świat oszalała, spotkałem bardzo niewiele ocalałych osób i ani jednej płci żeńskiej. W związku z tą refleksją Wiktor zaczął opowiadać mi niewybredną historię o dziewczynie z jego wioski, niejkiej Ludmile nazywanej Strażaczką, ale akurat kiedy doszedł do części o stogu siana (najciekawszej z całej opowieści), zahamował tak gwałtownie, że omal nie wyleciałem przez przednią szybę. Byliśmy przy wjeździe na uliczkę Seguritsy, kilka metrów od miejsca, gdzie zeszliśmy na ląd, milion lat temu, jak mi się teraz wydaje. Prit wjechał furgonetką w zdezelowanego garbusa, blokując przejście, także dla pieszych. Ta prowizoryczna zaporę nie zatrzyma ich na długo, ale przynajmniej pozwoli wykonać nasz plan.

12 kwietnia. Godzina 13.07

Kiedy podpływałem pontonem do „Zaren Kibish”, czułem, że adrenalina znów huczy w moich żyłach. Słona woda moczyła mi włosy. Przedemną rósł kadłub frachtowca. Prawą ręką trzymałem drążek sterowy, a lewą ścisnąłem mocno walizeczkę Samsonite z czarnej stali. Znajoma brodata postać wychylała się zza burty na mostku, obserwując mnie przez lornetkę. Uszakow. To na pewno on.

Zamknąłem oczy i wziąłem głęboki wdech. Słone powietrze wymieszane ze znajomym zapachem wodorostów i spalin przeniosło mnie w lepsze czasy. Otworzyłem oczy z dziecinną nadzieją, że to wszystko było złym snem.

Zobaczyłem drabinę spuszczaną z burty „Zaren Kibish”. Dotarłem na miejsce.

Ściskając przesyłkę, wstałem i zacząłem wspinać się na pokład frachtowca. W stronę Samsonite wyciągnęła się chciwa dłoń Filipińczyka. Przyłożyłem mu, a kiedy stawałem na pokładzie, mocno odepchnąłem walizką drugiego marynarza. Nie zamierzałem jej puścić. Jeszcze nie teraz.

Uszakow utorował sobie drogę pośród grupki marynarzy i stanął przede mną, trzymając się pod boki. Przez chwilę na pokładzie panowała grobowa cisza.

Z jednej strony Uszakow otoczony sześcioma krzepkimi marynarzami uzbrojonymi w kałasznikowy wycelowane w moją pierś. Z drugiej ja – brudny, nieogolony, podrapany i posiniaczony, w za dużym o dwa rozmiary kombinezonie VNT, przeraźliwie zmęczony, przyciskałem do siebie błyszczącą walizeczkę. Pojedynek tytanów.

– Proszę, proszę, pan mecenas! – zagrział głos Uszakowa. – Wygląda pan strasznie! Gdzie reszta ludzi?

– Nie ma – odpowiedziałem lakonicznie.

– Kricyniew?

– Martwy.

– Moi marynarze?

– Martwi.

– A Pritczenko?

– Też martwy – odparłem słabym głosem. – Zostałem tylko ja, towarzyszu kapitanie.

Twarz Uszakowa szarzała, w miarę jak docierały do niego moje odpowiedzi. Pewnie nie spodziewał się, że tylko ja wrócę na pokład. Jego zachłanne spojrzenie spoczęło na walizce.

– To ta? – zapytał drżącym głosem. – Ma pan przesyłkę?

– Oto ona, Uszakow – powiedziałem cicho. – Jest tutaj. Proszę sprawdzić naklejkę.

Ostrożnie położyłem walizkę na pokładzie, naklejką z nadawcą do góry, i cofnąłem się o dwa kroki. Uszakow wbił wzrok w nalepkę i wyszeptał coś po rosyjsku, podnosząc Samsonite obydwoma rękami.

– Dotrzymałem swojej części umowy, Uszakow. Teraz niech pan dotrzyma swojej. Proszę oddać mi kota i pozwolić odpłynąć.

Uszakow wpatrywał się w walizeczkę jak zahipnotyzowany. Przez chwilę myślałem, że nie zwraca na mnie uwagi i nie dotarły do niego moje słowa. Już miałem je powtórzyć, ale on jakby wyszedł z transu. Obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem i odezwał się do jednego z marynarzy uzbrojonych w karabiny.

– Zabijcie go – rozkazał krótko.

Filipińczyk załadował hałaśliwie broń i wycelował w moją pierś. Miałem pół sekundy, by spróbować. Nadeszła moja kolej. Teraz albo nigdy.

– Nie robiłbym tego, kapitanie – ostrzegłem drżącym głosem. Kiedy wcześniej układałem sobie, co powiem, wydawało mi się to o wiele prostsze, ale wtedy nie miałem przy głowie lufy karabinu.

– Nie? A to dlaczego, panie mecenasie? – Uszakow rzucił mi złośliwe spojrzenie. – Dzięki panu mam to, co chciałem mieć, a po przemyśleniu sprawy doszedłem do wniosku, że nie zależy mi specjalnie, by wiedziało o tym dużo ludzi. Ponieważ nie mam pewności, że będzie pan milczał, najlepsze, co mogę zrobić, to zamknąć panu usta. Tak więc... żegnam! – podsumował z uśmiechem.

– Na pana miejscu sprawdziłbym, czy mam właściwą walizkę – przerwałem.
– Nie tak szybko.

Twarz Uszakowa zastygła w cierpkim grymasie. Patrzył to na walizkę, to na mnie.

– Kłamie pan.

– Nie kłamię, Uszakow. Proszę spojrzeć.

Podszedłem do burty „Zaren Kibish” i zacząłem machać rękami w stronę brzegu. Po kilku sekundach zza rogu wyłoniła się znajoma postać Pritczenki.

Skurczybyk uśmiechał się od ucha do ucha. Nic dziwnego. W rękach trzymał błyszczącą walizeczkę Samsonite z czarnej stali, którą podniósł do góry, żebyśmy mogli zobaczyć ją ze statku.

Trzeba było widzieć twarz Uszakowa! Wśród załogi zapanowało widoczne poruszenie, nikt nie wiedział, co się dzieje.

– Walizka, którą trzyma pan w rękach, jest pełna starych gazet. Gównu pan tam znajdzie, sfiksowany skurwielu.

– Ale, ale... – wybełkotał. – Jak...?

– Rusz pan głową. Vigo to duże miasto, jest tu parę sklepów z walizkami. Nie mieliśmy specjalnych problemów ze znalezieniem takiej samej jak ta, na którą pan czeka. – Uśmiechnąłem się. – Trzyma ją pan w rękach, skurwielu.

– Ale naklejka...

– Oderwana od drugiej walizki. Proszę potraktować to jako dowód uczciwości, jako znak, że druga walizka jest tą właściwą, kapitanie. Kiedy da mi pan to, czego chcę, Wiktor zostawi walizkę na brzegu i każdy uda się w swoją stronę. A teraz z łaski swojej proszę wreszcie przestać mnie wkurwiać, usiądźmy lepiej, żeby porozmawiać jak grzeczni chłopcy, okay?

– Czego pan chce? – warknął Uszakow, zbliżając się do mnie z groźną miną. Miotał wściekle iskry z oczu.

– To bardzo proste – odparłem spokojnie. – Mojego kota, mojej łodzi i paczki pana Pritcenki. Jednego kałasznikowa i jedzenia na tydzień – wyliczałem na palcach, a Uszakow robił się coraz bardziej czerwony. – Aha! Nie miałby pan przypadkiem paczki chesterów?

Uszakow ryknął coś niezrozumiale, zaciskając pięści. Przez kilka niekończących się sekund spoglądał w stronę pomostu.

– Co stoi na przeszkodzie, żebym pana zabił, a potem popłynął na brzeg po pańskiego kolegę i jego też zabił? Proszę mi powiedzieć.

– To bardzo proste – powtórzyłem, udając bardziej wyluzowanego, niż byłem w rzeczywistości. – Jeśli w ciągu najbliższych piętnastu minut nie wrócę na

brzeg, sam, Prit zwieje z walizką i ukryje ją w jakimś kącie tego opuszczonego przez Boga miasta. Nie znajdzie jej pan, choćby pan szukał przez tysiąc lat. Proszę się dobrze zastanowić.

Uszakow rozmyślał przez chwilę nad moimi słowami. Nagle odwrócił się w stronę jednego z marynarzy i zaczął wykrzykiwać rozkazy po rosyjsku. Potem znów spojrzał na mnie z groźnym wyrazem twarzy.

– W porządku, mecenasie. Dostanie pan to, czego chce, ale pożałuje pan. Obiecuję.

Niektórzy twierdzą, że adwokat ma w sobie coś ze skurwysyna. Nie zaprzeczam. To przydatne, kiedy trzeba usiąść do negocjacji.

13 kwietnia. Godzina 11.57

Zdarza się, że najbardziej absurdalne wspomnienia dopadają cię w najmniej spodziewanych sytuacjach. Kiedy czekałem na pokładzie „Zaren”, aż przyniosą to, czego zażądałem, przed oczami stanął mi dziwny obraz.

Miałem sześć czy siedem lat, kiedy rodzice zabrali mnie do cyrku. Oglądałem numer z rzucaniem nożami. Pamiętam, że bardzo to przeżywałem: ktoś okazał się na tyle odważny, by pozwolić, żeby jakiś pan rzucał w niego nożami, a tymczasem mama zawsze mi mówiła, że noże są bardzo niebezpieczne, bo tną. Dlatego wyryła mi się w pamięci uśmiechnięta, zrelaksowana twarz przywiązanej do tarczy dziewczyny, która na takim maluchu jak ja sprawiała wrażenie zadziwiająco spokojnej.

W tamtej chwili chciałem mieć tyle zimnej krwi co tamta dziewczyna, ale tak naprawdę to robiłem w portki. Jeden niewłaściwy ruch, jedno nieodpowiednie słowo, jeden drobny błąd w obliczeniach, a ktoś mógł się zdenerwować i strzelić mi w środek czoła. Nie wątpiłem, że Prit umiałby sam o siebie zadbać, ale ja nie miałem ochoty umierać tego ranka.

Uszakow przechadzał się jak niedźwiedź w klatce, od czasu do czasu rzucając mi mordercze spojrzenia. Musiałem być ostrożny. Ten skurwiel na pewno

zachował jakiegoś asa w rękawie, żeby mi dopieprzyć.

W pewnym momencie z jednego ze świetlików wyłoniła się futrzana kulka, zwabiona zamieszaniem na pokładzie. Serce zabiło mi mocniej... Lukullus!

Odruchowo zrobiłem krok do przodu, ale zatrzymałem się, gdy uświadomiłem sobie swoją pomyłkę. To nie był Lukullus, tylko brązowa kotka nieokreślonej rasy o złośliwych zielonych oczach, z przywiązaniem do szyi dzwoneczkiem. Zygzakiem przemknęła między marynarzami, usiadła na zwoju liny i zaczęła się myć, obdarzywszy nas wcześniej pogardliwym spojrzeniem, jakie może rzucić tylko kot.

Widok kotki przywołał boleśnie intensywne wspomnienie Lukullusa. Nagle przez ten sam świetlik wyskoczyła kolejna kulka sierści, tym razem we wściekle pomarańczowym kolorze, bardzo znajoma. Mój Lukullus!

Szubrawiec musiał przez ostatnie dni łaścić się do kucharza, bo był wyraźnie grubszy i miał lśniąca sierść. Mruczając z zadowolenia, podszedł do brązowej kotki i zrobił to, co moja siostra nazywała zawsze „zagranie Lukullusa” – uwodzicielsko machnął ogonem i szelmowsko zastrzygł uszami.

Cały mój kot. Kiedy ja narażałem dupę w opuszczonym mieście pełnym potworów, umierając z głodu i pragnienia, ryzykując życie na każdym rogu, on opychał się i posuwał tę zielonooką lalunię. Mogłem się domyślić.

Próbowałem coś powiedzieć, ale nie byłem w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Odchrząknąłem i ten hałas wystarczył, żeby Lukullus odwrócił głowę w moją stronę. Gdy mnie zobaczył, kompletnie zapomniał o kociej piękności i rzucił się w moim kierunku z żalnym miauczeniem, które słychać było bez wątplenia w całym mieście. Zanim się zorientowałem, wskoczył na mnie jednym susem i zaczął mruczeć, ocierając się z lubością o moją szyję.

Przytuliłem go mocno, z uczuciem olbrzymiej ulgi. Nie tylko nie został zabity, ale wyglądało na to, że jest w doskonałej formie. Nieraz się bałem, że już go nigdy nie zobaczę.

Podniosłem głowę i spotkałem wzrok Uszakowa, który przyglądał mi się z

pogardą zabarwioną gniewem. Miałem w nosie, co o mnie myśli. Wiedziałem jedynie, że chcę jak najszybciej stąd odejść i że ten skurwiel jest wściekły. Zachowywał się jednak spokojnie, zbyt spokojnie, zważywszy, że wyciąłem mu taki numer i ośmieszyłem go przed jego własnymi ludźmi. Nie, jego zachowanie nie było normalne. Ten facet coś knuł, a ja nie wiedziałem co.

Czas na pokładzie płynął bardzo powoli. U moich stóp przybywało skrzynek z prowiantem. Jakiś marynarz przyniósł paczkę średniej wielkości pokrytą napisami cyrylicą. Sprawdziłem, czy pasuje do opisu Pritczenki. Wszystko się zgadzało. Jeden z Pakistańczyków podał mi kałasznikowa (rozładowanego) i drewnianą skrzynkę z amunicją.

Całość ważyła jakąś tonę, ale nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek raczył pomóc mi przenieść to wszystko na „Korynt”. Uniosłem brew i spojrzałem na Uszakowa; grzecznie odpowiedział mi półukłonem i wydał kilka rozkazów dwóm marynarzom, którzy zaczęli znosić skrzynki na żaglówkę. Cholera. Poszło zbyt łatwo. Wcale mi się to nie podobało.

Coś zawibrowało w mojej kieszeni, wydając krótkie brzęczenie. Ku zdziwieniu obecnych wyjąłem małe plastikowe walkie-talkie w niebieskim kolorze, zabrane z poplamionego zaschniętą krwią porzuconego radiowozu policyjnego, na który natknęliśmy się u wylotu jednej z ulic w połowie drogi do portu. Samochód stanowił prawdziwą zagadkę. Stał prawidłowo zaparkowany w pobliżu doszczętnie zdewastowanego sklepu żelaznego, między cuchnącymi kontenerami na śmieci a samochodem osobowym z przekłutymi oponami i rozbitymi szybami. Po upływie ponad półtora miesiąca od porzucenia wszystkie auta na ulicy pokrywała gruba warstwa kurzu i brudu, ale radiowóz błyszczał czystością, jakby dopiero co wyjechał z garażu. Dlatego zatrzymaliśmy się, żeby zajrzeć do środka.

Był pusty, a fotel kierowcy pokrywała zakrzepła krew. Na chodniku nie dostrzegliśmy żadnych krwawych plam ani oddalających się śladów. Co więcej, ulica wydawała się całkowicie wyludniona, gwizd wiatru pośród śmieci i porzuconych pojazdów nadawał jej fantasmagoryczny charakter. Nieskazitelnie

czysty radiowóz, jakby niedawno zaparkowany pośród całego tego spustoszenia, był czymś tak nienaturalnym i tajemniczym, że jego widok przyprawiał o gęsią skórkę. Przeszukaliśmy go z Pritem i znaleźliśmy zestaw dwóch walkie-talkie, ale nie takich, jakich używa policja, oraz latarkę o dużej mocy. Żadnych dokumentów, żadnej broni, żadnej wskazówki, żadnego śladu. Nic. Całkowita tajemnica.

Teraz jedno z tych walkie-talkie trzeszczało w mojej dłoni. Przycisnąłem guzik, wiedząc, że po drugiej stronie jest Prit.

– Słucham? – zapytałem po hiszpańsku. Z tego co wiedziałem, nikt na statku nie władał tym językiem.

– Jak idzie? – W głosie Ukraińca czuło się lekkie napięcie.

– Dobrze... Za dobrze moim zdaniem – odparłem, nie spuszczać oka z marynarzy. – Myślę, że coś knują.

– Nie patrz tam teraz, ale myślę, że mamy problem na mostku kapitańskim – powiedział spokojnie Pritczenko z silnym słowiańskim akcentem. – Gość z RPG-7 schowany za górną burtą. Widzę go doskonale.

Zimny pot zaczął ściekać mi po plecach. RPG. Pieprzony granatnik. Powinienem był to przewidzieć. Każdy nieraz widział RPG w telewizji. Nazywano go artylerią ubogich. Praktycznie wszystkie partyzantki i wojska Trzeciego Świata miały tysiące tych urządzeń, produkowanych seryjnie w dawnym Związku Radzieckim. Czarny rynek był zarzucony tą bronią, równie prostą, co skuteczną: rura miotająca granaty, do której pocisk wkłada się od góry. Tak łatwa w użyciu, że nawet nieletni żołnierz z jakiegoś zapadłego afrykańskiego kraju w dziesięć minut nauczyłby się jej obsługi. Tak zabójcza, że w czasie zajmowania Groznego w 1994 roku Rosjanie stracili dziesiątki wozów opancerzonych – zostały zniszczone przez czeczeńskich partyzantów uzbrojonych w te śmiercionośne rury.

Ich plan był jasny. Kiedy zostawimy walizkę w porcie, sukinsyn Uszakov wystrzeli z granatnika w „Korynt”, na którym płynęlibyśmy ja, Prit i Lukullus. A skoro to urządzenie wysadza w powietrze wóz pancerny, wolę nie myśleć, co

może zrobić z jachtem z włókna szklanego.

Marynarze zanieśli ładunek na żaglówkę i wrócili na pokład. Może to było tylko złudzenie, ale przysięgłbym, że ich twarze miały sadystyczny wyraz. Czekali na fajerwerki.

Uszakow podszedł do mnie ze złośliwym błyskiem w oku i podał mi rękę.

– Mam nadzieję, że dotrzyma pan słowa, mecenasie. Proszę zostawić walizkę na pomoście i każdy uda się w swoją stronę. Bez urazy.

– Jasne... Bez urazy – odpowiedziałem i skinąłem głową, ignorując jego wyciągniętą dłoń.

Uszakow powoli opuścił rękę, nie przestając mi się przyglądać.

– Żyjemy w ciężkich czasach, panie mecenasie. Wszystko bardzo szybko się zmienia i przetrwają tylko najtwardsi. Nie oczekuję zrozumienia, ale chcę, żeby pan wiedział, iż kieruję się niezwykle ważnymi pobudkami.

Zatrzymałem się i do połowy przewieszony przez burzę, spojrzałem na kapitana.

– Tak ważnymi, żeby chcieć mnie zabić z powodu jakiejś pieprzonej walizki? – wypaliłem. – Proszę mi powiedzieć... Co, do diabła, jest w środku?

W odpowiedzi Uszakow uraczył mnie straszliwym grymasem.

– Powodzenia, mecenasie – powiedział z uśmiechem rysującym się w kącikach ust. – Przyda się panu.

Schodząc po drabince na pokład „Koryntu”, słyszałem śmiech Uszakowa. Kiedy stanąłem na znajomym pokładzie z drzewa tekowego i zabrałem się do odwiązywania lin, czułem na sobie spojrzenia całej załogi frachtowca.

Silnik pomocniczy „Koryntu” ryknął, kiedy go zapaliłem. Łódź powoli oddaliła się od olbrzymiej bryły „Zaren Kibish” w kierunku portu, gdzie czekał na mnie Prit z walizką.

Zaczynała się druga część zabawy.

14 kwietnia. Godzina 9.40

Woda pluskała głucho między burtą „Koryntu” a molo z czarnego kamienia. Lukullus czule kleił mi się do piersi i nie przestawał mruczeć, a ja rozmyślałem, jakie powinno być nasze następne posunięcie. Lekki ruch steru i jacht stanął burtą przy nabrzeżu.

Uśmiechnąłem się zadowolony. Z ulgą stwierdziłem, że silnik, którego do tej pory praktycznie nie używałem, działa bez zarzutu. To byłby dopiero wstyd, gdybym utknął ze zwiniętymi żaglami zaledwie kilkaset metrów od brzegu, ściągając na siebie spojrzenia całej załogi „Zaren Kibish”.

Z czułością przesunąłem dłonią po barierce z drewna tekowego. „Korynt” był wspaniałym jachtem i nie tylko posłużył mi za schronienie, ale także uratował życie. Teraz jednak musiałem opuścić go na zawsze.

Zanim zeskoczyłem na pomost, podbiegłem do bloczka na dziobie i wyciągnąłem koniec liny. Jednym kopnięciem otworzyłem schowek na żagle i zanurzyłem się w środku. Pachniało dakronem, zastała słoną wodą i zgniłymi wodorostami. Załoga „Zaren” niezbyt starannie zwinęła żagle łodzi, leżały zrzucone byle jak na kupę, musiałem więc szamotać się pośród stosów źle złożonego płótna.

Na półce w głębi znalazłem to, czego szukałem – spinaker, olbrzymi brzuchaty żagiel umieszczany na dziobie. Zwykle używa się go na otwartym morzu i przy silnym wietrze, ale liczyłem na to, że nikt na rosyjskim frachtowcu nie zna się na żeglarstwie sportowym. Ten spinaker miał wyświadczyć mi jeszcze wielką przysługę.

Przymocowałem porządnie koniec liny do górnego pierścienia żagla, wyszedłem na czworakach na pokład i zacząłem kręcić korbką. Spinaker powoli sunął na szczyt masztu przy akompaniamencie znajomego terkotu kołowrotka i nadymał się, w miarę jak delikatny przedpołudniowy wietrzyk muskał jego płótno. W końcu rozłożył się całkowicie z głośnym łoskotem, nie napiął się jednak do końca, bo przezornie puściłem luźno dolne szoty.

Okazały, nieruchomy spinaker zasłaniał całą łódź niczym gigantyczna kurtyna. Każdy żeglarz, który zobaczyłby teraz „Korynt”, zastanawiałby się, co za szczer łądowy wciągnął żagiel w ten dziwaczny sposób. Był ustawiony tak, że gwałtowniejszy podmuch wiatru nie tylko wyrwałby go z korzeniami, ale prawdopodobnie zniszczyłby także część omasztowania.

Takie myśli krążyły mi po głowie, kiedy gorączkowo wiązałem liny. Wiedziałem o tym wszystkim, ale teraz było to bez znaczenia. Żagiel musiał wytrzymać w tej pozycji tylko kilka minut, żebyśmy zdążyli z Wiktozem doprowadzić do końca nasz plan. Ostatnia rzecz, jaką robi dla mnie „Korynt”.

Łopotanie spinakera sprawiało, że kadłub jachtu kołysał się, uderzając o pomost. Za każdym razem, kiedy słyszałem odgłosy zdrapywanego włókna i ścieranego drewna, pękało mi serce. Traktowanie w ten sposób łodzi takiej jak „Korynt” to zbrodnia, ale nie było czasu na zakładanie bocznych osłon.

Zanurkowałem w kajucie i zacząłem gorączkowo zgarniać swoje rzeczy. Stary plecak surwiwalowy, ze wszystkim, co zabrałem trupowi żołnierza (wydaje się, że od tamtej pory minęło milion lat), drugi skafander z neoprenu, który wciąż bujał się na wieszaku, jedną kuszę i tuzin strzał. Po reszcie kusz nie zostało ani śladu. Pewnie zachował je sobie na pamiątkę któryś z leniwych marynarzy z „Zaren Kibish”. Teraz to już bez różnicy.

Przez drzwi kabiny zajrzała znajoma wąsata twarz. Podawałem Wiktorowi pakunki, a on przenosił je na pomost. Pracowaliśmy szybko i w milczeniu. Musieliśmy opróżnić łódź w trzy, cztery minuty, w przeciwnym razie ci z „Zaren Kibish” odkryją nasz plan. Olbrzymi żagiel zasłaniał całkowicie część pomostu, gdzie składaliśmy nasze rzeczy, także Prit kursujący w tę i z powrotem z pakunkami nie był widoczny z frachtowca. Widzieli jedynie jacht kołysany bryzą, zacumowany przy pomoście.

Spociliśmy się jak myszy, przenosząc cały nasz bagaż za róg hali, nadal ukryci dzięki spinakerowi przed spojrzeniami załogi „Zaren”. Wreszcie włożyłem strój z neoprenu, a Wiktor wyjął z furgonetki tułów męskiego manekina naturalnych rozmiarów, uprzejmość pewnego butik w centrum

miasta, i ubrał go w paradny żółty sztormiak, na koniec naciągając mu głęboko kaptur.

Od momentu, w którym rozłożyłem żagiel, do chwili, gdy w kokpicie na rufie „Koryntu” ulokowaliśmy manekina, jeszcze niewidocznego z frachtowca, minęły niespełna trzy minuty. Kiedy Wiktor zniknął za rogiem hali, ja mozolnie przecinałem linę cumowniczą trzymającą jacht przy pomoście.

Łódź płynęła łagodnie w stronę wyjścia z portu. Ster był unieruchomiony, utrzyma kurs co najmniej przez kilka minut. To aż nadto. Odległość między „Koryntem” a brzegiem rosła. Starając się nie robić hałasu, wskoczyłem do wody. Była dość zimna, ale chyba w tamtej chwili nie zdawałem sobie z tego sprawy. Przyklejony do przesuwanego się kadłuba, kilka razy głęboko odetchnąłem i zanurkowałem.

To mnie całkowicie odprężyło. Widziałem ciemną sylwetkę oddalającego się „Koryntu”, a nieco dalej, pośród wzburzonych fal portu, długą wodnicę „Zaren Kibish”.

Kilka razy machnąłem rękami i zacząłem powoli płynąć w stronę brzegu, starając się nie wypuszczać zbyt wielu bąbelków. Kiedy od lądu dzieliło mnie jakieś dziesięć metrów, zabrakło mi powietrza. Wkurzony sam na siebie, jeszcze dwa razy poruszyłem nogami. Wreszcie, kiedy już prawie traciłem przytomność, wynurzyłem głowę za zakrętem pomostu, dokładnie w miejscu, gdzie przywiązaliśmy rosyjski ponton, kiedy pierwszy raz zeszliśmy na ląd. Wiktor już tam czekał, żeby mnie wyciągnąć.

Niemal bez tchu dotarliśmy do ogromnej bryły hali Seguritsy. Ociekając wodą, wyjrzałem zza rogu i zobaczyłem fragment opustoszałego pomostu, przy którym kilka minut wcześniej stał „Korynt”. Na krawędzi, połyskując w południowym słońcu, leżała czarna walizeczka Samsonite, która spędzała sen z powiek tylu osobom.

„Korynt”, zataczając się, jakby sterował nim ktoś pijany, powoli odpływał w stronę otwartego morza. Przed opuszczeniem łodzi napiąłem szoty, jak najbardziej eksponując żagiel, by przyciągnął uwagę marynarzy z frachtowca.

Teraz bałem się, że przesadziłem i że płótno się rozedrze.

Ale nie zdążyło. Gęsty ogień z broni automatycznej buchnął z dziobu „Zaren”, rozbijając w drzazgi pokład „Koryntu” i urywając głowę manekinowi. Odłamki drewna i kawałki włókna węglowego pryskały na wszystkie strony, kiedy kadłub jachtu i jego takielunek dziurawiły setki kul. Na mostku kapitańskim wyrósł człowiek z RPG-7 na ramieniu. „Korynt” kołysał się na wodzie w odległości jakichś dwustu metrów od niego, stanowił więc łatwy cel.

Pocisk wystrzelił z rykiem w stronę zagłówek. Towarzyszyły mu oślepiający błysk i chmura dymu. To był śmiertelny cios. Ogromny słup ognia buchnął natychmiast z luków „Koryntu”, a bok kadłuba rozpadł się na mnóstwo kawałków, ukazując olbrzymią dziurę.

Do rannej łodzi wlewały się tysiące litrów wody, kiedy kolejny pocisk trafił w pokład. Z wnętrzości „Koryntu”, teraz zamienionego w ryczące ognisko, trysnęła fontanna ognia i dymu; kawałek masztu zakreślił na niebie piruet i spadł do wody. Sponiewierany kadłub z bulgotem poszedł na dno pośród głośnych trzasków i wybuchów.

Nie zostaliśmy z Pritczenką do końca przedstawienia. Jak szaleni pobiegliśmy uliczką w stronę furgonetki, która czekała na nas z włączonym silnikiem, dysząc na jałowym biegu. W porcie grzmiały jeszcze ostatnie wybuchy na „Koryncie”, gdy Wiktor delikatnie przyspieszył i skierował samochód w stronę wyjazdu.

W tylnej części furgonetki kołysał się w siatce pomarańczowy kot, zapasiony i szczęśliwy, z zadowoleniem obserwując swojego pana i małego wąsacza, który prowadził tak, jakby wstąpił w niego szatan.

Na naszych twarzach gościł uśmiech. Nic dziwnego. Nie tylko zatańczyliśmy z diabłem, ale wyszliśmy z tego żywi. Stojąca między siedzeniami czarna walizeczka Samsonite z czerwoną plombą, identyczna jak ta na pomoście, podskakiwała na każdej dziurze, którą napotykaliliśmy po drodze do centrum miasta.

15 kwietnia. Godzina 21.08

Wszystko szło zbyt dobrze. Na tym właśnie polegał problem. Nabraliśmy pewności siebie. Straciliśmy czujność. Zaczęliśmy zachowywać się jak bohaterowie pieprzonego filmu akcji i przyszło nam za to zapłacić. W sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, prawdziwe życie jest brudne, nieprzyjemne, ciężkie, a przede wszystkim straszliwie niebezpieczne. Jeśli więc wciąż igrasz z ogniem, musisz się kiedyś sparzyć.

Musisz się sparzyć. Cholera, co za ironia losu. Ale znowu uprzedzam fakty.

Kiedy wydostaliśmy się z ruin Bezpiecznej Strefy, byliśmy w stanie euforii. Przeżyliśmy, wyszliśmy z tego cali i zdrowi, mieliśmy samochód pełen zapasów i broni, a przede wszystkim wiedzieliśmy, gdzie znajduje się helikopter, który może wyciągnąć nas z tej dziury. Wydawało się, że wszystko idzie jak po maśle.

Prit prowadził jak wariat po wyludnionych ulicach przedmieścia Vigo. Przez szybę widziałem, że mijamy osiedle niskich domków, jedno- lub dwupiętrowych, w większości pozamykanych na cztery spusty. Niektóre miały drzwi i okna na parterze pozabijane na krzyż deskami. To była dzielnica luksusowych willi, zamożna. Prawdopodobnie została ewakuowana jako jedna z pierwszych, w sposób uporządkowany i systematyczny, jeśli sądzić po tym, jak zabezpieczono domy.

Jednak po kilku miesiącach wyglądała naprawdę ponuro. Domy ledwo było widać zza dzikich zarośli w ogrodach, chwasty całkowicie zasłaniały znaki drogowe na rondach. Jedna z uliczek, przy której leżał absurdalny czerwony trzykołowy rowerek, zaczynała powoli niknąć, pożerana przez krzaki bukszpanu rosnące po obu jej stronach. Pod nieobecność człowieka przyroda domagała się swojego miejsca. Prawie nie było tu porzuconych na poboczach samochodów, najprawdopodobniej ich właściciele odjechali nimi, daremnie próbując uciec przed tym, co nieuchronne.

W pobliżu krążyło mnóstwo Nieumarłych, całe zastępy. Ich rozmieszczenie w mieście wydaje się przypadkowe, nie wygląda na to, żeby podlegało jakimkolwiek schematowi. Zdarzają się szerokie aleje, na których nie widać

żadnej z tych istot, ewentualnie kilku osobników, ale skręcasz za róg i nieoczekiwanie wjeżdżasz w ulicę, gdzie snują się lub patrzą w pustkę dziesiątki, setki, czekając, aż zbliży się jakaś zdobycz. Nie mam pojęcia, co nimi powoduje ani co ich pcha akurat w to, a nie inne miejsce. Pozostają dla mnie wielką tajemnicą.

To osiedle było Gorącą Strefą. Z wylotu każdej uliczki, z każdego ogrodu wylażyło po kilkudziesięciu tamtych, niektórzy na pierwszy rzut oka w dobrym stanie, inni straszliwie okaleczeni albo oszpeчени. Przywykłem już do ich obecności i nawet nie przeszkadza mi ich zapach. Tak naprawdę nie wywołują we mnie wstrętu. Ja wiem, czym oni są, a oni wiedzą, czym jestem ja. Koniec, kropka.

Prit jechał zygzakiem, wymijając Nieumarłych, którzy stawali nam na drodze. Prowadził jak zwykle z zawrotną prędkością, więc przy każdym skręceniu opony furgonetki piszczały, a my podskakiwaliśmy w środku niczym groszek w puszcze. Nieumarli pojawiali się coraz liczniejszymi grupami i Wiktor musiał dokonywać za kierownicą nie lada wyczynów, żeby ich wymijać. Nasza prędkość była jednak coraz mniejsza, a ścigający nas tłum coraz większy. Nie wyglądało to najlepiej.

Nie wiem, skąd, do kurwy nędzy, wylażył ten facet, ale nie zdążyliśmy zahamować. Mężczyzna w średnim wieku, jakieś pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć lat, gruby, w rozpiętej do pasa koszuli, z mnóstwem zwisających z szyi złotych łańcuchów, pojawił się nagle na jezdni. Z połowy jego twarzy zostały tylko krwawe strzępy, a blada skóra wskazywała jednoznacznie, że jest jednym z tamtych.

Dokładnie sekundę wcześniej Prit gwałtownie skręcił kierownicę, żeby wyminąć grupkę Nieumarłych zebranych na środku ulicy, zderzenie było więc nieuniknione. Zobaczył tego gościa, dopiero kiedy wyrósł tuż przed nami. Furgonetka z ogromną siłą uderzyła przodem w ciało potwora, które poleciało na bok, całkowicie bezwładne, pozostawiając na szybie smugę skażonej krwi. Prit kręcił kierownicą jak szalony, próbował odzyskać kontrolę nad pojazdem,

ale ciężki samochód ślizgał się bezładnie, potrącając po drodze kilka z tych istot. Z silnika dobiegała seria złowróżbnych ryków.

Furgonetka spektakularnie obróciła się wokół własnej osi i wreszcie zatrzymała się na środku jezdni, pośród intensywnego zapachu palonej gumy. Na moment zapanowała cisza. Wypuściłem powietrze, nieświadom, że przez cały ten czas wstrzymywałem oddech. Kolejny raz podziękowałem w duchu za sprawność, z jaką manewrował Ukrainiec. Gdyby nie to, pewnie byśmy się o coś roztrzaskali albo zgasłby silnik, co mogłoby się dla nas źle skończyć.

Samochód wydawał jednak dźwięki, jakby powoli wysiadał, a ze spojenia, które puściło pod wpływem zderzenia, wydobywała się smuzka pary. Chłodnica miała wyciek, wyglądało na to, że całkiem spory. Godziny silnika były policzone. W zasadzie to cud, że wciąż pracował.

Zmieniając ostrożnie biegi, Prit znowu ruszył, tym razem wolno. Już się nie uśmiechaliśmy. Jeśli silnik zgaśnie w tej okolicy, pełnej potworów i zamkniętych na cztery spusty domów, w ciągu kilku sekund czeka nas pewna śmierć.

Kolejne dwadzieścia minut ciągnęło się w nieskończoność. Furgonetka, która miała pęknięte opony po prawej stronie, sunęła wolno przez osiedle w chmurze dymu. Wskazówka temperatury była maksymalnie wychylona. Wkrótce musieliśmy zmniejszyć prędkość do nędznych piętnastu kilometrów na godzinę. Dziesiątki dłoni waliły w boki samochodu.

Nagle szyba po mojej stronie rozprysła się na milion kawałeczków. Na pewno pękła pod wpływem któregoś z wcześniejszych uderzeń, a teraz kolejny cios jednej z tych istot sprawił, że się rozsypała. Jakaś młoda kobieta próbowała wleźć do środka przez rozbite okno. Usiłując mnie złapać, zdołała dotknąć rękami mojej twarzy. Była zimna. Zimna, wilgotna i martwa.

Znów ogarnął mnie paniczny strach, niemal taki sam, jak na początku całego tego koszmaru. Sparalizowany przerażeniem czułem jej ciało próbujące wcisnąć się do samochodu. Prit krzyczał histerycznie po rosyjsku, a Lukullus prychnął w siatce, pokazując zęby.

Dopiero kiedy położyła mi dłoń na udzie, zdołałem otrząsnąć się z otępienia. Chwyciłem kałasznikowa i mocno walnąłem kolbą w skroń kobiety. Poczula uderzenie, podniosła głowę i przez moment wahała się, spoglądając na mnie martwymi, nabrzmiętymi krwią oczami. Wtedy znów ją rąbnąłem, robiąc jej z twarzy miazgę. Nie miała się czego złapać i została w tyle.

Odwróciłem się w stronę wystraszonego Prita. Ociekał potem. Wystarczyło jedno porozumiewawcze spojrzenie: albo natychmiast stąd wyjedziemy, albo za kilka minut będziemy martwi. Krewki Ukrainiec skinął głową i dodał gazu, próbując wycisnąć jak najwięcej ze zniszczonego silnika, który odpowiedział żałosnym dźwiękiem.

Kolejny raz pomógł nam przypadek. Ledwie piętnaście metrów od nas na wpół ukryty za chaszczami znak informował o zjeździe na obwodnicę. Jeszcze trochę i będziemy prawie uratowani.

Ostatkiem sił furgonetka wjechała pod górkę drogą dochodzącą do autostrady. W miarę jak szosa się poszerzała, samochód nabierał coraz większej prędkości, chociaż przy akompaniamencie przyprawiających o dreszcze dźwięków dobiegających z dogorywającego silnika.

Wreszcie zobaczyliśmy obwodnicę. Odetchnęliśmy z ulgą. Nie wiedzieliśmy, że najgorsze dopiero przed nami.

Autostrada przedstawiała fantasmagoryczny, księżycowy widok. Pokonywałem tę trasę za każdym razem, kiedy musiałem jechać do Vigo, i zawsze na tym odcinku napotykałem straszne korki. Teraz jednak świeciła pustkami i wyglądała przygnębiająco.

Z największą prędkością, na jaką pozwalał nam zdezelowany silnik, wjechaliśmy pośród ogłuszającego hałasu na pas prowadzący na autostradę. Jezdnia była kompletnie pusta, nie licząc paru samochodów osobowych ustawionych pod dziwnymi kątami. Wokół niektórych widzieliśmy ślady krwi. Inne wyglądały tak, jakby na kogoś lub na coś najechały, ale poza kilkoma trupami gnijącymi w słońcu nie dostrzegliśmy żadnych oznak ludzkiej obecności.

Wyobraziłem sobie, jak to musiało wyglądać. W pierwszych dniach epidemii w którymś momencie dziesiątki Nieumarłych zdołały wdrzeć się tym swoim chwiejnym krokiem na środek jezdni. Zaskoczeni, jadący z dużą prędkością kierowcy próbowali ich wymijać. Część nie była w stanie uniknąć zderzenia i doszło do wypadków. Nieliczni, nie znając prawdziwej natury tych istot, zatrzymywali się, żeby pomóc osobom wyglądającym na ranne.

W obu przypadkach kierowców musiał spotkać straszliwy los. Szlag by to trafił.

Po dwóch kilometrach natknęliśmy się na pierwszą poważną kraksę. Terenowy nissan wjechał na cementową przegrodę oddzielającą pasy autostrady i rozbił ją na kawałki. Uderzenie wyrzuciło go na środek drogi, gdzie zderzył się z dwoma samochodami osobowymi i z małą ciężarówką dostawczą. Teraz wszystkie te pojazdy stanowiły olbrzymią masę zakrwawionego plastiku i żelaza, która blokowała jezdnię, uniemożliwiając przejazd. Zatrzymaliśmy się, przytłoczeni tym widokiem. Z miazgi żelaza wydobywał się przyprawiający o mdłości smród. Fetor trupów od miesiąca rozkładających się na słońcu. Fetor śmierci.

Ci ludzie mieli poważny wypadek i nikt nie przyszedł im z pomocą. Nie można było nawet usunąć ciał. Boże mój.

Niewielki wyłom po lewej stronie tego rumowiska pozwolił nam jechać dalej. Kiedy Prit zręcznie manewrował po wąskim pasie, tracąc część farby z karoserii, ja zadawałem sobie pytanie, czy to dzieło przypadku, czy też przedarł się tędy przed nami jakiś inny ocalały, i to on przesunął złom, żeby utorować sobie drogę. Kto to może wiedzieć.

Trzy, cztery kilometry dalej zobaczyliśmy pozostałości po kolejnej kraksie, tym razem na przeciwnym pasie. Był to ogromny sznur aut osobowych, autobusów, furgonetek i ciężarówek, w sumie czterdziestu czy pięćdziesięciu. Samochody wpadły jeden na drugi z powodu nadmiernej prędkości, kiedy uciekały przed tamtymi albo kiedy usiłowały ich wyminąć. Zderzenie musiało być potworne. O jego sile świadczyły resztki małego smarta dosłownie

złożonego w harmonijkę pod kabiną jednej z ciężarówek.

Ci, którzy nie zginęli w wypadku, spłonęli zaraz potem w pożarze. Temperatura była tak wysoka, że stopiły się całe fragmenty asfaltu. Widok mroził krew w żyłach. Ze środka jednego ze zwęglonych pojazdów przyglądały nam się dwie poczerniałe czaszki. Gdzieś tam wystawały spalone resztki ciał. Sceneria jak z piekła.

To nie była autostrada. To była pułapka na myszy. Kostnica. Cmentarz.

Dziesięć kilometrów dalej znów zobaczyliśmy zataczających się na drodze Nieumarłych. Powiedziałem Pritowi, że to znak, iż zbliżamy się do miasta, lepiej więc być przygotowanym na najgorsze. W odpowiedzi mój zasepiony przyjaciel kazał mi zapiąć pas i docisnął do dechy pedał gazu. To nie był dobry pomysł. Z głośnym hukem coś mocno uderzyło od środka w maskę, robiąc na niej spore wybrzuszenie, a z silnika zaczął się wydobywać gęsty czarny dym. Ze strachu niemal wyskoczyło mi serce.

Spojrzałem pytająco na Ukraińca, który wyglądał na zaniepokojonego. „Wał korbowy”, skomentował lakonicznie, wrzucając biegi na luz. „Silnik kaput”, dodał i pozwolił, by dogorywająca furgonetka łagodnie stoczyła się pochyłym zjazdem z autostrady.

Nie byłem w stanie przeczytać, co wypisano na tablicy. Nie wiedziałem, dokąd, kurwa, jedziemy. Pierwszy raz, od kiedy się to wszystko zaczęło, całkowicie straciłem orientację.

Kiedy zastanawialiśmy się, jakim cudem damy sobie radę bez samochodu, znowu przyszedł nam z pomocą przypadek. Zjazd z autostrady miał wystarczająco duże nachylenie, żebyśmy doturlali się do końca pochyłości. Po trwającej wieczność minucie dojechaliśmy do niewielkiego parku przemysłowego, gdzie stało piętnaście, może dwadzieścia hal. Dokładnie przed nami zobaczyliśmy olbrzymi salon samochodowy zwieńczony znajomym logo z trójramienną gwiazdą w kole, który jakby na nas czekał.

Niesamowite. Odwróciłem się do Prita i zapytałem, czy nie miałby ochoty poprowadzić nowiutkiego mercedesa. Promienny uśmiech Ukraińca był

bardziej niż wymowną odpowiedzią. Zanosiło się na niezłą zabawę.

Siłą rozpędu dojechaliśmy do miejsca odległego o niespełna sto pięćdziesiąt metrów od salonu. W oddali majaczyło kilku Nieumarłych, ale ponieważ ostatni kilometr przejechaliśmy po cichu, z silnikiem na luzie, nie zwróciliśmy na siebie ich uwagi.

Zabrawszy wszystko, co byliśmy w stanie udźwignąć, wysiedliśmy ze zdezelowanego furgonu, który wydzieliał już intensywny smród spalenizny. Nie mogliśmy ryzykować kursowania w tę i z powrotem, bo takie spacery mogły niepotrzebnie wzbudzić czyjeś zainteresowanie. Założyłem stary żołnierski plecak, przewiesiłem przez pierś kuszę i mocno przycisnąłem do siebie Lukullusa, żeby powściągnąć jego awanturnicze zapędy. Ostatnie, czego teraz potrzebowałem, to bieganie za nim po nieznannej strefie przemysłowej pełnej potworów, które marzyły, żeby wbić we mnie zęby.

Wiktor niósł w jednym ręku kałasznikowa, ciężką skrzynkę z amunicją i część jedzenia, które zabraliśmy z rosyjskiego frachtowca, w drugim zaś wiadomą walizeczkę. Resztę musieliśmy niestety zostawić.

Byliśmy tak obładowani, że droga do salonu samochodowego wydawała się nie mieć końca, mimo że stał bardzo blisko. Kiedy zdyszani wreszcie tam dotarliśmy, padłem wyczerpany pod gigantyczną szklaną witryną. Wiktor ruszył na poszukiwanie jakiegoś wejścia, kuląc się przyklejony do ściany budynku.

W oczekiwaniu na jego powrót pociągnąłem łyk z manierki i przeszukałem kieszenie plecaka. Na dnie jednej z nich znalazłem straszliwie zgniecioną paczkę chesterów, pamiętałem, że schowałem ją tam, kiedy opuszczałem dom (ciekawe, co się stało z moim domem?). Rozsiadłszy się, z prawdziwą przyjemnością włożyłem papieros do ust i przypaliłem go zapalniczką. Wciągnąłem dym, pierwszy raz po tak długiej przerwie, i poczułem się jak ćpun po strzale z heroiny. Od razu wszystko zaczęło mi się wydawać prostsze.

Nagle wystraszył mnie przytłumiony dźwięk tłuczonego szkła. Zerwałem się na równe nogi, krew pulsowała mi w skroniach. Ścisnąłem mocno kuszę,

przygotowany na najgorsze.

Niespodziewanie usłyszałem za plecami odgłos otwieranej metalowej bramy. Przerażony odwróciłem głowę i ujrzałem rozbawioną twarz Wiktora, który dostał się do środka przez okienko w ubikacji. Wielki Boże!

Wszedłem do salonu obładowany niczym muł, z Lukullusem podskakującym między moimi nogami, a Prit w tym czasie rozglądał się na zewnątrz. Kiedy obaj byliśmy już w środku, zamknął metalową bramę, nie zapominając o zasuwie.

Przez dobrą minutę staliśmy bez ruchu i nasłuchiwaliliśmy, czy oprócz nas jest tu ktoś jeszcze. Albo coś, poprawiłem się w myślach.

Muszę przyznać, że rozdziawiłem gębę ze zdumienia. Wnętrze było ciemne i chłodne. Jakimś dziwnym trafem rabusie oszczędzili diler a jego salon pozostał nienaruszony. Dostrzegłem samochody stojące w równych rzędach. Uśmiechnąłem się. Czas na zakupy.

Półmrok działał orzeźwiająco. Po długim dniu tułaczki pierwszy raz poczułem, jak rozluźniają mi się mięśnie. Zacząłem ranek na pokładzie „Zaren”, patrząc w czarny wylot lufy wycelowanej w moją głowę, a teraz leżałem z niedopałkiem papierosa w ustach na skórzanej kanapie przed drzwiami do biura diler a i myślałem, jak cudownie byłoby znaleźć się w hotelowym łóżku i móc w nim przespać trzy dni bez przerwy.

I mieć do dyspozycji zimne piwo. I dziesięć dziewczyn w seksownej bieliźnie masujących mi stopy. Chyba mi odwala! Wstałem z jękiem, czując, jak w moje mięśnie wbija się milion szpilek. Nigdy dotąd nie byłem tak zmęczony.

Obeszliśmy i przeszukaliśmy cały parter salonu. Z wynikiem negatywnym. Wszystkie drzwi i okna były pozamykane na cztery spusty, nie licząc okienka w ubikacji, które Wiktor wybił, żeby wejść do środka. Znajdowało się ono zbyt wysoko i wyglądało na zbyt wąskie, by mógł się przez nie przecisnąć któryś z tych osobników, ale woleliśmy dmuchać na zimne i podjąć wszelkie środki ostrożności.

Ścianę, w której był otwór, zdołaliśmy z trudem zastawić panelem z cienkiej

blachy przyniesionym z biura. Nie wytrzymałby silnego uderzenia, ale skutecznie zakrył rozbite okno na ten krótki czas, jaki mieliśmy zamiar spędzić w salonie.

Połamani padliśmy w małym pokoiku przylegającym do gabinetu kierownika salonu, klitce bez okien, którą wypełniały stosy segregatorów. Była tam malutka łazienka z prysznicem i – ku naszemu zdziwieniu – składane łóżko. Zastanawiałem się, co ono, u licha, tam robi, a w tym czasie Prit węszył po pokoju niczym wyżeł. Zobaczyłem, że zagląda pod polówkę i podnosi coś z podłogi. Z szelmowskim uśmieszkiem odwrócił się do mnie i pokazał mi ładne koronkowe majteczki w kolorze wina, dość wymięte.

No, no. Byliśmy w garsonierze właściciela salonu. Niezły kozak. W każdym razie wyglądało na to, że facet już od dawna tu nie zaglądał, żeby przelecieć swoją sekretarkę. Jeśli żył, na pewno miał inne sprawy na głowie.

Ogarnięty entuzjazmem Prit przetrząsał szuflady, ja tymczasem wszedłem do łazienki i zlustrowałem ją pożądliwym wzrokiem. Z przyzwyczajenia odkręciłem kran nad umywalką. Ku mojemu zdumieniu popłynął z niego strumień rdzawej wody, bulgoczącej z powodu nagromadzonego w rurach powietrza.

Od razu się domyśliłem, że niezależnie od podłączenia do sieci miejskiej salon dysponuje własną studnią, dlatego miał jeszcze wodę. Bieżąca woda! Skoro była, gdzieś musiał być także gazowy podgrzewacz, jakiś akumulator albo coś w tym rodzaju. Wróciłem do garsoniery, gdzie wyciągnięty na łóżku Prit jak gdyby nigdy nic przeglądał stare czasopisma, których był tu cały stos. Zostawiłem przyjaciela rozłożonego wygodnie w pokoiku, sam zaś uzbrojony w latarkę przystąpiłem do przeszukiwania całego parteru.

Tuż za korytarzykiem łączącym część biurową z warsztatem znalazłem strome schody niknące w ciemnościach piwnicy. Zebrałem się na odwagę i ostrożnie zapuściłem w dół, trzymając w jednym ręku latarkę, w drugim zaś wycelowaną przed siebie kuszę. Piwniczka była zimna, sucha, wyglądała na dawny, gruntownie przebudowany kanał naprawczy.

W głębi, między bajkowymi pajęczynami i pudłami starych folderów, zobaczyłem wielki, nowoczesny podgrzewacz wody firmy Junkers podłączony do pomarańczowej butli z butanem. Upewniwszy się, że piwnica jest całkowicie bezpieczna, podszedłem bliżej. Potrząsnąłem butlą. Była oczywiście pusta. Palący się przez wiele tygodni płomyk pilota dawno zużył resztki gazu.

Odwróciłem się rozczarowany z zamiarem opuszczenia piwnicy. Zrobiłem jeden krok, kiedy silne uderzenie w kolano sprawiło, że gwiazdy stanęły mi przed oczami. Skierowałem światło latarki na to, o co zawadziłem. Zobaczyłem kojec z kilkoma zaplombowanymi butlami. Ekstra.

Odgarnąwszy pajęczyny, ustawiłem pełną butlę w miejsce pustej, odpowietrzyłem system za pomocą odpowiedniego pokręta, po czym wcisnąłem włącznik. Palnik zapłonął błękitnym, migającym płomykiem. Wydałem okrzyk radości. Miałem ciepłą wodę.

Błyskawicznie wróciłem na górę. Prit wychodził właśnie z biura z kartonowym pudłem, w którym leżał olbrzymi pęk kluczyków samochodowych. W radosnym nastroju poszedłem z nim do części ekspozycyjnej salonu, gdzie czekały dziesiątki równo ustawionych aut gotowych do wyjazdu.

Spokojnie przystąpiliśmy do szukania naszego nowego samochodu.

Doszło między nami do małej kłótni. Wbrew zdrowemu rozsądkowi Prit upierał się przy ślicznym clk cabrio w kolorze ognistej czerwieni, jego zdaniem prawdziwej rakiemie, idealnej w razie konieczności szybkiej ucieczki. Zdołałem mu w końcu wytłumaczyć, że kabriolet, nawet bardzo szybki, nie jest najmądrzejszym wyborem, skoro będziemy podróżować po szosach opanowanych przez Nieumarłych.

Kierując się pragmatyzmem, wskazałem olbrzymiego mercedesa klasy GL, największy samochód terenowy tej firmy, ze skrzynią redukcyjną i silnikiem o mocy kilkuset koni mechanicznych. Ta olbrzymia bryka umożliwi nam jazdę na przełaj, gdyby szosa była zablokowana wskutek jakiegoś wypadku. Poza tym stanowiła lepsze zabezpieczenie niż stylizowany samochód sportowy, gdyby przyszło nam „potrącić” jakiegoś Nieumarłego.

Prit uznał moje racje, ale ciągle gderał i rzucał pożądlive spojrzenia na kabriolet. Wzięliśmy się do roboty i zamieniliśmy akumulator terenówki na nowiutki, przyniesiony z magazynu. Załadowaliśmy nasze rzeczy do wnętrza, a wraz z nimi na wszelki wypadek coraz bardziej niespokojnego Lukullusa.

Nagle donośny dźwięk sprawił, że obaj aż podskoczyliśmy. Rzuciłem się na podłogę, próbując odnaleźć kuszę, Ukrainiec odbezpieczył głośno kałasznikowa. Szukaliśmy wzrokiem źródła hałasu. W odległości niespełna półtora metra stało dwóch Nieumarłych, którzy patrzyli na nas pustym wzrokiem i jednostajnie walili w pancerną szybę salonu, rycząc z wściekłości przy każdym uderzeniu.

Makabryczne widowisko. Od czasu, kiedy zabiłem swojego nieszczęsnego sąsiada, nie miałem okazji przyjrzeć się potworom spokojnie, nie w biegu, nie walcząc o życie. Podszedłem ostrożnie do szyby i znalazłem się kilka centymetrów od nich. Doprowadziłem je tym do szaleństwa. Pożądały mnie. Pożądały mojego życia. Mojej krwi. Pieprzone skurwiele.

Nieoczekiwanie nasunęła mi się pewna refleksja. Mój sąsiad, zaraz po tym, jak został Nieumarłym, był trupio siny, miał pod skórą mnóstwo promieniście rozchodzących się popękanych żyłek, oczy zaszły mu krwią, zachowywał się jak nieobecny duchem i jak morderca. Ku mojej rozpaczycy dwaj osobnicy na zewnątrz, choć trochę bardziej poszkodowani z powodu uderzeń, okaleczeń i zadrapań, wyglądali dokładnie tak samo.

Gdyby byli zwykłymi trupami, upływ czasu musiałby, logicznie rzecz biorąc, działać na ich szkodę. Ale nie dostrzegłem śladów gnicia. Ani *rigor mortis*, ani rozkładu... Nic z tych rzeczy. Zadziwiające. Byli martwi, to pewne (straszliwie rozszarpana szyja jednego z nich nie pozostawiała co do tego najmniejszych wątpliwości), a jednak jakimś sposobem starczało im sił witalnych, żeby nadal się poruszać i polować.

Sztywne plamy zeschniętej krwi i strzępy, w jakie zamieniły się ich ubrania po kilku miesiącach przebywania pod gołym niebem, wskazywały, że żyją w tym stanie od dłuższego czasu. Jeśli chodzi o ich ciała, byłem przekonany, że

wygląd fizyczny tych istot nie uległ zmianie ani na jotę od momentu, kiedy zostały zaatakowane.

Miało to niepokojące implikacje. Przez ostatnie tygodnie łudziłem się, że ich ciała będą z dnia na dzień ulegały stopniowej degradacji i że na swój sposób będą „umierały”.

Nic takiego jednak nie następuje. Wygląda na to, że upływ czasu w żaden sposób nie ma na nie żadnego wpływu. Co to oznacza? Może będą trwać w takim stanie miesiące, może lata. Może są wieczne. Skąd miałbym, kurwa, wiedzieć? Nie jestem naukowcem, mam niewiele danych na temat ich natury i organizmu. Wiem tylko, że są w stadium pośrednim między życiem a śmiercią i że jeśli nie chcę skończyć tak jak one, muszę uciekać, żeby mnie nie złapały.

Poczułem gorycz w gardle. Mieliśmy naprawdę przerąbane jako gatunek, jako rasa, jako planeta. Uderzyłem wściekle pięścią w szybę, dokładnie w twarz jednego z potworów, który nawet nie drgnął. Trudno wyprowadzić z równowagi tych skurwysynów.

Wiktor przyglądał mi się w milczeniu, jakby wiedział, o czym myślę. W końcu podszedł i próbował mnie pocieszyć, przekonując, że kiedy dotrzemy do helikoptera, będziemy mogli polecieć dokądkolwiek, gdzieś, gdzie nie spotkamy tych cudaków.

Potrząsałem głową rozgoryczony. To były tylko życzliwe słowa. Będziemy musieli się jeszcze nieźle namęczyć, żebym odzyskał poczucie pełnego bezpieczeństwa.

Postawiliśmy terenówkę tuż przy bramie wyjazdowej. Wiktor sprawdzał ciśnienie w oponach, ja tymczasem poszedłem do łazienki i pierwszy raz od wielu, wielu tygodni wziąłem gorący prysznic.

Było cudownie. Strumień wody bombardował mi plecy i głowę tysiącami szpileczek, wokół kłębiła się para. Stałem nieruchomo przez prawie dwadzieścia minut, delektując się tym cudownym uczuciem i zadając sobie pytanie, gdzie i kiedy będę mógł zażyć następnej kąpieli. To co przed apokalipsą było czymś zwykłym i normalnym, teraz jest prawdziwym

luksusem. Tak bardzo wszystko się pogmatwało.

16 kwietnia. Godzina 10.24

Po wyjściu spod prysznicza zastałem Wiktora w dawnym gabinecie kierownika. Uprzątnął stół i postawił na nim czarną walizeczkę Samsonite. Przyniósł z warsztatu mnóstwo narzędzi, wśród nich palnik i akumulatorową szlifierkę kątową. Wyglądało na to, że jest zdecydowany otworzyć nieszczęsną przesyłkę „po dobroci” albo siłą.

Zazartowałem, że jeśli znajdzie w środku tytoń, będzie musiał się ze mną podzielić, chyba że nie chce dożyć następnego ranka. Prit zaśmiał się i cisnąwszy w moją wilgotną głowę kawałkiem czerwonego laku oderwanego z walizeczki, powiedział, żebym lepiej zrobił coś pożytecznego, na przykład poszukał paliwa do terenówki.

Wyszedłem z gabinetu, słysząc, jak Ukrainiec podśpiewuje sobie coś po rosyjsku, zagłuszany przeraźliwym dźwiękiem szlifierki.

Dziesięć minut zajęło mi znalezienie kanistra z benzyną, kolejne pięć gumowej rurki potrzebnej do napełnienia baku. Przelewając paliwo, pogłaskałem kilka razy Lukullusa, który wariuje za każdym razem, kiedy traci mnie z oczu. Chyba się boi, że odjadę bez niego. Biedny kot.

Wycierałem sobie ręce szmatą, gdy całym salonem zatrzęsała potężna eksplozja. W drzwiach gabinetu, gdzie zostawiłem Pritczenkę, pojawił się najpierw wielki biały błysk, a zaraz potem chmura dymu, której towarzyszył intensywny smród spalenizny. Przez moment dzwoniło mi w uszach. Po kilku sekundach usłyszałem okrzyki bólu. To był Wiktor.

Wpadłem do gabinetu. Ukrainiec leżał na ziemi, miał straszliwie poparzone dłonie oraz rany na klatce piersiowej i twarzy. Zwijał się z bólu i wył niczym ranny wilk. Przykucnąłem i pobieżnie go obejrzałem. Rany na twarzy i piersi sprawiały wrażenie powierzchownych, ale dłonie wyglądały przerażająco. Były całe spalone, a u lewej naliczyłem tylko trzy palce. Prawa nie wyglądała lepiej.

Masakra. Obie obficie krwawiły. Również z uszu wypływały mu strużki krwi.

Odwróciłem się w stronę stołu, szukając czegoś, czym mógłbym zatamować krwotok. Mój wzrok padł na walizeczkę Samsonite. A raczej na to, co z niej zostało. W tej pieprzonej walizce musiał być jakiś mechanizm wybuchający, zainstalowany dla zabezpieczenia zawartości przed niepowołanymi osobami. Mechanizm eksplodował, kiedy Wiktor próbował sforsować zamek, i tylko przypadek sprawił, że Ukraińiec nie wyleciał w powietrze.

Patrzyłem na niego kompletnie bezradny, a w uszach rozbrzmiewały mi jego pełne bólu wrzaski. Czymkolwiek była nieznana nam cenna zawartość czarnej Samsonite, teraz płonęła żywym ogniem na stole, zamieniając się w kupkę popiołu.

17 kwietnia. Godzina 18.37

Wystraszyłem się. Tak bardzo, jak nigdy wcześniej w czasie całego tego gówna. Prit jest ciężko ranny, nie wiem, co robić. Jego dłonie wyglądają paskudnie, a w apteczce były tylko łagodne środki przeciwbólowe (ibuprofen i pyralgina), trochę antybiotyków i kremy przeciwko oparzeniom słonecznym.

Z trudem go podniosłem i zaprowadziłem do łazienki. Umyłem mu jak mogłem dłonie i rękę do łokci. Straszna masakra. Prawa dłoń, całkowicie spalona, zamieniła się w masę żywego mięsa. Nie mam zbyt wielkiego pojęcia o medycynie, ale wygląda to na oparzenia drugiego stopnia. Na lewej rany są jeszcze gorsze. Brakuje małego i środkowego palca, a kostki serdecznego wystają na zewnątrz. Poza tym ma głębokie nacięcie na wewnętrznej stronie dłoni, które ciągle krwawi. Kurwa. Przeszukując ponownie apteczkę, znalazłem paczkę wyjałowionej gazy i żel na oparzenia. Posmarowałem mu prawą rękę maścią i przyłożyłem mnóstwo gazików na obie, żeby przestały krwawić, ale była to dość partacka robota.

Musiałem coś zrobić i to szybko. Wybuch walizeczki na pewno usłyszano w promieniu setek metrów i wkrótce mogliśmy się spodziewać odwiedzin wszystkich Nieumarłych z okolicy. Faktycznie, z zewnątrz zaczęły już dochodzić

ich jęki.

Wsadziłem syczącego z bólu Prita do terenówki. Wokół salonu zebrały się dziesiątki tamtych. Miałem kilka sekund, by otworzyć bramę i ponownie wskoczyć do samochodu, zanim te istoty mnie zobaczą i rzucają się w moją stronę. Nie będzie czasu na zamknięcie bramy, nie da się więc uniknąć inwazji potworów na salon. O jedno schronienie mniej.

Potrzebowałem bandaży, środków przeciwbólowych, a przede wszystkim antybiotyków. Najlepszy byłby lekarz, który opatrzyłby rany Wiktora, ale nie sądzę, żeby udało mi się takiego znaleźć. Niech to diabli! Cholera! Potrzebowałem tego wszystkiego jak najszybciej.

Do szpitala Xeral musiało być kilka kilometrów. Oczywiście nie wierzyłem, że ktokolwiek tam został, ale łudziłem się, że znajdę chociaż potrzebne leki.

Nie miałem wyboru. Włączyłem alarm w jednym ze sportowych samochodów na drugim końcu salonu. To przerzedzi tłum przy bramie na tyle, żebyśmy mogli wyjechać. Wiktor z minuty na minutę coraz bardziej się wykrwawiał, nie wytrzyma długo takiego bólu. Musimy jakoś dotrzeć do tego cholernego szpitala.

18 kwietnia. Godzina 11.02

Jestem kretynem. Pozwoliłem Pritowi cierpieć z bólu przez ponad godzinę, zapomniawszy, że na dnie plecaka mam kilka ampułek morfiny. Są bardzo łatwe w użyciu. Leżały w pudełeczku ze sztywnego kartonu, z orłem hiszpańskiej piechoty po jednej stronie i czerwonym krzyżem na białym tle z drugiej. Poza tym z boku widnieje duży napis „morfina”. Nawet głupek by się zorientował. Ale ja, idiota, nie pamiętałem o ich istnieniu do czasu, kiedy pokonywałem ze zbyt dużą prędkością jakiś zakręt i w plecaku, którym rzuciło o boczną szybę, rozległ się suchy dźwięk. Ale znowu za bardzo przyspieszam swoją opowieść.

Szybko wyjechaliśmy z salonu. To chyba najlepsza wiadomość ostatnich

godzin, zważywszy na ciężką sytuację. Kiedy dla odwrócenia uwagi włączyłem alarm w jednym z samochodów, większość wyjącego na zewnątrz tłumy przeszła na drugą stronę budynku zwabiona tym hałasem. Wiedziałem, że głośne wycie z całą pewnością przyciągnie jeszcze więcej tych istot, ale byłem gotów podjąć to ryzyko. W końcu i tak się stamtąd zabieraliśmy (i to na pełnym gazie).

Podszedłem do wielkiej metalowej bramy i odsunąłem boczne rygle. Następnie wcisnąłem rzucający się w oczy czerwony przycisk, który znajdował się w ścianie. Oczywiście nic to nie dało, bo nie było prądu. Presja i stres sprawiły, że nie przyszło mi to do głowy. Przeklinając pod nosem, obejrzałem całą bramę w poszukiwaniu systemu ręcznego otwierania. Owszem, znalazłem coś takiego. Małą dźwignię powyżej zaczepu przewodu elektrycznego.

Kiedy ją nacisnąłem, rozległo się ciche „brzdęk”. Zadziałał system obciążników i olbrzymia brama zadziwiająco szybko ruszyła w górę. Puściłem się szalonym biegiem w stronę terenówki czekającej na mnie z pracującym silnikiem. W samochodzie zdałem sobie sprawę, że gdybyśmy musieli zamknąć bramę, wcale nie poszłoby nam łatwo. W trybie ręcznym, bez prądu, jedynym sposobem było zaczepienie o znajdujący się na niej pierścień bosakiem czy innym podobnym narzędziem, ale nie miałem pojęcia, gdzie mógłbym takie znaleźć. Zresztą nie miało to żadnego znaczenia.

Nacisnąłem pedał gazu i mercedes wyrwał do przodu. Wyjechaliśmy z salonu spowici wyraźnym smrodem palonych opon. Mam wrażenie, że po drodze musnąłem kilka z tych istot (zachowałem obraz kobiety w średnim wieku, w naszyjniku z pereł i z utapirowanymi włosami, która uderzyła o tylny błotnik), ale poza tym odcinek prowadzący do drogi szybkiego ruchu pokonaliśmy stosunkowo łatwo. Kiedy przejeżdżaliśmy obok zdezelowanej furgonetki, którą tu dotarliśmy, otaczała ją co najmniej kilkunastu Nieumarłych. Niektórzy zdołali nawet dostać się do środka.

Co ich przyciągało do tego porzuconego samochodu? Może wyczuwali ślady naszej niedawnej obecności? Resztki zapachu, może ciepła? Kto to wie. Na

pewno u tych istot nastąpił zanik albo redukcja wielu cech „ludzkich”, ale w zamian rozwinęły inne, subtelniejsze rodzaje wrażliwości. Bardziej dla nas niebezpieczne.

Dopiero po kilku kilometrach zauważyłem, że na tablicy rozdzielczej samochodu jest zainstalowany niewielki ekran. Nie od razu zorientowałem się, że to GPS. Logiczne w tej klasie samochodów. Nacisnąłem włącznik i modliłem się, żeby urządzenie jeszcze działało.

Ekran rozbłysnął niebieskim mrugającym światłem, nawiązując łączność z satelitami z orbity geosynchronicznej. Odetchnąłem z ulgą. Ziemska społeczność upadła, Nieumarli podbili cywilizowany świat, ale satelity kontynuowały spokojnie i niewzruszenie swoją wędrówkę po kosmicznych pustkowiach, obojętne na chaos, jaki zapanował tysiące kilometrów od nich. Oczywiście nadal funkcjonowały i myślę, że będzie to jeszcze trwało dość długo, dopóki brak kontroli z Ziemi albo jakiś incydent ostatecznie nie uczynią ich bezużytecznymi.

To był drogi model, z ekranem dotykowym. Nie odrywając wzroku od jezdni, szybko znalazłem w menu adres najbliższego szpitala. Od czasu do czasu musiałem wykonać gwałtowny skręt, żeby wyminąć jakiegoś Nieumarłego albo wrak samochodu, ale droga była w miarę pusta.

GPS zapiszczał, informując, że najbliższą placówką służby zdrowia jest szpital Meixoeiro, i pokazał najkrótszą drogę. Cudownie. Dzięki temu nie będę musiał ponownie się zagłębiać we wnętrzości gnijącego trupa, jakim jest miasto Vigo.

Zajęty ekranem w ogóle ich nie zauważyłem. Nagle wyrosła przede mną olbrzymia góra utworzona z ponad piętnastu roztrzaskanych samochodów. Zahamowałem ostro i desperacko skręciłem kierownicę w prawo, próbując uniknąć tego, co wydawało się nieuchronne.

Z głośnym piskiem opon mercedes przejechał kilka metrów w bok i zatrzymał się niespełna pięćdziesiąt centymetrów od pierwszego rozbitego samochodu, mrugającego światłami awaryjnymi z głośnym tykaniem. Nie

licząc tego dźwięku, wszędzie panowała absolutna cisza.

Otarłem pot z czoła, oniemiały. Gdyby nie wyposażenie terenówki w rozmaite urządzenia z zakresu bezpieczeństwa pasywnego – wspomaganie hamowania i inne cuda techniki – jak amen w pacierzu wpakowałbym się w ścianę złomu i to byłby koniec tej historii.

Wzdrygnąłem się z przerażenia. Choć nie zdajemy sobie z tego sprawy, cały czas balansujemy na skraju przepaści. Nie ma policji, wojska, lekarzy, nikogo, kto by nam pomógł, gdyby coś nam się stało, cokolwiek.

Mamy przerażane.

Jesteśmy sami.

Sami.

Wrzuciłem jedynkę i zjechałem na pobocze. Włączyłem reduktor, natarłem na drucianą siatkę wyznaczającą zewnętrzne granice autostrady (w normalnych czasach zapobiegającą wtargnięciu zwierząt na szosę) i ruszyłem na przełaj przez pola.

Po dziesięciu minutach pełnej gwałtownych wstrząsów jazdy przez zaniedbane działki i po zarośniętych zielskiem drogach stanąłem na chwilę przy kępie drzew. Miejsce było zacienione, osłonięte i nierzucające się w oczy. W promieniu kilkuset metrów nie widziałem żywego ducha, ani ludzkiego, ani żadnego innego.

W pobliżu znajdował się na wpół zniszczony, stary, zapuszczony zbiornik na wodę, zarośnięty ciernistymi krzakami. Z rury wypływał z szumem strumyk. Wsiadłem z samochodu i zanurzyłem dłonie w wodzie. Była chłodna, prawie zimna, kontrastowała z przytłaczającym upałem popołudnia. Czysta rozkosz. Opiłem się jak smok i korzystając z manierki, zwilżyłem wysuszone usta Prita, który wyglądał na półprzytomnego i nie chciał albo nie mógł pić.

Dotknąłem jego czoła. Było rozpalone. Albo cierpiał na szok pourazowy, albo doszło do zainfekowania ran. Tak czy inaczej, potrzebował antybiotyków, i to natychmiast. Wstrzyknąłem mu ampułkę morfiny na uśmierzenie bólu i ponownie wsiadłem do samochodu, rezygnując z przedłużania tej krótkiej

chwili spokoju.

Ruszyliśmy, wzniecając olbrzymią chmurę pyłu. Mieliśmy przed sobą jeszcze długą drogę.

Jakieś trzydzieści minut później musieliśmy przejechać na drugą stronę małej rzeczki. Niezbyt głębokiej, ale mercedes, choć wypasiony, nie był przystosowany do pokonywania takich przeszkód. Woda dostała się do środka przez uszczelki w drzwiach i otwory wentylacyjne, i trochę nas zmoczyła. Zresztą i tak było to nam pisane.

Niebo zasnuwały coraz gęstsze chmury. Po tylu dniach upału solidna burza wydawała się tylko kwestią czasu. Lukullus przejawiał wyraźny niepokój, co zdarza mu się tylko wtedy, kiedy nadchodzi potężna nawałnica. Zrozumiałem, skąd wzięła się jego nerwowość w salonie samochodowym.

Ponownie wyjechaliśmy na boczną drogę, w miejscu odległym według wskazań GPS-u o cztery, pięć kilometrów od szpitala. Samochód, cały ubłocony, wpadł w lekki poślizg na zielsku rosnącym na pasie awaryjnym, ale jego siła pociągowa pozwoliła nam utrzymać się na pustej jezdni. Stałem na chwilę, żeby rzucić okiem na Prita. Na skutek działania morfiny nadal był półprzytomny, pogrążony w niepokojącym półśnie. Rozejrzałem się w jedną i w drugą stronę. Nie dostrzegłem żywej duszy, żadnej żywej istoty. Ze szczelin w asfalcie wyrastały niezdecydowanie chwasty. Od miesięcy nikt nie jechał tą trzeciorzędą szosiną. Za kilka miesięcy całkowicie pochłonie ją roślinność.

Wrzuciłem jedynekę i ruszyłem w stronę szpitala. Po paru minutach musiałem dać za wygraną i włączyć światła. Choć była dopiero szósta wieczorem, panowała niemal zupełna ciemność. Widziałem na odległość nie większą niż trzydzieści, czterdzieści metrów. Nadciągała burza. Słyszałem już dalekie grzmoty, od których drżały szyby terenówki. Wkrótce miała się rozpętać nawałnica.

Przyznaję, że byłem przerażony i że z powodu całej tej atmosfery stawałem się coraz mniej odporny. Tym razem przestraszyłem się tak bardzo, że o mały włos nie dostałem zawału serca. Kiedy pięćset metrów dalej wymijałem

przewrócone drzewo eukaliptusowe, zajmujące pół jezdni, reflektory samochodu oświetliły nagle leżącą na asfalcie uśmiechniętą czaszkę, wystającą ze sterty łachmanów. Zahamowałem gwałtownie, wydawało mi się, że tuż przed nią, ale spod przednich kół dobiegł mnie wyraźny chrzęst, jakbym najechał na kupkę kości. Zaciągnąłem hamulec. Przesunąłem dłońmi po spoconej twarzy. Wiatr się wzmaczał, słyszałem, jak gwizdże między drzewami – to były pierwsze porywy burzy. Przed samochodem tkwił jakiś ogromny kształt, ale wieczorny mrok nie pozwalał mi dostrzec, co to takiego. Okolica miała w sobie coś szczególnego, coś posępnego.

Odbezpieczyłem kałasznikowa i świadom aż do bólu, że niewiele wiem na temat posługiwania się bronią palną, wysiadłem z terenówki. Warkot silnika i wycie wiatru były jedynymi dźwiękami tego późnego wieczoru. Zostawiłem samochód i ostrożnie posuwałem się w świetle reflektorów. Widziałem przed sobą swój cień, coraz dłuższy w miarę jak zbliżałem się do ciemnego kształtu.

Ścisnąłem mocno karabin. Miałem spocone dłonie i czułem, że serce wali mi jak oszalałe. Nieforemna masa zajmowała prawie połowę jezdni, ale nie potrafiłem jeszcze określić, co to jest. Ciepły wiatr otulił mnie niczym koc. I nagle ten smród. Boże święty!

Przede mną leżały zwalone na stos dziesiątki, może setki gnijących powoli trupów, zdanych na łaskę bezlitosnej pogody i drapieżników. Oparłem się na lufie kałasznikowa, by nie upaść. Jezu! Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Musiałem usiąść na ziemi, niezdolny odwrócić wzrok od tego miejsca, słabo oświetlonego reflektorami.

Kontury, które dostrzegłem wśród cieni, okazały się olbrzymimi stożkowatymi blokami ze zbrojonego betonu oraz czymś w rodzaju metalowego kontenera przypominającego prowizoryczne biura instalowane na budowach. Rozciągnięty z przodu drut kolczasty wskazywał, że chodziło o dawny, opuszczony już, punkt kontrolny.

Wszystkie zwłoki miały ślady po kulach. Jak okiem sięgnąć, ziemię wokół punktu kontrolnego pokrywały błyszczące miedziane łuski. Była to gigantyczna

kostnica przypominająca obrazy z wojny w Rwandzie.

Nietrudno się domyślić, co tam zaszło. Wojskowy punkt kontrolny, w oczywistym miejscu, przy drodze do newralgicznego obiektu, jakim jest szpital. Nagle setki Nieumarłych zaczynają się schodzić szosą zwabione obecnością ludzi. Obrońcy stawiają im desperacko czoło, zabijając z broni palnej setki z nich, i rozpaczliwie domagają się posiłków. Potem...

Było oczywiste, co stało się potem. Resztki zaschniętej krwi na ścianach kontenera i kilka karabinków automatycznych porzuconych na ziemi mówiły wszystko, co powinienem wiedzieć o losie obrońców punktu kontrolnego. Nieumarli przeszli. Jak w Pontevedrze. Jak w Vigo. Jak wszędzie.

Wróciłem do terenówki, a po twarzy spływały mi łzy, nad którymi nie potrafiłem zapanować. Kiedy wsiadałem do auta, błyskawica rzuciła posępne światło na otaczającą mnie scenerię. Kilka sekund później samochód piął się po tym stosie i miażdżył setki zgniłych kości wydających dźwięk nie do opisania. Minęliśmy punkt kontrolny, nie oglądając się za siebie. Musieliśmy jechać dalej.

19 kwietnia. Godzina 12.37

Błyskawica była tak niesamowita, że na kilka sekund cały horyzont zabarwił się na niezdrowy granat. Zaraz potem przerażający, potężny grzmot wprowadził w drżenie szyby terenówki, które co najmniej przez siedem, osiem sekund wydawały głuchy, głęboki dźwięk. To było jak wystrzał z pistoletu startowego. Począwszy od tego momentu, błyskawice i grzmoty następowały po sobie w jednostajnym rytmie, mniej więcej co półtorej minuty. Jeszcze nie zaczęło padać, ale powietrze już miało intensywny zapach ozonu. Zanosiło się na niezlą ulewę.

Stado kruków i mew, tłustych, błyszczących, poderwało się do lotu wystraszone rykiem silnika. W ciągu ostatnich miesięcy nauczyłem się dokonywać selekcji nacierających na mnie zewsząd obrazów i ignorować te nieprzyjemne (niestety, jest ich zbyt wiele). Ale nie mogłem nie zauważyć, co

przed chwilą pożerały te ścierwojady. Kolejny stos martwych ciał. Widok nadgniłych zwłok niespełna trzyletniego dziecka, z pustymi oczodołami i podziobanymi policzkami, podziałł na mnie jak cios pięścią w żołądek. Poczułem pieprzone mdłości. Całe to gówno sprawia, że staję się coraz bardziej odporny, nie będę zaprzeczał, ale zachowałem jeszcze wystarczająco dużo ludzkich uczuć i wrażliwości, by wiedzieć, że chwilami jestem bliski szaleństwa.

Boczna droga łączyła się niespodziewanie z inną, o wiele szerszą i bardziej zadbaną, oddaloną według wskazań GPS-u o nieco ponad kilometr od szpitala. Obok zobaczyłem coś, co wyglądało na niewielki sklep z meblami. Wokół rosły drzewa, podmuchy wichru wstrząsały gęstą ścianą eukaliptusów i sosen. Nieużywaną od miesięcy szosę pokrywały gałęzie, kawałki kory, a czasami sterty gnijących ciał. Przeszła tamtędy gromada Nieumarłych, ale musieli napotkać zacięty opór. Miałem wrażenie, że zbliżam się do miejsca katastrofy. Poczułem zawroty głowy.

Z cienia rzucanego przez sklep meblowy wyłoniło się kilka postaci, które chwiejnym krokiem zmierzały w stronę auta. Nie mogłem tam dłużej zostać. Wjechałem na główną szosę i wolno ruszyłem w kierunku szpitala, ostrożnie wymijając gałęzie i od czasu do czasu jakiegoś niepożądanego przechodnia, który bezskutecznie próbował drapać pazurami po samochodzie.

Nagle coś przykuło moją uwagę. Środkiem jezdni wędrowali dwaj Nieumarli ubrani w łachmany przypominające piżamy szpitalne. Dreszcz przerażenia przeszedł mi po plecach. Jeśli Nieumarli opanowali Meixoeiro, mieliśmy naprawdę przerwane.

Ostatni zakręt szosy prowadził na szczyt niewielkiego wzniesienia, skąd było widać szpital. Kiedy tam dojechałem, zahamowałem gwałtownie, porażony tym, co zobaczyłem. Wstrzymałem oddech. Cholera.

Meixoeiro to olbrzymia nowoczesna bryła ze stali, szkła i cementu. Należy do państwowej służby zdrowia. Gigantyczny labirynt, budowany na raty, gdzie korytarze i sale ciągną się kilometrami.

To jeden z wzorcowych szpitali w Galicji, dysponujący najlepszym

personalem i najnowocześniejszymi środkami technicznymi, maksimum tego, co może zaoferować hiperrozwinęte społeczeństwo XXI wieku. Codziennie przewijały się tu tysiące ludzi – pacjenci i personel. Prawdziwa świątynia nauki, duma i pomnik zdrowia. Coś, co warto zobaczyć.

Teraz jednak przypominał miejsce z nocnego koszmaru. Wszystkie okna wychodzące na północ zostały z jakiegoś nieznanego powodu powybijane. Z ciemnych otworów wystawały gdzieś strzępy porwanych, odbarwionych zasłon powiewające jak szalone w gwałtownych podmuchach wiatru. Na czwartym piętrze jakiś czas temu musiała pęknąć rura odprowadzająca fekalia, bo część fasady pokrywało czarne, zaschnięte śmierdzące błoto.

Jednak tym, co czyniło widok szpitala naprawdę przerażającym, był totalny brak światła, dźwięku i ruchu. Olbrzymi budynek wznosił się niczym monolit, czarny, mroczny, pozbawiony życia. We wszystkich oknach panowała całkowita ciemność, a tunel prowadzący do oddziału ratunkowego wyglądał jak wejście do głębokiej kopalni.

Wokół gmachu pozostały ślady po, jak się wydawało, gorączkowej i pospiesznej krzątaniu. Widać było dziesiątki prywatnych aut, samochody patrolowe straży miejskiej i Gwardii Cywilnej, karetki pogotowia, wszystkie byle jak porzucone, wiele z nich z otwartymi na oścież drzwiami. Co najgorsze, niektóre pokrywała rdzawa skorupa, która nie mogła być niczym innym niż zaschniętą krwią. Tu i ówdzie leżały nosze i bezużyteczny sprzęt medyczny, jakby z powodu przepełnienia próbowano pospiesznie zorganizować na placu przed budynkiem zaimprovizowany szpital polowy.

Autobus komunikacji miejskiej, z szybami pokrytymi skrzepniętą krwią, stał na klombie, jakby zostawił go tam pijany kierowca. Na skrzydłach tylnych drzwi widać było doskonale krwawe ślady dłoni. Tylko Bóg zna historię, którą mógłby opowiedzieć ten autobus, gdyby potrafił mówić.

Cały teren otaczał podwójny rząd worków z piaskiem i zapór ze zbrojonego betonu. Niektóre miejsca – gdzie, jak przypuszczałem, swego czasu znajdowały się punkty kontrolne – zostały dodatkowo wzmocnione. Podobnie jak na drodze

i jak wszędzie od paru kilometrów, tak i tu leżały łuski od kul i gnijące trupy. Dziwne, ale wokół samego szpitala było ich znacznie mniej, niż należało się spodziewać. Ciekawe.

Zaraz jednak znalazłem odpowiedź. Kiedy wielka masa Nieumarłych dotarła do tego miejsca, obrońcy musieli być już zdziesiątkowani, wyczerpani, pozbawieni dostaw amunicji. Potwory nie miały zapewne problemów z ich pokonaniem. Potem nastąpiła rzeź.

Poczułem w ustach gorzki smak żółci. Wyobraziłem sobie szpital pełen rannych, uciekinierów, personelu medycznego, kobiet, dzieci... I nagle zewsząd wdzierają się dziesiątki, setki tamtych. Chryste Panie.

Było to miejsce pełne cierpienia, śmierci i rozpacz. Ciemny, cichy budynek, który mieliśmy przed sobą, stał się olbrzymim grobem... albo czymś gorszym.

A jednak nie pozostawało nam nic innego, jak wejść do środka. Prit potrzebował leków. Nie mieliśmy wyboru.

Pozwoliłem, by samochód zjechał cicho w stronę tunelu prowadzącego na oddział ratunkowy. Spocony rozejrzałem się dookoła. Ogarnęły mnie wątpliwości. Bez Prita poszłoby mi szybciej, a w razie problemów dużo łatwiej byłoby mi się bronić. Z drugiej strony nie miałem odwagi zostawić półprzytomnego Ukraińca bez opieki, porzuconego na parkingu na łaskę tamtych, podczas gdy ja będę obchodził wnętrza budynku.

No i był jeszcze Lukullus. Cholera.

Nagle potężny grzmot, który rozległ się głośnym „buuuuum”, poderwał mnie, wyrывая z zamyślenia. Czas uciekał. Duża kropla uderzyła z siłą kuli w przednią szybę i rozprysnęła się na wszystkie strony. Potem kolejna i następne, jedna za drugą. Zaczynało lać.

Nadciągała burza.

Pojedyncze kapnięcia stopniowo przeszły w prawdziwy potop. Wkrótce huk milionów kropli uderzających o ziemię zagłuszył odgłosy grzmotów. Oceniłem na oko, że nie powinienem być więcej niż dwadzieścia metrów od tunelu. Nie mogłem podjechać bliżej. Olbrzymie bloki z żelbetonu ułożone w poprzek

jezdni i sterta worków z piaskiem uniemożliwiały przejazd. Budka stojąca po prawej stronie, trzy metry ode mnie, służyła za schronienie strażnikowi, który kiedyś by nas zatrzymał, ale teraz w polu widzenia nie było żywego ducha. Cała ta sceneria, oświetlana błyskawicami, jeżyła włosy na głowie.

Założyłem plecak i starannie zapiąłem paski. Obciążony Pritem i Lukullusem nie miałem wielkiej swobody ruchów, dlatego lepiej było zachować ostrożność i nie dopuścić, by źle rozłożony ciężar powalił nas wszystkich na ziemię tuż pod nosem Nieumarłych.

Wyjąłem Lukullusa z klatki i przez moment tuliłem go w ramionach. Mój mały puchaty przyjaciel pomrukiwał z zadowolenia, widząc, że na zewnątrz pada deszcz, a on siedzi wygodnie na moich kolanach, suchy i ciepłutki. Z czułością podrapałem go za uszami. Już kiedy był maleńką futrzaną kulką, lubił sadowić się na kaloryferze i patrzeć na kurtyny wody spadające na ogródek w burzowe dni...

Wspomnienie domu, mojego życia, całego świata sprzed chaosu przeszło mnie niczym sztylet. Tęsknię za domem. Tęsknię za pracą, przyjaciółmi, za swoim życiem, ale przede wszystkim za rodziną. Od miesięcy nie mam wieści o rodzicach, o siostrze, nie mówiąc już o zastępach kuzynów, wujków, cioć i przyjaciół porzrzucanych (kiedyś) po całej Galicji. Przez cały ten czas starałem się zajmować umysł własnym przetrwaniem i nie myśleć za dużo o nich wszystkich. A kiedy mi się to nie udawało, próbowałem oszukiwać samego siebie, wierząc, że siedzą sobie wygodnie w bezpiecznym schronieniu czy w jakimś innym miejscu, do którego nie trafiły potwory.

Teraz wiem, że to wszystko było kłamstwem. Ci pozagrobowcy są wszędzie, wszędzie dotarli. Nie ma żadnego pewnego miejsca i nikt nie jest bezpieczny. Wszyscy, którzy przeżyliśmy, tkwimy zanurzeni w olbrzymiej beczce cierpienia, a krawędzie tej beczki są rozpaczliwie daleko.

Poczułem, że łzy napływają mi do oczu. Wziąłem głęboki oddech i potrząsałem głową, starając się oczyścić umysł. Gdybym zaczął płakać, nie potrafiłbym przestać. Gdybym się załamał, byłoby po mnie. Kolejny raz

zadziałał instynkt samozachowawczy: w najdalszym zakątku mojego mózgowia wydzielila się dostateczna ilość endorfin, bym mógł zacząć normalnie funkcjonować. Ale i tak w środku czułem jątrzący ból. Kiedyś będę musiał stawić mu czoło i spróbować wyrwać go sobie z serca. Ale nie teraz. Jeszcze nie.

Ostrożnie pociągnąłem za klamkę i otworzyłem drzwi, starając się robić jak najmniej hałasu. Ledwo postawiłem nogę na zewnątrz, kiedy gwałtowny podmuch wiatru cisnął mi w twarz prawdziwą kurtynę wody. Grzmoty i błyski nakładały się na siebie, jedne po drugich. Zamknąłem za sobą drzwi i przez chwilę siedziałem przykucnięty, opierając się plecami o samochód.

Nie widziałem nikogo, kto mógłby stanowić dla mnie zagrożenie, ale instynkt podpowiadał mi co innego (co ja pierdołę: instynkt krzyczał ze wszystkich sił, żebym jak najszybciej stamtąd spieprzał).

W odległości nie większej niż sześć metrów dostrzegłem nadgniętego trupa w mundurze policjanta z oddziału prewencji. Charakterystyczny niebieski kolor spłowieł w niektórych miejscach pod wpływem słońca, w innych zastąpiła go rdzawa czerń, efekt plam z krwi i płynów ustrojowych. Od pasa w górę ciało było jedynie kupą poszarpanego, śmierdzącego mięsa. Po głowie ani śladu.

Wystraszyłem się na ten widok. Nie wiedziałem, czy to robota drapieżników, czy może zwłoki zmasakrowali Nieumarli, w każdym razie wyglądały niczym wytwór wyobraźni obłąkanego rzeźnika. Poczułem mdłości, ale nie wymiotowałem. Sam nie mogłem w to uwierzyć. Staję się chyba twardzielem (albo szaleńcem, na którym takie gówno przestaje już robić wrażenie – zależy jak na to spojrzeć).

Podszedłem do trupa. Powstrzymując oddech, rozpiąłem kaburę, którą miał na prawym biodrze, i wyjąłem połyskujący czarny pistolet. Był większy i cięższy niż pistolet żołnierza, ale nie poświęciłem mu wiele uwagi. Nie miałem czasu. Pochyliłem się nad jednym z butów policjanta i zabrałem za odwiązywanie sznurowadła. Usiłowałem maksymalnie skrócić tę czynność, bo stopa była czarna i zgniła z powodu płynów, które zebrały się w dolnej części

ciała, i wydzielała przyprawiający o mdłości smród. Wreszcie wszedłem w posiadanie prawie dwumetrowej sznurówki.

Wróciłem do terenówki, z pistoletem i sznurówką, przemoczony do suchej nitki. Chwyciłem zdumionego Lukullusa pod brzuszek, przyczepiłem koniec sznurówki do obróżki, a drugi węzłem ratowniczym przywiązałem sobie do nadgarstka. Przewiesiłem przez piersi na krzyż kałasznikowa i kuszę, po czym wyciągnąłem nieprzytomnego Prita na zewnątrz.

Prysznic lejący się z nieba miał tę dobrą stronę, że obudził Ukraińca. Jękiem dał mi do zrozumienia, że jeszcze żyje i że boli go jak diabli. Zarzuciłem sobie na plecy jego ramię i ruszyliśmy w stronę tunelu wejściowego. Wolną ręką trzymałem pistolet i ciągnąłem obrażonego Lukullusa, który nie dość, że został upokorzony potraktowaniem go jak zwykłego psa na smyczy, to jeszcze mókł.

Poruszaliśmy się załośnie wolno. Prit ledwo szedł, a ja byłem objuczony jak osioł. Te kilka metrów wydało mi się kilometrami. Kot szarpał wściekle, szukając schronienia przed ulewą, a przy każdym jego podskoku sznurówka wrzynała mi się głęboko w nadgarstek, powodując fale bólu w całej ręce.

Przedstawialiśmy surrealistyczny widok. Szybko zdałem sobie sprawę, że jeśli przed nami pojawi się jakiś Nieumarły, nie będę w stanie nas obronić, mając unieruchomione obie ręce. To podziałało jak ukłucie ostrogi: przyspieszyłem kroku.

Po kilkunastu sekundach dotarliśmy do tunelu. Rozciągający się nad nami oszklony dach działał jak pudło rezonansowe dla spadających kropli. Wykonawszy parę dziwacznych ruchów, zdołałem wyciągnąć z kieszeni latarkę i skierowałem snop światła w głąb korytarza.

Wahadłowe drzwi oddziału ratunkowego otworzyły się z cichym sykiem, kiedy napałem na nie ramieniem. Wsunąłem głowę do środka. Olbrzymia poczekalnia tonęła w półmroku. Łagodne, jakby przepuszczone przez sito światło sączyło się z dwóch wielkich, prostokątnych okien, które dochodziły aż do sufitu. Na jednym z nich, dokładnie w połowie wysokości, znajdowały się dwa charakterystyczne otwory po kulach.

Hol przypominał starą, opuszczoną rzeźnię. Na podłodze i ścianach widniały wielkie rdzawobrazowe plamy zaschniętej krwi. Miało się wrażenie, że w niektórych miejscach rozlewano ją kubłami. Słodkawy mdlący zapach mieszał się ze smrodem zgnilizny, zepsutej żywności i wonią zatechłego potu. Ta ostatnia była lekka, słaba, ale wyraźnie wyczuwalna. Zalaływało ludzkim potem. Ktoś pocił się w tej zamkniętej przestrzeni. Nie wiedziałem tylko, czy od tego czasu minęły trzy godziny, czy trzy miesiące.

Wszędzie leżały porzucane części ubrania, zużyte bandaże, nosze pokryte zaschniętymi plamami, a nawet dwa zestawy do reanimacji ze zwisającymi elektrodami. Całość nie wyglądała zbyt przytulnie.

Jednak najbardziej przerażające w tej makabrycznej scenerii były dziesiątki przecinających się krwawych śladów i odcisków stóp. Wiele nóg (a kiedy piszę wiele, mam na myśli naprawdę wiele) chodziło po kałużach krwi, zostawiając ślady, które najwyraźniej donikąd nie prowadziły. Duże, małe, nawet dziecięce stopy, długie kroki, powłóczące nogi... Pełen zestaw. Ale nikogo nie było widać. Nie mogłem też zaręczyć, że należały do żywych istot.

Zostawiłem na wpół omdlałego Prita na wózku z oddziału ratunkowego. Z ulgą uwolniłem się od Lukullusa i przywiązałem go do kaloryfera w recepcji. Nie był tym zachwycony, na pewno umierał z ciekawości i chciał przeszukać nowe miejsce, ale nie mogłem puścić go luzem. Nie, dopóki nie wiedziałem, co może nas tam spotkać.

Na podłodze leżały oczywiście trupy, ale znacznie mniej niż na zewnątrz. Kiedy cudem uniknąłem nadeptnięcia na kobietę, straszliwie spuchniętą z powodu gazów gnilnych, przyszło mi do głowy, że zapewne większość z tych nieszczęśników nie jest Nieumarłymi, którzy zginęli od kul, lecz ich niewinnymi ofiarami, okaleczonymi w sposób tak barbarzyński, że nie było mowy, by kiedykolwiek zmartwychwstali.

Doszedłem do wniosku, że większość pacjentów wchodzi teraz w skład gigantycznego bractwa Nieumarłych, stąd rażący brak trupów. Szczerze wątpiłem, by poszli na plażę się poopalać.

Nagle donośny metaliczny dźwięk sprawił, że zamarłem w bezruchu. Jakby ktoś wpadł na jakąś szafkę, wózek albo coś w tym rodzaju. Potem usłyszałem długi jęk. Dźwięk dobiegał z dość dużej odległości (przysięgłbym, że rozległ się kilka pięter wyżej), ale wystarczył, żeby włosy stanęły mi dęba ze strachu.

Nie byliśmy sami.

Nie miałem zamiaru obchodzić ciemnego, opuszczonego, pełnego trupów szpitala i sprawdzać, skąd pochodził hałas. Niezależnie od tego, co (albo kto) go wywołało, miałem to głęboko w dupie. Skoro już przy wejściu robiłem w portki, nie w głowie mi było zapuszczanie się w głąb budynku.

Minąłem stanowisko pielęgniarek. Na stosie kart pacjentów leżał zakurzony stetoskop. Nie mogłem się oprzeć pokusie i powiesiłem go sobie na szyi. To było silniejsze ode mnie, już od małego dziecka „pożyczałem” sobie słuchawki należące do matki. Uwielbiam te przyrządy.

Nagle przeniosłem się w wyobraźni do jednego z odcinków serialu telewizyjnego *Ostry dyżur*. Ciekawe, co by sobie pomyśleli jego bohaterowie, gdyby zobaczyli faceta z kałasznikowem, w kombinezonie z neoprenu i ze stetoskopem na szyi, wałęsającego się beztrąsko po oddziale ratunkowym.

Zachichotałem histerycznie. Boże święty, całe to gówno sprawia, że zaczynam tracić zmysły. Witaj, schizofrenio.

Tuż przy stanowisku pielęgniarek, obok kilku boksów z zaciągniętymi zasłonami, znajdował się magazynek leków pierwszej pomocy. Drzwi były rozbite. Wszedłem ostrożnie, stąpając po pokrywanej podłogę warstwie potłuczonego szkła.

Wnętrze wyglądało jak po wybuchu bomby. Wzmocniona szafa, gdzie normalnie przechowywano morfinę i inne opiaty, była wybebeszona. Ktoś tu wszedł i otworzył ją siłą, chyba korzystając z jakiegoś materiału wybuchowego, może granatu zabranego jednemu z zabitych żołnierzy. Eksplozja rozbiła w drobny mak masę buteleczek, ampulek i narzędzi. Partacka robota. Dzieło kogoś z Bezpiecznej Strefy, kto szukał morfiny, albo, co bardziej

prawdopodobne, jakiegoś ćpuna z syndromem abstynencji, który wiedział, gdzie znajdzie narkotyki. Wcale się nie dziwię. W tych dniach trudno dostać gdzieś herę.

Pochyliłem się i zacząłem szukać wśród kawałków potłuczonego szkła ampułek w dobrym stanie. Powtarzałem sobie w myśli listę. Antyseptyki, antybiotyki, gaza, środki przeciwbólowe, ale nie opiaty (Prit miał już w sobie wystarczająco dużo morfiny), nici chirurgiczne, bandaże, sterylna igła...

Poczułem ostry ból w dłoni i szybko ją cofnąłem. Kawałek szkła, cienki jak lancet, wbił mi się w opuszkę palca. Zakląłem pod nosem i włożyłem palec do ust. Słonawy smak krwi spłynął mi do gardła. Machinalnie owinąłem palec plastrem z opatrunkiem i w znacznie gorszym humorze przystąpiłem do dalszych poszukiwań, składając swój skromny łup na głębokiej tacy z polerowanego aluminium.

Taca uratowała mi życie. Kiedy kładłem na niej rolkę plastra, dostrzegłem odbity w metalu jakiś ruch, dokładnie za moimi plecami. Wykręciłem się jak wąż, czując cierpki smak strachu podchodzący mi z żołądka do gardła, i niezdarnie odbezpieczyłem karabin.

Jakiś zgrzybiały, kompletnie goły starzec, z częściowo wiszącymi na zewnątrz jelitami, chwiał się niecałe dwa metry ode mnie. Prawą rękę miał owiniętą szpitalną piżamą. Otworzył usta w niemym ryku i ruszył niemrawo w moją stronę, stawiając bose stopy na potłuczonym szkłe, jakby zupełnie nie czuł bólu. Znieruchomiałem z przerażenia. Starzec nie miał oczu. Jego oczodoły były puste, po policzkach spływały mu dwie strużki krwi, zmieniając twarz w potworną maskę. Przysięgłbym jednak, że doskonale wiedział, gdzie jestem.

Wszystko potoczyło się jak w zwolnionym tempie. Dziwnie rozluźniony przyłożyłem karabin do twarzy i wycelowałem w szyję, żeby osłabić skutki odrzutu (nauczyłem się tego od Pakistańczyków). Pozwoliłem mu podejść na odległość półtora metra i nacisnąłem spust.

Kiedy kula przeszła głowę starca, na jego czole pojawiła się czerwonawa dziura. Ścianę za nim upstrzyła konstelacja rozprysniętych kości, mózgu i

ciemnej krwi, tworząca obsceniczny rysunek. Starzec runął niczym worek ziemniaków, z bulgotem wydobywającym się z gardła, i pociągnął za sobą stos teczek z dokumentami pacjentów. Zapach prochu szczypał mnie w nozdrza, a uszy wypełniło mi uporczywe dzwonięcie, efekt wystrzału w tak niewielkim pomieszczeniu. W najbliższych godzinach czekał mnie silny ból głowy.

Kolejny raz cudem uratowałem własną skórę. Tyle że huk musiał być doskonale słyszany w promieniu dwóch kilometrów. Teraz każda istota, żywa lub nieżywa, przebywająca w szpitalu, wiedziała już, że tu jesteśmy. Jezu, co za dzień!

Kiedy przestało mi walić serce, zakląłem pod nosem. Jak mogłem być tak głupi? Z lewego ramienia zwisała mi bezużytecznie kusza, gdybym się tak nie pośpieszył, przestraszony jak rozhisteryzowana baba, i użył strzały zamiast hałaśliwego kałasznikowa, zlikwidowałbym staruszka, nie robiąc tyle zamieszania.

Faktem jest, że musiałem zareagować błyskawicznie i zabrakło mi refleksu, żeby pomyśleć o kuszy. Karabin nawinął się pierwszy i zadziałałem instynktownie.

Teraz miałem na głowie inne rzeczy. Odgłos wystrzału wywołał lawinę dźwięków w całym szpitalu. Trzaskające drzwi, zderzające się przedmioty, coś spadającego z hukiem na ziemię (może nosze?), a nawet głuche, przytłumione walenie w ścianki działowe tworzyły razem napawającą grozą symfonię. A przede wszystkim jęki. Pierdolone jęki. Jak można by o nich zapomnieć?

Było to niewyraźne, głębokie echo, jakby ktoś próbował mówić, ale z jakiegoś powodu zapomniał, jak się porusza językiem. Brzmiało przerażająco. Przypuszczam, że każdy już widział albo słyszał co najmniej jedną z tych bestii, ale chyba nie potrafiłbym opisać dźwięku, jaki wydają, osobie, która nigdy nie miała z nimi do czynienia. To przyprawiający o ciarki ryk, jednocześnie ludzki i nieludzki. Odgłos prosto z piekła.

Położyłem szybko wszystkie leki na metalowej tacy i biegiem wróciłem tam, gdzie zostawiłem Prita. Wiktor był przytomny, siedział sztywno wyprostowany

na wózku inwalidzkim i podtrzymywał prawą dłoń olbrzymi, owinięty bandażami pakunek, jakim była teraz jego lewa ręka. Wydawał się lekko otepiały po morfinie i miał twarz bladą jak ściana, ale poza tym sprawiał wrażenie czujnego i zupełnie świadomego tego, co się dzieje. I wystraszonego. Cholernie, parszywie wystraszonego, tak samo jak ja.

Zapytał mnie, co się stało i gdzie jesteśmy. Szybko opowiedziałem mu o wydarzeniach z ostatnich godzin, od momentu, kiedy miał „wypadek”, do chwili, gdy zostawiłem go na wózku w opuszczonym, ciemnym pokoju. Wtedy dopiero uświadomiłem sobie, jak musiał się przerazić, kiedy odzyskał przytomność i zobaczył, że jest sam, ranny, w mroku, w nieznanym miejscu pełnym hałasów. Gdyby mnie to spotkało, dostałbym zawału. Na bank.

Przez moment wahałem się, czy powinienem mówić mu o obrażeniach, jakich doznał. Do diabła, ma oczy i nie jest kretynem, pomyślałem. Powiedziałem, że chyba stracił dwa palce u lewej dłoni, a serdeczny też nie wygląda najlepiej. Ukrainiec nawet nie mrugnął okiem i chłodno zapytał, czy nadal ma kciuk. Przytaknąłem. To go najwyraźniej trochę uspokoiło. Stwierdził flegmatycznie, że w takim razie nie stało się nic straszego, skoro pozostał mu kciuk i dwa palce, o które może go oprzeć. „Oglądałem gorsze rzeczy – dodał. – Gdybyś widział mojego przyjaciela Miszę w dziewięćdziesiątym piątym, kiedy jego maszyna dostała z trzydziestosiedmiomilimetrowej armaty. On to dopiero miał problem. Mój stan jest całkiem niezły. Wyjdę z tego. A teraz z łaski swojej daj mi tego pieprzonego kałacha i na Boga, przestań robić zamieszanie. Tu chodzi o nasze tyłki”.

Uczucie ulgi było tak wielkie, że niemal się popłakałem. Choć wiedziałem, że pozorny spokój Prita to tylko maska, sam dźwięk jego głosu sprawił, że poczułem się mniej samotny. Podałem mu ciężki karabin. Ukrainiec zawiesił go sprawnie na ramieniu rannej ręki i po omacku sprawdzał magazynek zdrowszą dłoń. Wyglądało na to, że może się doskonale bronić jedną ręką.

Byłem trochę spokojniejszy. Ulżyło mi, że nie muszę już ciągle pilnować nieprzytomnego Pritczenki. A jeszcze bardziej, że ktoś znów będzie mnie

osłaniał. Jednak choć Wiktor starał się zgrywać twardziela, w jego oczach mogłem wyczytać strach i niepokój. Poza tym nie zapomniałem, że potrzebuje pilnie pomocy lekarskiej. Albo jej namiastki, której ja byłbym w stanie mu udzielić. Jakiegokolwiek, ale potrzebował jej natychmiast.

Musieliśmy zwiewać, zanim sytuacja jeszcze się pogorszy. Zostawiłem Lukullusa pod opieką Prita (choć z miny mojego kota wyczytałem, że nie jest zbyt zachwycony, iż znów traci mnie z oczu) i ponownie zagłębiłem się w prowadzący na zewnątrz tunel. Trzeba było sprawdzić, czy droga jest wolna.

Korytarz wciąż spowijały ciemności, tylko od czasu do czasu oświeślały go błyski. Wydawało się, że najgorsza burza już minęła, wprawdzie niebo nadal rozdzierały błyskawice, ale już w dużo większych odstępach. Za to deszcz nie ustał, wręcz przeciwnie, lało jeszcze bardziej. Istne kaskady wody spadały falami z nieba teraz zabarwionego na ciemny fiolet, a wiatr stopniowo osiągał prędkość huraganu. Połamane gałęzie, kora drzew i dziesiątki niezidentyfikowanych przedmiotów fruwały bezładnie po obszernym parkingu z jednej strony na drugą, a strugi deszczu ograniczały widoczność do kilku metrów. Ale to nie miało znaczenia. Najmniejszego.

W deszczu kołysały się dziesiątki Nieumarłych, którzy powoli zmierzali w kierunku szpitala. Zajmowali całą powierzchnię wycementowanego placu. Ta scena tak mnie przerażyła, że niemal zaparło mi dech. Nie widziałem takiego nagromadzenia tych istot od początku plagi i, szczerze mówiąc, ich widok przyprawiał o ciarki.

Byli tam mężczyźni, kobiety i dzieci, w różnym wieku i w różnym stanie fizycznym. Niektórzy na pozór nietknięci, inni ze straszliwymi ranami, jakich nie mógłby przeżyć żaden człowiek. Ogromna większość miała na sobie to, co nosiła w momencie transformacji w jednego z tamtych. Pozostali szli całkowicie nadzy albo zakryci strzępami, w jakie zamieniły się ich ubrania pod wpływem pogody, wypadku czy Bóg wie czego jeszcze; ci wyglądali znacznie bardziej niepokojąco. Zobaczyłem nawet dwóch osobników ze spalonymi ciałami, ciemnosinymi, jakby strawiły je płomienie. Ogień tak zniekształcił im

rysy twarzy, że nie dało się ustalić ich płci ani wieku. Innym brakowało części ciała, jakby zostali rozczłonkowani w wyniku eksplozji. Katalog potworności był niezwykle bogaty.

Z olbrzymiego tłumy wydobywał się chór jęków mrozących krew w żyłach. Setki stóp, obutych albo bosych, wleczonych po ziemi, powodowały chrobot, zagłuszany od czasu do czasu przez huk grzmotu. Błyskawice rozświetlały tę nieludzką scenę, która wyłaniała się z mrocznej otchłani.

Woda spadająca z górnej krawędzi tunelu kapiała mi prosto za kołnierz, ale nawet jej nie czułem. Wciąż ukryty w cieniu rzucanym przez wejście do korytarza koncentrowałem całą swoją uwagę na tej olbrzymiej ludzkiej fali (niezupełnie ludzkiej, poprawiłem się w myślach), która powoli wypełniała moje pole widzenia.

Zachodziłem w głowę, skąd mógł wyleźć taki tłum. Odpowiedź – oczywista – wybuchła w moim umyśle z porażającą jasnością. Okolice szpitala, gdzie widziałem ślady rzezi, były pełne dziesiątków, może setek tych istot. Kiedy podjeżdżaliśmy, ryk silnika znów przyciągnął je w to miejsce, jak lampa ogrodowa przyciąga ćmy. Tym razem, zamiast jechać dalej, zatrzymaliśmy się, dając im czas, żeby nas dopadły. Teraz jest za późno, by ruszyć na pełnym gazie. Wspaniale.

20 kwietnia. Godzina 16.21

Pierwsze istoty dotarły już na wysokość mercedesa zaparkowanego byle jak przy barykadzie z betonowych bloków. Zakląłem. Kiedy wyprowadzałem Wiktora z samochodu, miałem tak zajęte ręce, że zapomniałem zamknąć drzwi od strony pasażera. Dwaj z nich, szczupły, wysoki mężczyzna z otwartą raną na plecach i młody chłopak, góra piętnastoletni, któremu brakowało łydki w prawej nodze, wczołgali się do auta, prawdopodobnie przyciągnięci zapachem, jaki zostawiliśmy w środku.

Otoczenie naszego pojazdu ciasnym kołem i uczynienie go całkowicie niedostępnym było tylko kwestią czasu. Szybko odkrywają, jak dostać się do

szpitala. Opcja ucieczki po otwarciu sobie drogi do samochodu za pomocą karabinu nie wchodziła w rachubę. To oznaczałoby samobójstwo. Nawet zakładając, że wszystkie strzały okazałyby się celne (w moim przypadku to bardziej niż wątpliwe), od mercedesa dzieliła nas zbyt duża odległość, byśmy zdołali utrzymać dyscyplinę ognia niezbędną do osłaniania jednocześnie wszystkich skrzydeł. Tamtych było po prostu za dużo.

Zrozumiałem, jakie przerażenie musieli odczuwać swego czasu obrońcy Bezpiecznych Stref, kiedy stawiali twarzą w twarz z tłumem potworów, dużo większym niż ten tutaj. Próba ich wykończenia była jak walka z mrówkami, które latem wchodzi ci na koc podczas pikniku. Możesz zdeptać dziesiątki, ale wciąż będzie napływać ich więcej. I więcej. Tych skurwieli nie da się powstrzymać. Muszą budzić strach. Ich liczba jest przytłaczająca, a niezaprzeczalny fakt, że są już martwi, czyni z nich groźnego przeciwnika. Nie wahają się, nie śpią, nie odpoczywają, nie znają lęku, nic ich nie powstrzymuje. Z tego co wiem, pragną tylko jednego: dorwać wszystkich, którzy nie są tacy jak oni.

Poczułem w sercu ogromny ciężar. Spróbowałem przełknąć ślinę, ale miałem usta suche jak pergamin. Nie potrafiłem wydać z siebie żadnego dźwięku, normalnie oddychać, jasno myśleć. Nigdy wcześniej nie dotarło do mnie tak wyraźnie, że jestem zwierzyną łowną. Nigdy wcześniej nie dotarło do mnie tak wyraźnie, jak beznadziejne jest nasze położenie.

Świat już nie należy do nas. Należy do nich. I nie wiem, jak długo potrwa taki stan rzeczy.

Lekkie brzęczenie po lewej stronie wyrwało mnie z transu i przywróciło do rzeczywistości. Przyklejony do muru, jedną ręką podpierając się o ścianę, zmierzał w moim kierunku młody, dwudziestokilkuletni chłopak z długimi włosami i w przesadnie luźnych, opuszczonych poniżej bioder spodniach. Długi posrebrzany łańcuch z pękiem kluczy zwisał z prawej kieszeni, w której powinien być schowany. Dyndał przy każdym ruchu, a klucze, już bezużyteczne, obijały się o nogi młodzieńca, powodując ów przytłumiony

dźwięk. To on właśnie mnie zaalarmował.

Jak wszystkie potwory, chłopak miał przezroczystą skórę w błękitnym kolorze, a drobne napęczniałe żyłki tworzyły na niej groteskową mapę. Lewa ręka z wygryzionym bicipsem zwisała mu bezwładnie wzdłuż ciała. Na piersiach, na brudnej, zeszywniałej koszulce, zobaczyłem wyraźnie trzy czy cztery dziury po kulach. Trudno je z czymkolwiek pomylić. W osłupieniu patrzyłem na rany. Jeden z pocisków wszedł prosto w serce, pozostałe trafiły w dolną część brzucha. To musiały być śmiertelne strzały.

Poczułem mdłości. Ta istota już wcześniej starła się z kimś ocalałym, kto użył przeciwko niej broni palnej. Mimo to nadal się poruszała, więc czarno widziałem losy strzelającego. A teraz szła w moją stronę.

Zobaczył mnie. Zamiast jak większość tych chodzących trupów przyjść drogą prowadzącą do szpitala, wyłonił się Bóg wie skąd i posuwał wzdłuż bocznej ściany budynku. Cały tłum kłębił się po drugiej stronie linii worków z piaskiem, próbując znaleźć przejście, on zaś był już w środku. Już mnie namierzył.

Z jego gardła wyszedł głuchy jęk (jak oni, do licha, wydają dźwięki? Czyżby mieli powietrze w płucach? Oddychają?). Przyspieszył kroku, żeby się na mnie rzucić. Tym razem zachowałem większy spokój. Kiedy dzieliło nas piętnaście metrów, zdjąłem z ramienia kuszę, sprawdziłem strzałę i gumę. Rzuciłem okiem na pistolet, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Oparłem się o przepełniony, cuchnący kontener na śmieci, żeby zwiększyć celność. Był już zaledwie trzy metry ode mnie. Nacisnąłem spust.

Strzała wbiła się dokładnie nad górną wargą, niewiele ponad centymetr od kości policzkowej, a ostrze wyszło od strony potylicy. Kości trzasnęły jak łamana sucha gałąź. Potwór gwałtownie się zatrzymał. Z rany pociekła bulgocząca zepsuta krew. Chłopak stracił równowagę. Część bełtu pozostawała w jego polu widzenia, więc bezwiednie próbował go dosięgnąć. Ale, jak u innych Nieumarłych, jego koordynacja ruchowa pozostawiała wiele do życzenia. Machał rękami w powietrzu ponad pół metra od końca strzały. Krew, czarna i śmierdząca, ciekła coraz obficiej. Wkrótce cała dolna część twarzy i

tors potwora zabarwiły się na intensywny ciemnopurpurowy kolor, a jego ruchy stały się wolniejsze i bardziej chaotyczne.

Wreszcie wydał z siebie osobliwy gulgot, wyciągnął do przodu zdrową rękę i runął na ziemię. Gdyby nie budzące grozę okoliczności, rozbawiłby mnie ten teatralny upadek. Ale nie było mi do śmiechu. Rzuciłem się na ciało, żeby odzyskać zakrwawioną strzałę. Już miałem ją chwycić, kiedy nagle sparaliżował mnie strach. Przypomniałem sobie, że lekko skaleczyłem się w palec, a nie mam rękawiczek. Bezradnie spojrzałem na bełt, który niczym maszt flagowy wystawał z tylnej części głowy chłopaka. Tak bliski, a tak nieosiągalny.

Znów się zawahałem. W pokrowcu, który miałem przymocowany do nogi, zostały mi już tylko trzy strzały, porzucenie jednej z nich oznaczało więc znaczną stratę.

Zastanawiałem się, czy nie poszukać w szpitalu lateksowych rękawiczek i po nią nie wrócić, ale szybkie spojrzenie na tłum Nieumarłych przekonało mnie, że nie ma na to czasu. Co najmniej trzydziestu, czterdziestu z nich zdołało pokonać linię obronną i zmierzało w stronę szpitala. A moja sylwetka wyraźnie odcinała się na tle białej ściany. Musiałem wiać ile sił w nogach.

Ostatni raz rzuciłem okiem na zewnątrz, po czym pospiesznie zagłębiłem się w ciemny korytarz. Moje kroki rozbrzmiewały w tunelu głuchym echem.

Dach przeciekał, na środku korytarza utworzyła się kałuża. Widziałem ją wcześniej, ale przez ten cały wariacki powrót zapomniałem o jej istnieniu. Ślizg był wyborny, wręcz mistrzowski.

Przez kilka sekund leżałem na podłodze, łapiąc powietrze, żeby odzyskać oddech. Spróbowałem się podnieść, ale aż jęknąłem z bólu, tak mnie zakłuło w boku. Opadłem na beton, rzucając przekleństwa, od których zakonnica by osiwiiała. Tego tylko brakowało. Będę musiał zdjąć piankę, żeby sprawdzić, czy nie złamałem sobie żebra, choć najprawdopodobniej mam po prostu eleganckiego, gigantycznego siniaka. Cholera. Niezłe uderzenie. Pieprzona kałuża. Pozwę do sądu ten pierdolony szpital.

Na samą myśl o składaniu pozwu w tak straszliwych okolicznościach zacząłem się skręcać ze śmiechu, przez co znowu mnie okropnie zabolowało. Pozew. Ale numer! Wstałem, postępując. Nie mogłem opanować wybuchów histerycznego chichotu. Ruszyłem w stronę szpitala, czując, że nadal kłuje mnie w boku.

Teraz już oficjalnie byłem na skraju załamania nerwowego.

Wciąż czkając obłąkańczym śmiechem, zdrowym bokiem pchnąłem skrzydło drzwi, ponieważ ręce miałem zajęte ładowaniem kuszy. Kiedy znalazłem się w środku, rzuciłem okiem na drzwi. Były podwójne, otwierały się w obie strony. Na dole miały stalowe haki używane do zaczepiania skrzydeł o wystające ze ścian uchwyty. W razie potrzeby można było przymocować je do ściany i zostawić otwarte na oścież.

Zamierzałem wykorzystać te haki w inny sposób. Tuż przy drzwiach, ukryty pod stertą porzuconych materiałów medycznych, leżał stojak do kroplówki z dwoma pustymi workami na wieszakach. Odsunąłem nogą górę gazy, opakowań środków przeciwbólowych oraz bandaży i podniosłem go z podłogi. Zablokowałem drzwi, kładąc stojak na hakach. Zmarszczyłem czoło, zafrasowany. Na filmach wydaje się to dużo prostsze. Mój wynalazek nie wytrzyma zbyt długo naporu tłumu, który za kilka minut rzuci się na drzwi.

Zdyszany wróciłem do Wiktora, który patrzył na mnie z niepokojem, kiedy łąpałem oddech, wsparty na jego wózku. W kilku słowach wyjaśniłem mu, na czym polega nasz problem. Za cholerę nie wyjdziemy tymi drzwiami, poza tym nie miałem żadnych wątpliwości co do tego, że Nieumarli wkrótce zdołają wdrzeć się do holu. Trzeba znaleźć inną drogę. Kompleks tak olbrzymi jak szpital Meixoeiro musiał mieć dziesiątki różnych wyjść i wejść, należało odszukać drzwi po przeciwległej stronie budynku. Kłopot w tym, że aby dostać się do innej części gmachu, musieliśmy zagłębić się w jego czeluści. A ta budowla, wznoszona latami w kilku etapach, była prawdziwym labiryntem sal i korytarzy, nawet dla personelu medycznego, który pracował tu na co dzień.

Nie miałem innej możliwości. Zapytałem Wiktora, czy może chodzić. Mały

Ukrainiec uniósł się, wykrzywiając twarz. Bardzo odważne, ale pozbawione sensu. Po kilku sekundach nogi odmówiły mu posłuszeństwa i opadł na wózek. Resztki morfiny i utrata krwi, w połączeniu ze zmęczeniem i niedożywieniem z ostatnich tygodni, sprawiły, że nie mógł się ruszać. Będę musiał pchać go korytarzami. Niezła perspektywa.

Posadziłem mu Lukullusa na kolanach, wziąłem do ręki latarkę, położyłem drugą dłoń na oparciu wózka i ruszyłem w głąb szpitala. W uszach rozbrzmiewały nam już pierwsze uderzenia Nieumarłych w drzwi prowadzące na oddział ratunkowy.

Postanowiliśmy wyjść jednym z korytarzy, które zaczynały się w głębi sali. Popchnąłem drzwi i zatrzymałem się niezdecydowany. Korytarz był ciemny jak dno studni o północy. Jarzeniówki od nie wiadomo kiedy pozbawione prądu zwisały z sufitu bezużytecznie i przyciągały tony kurzu, a niewielka ilość światła, która przedostawała się z zewnątrz, pozwalała dostrzec jedynie kilka porzuconych na środku podłogi przedmiotów.

Przypuszczałem, że im dalej w głąb szpitala, tym będzie gorzej. Teraz znajdowaliśmy się przynajmniej jeszcze stosunkowo blisko zewnętrznego świata – docierało do nas blade światło błyskawic i słyszeliśmy szum deszczu. Kiedy miniemy kolejne drzwi, trafimy do innej rzeczywistości.

Jednak głównym powodem, dla którego się zatrzymałem, był nie brak światła, tylko zapach. Gdy otworzyłem drzwi, w twarz buchnął nam przenikliwy smród zgnilizny. Choć odór rozkładu i fermentacji panował ostatnio dosłownie wszędzie, nigdy wcześniej nie czułem go tak intensywnie i w takim natężeniu jak tutaj.

Gęste, ciężkie, mocne wyziewy przypominały mi fetor z ruin Bezpiecznej Strefy w Vigo, tyle że dziesięć razy silniejszy, pewnie dlatego, że miejsce było zamknięte, gorące, pozbawione wentylacji. Łzawiły mi oczy, kiedy próbowałem zawiązać na twarzy chustkę. Kaszlnąłem, starając się oddychać przez usta. Poczułem ucisk w przełyku i wzbierające mdłości. Zerknąłem na Prita i przekonałem się, że nie tylko ja cierpiałem – Ukrainiec, zmieniony na twarzy,

także walczył z odruchami wymiotnymi.

Ten zapach śmierci mogły wydzielać jedynie dziesiątki trupów w stanie zaawansowanego rozkładu. Szpital był pełen ciał bez życia. Staliśmy na krawędzi zbiorowej mogiły.

Ruszyliśmy przed siebie korytarzem, Prit oświetlał latarką każdy zakątek, a ja pchałem wózek, wymijając ciała, które od czasu do czasu pojawiały się na naszej drodze. Plan był prosty. Musieliśmy tylko pokonać część parteru, w miarę możliwości starając się przemieszczać w linii prostej, żeby dotrzeć do przeciwległej ściany budynku i wydostać się na zewnątrz od drugiej strony.

Przed wybuchem pandemii taki spacer zajmował pielęgniarzowi, który dobrze znał szpital, najwyżej dziesięć minut. Podejrzywałem, że nam – po ciemku i bez znajomości tego labiryntu – zajmie znacznie więcej.

Przez pierwsze cztery, pięć minut szło całkiem nieźle. Tak szybko, jak to było możliwe, przecięliśmy po omacku kilka kolejnych sal i korytarzy, pełnych sprzętu i materiałów medycznych porzucanych na środku drogi. To dziwne. Szpital sprawiał wrażenie, jakby został ewakuowany w pośpiechu, ale olbrzymia liczba na wpół rozłożonych trupów, które mijaliśmy, świadczyła o czymś wręcz przeciwnym. Może po ewakuacji z jakiegoś powodu byli zmuszeni wrócić do szpitala i tu dopadli ich Nieumarli. Licho wie.

Większość zwłok miała na głowach ślady po kulach, a z kilku zostały tylko strzępy, straszliwie zmasakrowane i częściowo pożarte. Te na pewno by nie odżyły. Niemal wszystkie miały wojskowe buty. Ostatni desperaci broniący szpitala, kiedy reszta uciekała. Uciekała dokąd? Nie znam odpowiedzi na to pytanie...

Kłucie w boku było coraz ostrzejsze. Przed oczami widziałem tańczące białe punkciki, drżały mi nogi. Musiałem nierówno oddychać, bo Wiktor obrócił się na wózku i spojrzał na mnie z niepokojem. Powiedział, że w takim stanie nie możemy iść dalej i lepiej, żebyśmy chwilę odpoczęli. Przyznałem mu rację. Potrzebowałem kilku minut, żeby się uspokoić. Oddychałem za szybko i za głęboko.

Po naszej prawej stronie znajdowały się drzwi ze sklejki prowadzące do przebieralni, z ustawionymi wzdłuż ścian szafkami i długimi ławkami. W głębi stały dwie kanapy i wisiała korkowa tablica z dziesiątkami notatek i ulotek, a w rogu czuwał olbrzymi plastikowy fikus. Na podłodze leżała samotna damska torebka, której zawartość częściowo się wysypała. W świetle latarki zobaczyłem szminkę, portfel i coś przypominającego rączkę szczotki do włosów.

Szatnia pielęgniarek. Niezłe miejsce na krótki odpoczynek.

Zamknąłem drzwi na klucz i opadłem na jedną z ławek. Prit zdrowszą ręką głaskał po głowie Lukullusa, stoicko znosząc ból. Twardy facet. Wyswobodziłem tułów ze skafandra. Byłem przeraźliwie chudy. Mogłem policzyć odznaczające się na skórze żebra. Od miesiący nie zjadłem porządnego posiłku i mój organizm zaczynał ponosić tego konsekwencje. Najbardziej niebezpieczny był niedobór witaminy C spowodowany brakiem świeżego jedzenia i warzyw.

Na prawym boku miałem ogromnego siniaka, który powoli nabierał głębokiego, ciemnofioletowego koloru. Kiedy go dotknąłem, z trudem udało mi się powstrzymać jęk bólu. Złamałem sobie co najmniej dwa żebra. Nieźle.

Połknąłem dwie pyralginy i podniosłem z podłogi torebkę. Przeszukałem jej wnętrze. Rozładowany telefon komórkowy w bawełnianym pokrowcu, zgnieciona paczka lucky strike'ów z zapalniczką w środku, dowód osobisty z zagiętym rogiem. Ze zdjęcia spoglądała na mnie uśmiechnięta dziewczyna o blond włosach i zielonych oczach, bardzo ładna. Laura Viz. W portfelu nie było żadnego dokumentu, który wiązałyby ją ze szpitalem. Nic. W każdym razie dzięki za fajki, Lauro. Zastanawiam się, kim, do licha, byłaś i co, do cholery, robiłaś w tym miejscu.

Włożyłem Pritowi papierosa do ust; zaciągnął się głęboko. Potem zdjąłem prowizoryczny opatrunek, który zrobiłem mu w salonie samochodowym, żeby mógł zobaczyć swoje obrażenia. Palce mały i środkowy zniknęły, pierwszy w całości, drugi do drugiego paliczka. Serdeczny był rozerwany z boku i wymagał co najmniej dwóch szwów, a na wewnętrznej stronie dłoni widniało głębokie

cięcie, które na szczęście już tak bardzo nie krwawiło.

Prit spokojnie podniósł głowę i powiedział, że to nic takiego, ale pilnie potrzebuje zabiegu. Nie tracił już krwi, jednak istniało niebezpieczeństwo zakażenia. Problem w tym, że to ja, z moją podstawową znajomością zasad pierwszej pomocy, byłem jedyną dostępną osobą, która mogła zaszyć mu rany.

Nagle coś mocno uderzyło w sklejkowe drzwi, robiąc u góry sporych rozmiarów dziurę. Wsunęła się przez nią trupia dłoń, cała naszpikowana drzazgami. Wątpiłem, żeby jej właściciel odczuwał ból.

Dłoń się cofnęła i uderzyła kolejny raz, niemal wybijając drzwi z futryny. Skurwiel był przeraźliwie silny. Zrobiłem dwa kroki do tyłu, trzymając mocno latarkę, a Prit odbezpieczył kałasznikowa i wycelował w drzwi, które miały zaraz runąć. Przez dziurę zobaczyłem Nieumarłego. Był to młody mężczyzna, korpulentny, z brodą i kręconymi włosami. Miał na sobie tylko koszulkę firmy Rei Zentolo, zdecydowanie za dużą. Całą łydkę jego prawej nogi pokrywał okazały opatrunek. Założyłbym się o milion euro, że wiem, skąd wzięła się rana. Wystarczyło spojrzeć na twarz.

Słabe drzwi pękły w połowie pod wpływem ostatniego uderzenia i potwór wpadł do pokoju. W tym samym momencie Prit nacisnął spust. W miejscu, gdzie zaledwie sekundę wcześniej było jego lewe oko, pojawiła się olbrzymia czerwona dziura, z której trysnęła fontanna krwi i kawałków kości.

Ciało brodacza zważyło się na podłogę niczym wór kartofli, tuż przede mną. Kopnąłem je, chcąc zyskać całkowitą pewność, że się nie rusza. Trup miał w sobie coś dziwnego. Dopiero po chwili odkryłem, co to takiego.

Był całkowicie przemoczony.

Ta istota dotarła tu sprzed szpitala niespełna pięć minut temu.

Udało im się. Drzwi ustąpiły, szli naszym śladem.

21 kwietnia. Godzina 16.19

Odwrociłem się w stronę Prita, czując spływający mi po plecach pot. Spojrzenia, jakie wymieniliśmy z Ukraińcem, mówiły same za siebie. Nasza sytuacja przyjmowała dość niepokojący obrót. Musieliśmy szybko uciekać.

Zrobiłem mu prowizoryczny opatrunek na dłoni i po cichu opuściliśmy pokój pielęgniarek. Korytarz był pusty, ale wystrzał z kałusznikowa rozpętał w szpitalu atak furii. Jęki i łomot rozlegały się tym razem dużo bliżej. Z zamkniętego pomieszczenia naprzeciwko nas dobiegały głuche dźwięki, jakby uderzenia pięścią. Przyłożyłem dłoń do cienkiej ściany i poczułem, że drży. Coś było dokładnie po drugiej stronie, coś, co wściekle waliło. Odskokczyłem wystraszony. Modliłem się, żeby ta istota – czymkolwiek jest – nie znalazła sposobu, by stamtąd wyjść.

Nagle zaalarmował nas odgłos rozbijanego szkła. Doszedł z jednej z pobliskich sal, przez którą przeszliśmy niespełna dziesięć minut wcześniej. Ktoś zawadził o monitor czy coś w tym rodzaju i roztrzaskał go o podłogę. Ryki było słycać coraz bliżej.

Prit usadził sobie Lukullusa na kolanach, zdrowszą ręką mocno chwycił karabin, a drugą dał mi znak. Ponownie stanąłem za wózkiem i zacząłem go pchać, tym razem szybciej niż poprzednio. Czułem ciężar w żołądku, a po plecach spływał mi zimny pot. Byłem przerażony, naprawdę przerażony, nie wstydzę się do tego przyznać. Myślę, że każdy na moim miejscu umierałby ze strachu, a ten, kto zaprzeczy, jest albo kłamcą, albo nie wie, o czym mówi.

Z korytarza wychodziło się przez zniszczone drzwi do nieco większego holu. Ogromna biała tablica nad naszymi głowami głosiła niebieskimi drukowanymi literami: PEDIATRIA. Wiszące na ścianach dziecięce rysunki łączek z krowami, pajaców i stokrotek nadawały sali wygląd przedszkola, który miał pewnie działać uspokajająco na małych pacjentów.

Teraz jednak nastrój psuły skrzepy zaschniętej krwi pokrywające gdzieś tam dekoracje. Jakby ktoś włączył na środku gigantyczną maszynkę do mięsa. Prit sapnął przestraszony. Ja otarłem czoło. W sali panował niemiłosierny upał.

Z naprzeciwka obserwował nas namalowany na ścianie wielki pajac, który uśmiechał się szeroko, nieświadomy, że twarz przecina mu ogromny skrzep zaschniętej krwi. Na żółtych ogrodnickach miał napisane „Pupi Dudi”, a w okrytej rękawiczką dłoni trzymał pęk balonów. Ociekające krwią ogrodniczki i odprysk tkanki mózgowej na zębach nadawały mu diaboliczny wygląd.

Przeszedł mnie dreszcz. Sympatyczny Pupi Dudi przypominał teraz oszalałego drapieżcę z resztkami swoich ofiar na ustach, który zaraz wyskoczy ze ściany. Ta sala to był koszmar.

Minęliśmy rysunek i poszliśmy dalej, starając się odwracać wzrok od najbardziej nieprzyjemnych scen. Nie trzeba być specjalnie byстрыm, by odgadnąć, że w którymś momencie ktoś okopał się w tej sali i próbował jej bronić. Łatwo się domyślić, jak wyglądało zakończenie. Podłogę pokrywały dziesiątki łusek po kulach, a tu i ówdzie piętrzyły się stosy cuchnących ciał, niemych świadków kompletnej desperacji, która w jakiejś chwili zapanowała w tym pomieszczeniu. Nagle musieliśmy się zatrzymać. Pośrodku korytarza, twarzą do podłogi leżały zwłoki małego chłopca, jedno-, dwulatka, z olbrzymią dziurą w tylnej części czaszki. Przeróżająca scena.

Prit płakał w ciszy, obmacując nerwowo bezpiecznik kałasznikowa. Przypomniałem sobie, że Ukrainiec miał synka mniej więcej w takim wieku. Pewnie na widok tego małego ciała pomyślał o losach swojej rodziny, zagubionej w jakimś zakątku Europy Środkowej. Nie byłem w stanie wyobrazić sobie, przez jakie emocjonalne piekło musi przechodzić Wiktor.

Naszą uwagę zwróciło głucho uderzenie po lewej stronie. W tym miejscu zaczynała się ściana ze szkła i plastiku oddzielająca szeroki korytarz, którym szliśmy, od izolatek na oddziale pediatrii. Znajdowaliśmy się w miejscu, gdzie niegdyś stawali bliscy małych pacjentów, żeby móc popatrzeć na nich przez szybę. Teraz po drugiej stronie panowała całkowita ciemność.

Skierowałem latarkę na szkło, usiłując oświetlić to, co było za nim. Musiał tu istnieć jakiś system polaryzacji światła, bo odbiło się, oślepiając nas na moment. Spróbowałem jeszcze raz – tym razem odwróciłem wzrok – ale bez

większego rezultatu. Nie dało się oświetlić drugiej strony. Szyba zachowywała się jak lustro ustawione na wprost lampy.

Byłem jednak przekonany, że słyszałem jakiś odgłos dobiegający zza ściany. Oparłem rękę o szkło i przykleiłem do niego twarz, próbując zajrzeć do środka.

Niczego nie widziałem. Po chwili jednak mój wzrok przyzwyczał się do ciemności, rozróżniałem kontur łóżka osłoniętego plastikowym namiotem, który wydawał się otwarty z jednej strony. Nagle czyjaś zakrwawiona dłoń walnęła mocno w szybę tuż przy mojej twarzy. Uderzeniu towarzyszył przeciągły jęk. Błękitna buzia sześciolatniej dziewczynki obserwowała mnie z wściekłością z drugiej strony, niecałe dwa centymetry od moich oczu.

Oskoczyłem do tyłu i przewróciłem się na Prita. Serce podeszło mi do gardła. Dziewczynka rytmicznie uderzała dłońmi w szybę, a z jej ust wydobywało się jednostajne wycie. Po chwili dołączył do niej cztero- czy pięcioletni chłopiec, także ubrany w szpitalną piżamę, i walili teraz ze zdwojoną energią.

Podniosłem się śmiertelnie blady. Szyba drżała przy każdej serii uderzeń, ale dzieci najwyraźniej nie miały wystarczająco dużo siły, żeby ją rozbić. Przyjrzałem im się dokładnie. Chłopiec miał głowę łysą jak kula bilardowa. Przypuszczałem, że przechodził radioterapię, kiedy cała ta gigantyczna fala szaleństwa dotarła do szpitala i dosięgła tych, którzy w nim przebywali. Nie dostrzegłem na jego ciele żadnej widocznej rany, ale byłem pewien, że skóra chłopca została gdzieś rozcięta albo zadrapana przez te bestie.

Dziewczynka miała na szyi głębokie rozdarcie. Ktokolwiek to zrobił, przeciął jej tętnicę jednym ugryzieniem, powodując niemal natychmiastową śmierć. Całe jej ciało oblepiała zaschnięta krew. Modliłem się, żeby to była tylko jej krew.

Ten widok wgniół Prita w wózek. Ukrainiec patrzył szklanymi oczami przez szybę i trzymał dłoń lekko opartą na komorze zamkowej karabinu. Z półotwartych ust wychodziły nieartykułowane dźwięki, kiedy lekko poruszał głową to w jedną, to w drugą stronę. Lukullus, ze zjeżoną na grzbiecie sierścią,

parował wściekle, przyłączając się do tej symfonii jęków, uderzeń w szybę i grozy.

Pochyliłem się nad Ukraińcem i szepnąłem mu kilka uspokajających słów. Potem załadowałem pistolet i ruszyliśmy w dalszą drogę. Jeśli te istoty zdołają stamtąd wyjść, ja będę musiał się nimi zająć. Prit nie byłby w stanie strzelić do dziecka, nawet jeśli chodziłoby o jedną z tych bestii.

Korytarz wydał nam się okropnie długi. Dwójka malców podążała równolegle do nas po drugiej stronie szklanej ściany, zawodząc, i od czasu do czasu uderzała w szybę, która na szczęście opierała się ich ciosom. Moja uwaga była podzielona między korytarz, okno, Nieumarłych i Prita, który nie przestawał mamrotać pod nosem. Ukraińcowi także puszczały nerwy.

Dotarliśmy do końca korytarza. Zatrzymałem się niezdecydowany. Szyba zakręcała za naszymi plecami, uniemożliwiając małym istotom dalszą drogę u naszego boku. Wiedziały, że nie mogą za nami pójść, i wyładowywały swoją frustrację waleniem i jękami głośniejszymi niż poprzednie, o ile to było w ogóle możliwe. Miałem niemal całkowitą pewność, że szkło nie pęknie od ich uderzeń, ale nie wydawało mi się rozsądne zostawać i to sprawdzać. Nie wiedziałem, co robić. Na wprost nas znajdowały się dwie pary drzwi, jedno na prawo, roztrzaskane jakby kopniakami, z plamami krwi na framudze, drugie na lewo, zamknięte, nienaruszone, z uchwytem naciskowym zamiast klamki, nie do otwarcia od drugiej strony.

Na pierwszy rzut oka nienaruszone drzwi dawały większą gwarancję bezpieczeństwa. Wydawało mi się jednak, że korytarz, do którego prowadziły, skręca do wnętrza budynku, za to – o ile dobrze rozumowałem – za roztrzaskanymi drzwiami zaczynała się trasa, którą sobie wyznaczyliśmy.

Z ciemnej sali, do której wiodły zniszczone drzwi, dolatywał delikatny powiew. To przeważało. Pokazałem małym potworkom, już zupełnie oszalałym, środkowy palec, podszedłem do drzwi po lewej stronie i je otworzyłem. Miałem nadzieję, że w ten sposób zmylę trochę naszych prześladowców, jeśli dotrą aż tutaj. Potem pchnąłem wózek i przeszedłem przez

prawie, roztrzaskane.

Czułem powiew. To oznaczało, że dociera tu powietrze z zewnątrz. Szliśmy około dziesięciu minut w nieprzeniknionych ciemnościach. Kilka razy trafiliśmy w ślepy zaułek i musieliśmy wracać tą samą drogą. Zaczynałem się martwić o Prita. Wciąż był jakby pogrążony w letargu, obojętny na wszystko, co mijaliśmy. W którymś momencie przeszliśmy obok stalowych drzwi przeciwpożarowych, które lekko drgały. Po drugiej stronie tłoczyła się zgraja Nieumarłych, szarpiąc daremnie ich skrzydła. Ktoś wbił mocno we framugę dwa kliny, żeby je zablokować. Żadna z tych rzeczy nie wzbudziła najmniejszego zainteresowania Ukraińca. Wyglądał jak porażony piorunem.

Pokonaliśmy kilka zakrętów i dotarliśmy wreszcie do miejsca, gdzie było trochę jaśniej. Powiew wydawał się teraz silniejszy i słyszeliśmy szum deszczu. Ulżyło mi. Musieliśmy być bardzo blisko. Cholernie blisko.

Kiedy otworzyłem ostatnie drzwi wahadłowe, nie mogłem powstrzymać okrzyku radości. Przed naszymi oczami rozciągał się ogromny hol, pogrążony w mroku rozświetlanym od czasu do czasu błyskawicami.

Światło wpadało przez długą, oszkloną ścianę wychodzącą na zewnątrz. Po drugiej stronie szyby znajdowały się olbrzymi wyludniony parking i ogrody opanowane przez cierniste krzaki, które w ciszy chłonęły wściekłą ulewę spadającą z nieba. Na pierwszy rzut oka okolica wyglądała na opustoszałą. Maszt z oberwaną, poczerniałą hiszpańską flagą trzymał straż przy swoim zwalonym na ziemię bliźniaku. Na deszczu nie było widać ani jednej istoty, ludzkiej czy nieludzkiej. Uśmiechnąłem się z ulgą. Udało się. Byliśmy uratowani.

Podłogę holu pokrywały papiery, karty pacjentów i skierowania do lekarza we wszystkich kolorach. Z boku zamknięta, ciemna kawiarnia czekała, aż pracownicy, którzy nigdy nie nadejdą, otworzą ją ponownie, żeby obsłużyć personel medyczny, też już nieistniejący. Po przeciwnej stronie znajdowała się pusta recepcja, z mnóstwem telefonów spiętrzonych na ladzie. Kilka słuchawek zwisało luźno na niemych, nieruchomych kablach.

Pośrodku holu, niczym samotna skała, wznosił się kiosk z prasą. Przy metalowej żaluzji leżały stosy jeszcze nierozpakowanych czasopism i gazet. Podszedłem z ciekawości i wziąłem po jednym egzemplarzu każdego tytułu. Miały datę sprzed pięciu miesięcy. Pierwsze strony zawierały informacje o utworzeniu Bezpiecznych Stref i apel o współpracę w przewycięzaniu „kryzysu epidemiologicznego nieznanego pochodzenia”. Jasne, nieznanego. Gówno prawda.

Zawsze byłem zagorzałym czytelnikiem prasy, więc odruchowo zacząłem szybko przerzucać strony. Dział zagraniczny zredukowano do minimum, a sportowy i ekonomiczny zwyczajnie nie istniały. Gazety zrobiły się strasznie cienkie, nie więcej niż paręnaście stron, wszystkie artykuły były poświęcone pandemii. Musiały zostać zredagowane przez mikroskopijne zespoły dziennikarzy, przypuszczam, że jedynych, którzy w tamtych dniach odważyli się chodzić do pracy.

Masa głupot i nedorzeczności, które przeczytałem, wywołała na mojej twarzy uśmiech. To niesamowite, do jakiego stopnia mamili opinię publiczną do ostatniej chwili. Aroganckie, durne skurwysyny.

Podniosłem wzrok i odkryłem, że Prit już nie siedzi na swoim wózku. Upuściłem gazety i z duszą na ramieniu wyszedłem na środek holu, rozglądając się na wszystkie strony. Nagle dostrzegłem drobną sylwetkę Ukraińca odcinającą się w świetle błyskawic na jednej ze ścian.

Ruszyłem w jego stronę. Wiktor wpatrywał się w coś z uwagą. Podszedłem bliżej i zrozumiałem, co przyciągnęło uwagę Ukraińca. Poczułem, jak kurczy mi się żołądek. Wyjątkowo potężna błyskawica, która nagle oświetliła hol, pozwoliła mi zobaczyć całą ścianę.

Była pokryta dziesiątkami, setkami, może nawet tysiącami ogłoszeń i zdjęć. Wszystkie dotyczyły zaginięć. Rodziny lub przyjaciele powiesili je tam w nadziei, że ktoś będzie coś wiedział o ich bliskich. Ze ściany patrzyły na mnie twarze uśmiechniętych ludzi. Wiadomości o rozdzierającej treści, jeśli ktoś widział iksa, proszę, niech skontaktuje się jak najszybciej z takim to a takim

numerem. Igrek, zaginiony trzy dni temu. Iksińska, zaginiona razem z całym szkolnym autobusem półtora dnia temu. Jeśli ktoś widział tę dziewczynkę, proszę dzwonić pod podany numer. Starsza kobieta siedząca za stołem z ozdobami bożonarodzeniowymi, z ogromnym napisem „poszukiwana” namalowanym na dole zdjęcia grubym czerwonym markerem. Fotografia całej rodziny, z uśmiechem pozującej latem w ogrodzie, z hasłem „zaginieni” na górze i numerem komórki na dole. „Javier Piñón, jesteśmy w domu twoich rodziców, dołącz do nas”. „Luisa Sabajanes, jeśli zobaczysz tę wiadomość, nie ruszaj się stąd, będę cię tu codziennie szukał. Kocham cię”. „Jeśli ktoś widział tego mężczyznę, proszę, niech zadzwoni pod ten numer”. I tak dalej.

Ten widok przyprawiał o dreszcze.

Oczywiście.

Szpital.

Logiczne skojarzenie dla poszukującego zaginionej osoby. Tak naprawdę tysięcy zaginionych osób. To dowodziło, jak wielki panował chaos. Kurwa. Przerażające. Niemal czułem sączące się z tej ściany ból i strach. Oglądałem zdjęcia tysięcy martwych osób, a może i zamienionych w bestie.

Wystraszyłem się, kiedy czyjaś dłoń dotknęła mojego ramienia. Odwróciłem się i zobaczyłem Prita. W jego oczach malował się nieskończony smutek. „Chodźmy – powiedział. – Wyjdźmy szybko z tego miejsca, na Boga, albo zwariuję. Opatrz mnie gdziekolwiek, byle nie tutaj. Musimy stąd iść, to miejsce mi się nie podoba, bardzo mi się nie podoba. Chodźmy, błagam”.

Nie musiał mnie dwa razy prosić. Nie tylko Ukrainiec był na skraju załamania nerwowego. Mnie także jeżyły się włosy na głowie w tym makabrycznym miejscu. Chciałem się już stamtąd wydostać.

Podszedłem do drzwi z utykającym Pritem wspartym na moim przedramieniu i z nieźle wystraszoną Lukullusem, który plątał nam się między nogami. Im bliżej wyjścia, tym głośniejsze brzęczało w mojej głowie alarm: coś było nie tak, coś tu nie pasowało. Nie potrafiłem odgadnąć, co to takiego, dopóki nie stanęliśmy przed drzwiami.

Jasne. Drzwi w tej olbrzymiej i supernowoczesnej szklanej ścianie miały postać szerokich skrzydeł przesuwających się po szynach dzięki fotokomórce. Ale brakowało prądu, który by je uruchomił, nie było go od kilku miesięcy, więc pozostawały szczelnie zamknięte.

Mimo to staliśmy tam z Pritem jak głupki, licząc, że jakimś cudem się otworzą. Kiedy wreszcie dotarło do nas, że skrzydła nie przesuną się same z siebie, zareagowaliśmy dość spokojnie. Pritzenko powiedział, że tego rodzaju drzwi muszą mieć jakiś system awaryjny, jakiś bezpiecznik, który można odblokować, żeby otworzyć je ręcznie w razie odcięcia prądu. Dodał, że zwykle umieszcza się go na framudze.

Obmacałem nerwowo brzegi skrzydeł. W końcu moje palce napotkały ukrytą w podłodze klapkę, tuż obok progu. Pociągnąłem za nią i oniemiałem. W środku znajdowała się nalepka z symbolem wyjścia ewakuacyjnego i diagramem wyjaśniającym sposób postępowania, ale nic poza tym, nie licząc kilku gołych kabli. Ktoś wyrwał dźwignię awaryjną z korzeniami.

Obawiając się najgorszego, pobiegłem do pozostałych dwóch par drzwi, ale wszędzie było to samo. Co za obłęd. Ktoś postanowił zamienić tę część szpitala w fortecę i chciał mieć pewność, że drzwi nie otworzą się nawet przez przypadek.

Zauważyłem wbite w siebie spojrzenie Wiktora. Podniosłem wzrok; malowało się w nim niedowierzanie. To czysty surrealizm. Podeszedłem do jednego z filarów i zdjąłem ciężką czerwoną gaśnicę. Zamachnąłem się i cisnąłem nią ze wszystkich sił w szybę. Dźwięczne „plask” rozbrzmiało w holu milionem ech, które na pewno było słychać w całym budynku, ale szkło wytrzymało nienaruszone. Jedynie lekkie draśnięcie znaczyło miejsce, w które uderzyła gaśnica.

Rozgorączkowany ponownie ją rzuciłem, z tym samym rezultatem. W gardle rosła mi lodowa kula. Wyciągnąłem i odbezpieczyłem pistolet. Trzymając go obiema rękami, strzeliłem w szybę.

Gwałtowny odrzut niemal wytrącił mi broń z dłoni. Dwa metry powyżej

miejsca, w które celowałem, zrobił się mikroskopijny otwór. Strzeliłem drugi raz. I jeszcze jeden.

Prit oparł mi dłoń na ramieniu, zmuszając mnie do opuszczenia lufy.

– To bezcelowe – powiedział. – Szyba jest pancerna. Ma co najmniej siedem centymetrów grubości. Nie rozbijesz tego szkła, chyba że ciężarówką.

Ze złością uderzyłem pięścią w drzwi. Byłem wściekły. Tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Od wyjścia dzieliło nas tylko kilka centymetrów, mieliśmy je przed oczyma... a dalej byliśmy uwięzieni. Kurwa mać!

Spokojnie, powiedziałem sobie, zastanów się przez chwilę. Kiedy szliśmy, czuliśmy lekki powiew, prawda? Ten strumień powietrza musiał się tu jakoś dostać. Trzeba tylko sprawdzić którądy.

Stanąłem na środku ogromnego holu, dokładnie na wyrytym na podłodze logo Galisyjskiej Służby Zdrowia. Zamknąłem oczy i rozłożyłem ręce, by poczuć najlżejszy ruch powietrza. Delikatny podmuch musnął moje włosy. Otworzyłem oczy. Wiało z lewej strony, zza recepcji.

Chwyciłem Prita pod rękę i zaciągnąłem go w tamtym kierunku. Ukraińiec próbował desperacko pokonać słabość i z pogardą odrzucił pomysł dalszego poruszania się na wózku inwalidzkim. „Jeśli nas dopadną – powiedział z wielką powagą, spoglądając mi w oczy – chcę zginąć jak mężczyzna, na nogach, a nie siedząc na jakimś pierdolonym wózku”.

Mimo tych stanowczych słów dostrzegłem w spojrzeniu Ukraińca niepokojący, zgaszony blask. Coś pękło mu w środku, kiedy minął tamtą salę pełną dziecięcych ciał bez życia. Widok zwłok chłopca leżących w poprzek korytarza był ostatecznym ciosem dla jego nerwów, od miesięcy poddanych ogromnej emocjonalnej presji. Twardy weteran, który przeżył masakrę w Bezpiecznej Strefie, zimny drań zdolny bez mrugnięcia okiem odciąć głowę kobiecie, z minuty na minutę coraz bardziej się rozklejał. Jestem pewien, że każdy psychiatra zdiagnozowałby u niego nerwicę frontową, gdyby tylko mógł go zbadać. Ale po co nam teraz taka wiedza?

Za recepcją zaczynał się wąski korytarz. Pod ścianą stało dyskretnie kilka

metalowych szaf dużych rozmiarów na wpół ukrytych w mroku. Serwery, odgadłem, kiedy przeszliśmy obok i zauważyłem kłębowisko kabli biegnących wzdłuż dolnej listwy.

Korytarz prowadził do kwadratowego pomieszczenia o olbrzymich czerwonych drzwiach z napisem „Wyjście ewakuacyjne” wymalowanym na futrynie. Dwa drążki naciskowe były związane grubymi łańcuchami. Potrząsnąłem nimi, bez skutku. Gdybym w porę nie przypomniał sobie, że mam w plecaku palnik acetylenowy, nie dałbym rady otworzyć drzwi własnymi siłami.

Za drzwiami ginęły w mroku schody prowadzące na wyższe piętro. Promień latarki oświetlał kolejny podest, niewiele więcej. Mogłem jedynie snuć domysły, dokąd prowadzą, ale bez wątpienia lekki podmuch pochodził właśnie stamtąd.

Ostrożnie wspinaliśmy się po stopniach. Prit niósł przewieszzonego przez piersi kałasznikowa, ja w jednej ręce trzymałem pistolet, a w drugiej latarkę. Lukullus, na wpół uduszony sznurówką, którą miałem przywiązana do nadgarstka, podskakiwał tuż przy moich nogach.

Musieliśmy pokonać jeszcze trzy podesty, zanim dotarliśmy na kolejne piętro. Przed nami otwierała się sala, ciemna i groźna. Rząd łóżek przewróconych na boki tuż przed naszymi nosami miał być czymś w rodzaju barykady. Ktoś próbował stworzyć tu linię obrony, ale wygląda na to, że okazała się mało skuteczna. Lewa połowa linii była kompletnie zniszczona i umożliwiała przejście.

Zaalarmował nas dziwny dźwięk, krótkie mlaśnięcie. Dobiał z za jednego z przewróconych łóżek. Podeszliśmy, starając się nie hałasować, Prit od jednej, ja od drugiej strony. Żeby było mi wygodniej, odczepiłem Lukullusa od nadgarstka i pośpiesznie wykonanym węzłem przyczepiłem go do nogi fotela. Zamieniłem pistolet na kuszę. Narobiliśmy już wystarczającego rwetesu na parterze.

Wiktor dotarł na wysokość łóżek i czekał; spoglądał na mnie

zdezorientowany. Ruchem głowy wskazałem mu, żeby się przygotował. Od jakiegoś czasu Ukrainiec sprawiał wrażenie nieobecnego myślami.

Odetchnąłem głęboko i oświetliłem drugą stronę łóżka. Przykucnięty na podłodze strażnik albo pielęgniarz (nie potrafiłbym powiedzieć na pewno, ale miał na sobie dwuczęściowy strój personelu szpitala) pochylał się nad czymś, czego nie mogłem zobaczyć. Wycelowałem latarką w jego głowę. Kiedy zauważył światło, odwrócił się z zadziwiającą szybkością. Wtedy dostrzegłem dwie rzeczy. Po pierwsze jego twarz, pokrytą popękkanymi żyłami, o martwej, żółtawej skórze, poplamionej świeżą krwią, która ściekała mu po brodzie. Po drugie leżącego na podłodze olbrzymiego czarnego szczura z rozprutym brzuchem. Strażnik spojrział na mnie z wściekłością martwymi oczami nabiegłymi krwią. Był tak pochłonięty swoją zdobyczą, że dał się zaskoczyć.

Nacisnąłem spust niespełna dwadzieścia centymetrów od jego czoła i strzała czysto przeszła czaszkę; zgniła krew obryzgała mi twarz. Położyłem latarkę i rozładowaną kuszę na łóżku i ze wstrętem gorączkowo wytarłem się końcem prześcieradła.

Zaabsorbowany tą czynnością nie zauważyłem, jak drugi Nieumarły rzucił się na mnie od tyłu. Był to młody chłopak z okropną fryzurą przypominającą popielniczkę, z mnóstwem złotych łańcuchów na piersi. Wyglądał jak członek gangu Latin Kings czy ktoś w tym stylu.

Ostrzegł mnie słaby jęk Prita, który obserwował całą scenę szklanymi oczami, ale było już za późno. Kiedy się odwracałem, Popielniczkowłosey chwycił mnie pod pachę i wbił mi zęby w ramię. Jego szczeka nie przebiła grubej warstwy neoprenu, ale nieźle się nagimnastykowałem, żeby uniknąć draśnięcia jego zakrwawionych pazurów.

Złapałem go mocno w pasie i spróbowałem odsunąć od siebie, ale bestia była bardzo silna. Zaczęliśmy zataczać się po całej sali, niezdarnie uderzając we wszystko, co stało nam na drodze. Krzyczałem, prosząc Prita o pomoc, ale Ukrainiec, skulony na podłodze, nie przestawał jęczeć, kiwając się w przód i w tył.

Nieumarły i ja mocowaliśmy się wściekle, spleceni w uścisku. Przypominaliśmy parę obłąkanych, mocno objętych tancerzy, którzy próbują urwać sobie nawzajem głowy. Byłem w niezłych tarapatach. Jeśli puściłbym go jedną ręką, żeby wyciągnąć pistolet, który miałem przy pasie, potwór zyskałby przewagę i mnie pokonał, ale jeślibym tego nie zrobił, wcześniej czy później zdołałby mnie ugryźć, a wtedy koniec.

Nie wiem, w którym momencie upuściłem latarkę. Rozbiła się na kawałki o podłogę i zapanowała całkowita ciemność. Sytuacja stała się rzeczywiście niepokojąca. Siłowaliśmy się w ciszy, bestia uparcie gryzła neopren, a ja jedną ręką próbowałem przytrzymać jej dłonie, a drugą ścisnąłem ją za szyję, usiłując unieruchomić głowę.

Potknęliśmy się o coś twardego i straciliśmy równowagę. Zatoczyłem się jak pijany, wierzgając wściekle, żeby wrócić do pionu, ale siła bezwładności była nie do pokonania. Upadliśmy, nadal spleceni w uścisku. Jakaś ostra krawędź wbiła mi się w posiniaczony bok; jęknąłem z bólu, ale nie miałem czasu na nic więcej. Taniec śmierci zawiódł nas na brzeg schodów i staczaliśmy się z nich z zawrotną prędkością.

Nie wiem, co wydarzyło się w ciągu kolejnych minut. Nie jestem nawet do końca pewien, ile czasu minęło. Wiem tylko, że ocknąłem się spowity w opary rozproszonego bólu, który emanował ze wszystkich porów mojego ciała. Czułem w ustach słony smak. Krew. Pomacałem wargi i odkryłem, że ugryzłem się w język. Spróbowałem wstać, ale moim ciałem wstrząsnął przeszywający ból, jakby w stłuczonym boku doszło do wyładowania elektrycznego. O ile wcześniej mnie bolał, o tyle teraz wręcz palił.

Powoli rozjaśniał mi się umysł. Przypominałem sobie o Popielniczkowłosym. Gdzie, do licha, się schował ten bękart? Pogrzebałem w przywiązany do nogi pokrowcu i wyciągnąłem pogniecioną paczkę lucky strike'ów z zapalniczką, którą znalazłem w damskiej torebce. Była to tania butanowa zapalniczka, z jej ciężaru wywnioskowałem, że jest na wykończeniu. Zapaliłem ją. Słaby niebieskawy płomyk oświetlił lekkim blaskiem całą scenę. Leżałem na podeście

schodów, z głową przy ścianie. Ciało Nieumarłego spoczywało dokładnie u moich stóp, wstrząsane dziwnymi konwulsjami. Rażony bólem zdołałem się trochę unieść, żeby rzucić okiem na swojego przeciwnika.

Dla tego skurwiela upadek skończył się gorzej niż dla mnie. Musiał złamać sobie kręgosłup w jakimś złym miejscu, bo nie był w stanie poruszać nogami ani rękami. Skurczybyk kręcił rozpaczliwie głową z jednej strony na drugą, dzwoniąc zębami jak skarbonka. Spojrzał na mnie z nienawiścią malującą się w martwych oczach. Ten idiota nie stanowił już dla mnie zagrożenia. Niech się goni.

Jednym kopniakiem zepchnąłem go ze schodów, z nadzieją, że rozbije sobie głowę, uderzając o jakiś ostry kant. Podniosłem się obolały i wyczerpany. Kostka prawej nogi urosła mi do niezbyt atrakcyjnych rozmiarów, a przy każdym wdechu czułem, jakby ktoś wbijał mi w bok sztylet. Z ust ciekła mi jeszcze krew, a ból głowy można by zaliczyć do epokowych. Krótko mówiąc, prezentowałem się znakomicie.

Wszedłem po schodach, utykając i trzymając się poręczy dla zachowania równowagi. Zapalniczka parzyła mi rękę, a jej płomyk był coraz słabszy i coraz bardziej niebieski. Plecak leżał na podłodze, dokładnie tam, gdzie go zostawiłem, kiedy zamieniłem pistolet na kuszę. Pogrzebałem w środku i wyjąłem zapasową latarkę.

Omiotłem snopem światła ciemne pomieszczenie, które wyglądało jak po niszczycielskim tornadzie. Prit leżał zwinięty w kłębek w tym samym miejscu co przedtem i chyba nic mu się nie stało. Nagle cała krew spłynęła mi do nóg. Kanapa, na której zostawiłem przywiązanego kota, została przewrócona do góry nogami. A Lukullus zniknął.

Potrząsnąłem drżącym ciałem Prita. Ukrainiec kręcił przecząco głową, beładnie mamrocząc pod nosem rosyjskie słowa. Nie był w stanie dłużej wytrzymać napięcia. Zrzuciłem sobie jego ramię na plecy i pomogłem mu wstać. Mój umysł pracował na pełnych obrotach. Nie mogłem się stamtąd wynieść bez Lukullusa, to oczywiste, ale gonienie za kotem z Pritem na karku

jawilo mi się jako naprawdę trudne zadanie. Musiałem znaleźć miejsce, gdzie Ukrainiec zaczeka bezpiecznie, kiedy ja będę szukał zwierzaka, a potem wrócić po niego i opuścić ten przeklęty, gorszy od piekła szpital.

W jednej ze ścian sali znajdowały się olbrzymie ciężkie drzwi z rzeźbionego drewna. Artystyczne wzory i wielkie klamki z brązu dziwnie kontrastowały z prostym hipernowoczesnym wystrojem wewnątrz. Te niezbyt gustowne wrota przypominały raczej wejście do pałacu w stylu rokoko i zupełnie nie pasowały do otoczenia.

Zaintrygowany podszedłem bliżej i ostrożnie pchnąłem je nogą. Były zamknięte, ale w zamku tkwił ciężki stary klucz. Po dwóch głośnych obrotach otworzyły się. Wszedłem do środka.

Przez wysokie podłużne okna sączyło się łagodne wielokolorowe światło i rzucało na podłogę zielone, niebieskie i czerwone plamy. Przed nami rozciągała się niewielka nawa z podwójnymi rzędami drewnianych ławek po obu stronach, zakończona podwyższeniem, na którym stał ołtarz. Nad nim na grubych stalowych linach wisiał wielki krzyż z ciemnego drewna.

Byliśmy w szpitalnej kaplicy. Co za ironia losu!

Wyczerpany położyłem Prita na ławce. Po kilku sekundach odpoczynku obszedłem małą kaplicę, zaglądając zwłaszcza w najciemniejsze kąty, by upewnić się, że nie mamy towarzystwa. Przeżyłem szczególnie nieprzyjemny moment, kiedy kopnięciem otworzyłem konfesjonał (paraliżowała mnie, napawając wstrętem i przerażeniem, wizja wychodzącego stamtąd Nieumarłego-księdza), ale w końcu mogłem odetchnąć z ulgą. Nikogo w nim nie znalazłem, pusta była również mała zakrystia.

Z przymocowanej do ściany szafeczki wyjąłem coś, co wyglądało na szaty liturgiczne używane w czasie mszy. Doskonale się nadawały. Rozłożyłem je na Pricie, który zapadł w głęboki, niespokojny sen. Tak przykryty, Ukrainiec prezentował się nieco dziwnie. Złapałem go za ramiona i potrząsałem. Musiał poświęcić mi uwagę przez kilka sekund.

Prit przeciągnął się, miał szkliste oczy i zagubiony wzrok. Jego lewą ręką

wciąż wstrząsały drgania, nad którymi nie potrafił zapanować.

– Prit – powiedziałem. – Posłuchaj mnie przez chwilę. Muszę zostawić cię na trochę samego. Lukullus zniknął i chcę go odnaleźć. Rozumiesz mnie? – zapytałem.

Ukrainiec bez słowa kiwnął głową. Wyglądał, jakby zastygł w stanie katatonii. Otuliłem go, odgarnąłem mu włosy z czoła i napiłem z manierki (wgniecionej po upadku na schodach). Odpiąłem ją i położyłem przy Wiktorze. Sam też musiałem usiąść na parę minut, żeby zapanować nad drzeniem nóg. Parę minut wydłużyło się do prawie godziny. Za każdym razem, kiedy miałem zamiar się podnieść i przekroczyć próg kaplicy, paniczny strach nie do opanowania wbijał mnie w podłogę z siłą prasy hydraulicznej.

Wiedziałem, że muszę nad nim zapanować. Gdybym pozwolił mu zapuścić korzenie, byłbym skończony, a Prit razem ze mną. Przez moment rozważałem możliwość pozostawienia Lukullusa na pastwę losu, ale odrzuciłem ten pomysł po chwili krótszej niż czas potrzebny do napisania tych słów. Był nie tylko moim pupilem i nie tylko wiernym towarzyszem od kilku miesięcy. Nie. Mój kot to jedyne, co mnie łączy z poprzednim życiem. Jeśli go stracę, coś zginie we mnie na zawsze, pamięć o moim wcześniejszym życiu ulotni się jak piasek na wietrze. Nie, musiałem za wszelką cenę odnaleźć Lukullusa. Biedak, pewnie umiera ze strachu, ukryty pod jakimś meblem.

Wstając, usłyszałem złowieszcze trzeszczenie w kolanie, które nie zwiastowało niczego dobrego. Byłem bardziej poobijany, niż sądziłem. Zabrałem tylko kuszę (z dwiema ostatnimi strzałami), pistolet, w którym zostało jeszcze siedem kul, i latarkę. Wiktor będzie musiał poradzić sobie bez niej, ale w kapliczce było dostatecznie jasno, żeby dało się coś zobaczyć bez potrzeby korzystania ze sztucznego oświetlenia.

Zostawiłem Prita znowu pogrążonego w niespokojnym śnie i zaryzykowałem powrót do wielkiej ciemnej sali. Zamknąłem za sobą ciężkie wrota kaplicy. Możliwe, że te olbrzymie dębowe skrzydła były najsolidniejszymi i najbardziej wytrzymałymi drzwiami w całym szpitalu. To z pewnością najbezpieczniejsze

miejsce, żeby ułożyć śpiącego Prita. Wahałem się przez chwilę, trzymając w dłoni wielki klucz. W końcu wzruszyłem ramionami, dwukrotnie obróciłem go w zamku i powiesiłem sobie na szyi. Pomyślałem, że najprawdopodobniej za kilka minut będę z powrotem.

Wśród masy porzucanych wszędzie środków medycznych znalazłem pudełko pełne lateksowych rękawiczek. Założyłem jedną parę i wyciągnąłem strzałę wbitą w głowę pielęgniarza. Stał wyszła z plaśnięciem, pokryta kawałkami substancji szarej mózgu w kolorze bardzo ciemnej czerwieni. Powstrzymując odruchy wymiotne, wytarłem ją najlepiej jak się dało o ubranie trupa i włożyłem do kołczana przywiązanego do prawej nogi.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, gdzie mógł być Lukullus. Przypuszczałem, że, przeraźliwie wystraszony bójką, znalazł chwilowe schronienie w jakimś cichym kącie. W domu podczas każdej burzy okopywał się w szafie z pościelą i czekał, aż najgorsze minie. Zniechęcony zdałem sobie sprawę, że szukanie go w tak wielkiej przestrzeni jak ten szpital, z mnóstwem nieznanymi mi zakamarków, w dodatku po ciemku, mogło się okazać desperacką misją, tym bardziej że chodziło o wystraszony kota, który nie miał ochoty zostać znaleziony.

Tak czy inaczej, musiałem spróbować. Wiem, że wygląda to na szaleństwo i że to tylko kot, ale czułem, że mam moralny obowiązek go odszukać. Poza tym po wszystkim, co razem przeszliśmy, utrata Lukullusa złamałaby mi serce. Każdy, kto miał w domu zwierzątko, doskonale zrozumie, o czym mówię. Wołając go szeptem po imieniu, obszedłem salę, aż znalazłem inne, bardzo strome schody, które prowadziły na dół i niknęły w przepastnej czerni.

Poczułem coś dziwnego pod nogami. Skierowałem światło na podłogę. To była olbrzymia kałuża spływającej po schodach wody. Słyszałem odgłos spadających kropel, który odbijał się w ciemności wielokrotnym echem.

Aż podskoczyłem ze strachu, kiedy kilka z nich wylądowało na mojej głowie. Spojrzałem w górę. Nade mną, na znacznej wysokości, jakieś siedem czy osiem pięter wyżej, znajdowało się wielkie okno w dachu, którego pierwotną funkcją

musiało być oświetlanie schodów. Stałem na jednej z klatek schodowych dla personelu. Przez olbrzymi, roztrzaskany świetlik ściekała litrami woda deszczowa, spływała po schodach i zalewała wszystko dookoła.

Znowu poczułem smagnięcie powietrza na twarzy. Ogarnęło mnie przygnębienie, bo zrozumiałem, że podmuchy wiatru docierały właśnie szybem klatki schodowej z rozbitego świetlika w dachu. Nie było tam żadnego wyjścia. Zacząłem tracić nadzieję, że je kiedykolwiek znajdę.

Cichy jęk, słaby, ale wyraźny, wyrwał mnie z tych gorzkich rozmyślań. Wsłuchałem się uważnie, mając wszystkie nerwy napięte jak struny. Tak, znowu go usłyszałem. Zabrzmiał jak skarga dziecka (albo miauknięcie kota, dopowiedziałem sobie w duchu) i zdawał się dochodzić z niżej położonej części pograżonych w ciemnościach schodów.

Zakląłem pod nosem. Piwnica była pierwsza na liście miejsc, których nie miałem ochoty zwiedzać w tym piekielnym szpitalu. Ale wyglądało na to, że z jakiegoś nieznanego powodu Lukullus postanowił ukryć się właśnie tam.

Nie było wyjścia. Zebrałem się na odwagę i ruszyłem po stopniach w dół.

22 kwietnia. Godzina 15.30

Podest na samym dole zamienił się w wielki basen. Z jednego z ostatnich „suchych” stopni patrzyłem zrozpaczony na odbicie światła latarki w czarnej wodzie niknącej w ciemności gdzieś na końcu korytarza. Wyglądało na to, że zebrała się tu cała deszczówka, która wpadła przez rozbity świetlik w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Na jej powierzchni pływały mieniące się barwami tęczy plamy oleju, a tu i ówdzie jakieś puste opakowania.

Uznałem, że Lukullus nie mógł tędy przejść. Pomijając wrodzoną awersję kotów do wody, byłem przekonany, że mój zwierzak nigdy nie zniżyłby się do tego, by zamoczyć choćby jeden włoszek swoich arystokratycznych łapek w tej ciemnej, mokrej sadzawce. Nie. Za cholere.

Już się odwracałem, żeby wejść po schodach, ale zamarłem, słysząc

ponownie odgłos podobny do jęku, który dobiegł mnie chwilę wcześniej. To, co na górze schodów brzmiało jak nieokreślony dźwięk, tu dochodziło bardzo wyraźnie. To było miauczenie kota. MOJEGO kota. Lukullusa. Nie miałem najmniejszych wątpliwości. Nie mogłem się mylić po dwóch latach spędzonych z tym futrzanym playboyem, który całymi nocami miauczał do mieszkających po sąsiedzku kotek.

Skarga, w której wibrowały nutki strachu, rozlegała się dokładnie po drugiej stronie ciemnej wody i była coraz słabsza, jakby dobiegała z coraz większej odległości.

Nie zastanawiając się, jak to możliwe, że Lukullus trafił na przeciwległy brzeg jeziora, zszedłem po schodach, które dzieliły mnie od poziomu podłogi.

Woda sięgała mi mniej więcej do pasa. Część mojego mózgu była w nieokreślony sposób świadoma, że to niemożliwe, by kot przeszedł tędy sam, a więc ktoś lub coś musiało go przenieść. Druga część wołała jednak udawać, że jest głucha na takie rozumowanie, bo inaczej strach zmusiłby mnie do natychmiastowego odwrotu. Sytuacja stawała się coraz bardziej koszmarna.

Rozchlapując głośno wodę, brnąłem mozolnie długim korytarzem stanowiącym część zalanej piwnicy. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widać było mnóstwo zniszczonych przez wodę przedmiotów. Minąłem czarny plastikowy worek, który przykuł moją uwagę. Pływał pośród wielkiej ilości innych śmieci. Podniosłem go końcem kuszy i oświetliłem. Kiedy odkryłem, co to jest, odsunąłem się mimowolnie, a po plecach przeszedł mi dreszcz strachu i obrzydzenia. Znalazłem worek na zwłoki.

Wziąłem głęboki oddech, starając się zapanować nad lękiem. Worek był pusty, zgoda, i wyglądał na nieużywany, ale odkrycie go tam, na dole, nie wróżyło niczego dobrego. Mogło oznaczać tylko tyle, że znalazłem się niebezpiecznie blisko kostnicy. A zważywszy na szczególną naturę moich prześladowców, nie było to najlepsze miejsce do włóczenia się po ciemku.

Łomot gwałtownie zatrzaśniętych metalowych drzwi rozległ się w piwnicy niczym wystrzał armatni i odbił wielokrotnym echem. Mokrymi dłońmi

ścisnąłem kuszę. Pomyślałem, jak wspaniale byłoby móc przytwierdzić jakoś latarkę na jej końcu. Doskonale nadawałby się do tego plaster, ale jedyna rolka, jaką miałem, została w plecaku w kaplicy, przy Pricie.

Zakląłem pod nosem z powodu takiej improwizacji. W ten sposób ograniczałem sobie możliwości ruchu, bo jedną ręką musiałem świecić, drugą strzelać. Z kuszą nie było żadnego problemu (pod wodą najczęściej tak właśnie się z niej korzysta, jedną ręką), ale pistolet to już zupełnie inna sprawa. Z uwagi na potężny odrzut przy strzale potrzebowałem dwóch rąk, aby wycelować i mieć minimalną szansę trafienia. Nie byłoby mi do śmiechu, gdybym zobaczył wygłodzoną paszczę jakiegoś Nieumarłego w odległości mniejszej niż trzy metry od siebie i gdybym zrobił piękną dziurę w suficie, próbując do niego strzelić.

O mało nie upadłem na twarz, potknąwszy się o ukryty pod wodą schodek. Musiałem oprzeć się o ścianę, by zachować równowagę. Przez chwilę latarka tańczyła jak szalona, świecąc we wszystkie strony i wydobywając migoczące błyski z pływającego na powierzchni wody oleju. Powietrze przesycił ostry zapach paliwa.

Stopień był początkiem niewielkich schodków. Od tego miejsca podłoga zaczynała się wznosić i woda sięgała mi już tylko do kostek.

Rozchlapując ją, przebyłem kilka ostatnich metrów korytarza i dotarłem do całkowicie suchej sali, w której głębi znajdowały się ciężkie stalowe wrota. Stałem, zaskoczony tą przeszkodą.

Drzwi nie miały klamki ani gałki. Ciemny otwór zamka otoczony zwykłą osłoną bez wkretów przyglądał mi się szyderczo. Pczęstowałem drzwi wściekłym kopniakiem. Bez klucza daleko nie zajdę. Zrozpaczony pochyliłem głowę i puściłem głośno wiązkę przekleństw. Innymi słowy, zacząłem obrzucać kurwami po kolei wszystkich świętych, przypuszczając jednocześnie szturm na drzwi.

Powstrzymałem ten wybuch wściekłości, kiedy mój wzrok padł na mokre lśniące ślady. Były dwojakiemu rodzaju. Jedne miały rozmiar czterdzieści dwa i

z całą pewnością należały do mnie; drugie, znacznie mniejsze, odcisnęły wyraźny wzór charakterystyczny dla podeszwy obuwia sportowego. Małe ślady dochodziły do drzwi i niespodziewanie skręcały w lewo.

Przyświecając sobie latarką, poszedłem za tymi dziwnymi odciskami, z kuszą w pogotowiu, przygotowany do osłaniania sobie odwrotu w razie spotkania z bestią, która je zostawiła.

Po przejściu czegoś, co wyglądało na pomieszczenie dla sprzątaczek, ślady skręcały za róg i prowadziły w głąb jakiegoś korytarza. Zanurzyłem się w ciemność, czując, że do moich żył pompowany jest strumień adrenaliny. Po skroniach spływały mi krople potu. W ustach miałem sucho jak na pustyni.

Strumień światła szedł za śladami na podłodze, coraz mniej widocznymi. Nagle padł na parę błyszczących czerwonych adidasów. Powoli podniosłem latarkę. Brudne, wytarte dżinsy, cienki wełniany sweter...

Młoda dziewczyna, nastolatka.

Twarz o doskonale owalnym kształcie, z wielkimi zielonymi oczami.

Wystraszony, ale wyrażający zdecydowanie wyraz twarzy.

Świecąca, gładka skóra.

Żywa skóra.

Żywa istota.

Zaniemówiłem z wrażenia. Zamrugałem kilka razy, by upewnić się, że to nie jest złudzenie. Nie, dziewczyna była prawdziwa. Stała tam przede mną. Gdybym wyciągnął rękę, mógłbym dotknąć jej twarzy. Słyszałem, jak jej oddech miesza się z moim. Ogarnęło mnie niesamowite uczucie ulgi. Miałem niepohamowaną ochotę krzyczeć z radości, jednak się powstrzymałem. Czarna lufa karabinu wycelowana w moją pierś nakazywała ostrożność w manifestowaniu szczęścia.

Dziewczyna zrobiła zeza, starając się dojrzeć mnie w ciemności. Zdałem sobie sprawę, że oślepiam ją snopem światła. Ostrożnie odłożyłem latarkę na stół, odsunąłem ręce od kuszy i pokazałem puste dłonie. Zauważyłem, że

przełyka ślinę, bardzo spięta.

– Cześć – powiedziałem na powitanie.

Przestraszyła się, słysząc mój głos. Przez chwilę myślałem przerażony, że do mnie strzeli, tak na wszelki wypadek.

– Cześć – powtórzyłem. – Jak masz na imię?

Dziewczyna się wahała. Jej nerwowe spojrzenie wędrowało od mojej twarzy do wąskiego korytarzyka po prawej stronie, prowadzącego do metalowych drzwi. Była wystraszona. Boi się mnie, pomyślałem zdziwiony. Postanowiłem spróbować po raz trzeci.

– Wyluzuj, nic ci nie zrobię – powiedziałem uspokajającym tonem. – Nazywam się...

Zdanie utonęło w huku, jakiego narobił wystrzał z karabinu.

Obok twarzy przeleciało mi coś strasznie gorącego i roztrzaskało się o mur za moimi plecami. Kula zrobiła w ścianie olbrzymią dziurę, z której spadł na mnie deszcz gipsowych drobinek.

Skuliłem się, przerażony. Ta wariatka chciała mnie zabić.

– Co ty, kurwa, robisz?! – wrzasnąłem, z paniką w głosie. – Nie strzelaj, do cholery! Jestem żywy!

Dziewczyna drżała teraz niczym listek na wietrze. Regulaminowy HK hiszpańskiej armii wyglądał w jej dłoniach jak monstrualne działo. Widząc, jak go trzyma, zacząłem podejrzewać, że broń wystrzeliła sama.

Wyciągnąłem rękę w stronę lufy i odsunąłem ją na bok. Piękność o zielonych oczach nie zaprotestowała. Punkt dla mnie, powiedziałem sobie. Nie schrzań teraz wszystkiego.

W tym momencie ciszę przerwało długie, żałosne miauknięcie. Plecak wiszący na ramionach dziewczyny poruszył się gwałtownie, w środku coś walczyło, żeby wyjść na zewnątrz. Niedomknięty suwak ustąpił nieco i przez otwór wychynęła pomarańczowawa, kudłata mordka z najeżonymi wąsami. Malował się na niej wyraz wściekłości, który tak dobrze znałem.

– Lukullus! – wykrzyknąłem radośnie i odetchnąłem z ulgą, że w końcu znalazłem swojego zgubionego ulubieńca.

Kot zdołał przepchnąć większą część swojego tłustego cielska przez siłą rozsunięty suwak. Machał łapkami jak szalony, zwisając z otworu niczym worek ziemniaków, podczas gdy tylne łapy i wielki ogon miał wciąż uwięzione w plecaku. W końcu ostatnim wierzgnięciem udało mu się całkowicie uwolnić, ale stracił przy tym sporo pomarańczowawej sierści. Wylądował na podłodze, usiadł i przez kilka sekund lizał sobie boki, by odzyskać w ten sposób chociaż część utraconej godności.

Szeroki uśmiech zagościł na mojej twarzy. Stary Lukullus, cały on! Jak należało się spodziewać, u boku kobiety, nawet w samym środku tego koszmaru. Gdzież indziej miałbym go szukać?

Zamyślony przesunąłem dłonią po grzbiecie kota, rzucając długie spojrzenie na jego znalezisko. Dziewczyna stała z karabinem wycelowanym w podłogę i patrzyła na nas ze zdumieniem na twarzy.

Teraz mogłem się jej spokojnie przyjrzeć. Miała szesnaście, najwyżej siedemnaście lat, ale była bardzo wysoka. Niesamowite kocie oczy w zielonym kolorze, które na początku tak mnie zaskoczyły, mocno błyszczały w twarzy o harmonijnych rysach, ozdobionej kilkoma piegami. Gęste ciemne włosy spływały jej na ramiona. Ciało, mocne i szczupłe, miała giętkie jak trzcina. Para krągłych piersi rysowała się pod wielkim znoszonym swetrem, który miała na sobie. Czułem napięcie jej wszystkich mięśni, kiedy tak stała, obserwując uważnie moje ruchy. Żywy obraz pantery szykującej się do skoku.

– Mam na imię Lucía. – Głos był ciepły, może trochę drżący, bo nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna jest wystraszona. – A ty?

Raz jeszcze powtórzyłem, jak się nazywam. Przedstawiłem również Lukullusa, choć, jak dodałem trochę złośliwie, mieli już okazję się poznać.

Intensywny rumieniec pokrył policzki dziewczyny, kiedy pośpiesznie udzielała wyjaśnień.

– Myślałam, że został porzucony – tłumaczyła. – Usłyszałam strzały na górze

i poszłam zobaczyć, co to było. Po drodze spotkałam twojego kota i zabrałam go bez zastanowienia. Nie chciałam go ukraść – próbowała się bronić.

– Wierzę ci – odparłem i uśmiechnąłem się najszerzej, jak potrafiłem, drapiąc Lukullusa za uszami. – Powiedz, co ty, u licha, tutaj robisz?

Cień zasnuł oczy Lucii, a jej ciałem wstrząsnął lekki dreszcz.

– Nie powinnam tu teraz być. – Potrząsnęła głową i po kilku sekundach powtórzyła monotonnym głosem: – Nie powinnam tu teraz być.

– Jeśli cię to pocieszy, ja też nie powinienem tu teraz być. Powiem ci więcej – dodałem i sapnąłem, próbując się wyprostować. – Żadne z nas nie powinno tu teraz być.

– To znaczy, że ktoś z tobą jest? – W jej głosie wyczuwało się autentyczny strach.

– Ukraiński pilot, któremu brakuje dwóch palców u ręki i który zaczyna wariować. Zostawiłem go w kaplicy, żeby sobie odpoczął. – Zauważyłem wyraz zdziwienia na jej twarzy, dlatego dorzuciłem pewniejszym tonem: – Ale to bardzo porządny chłopak. Opiekuję się nim teraz. Myślę, że potrzebuje tylko trochę snu.

Słuchałem siebie i nie wierzyłem własnym uszom. Pięć minut wcześniej dosłownie umierałem ze strachu w ciemnym korytarzu i modliłem się, żeby jak najszybciej stamtąd wyjść, a teraz udawałem chojraka przed tą pięknoscia, niczym wyrostek w cielecym wieku. Fakt, że od miesiący nie spotkałem ani jednej żywej kobiety, ale mimo wszystko trochę przesadziłem.

Lucia jednak najwyraźniej nie zwróciła na to uwagi. Uśmiechnęła się zachwycona, tak jak ja czując ulgę, że nie ma do czynienia z Nieumarłym, i – jak przypuszczam – zadowolona z nowego towarzystwa.

– Gdzie byłaś? – zapytałem. – Ile czasu tu jesteś?

– Prawie trzy miesiące. – Obrzuciła mnie od stóp do głów badawczym spojrzeniem. – Nie należysz do ekipy ratunkowej, prawda? – spytała powątpiewająco.

Wyobraziłem sobie, jak muszę wyglądać, w poplamionym i porozrywanym kombinezonie z pianki, z kuszą zawieszoną na plecach i pistoletem u pasa. Wypisz, wymaluj Pancho Villa [6]. Stetoskop dyndający na mojej szyi zapewne dodawał całości surrealistycznej nutki. Dobrze, że chociaż ogoliłem się w salonie samochodowym. Zgoda, wyglądałem na włóczęgę, szalonego i pokrytego siniakami, ale przynajmniej świeżo ogolonego.

Odchrząknąłem skrępowany tymi dokładnymi oględzinami. Zapytałem, jaką ekipę ratunkową ma na myśli.

– Wojskową, oczywiście! – odparła, jakby zastanawiała się, czy z moją głową jest wszystko w porządku. – Wcześniej czy później będą musieli utworzyć w Bezpiecznych Strefach takie ekipy, żeby ratować tych, którzy jak my zostali na zewnątrz. Siostra Cecilia mówi, że niedługo się pojawiają.

Pokręciłem głową przygnębiony. Trzy miesiące w zamknięciu, odizolowana od świata zewnętrznego. O niczym nie wiedziała. O niczym.

– Nikt nie przyjdzie – wymamrotałem. – Nie ma już żadnej Bezpiecznej Strefy. Wszystko diabli wzięli – dodałem. – Jesteś jedną z nielicznych ocalałych, których spotkałem w ciągu trzech miesięcy.

Lucia patrzyła na mnie w osłupieniu. Myślę, że gdybym powiedział jej, że na kolację przygotowaliśmy dziecko z rusztu na zimno, nie miałyby tak przerażonego wyrazu twarzy.

– Co ty opowiadasz? – Nerwowo wykręciła sobie palce. – To niemożliwe. – Sprawiała wrażenie, jakby mówiła do siebie, nie do mnie. – Musi ktoś przyjść, musi być jakaś władza, która panuje nad sytuacją!

– Nie sędzę. Od kilku tygodni krążę po okolicy i spotkałem zaledwie garstkę tych, którzy przeżyli. – Zapaliłem papierosa. – Ale to nie byli dobrzy ludzie. Bezpieczne Strefy zamieniły się w cmentarze. Brak żywności i choroby osłabiły uciekinierów. – Widząc, że blednie coraz bardziej, w miarę jak mówiłem, dodałem: – A potem te istoty rozniosły w puch umocnienia obronne i wszystkich wykończyły.

Pod Lucią ugięły się nogi. Wzrok miała zagubiony; oparła się plecami o

ścianę i osunęła na podłogę, przytłoczona tym, co powiedziałem.

– Nikt nie został – szepnęła z niedowierzaniem. – Nikt... Co my biedne poczniemy?

– Biedne? – Spojrzałem na nią zakłopotany i nagle przypomniałem sobie, że przed chwilą wspomniała o jakiejś „siostrze Cecylii”. – Jesteś z kimś?

Zamiast odpowiedzieć, skinęła potakująco, a w jej oczach pojawiły się wielkie łzy. Ruchem głowy pokazała mi metalowe drzwi bez klamki, które skopałem kilka minut wcześniej.

Pomogłem jej wstać. Miała delikatną dłoń. Przez krótką chwilę czułem jej zapach. Nie używała perfum. To była subtelna woń, ciepła, ludzka, z nutką czegoś pikantnego, kobieca.

Pachniała kobietą. Aż tak wyostrzyły się moje zmysły po tylu miesiącach abstynencji.

Lucia spojrzała mi prosto w twarz. Przez moment czułem, że tonę w olbrzymich zielonych jeziorach, jakimi były jej oczy. Dzwoniło mi w uszach. Miałem zawroty głowy. Pazury Lukullusa, który próbował wzbudzić moje zainteresowanie, sprawiły, że wróciłem do rzeczywistości. Kot starał się wspiąć po mojej nogawce, niezadowolony, że poświęcamy mu tak mało uwagi.

Dotarliśmy do początku schodów, pokonując głębokie rozlewisko. Choć dopiero się poznaliśmy (a może właśnie dlatego), szliśmy obok siebie bez słowa. Od czasu do czasu jedno z nas, rozchlapując wodę, zawadzało stopą o jakiś zatopiony przedmiot i musiało się oprzeć na drugim. Wtedy mamrotało krótkie „dziękuję” albo „ostrożnie”, ale nic poza tym.

To ciekawe. Do tej pory byłem przekonany, że kiedy spotkam kogoś, kto ocalał i nie jest lakonicznym Ukraińcem, będę gadał jak najęty. Teraz jednak milczałem, nie wiedząc, co powiedzieć, speszony jak nastolatek na pierwszej randce. Myślę, że z nią było podobnie.

W rzeczywistości to, co się z nami działo, miało bardzo proste wytłumaczenie. Po tylu miesiącach izolacji i milczenia, po tylu stresach i niebezpiecznych chwilach umieliśmy doceniać aż do bólu wartość ciszy.

Odkryliśmy, że są rzeczy, o których nie trzeba mówić głośno, aby wiedzieć, że istnieją. Jedną z nich była obecność innej żywej istoty. Oboje cieszyliśmy się tym na nowo odkrytym doświadczeniem tak intensywnie, że uznaliśmy (przynajmniej ja uznałem), iż czar prysnie, jeśli się odezwiemy. Dotarcie do drzwi kaplicy zajęło nam kilka minut. Miałem wrażenie, że przejście tej drogi w tamtą stronę trwało całą wieczność i że tym razem pokonaliśmy ją w zadziwiająco krótkim czasie. Może przyczynił się do tego fakt, że nie spotkaliśmy ani jednego Nieumarłego. Potwory swobodnie przechadzały się po całym budynku, ale wyglądało na to, że dziewczyna bardzo dobrze zna szpital. Prowadziła mnie korytarzami, w których – jak się wydawało – od miesiący nikt nie postawił stopy. Szedłem oszołomiony. Spotkanie pierwszej ocalałej kobiety, która mówi w moim języku, która nie chce od razu do mnie strzelać i która jest jeszcze bardziej bezbronna niż ja, było dla mnie prawdziwym wstrząsem. Potrzebowałem czasu, żeby to przetrawić.

Zdjąłem klucz, który miałem zawieszony na szyi, i wsunąłem w zamek drzwi od kaplicy.

Pierwsza myśl, która przyszła mi do głowy po wejściu do środka, to że Prit nie żyje. Głowa zwisała mu na piersiach pod nienaturalnym kątem; nie drgnął mu nawet jeden mięsień. Częściowo zsunął się z ławki, na której niedawno go posadziłem. Ciało miał zwiotczone i rozluźnione, jakby znajdował się milion lat świetlnych stąd, a nie w brudnym, opuszczonym, pełnym trupów szpitalu.

Podbiegłem szybko, przygotowany na najgorsze. Ukraińiec nie zniósł napięcia. Tyle miesięcy u kresu wytrzymałości miało swoją cenę... Zdziwiłem się, że płaczę. Nie, to niemożliwe. Prit, nie, proszę. Proszę.

Kiedy znalazłem się przy nim, stwierdziłem, że żyje. Odetchnąłem z ulgą. Przycisnąłem głowę Wiktora do piersi. Jeszcze nie teraz, stary przyjacielu, jeszcze nie teraz. Wytrzymaj trochę.

Pritczenko żył, to pewne, ale jego stan budził niepokój. Miał szklany wzrok, zagubiony gdzieś w nieskończoności, i wygląd bezbronnej, kruchej istoty. Z kącików ust spływała mu cienka strużka śliny. Powtórzyłem kilka razy jego

imię, ale nie zareagował. Jakby był w stanie katatonii. Całkowicie nieobecny duchem.

Lucia stała kilka kroków za mną i zdumiona przyglądała się moim wysiłkom. Na pewno zadawała sobie pytanie, jak, do licha, udało mi się dotrzeć aż tutaj, taszcząc kalekę. Trzeba było go widzieć. Wąsaty kurdupel z ręką na temblaku, zalany krwią, z mnóstwem niewielkich świeżych skaleczeń na twarzy, który na dodatek wyglądał, jakby odleciał na inną planetę.

Poczułem na plecach jej pytające spojrzenie. Ogarnęła mnie złość. Jak, do diabła, miałem wytłumaczyć jej wszystko, co przydarzyło się Pritowi, zanim tu dotarł? Jak wytłumaczyć jej cały horror, któremu musieliśmy stawić czoło, żeby trafić do tego nędznego, zaniedbanego pomieszczenia?

Lucia wzięła Prita pod ramię i o nic nie pytając, pomogła mu wstać. Przemawiała łagodnym głosem. Zdziwiła mnie delikatność, z jaką go potraktowała. Wyglądała jak dziecko opiekujące się kaczuszką ze złamanym skrzydełkiem.

Ruszyliśmy powoli w stronę metalowych drzwi w piwnicy. Było dla mnie wtedy oczywiste, że w tej sytuacji opuszczenie szpitala z Pritem jest absolutnie niemożliwe. Jasne, mógłbym spróbować zrobić to w pojedynkę (to znaczy razem z Lukullusem) i z pewnością by mi się udało, ale taka opcja w ogóle nie wchodziła w rachubę.

Nie mogłem porzucić Prita na pastwę losu; dziewczyny też nie. Poza tym na myśl, że znowu będę bez towarzystwa, poczułem, że wszystko się we mnie przewraca. Nie, musiałem tu z nimi zostać, na dobre i na złe. Jeśli potrafiłem znieść wszystkie próby, jakim zostałem dotąd poddany, wytrzymam i to, co los zgotuje mi w przyszłości.

Dotarliśmy w końcu do metalowych drzwi bez zamka. Lucia zastukała w nie kilka razy (dwa szybkie uderzenia, trzy w większych odstępach i na koniec głośne kopnięcie) i czekała. Po paru sekundach ktoś zaczął manipulować przy mechanizmie zamykającym je od wewnątrz i drzwi się otworzyły. Zza framugi trysnął strumień światła, na moment nas oślepiając.

Światło.

Światło elektryczne. Jakimś cudem miały tam światło elektryczne.

Bezwiednie zrobiłem dwa kroki naprzód i zatrzymałem się w drzwiach. Pachniało jedzeniem, czymś bardzo smacznym, jeśli sądzić po rozchodzącej się woni. Spojrzałem za siebie, w głąb ponurego, mokrego, ciemnego tunelu, który zostawiałem za plecami.

Zawahałem się. Miałem złe doświadczenia z innymi ocalałymi. Nie wiedziałem, co spotkam po drugiej stronie, a raczej kogo, i jakie będzie miał zamiary. Zważywszy na okoliczności, wydawało się jednak, że warto to sprawdzić. Zresztą nie miałem innego wyjścia. Nie zastanawiając się dłużej, przekroczyłem próg.

Ciężkie metalowe drzwi zamknęły się za mną z głuchym łoskotem, ponownie pogrążając korytarz w ciemnościach.

Tak czy inaczej, byliśmy już w środku.

Numancja

Połowa lipca. Godzina 15.40

To były trzy magiczne miesiące, które pozwoliły mi odzyskać równowagę psychiczną i sprawiły, że przestałem się czuć osaczonym zwierzęciem. Trzy miesiące, które przypomniały mi, że jestem ludzką istotą, a nie kawałem mięcha walczącym o przetrwanie.

Odzyskałem siły nie tylko psychiczne, ale i fizyczne. Wypoczynek, dobre odżywianie, a przede wszystkim troskliwa opieka moich nowych towarzyszek przywróciły mi formę z czasów, zanim rozpętało się to piekło. Jednak nie wszystko dało się wyleczyć. W środku narosły całe pokłady zawziętości i goryczy, jak u weterana wojennego. Moja skala wartości uległa zmianie, nie przykładalem już wagi do tych samych rzeczy co dawniej. Ja też się zmieniłem.

Nie wiem, dlaczego mnie to dziwi. Przecież zmienił się cały ten cholerny świat.

Stanowimy teraz czteroosobową grupę, oczywiście nie licząc Lukullusa. Doszły do nas Lucia i siostra Cecilia. Zakonnica w samym środku tego szaleństwa. Kto jej nie widział, nie uwierzy. Kiedy to piszę, widzę, jak obie kobiety odwrócone do mnie plecami krzątają się przy piecu. To cudowne jeść codziennie ciepły posiłek.

Mamy fantastyczne schronienie. Za metalowymi drzwiami piętro wyżej zaczynają się krótkie schody prowadzące do miejsca, w którym się teraz znajdujemy – do piwnicznej części szpitala całkowicie odizolowanej od reszty budynku. W tej strefie ulokowano olbrzymie kuchnie, które obsługiwały cały kompleks i wydawały codziennie tysiące posiłków przeznaczonych dla pacjentów i personelu.

Prowadzą tu tylko trzy drogi. Jest winda towarowa, która transportowała posiłki do sali piętro wyżej, skąd je rozwożono, odcinek ogólnych schodów łączący kuchnie z resztą szpitala i wyjście awaryjne, którym my dostaliśmy się do środka. Windę unieruchomiono w podziemiach kawałkiem żelastwa, dzięki

któremu jej kłapa jest stale otwarta, a z ogólnych schodów nie można korzystać, bo dostęp do nich został odcięty na górze grubymi drzwiami zabezpieczonymi łańcuchami.

Pozostały już tylko schody ewakuacyjne, którymi my trafiliśmy do tej piwnicy. Jedyne wejście i wyjście zablokowane drzwiami przeciwpożarowymi. Nie ma nic pewniejszego.

Ale nie to jest najlepsze. Na nasze szczęście generatory awaryjne nadal działają i zaopatrują w prąd tę część szpitala. Co oznacza, że gigantyczne zamrażarki kuchenne, wypełnione żywnością, która wystarczyłaby na wykarmienie całej armii, nadal spełniają swą funkcję. Ponieważ jest nas tylko czworo (plus kot, który je za dwóch), wyliczyłem, że zamrożonych produktów wystarczy na najbliższe dwa lata.

Szpital dysponuje własnym ujęciem, więc woda również nie stanowi żadnego problemu (przed laty, kiedy kopano doły pod fundamenty budynku, natrafiono na olbrzymie złoża wód gruntowych, które na jakiś czas sparaliżowały prace).

Jedynym powodem do zmartwienia jest ewentualna awaria generatorów albo wyczerpanie zapasów paliwa, które je zasila. Nie wiemy, gdzie dokładnie się one znajdują ani gdzie jest rozdzielnica elektryczna. Chociaż próbujemy maksymalnie ograniczyć zużycie prądu, zapasy oleju napędowego nie są nieskończone. Wcześniej czy później przyjdzie nam się zmierzyć z tym problemem.

Siostra Cecilia Iglesias (woli, żebyśmy nazywali ją po prostu „siostrą”) jest wyjątkową istotą. To niska, gruba, wesoła kobieta o inteligentnym błysku w oczach, ma pięćdziesiąt kilka lat i pochodzi z jakiejś zapadłej wioski w prowincji Ávila. Ostatnich piętnaście lat spędziła jako misjonarka w Kenii, gdzie pracowała w szpitalu, który jej zgromadzenie prowadzi około dwustu kilometrów od Nairobi. Wicher pandemii zastał ją na lotnisku w Vigo, dokąd przyleciała, żeby wygłosić kilka pogadanek w prowadzonych przez Kościół szkołach w tej prowincji. Początkowo zamieszkała w jednym z przepełnionych hoteli w mieście, czekając, aż wszystko się uspokoi. Kiedy było już oczywiste, że

sytuacja wymknęła się spod kontroli, ta energiczna kobieta nie chciała odgrywać roli zwykłej biernej uciekinierki.

Dowiedziała się, że szpital Meixoeiro nadal funkcjonuje i przyjmuje setki osób, mimo dramatycznego braku personelu medycznego (większość pracowników uciekła albo zginęła). Bez chwili wahania stawiała się, żeby zaoferować swoje usługi jako pielęgniarka. Ostatnie tygodnie cywilizacji spędziła pogrążona w wirze wyczerpującej pracy, bez dostępu do wiadomości ze świata zewnętrznego. Kiedy ja siedziałem wygodnie okopany w domu, siostra zajmowała się rannymi napływającymi do szpitala niewyczerpanym, niszczącym wszystko na swojej drodze strumieniem.

Wygląda na to, że Meixoeiro był najdłużej działającą placówką służby zdrowia. Niezliczone karetki pogotowia i prywatne samochody, którym udało się przedrzeć przez chaos, zostawiały na progu szpitala kolejnych rannych.

Siostra Cecilia opowiedziała mi, że przy wejściu do oddziału ratunkowego dwóch wyczerpanych lekarzy wojskowych w mundurach polowych dokonywało pierwszej selekcji pacjentów. Wszyscy, którzy mieli ślady ugryzień, zadrapań albo jakikolwiek kontakt z zarażonymi, byli eskortowani przez żołnierzy do innego „wyspecjalizowanego ośrodka medycznego” w okolicy.

Nie miałem odwagi powiedzieć tej pobożnej kobiecie, że nigdy nie istniał żaden „wyspecjalizowany” szpital. Obym się mylił, ale sądzę, że przeciążeni pracą wojskowi stosowali wobec beznadziejnie rannych swoją wersję „ostatecznego rozwiązania”. Prawdopodobnie gdzieś na otwartym polu w promieniu kilku kilometrów stąd leżą teraz setki trupów z kulą w głowie i gniją powoli w zbiorowej mogile. Tak straszliwie wyglądała sytuacja.

Ale oprócz tych nieszczęśników przybywały jeszcze setki chorych i rannych, których zapracowany personel szpitala z trudem był w stanie obsłużyć. Ofiary wypadków drogowych, ranni w czasie zamieszek i napadów rabunkowych, pacjenci z zawałem serca, zapaleniem wyrostka... Cała gama najróżniejszych przypadków i dolegliwości, które mogą się przytrafić człowiekowi – wszystko

to płynęło do upadającego Meixoeiro.

Któregoś dnia nadszedł niespodziewanie rozkaz ewakuowania szpitala do Vigo. Władze nie były już w stanie zapewnić porządku poza Bezpieczną Strefą. Tylko połowa karettek wyjeżdżających do wezwania wracała. Pozostałe ginęły gdzieś w tajemniczych okolicznościach.

Pewnego ranka pojawiła się kompania wojsk powietrznodesantowych, która miała zorganizować konwój ewakuacyjny. Setki chorych i rannych upchnięto w odkrytych ciężarówkach wojskowych, ambulansach, taksówkach, prywatnych samochodach, we wszystkim, co miało cztery koła i jeździło. Oprócz nich zabrano tony leków i większość wycieńzonego personelu medycznego. Ponad stu pacjentów w zbyt ciężkim stanie, żeby ich dokądkolwiek przewozić, trzeba było zostawić w szpitalu. Mała grupka ochotników, wśród nich siostra Cecilia, postanowiła zająć się biedakami, którym w przeciwnym razie groziłaby nieodwołalnie powolna i pełna cierpienia agonia w całkowitej samotności. Może taki koniec byłby lepszy.

Wśród ochotników znalazło się trzech lekarzy i pięć pielęgniarek, w tym siostra Cecilia. Do ich ochrony przydzielono niewielki oddział będący zbieraniną żołnierzy i policjantów z różnych formacji. Ich zadaniem było okopać się w szpitalu i czekać na silną ekipę ratunkową, która miała nadejść „później”. Taka ekipa oczywiście nigdy się nie pojawiła.

Personel medyczny walczył o utrzymanie przy życiu pacjentów w najcięższym stanie, wojskowi zaś byli zajęci blokowaniem dróg dostępu do szpitala (stąd zabezpieczone drzwi, na które się natknęliśmy). Wykazując makabryczne poczucie humoru, jakiś młodszy chorąży nadał piwnicy, w której teraz jesteśmy, nazwę „Numancja”. Gdyby punkty oporu padły, wszyscy mieli się tam schować. Generatory przestawiono na automatyczny tryb pracy i z wyjątkiem kuchni odcięto prąd w całym budynku, żeby maksymalnie zredukować zużycie energii. Pozostawało już tylko czekać.

Wtedy pojawiła się Lucía. Ma zaledwie siedemnaście lat („prawie osiemnaście”, jak bezustannie powtarza), ale jej uroda już robi wrażenie.

Mieszkała z rodzicami w Bayonie, małej miejscowości turystycznej położonej niecałe dwadzieścia kilometrów od Vigo. Kiedy przyszedł rozkaz ewakuacji ludności cywilnej do Bezpiecznych Stref, władze miasta starały się wykonać go w sposób planowy i uporządkowany. Jakimś cudem zdołano zebrać autobusy do przewiezienia ludzi. Tysiące osób czekały cierpliwie pod hotelem na małym półwyspie, a w tym czasie autobusy niezmordowanie krążyły na krótkim odcinku między Bayoną a Bezpieczną Strefą.

W całym tym zamieszaniu Lucía wsiadła do innego autobusu niż reszta jej rodziny. Ufając, że po kilku minutach spotkają się w Vigo, spokojnie pozwoliła, by wywieziono ją z Bayony, jak wszyscy zbyt przerażona sytuacją, żeby protestować.

Tymczasem autobus z rodzicami Lucii nie dotarł do celu. Zaginął w tajemniczy sposób gdzieś po drodze. Oczywiście myślała o najgorszym. W tamtym czasie pętla wokół Bezpiecznej Strefy zaciskała się coraz bardziej. Wszędzie roило się już od Nieumarłych.

Zdesperowana Lucía prawie odchodziła od zmysłów. Nie miała żadnych informacji o losie rodziców, była sama, przytłaczała ją atmosfera marazmu panującą w Bezpiecznej Strefie. Spała z trzystu innymi osobami w dawnej hali chłodniczej, zdana, jak wszyscy, na coraz mniejsze racje żywnościowe. Postanowiła, że za wszelką cenę musi odnaleźć swoich bliskich. Sensownie uznała, że skoro nie ma ich w Bezpiecznej Strefie, jedynym miejscem, gdzie mogliby przebywać, jest szpital Meixoeiro, w którym okopała się niewielka grupka osób. Kiedy więc zaczęto rekrutować wśród cywilów ochotników do ekip poszukiwawczych, była jedną z pierwszych, którzy zgłosili się do biura werbunkowego.

Dostała bluzę kamuflażową, o kilka rozmiarów za dużą, i ciężkie wojskowe buty, ale nie broń. Nie wystarczało jej dla wszystkich, kończyła się amunicja, poza tym delikatna dziewczyna nie budziła pewnie zbyt dużego zaufania dowodzącego oficera. Miała się zajmować wyłącznie przenoszeniem towarów. Kiedy docierali do któregoś z celów, zwykle małego sklepiku czy osiedlowego

supermarketu, jedna ekipa otaczała lokal kordonem, a druga robiła wstępny rekonesans w środku. Gdy teren był już zabezpieczony, tragarze, sami cywile, mieli za zadanie szybko wynieść jak najwięcej produktów spożywczych o długiej dacie ważności. Chwyтали po prostu w zawrotnym tempie każdy przydatny towar, który wpadł im w ręce.

Przez trzy wycieńczające tygodnie Lucía igrała ze śmiercią podczas każdego z takich wypadów. Widziała, jak umiera kilku członków jej ekipy, a raz samaomal nie padła ofiarą Nieumarłego, który przyczał się w którymś ze sklepów. Mimo to dalej wyjeżdżała, dzień w dzień, czekając na odpowiednią okazję.

Wreszcie taka się nadarzyła. Tamtego dnia cel wyprawy leżał względnie blisko Meixoeiro, więc Lucía odłączyła się od swojego zespołu i rozpoczęła pieszą wędrówkę w stronę szpitala. Mówi, że było to najstraszliwsze czterdzieści osiem godzin w jej życiu. W nocy chowała się w położonych wyżej, niedostępnych miejscach, a wraz z pierwszym światłem poranka ruszała w dalszą drogę, wymijając kolejnych Nieumarłych, zmuszona spędzać długie chwile, czasem całe godziny, ukryta, w oczekiwaniu, aż napotkani drapieżcy pójda sobie gdzie indziej.

Kiedy wreszcie dotarła do szpitala, wywołała ogromne zdziwienie stacjonującego tu plutonu żołnierzy. Od tygodni nie widzieli w okolicy żadnej żywej istoty, poza zabłąkanymi grupami Nieumarłych, którzy od czasu do czasu trafiali w pobliże szpitala. Widok dziewczynki w stroju żołnierza szukającej swoich rodziców bardzo ich zaskoczył.

Rzecz jasna w szpitalu nie było śladu po rodzicach Lucíi, nikt też nic o nich nie wiedział. To załamało dzielną dziewczynę. Nagle uświadomiła sobie, że prawdopodobnie została zupełnie sama, i nie wiedziała, co robić.

Jednak najgorsze dopiero miało nadejść. W warunkach, jakie wówczas panowały, obecność ładnej dziewczyny wśród młodych mężczyzn, odizolowanych i ulegających zwierzęcym popędom, tylko zwiększała ich napięcie seksualne. Kłótnie i bójki hiperpodnieconych żołnierzy stawały się coraz częstsze. Wreszcie pewnej nocy jeden z członków ekipy po pijaku

próbował ją zgwałcić. Na szczęście któryś z lekarzy w porę zatrzymał napastnika, mimo to sytuacja powoli zaczynała się wymykać spod kontroli.

Porucznik stojący na czele oddziału rozkazał, żeby przebywające w szpitalu kobiety (czyli Lucía i siostra Cecilia) zamknęły się w „Numancji” i pod żadnym pozorem jej nie opuszczały. Na nic zdały się protesty zakonnicy i oburzenie Lucíi. Porucznik, wojskowy ze starej szkoły, nie chciał dowodzić mieszaną grupą złożoną z kobiet i mężczyzn i nie dopuszczał żadnej dyskusji. Przez dwa tygodnie musiały gotować i pomagać ekipie z wyższych pięter. Tymczasem pacjenci umierali powoli jeden po drugim, albo z powodu ciężkiej choroby, albo z braku specjalistycznych leków, albo dlatego, że w takich warunkach nie można było wykonać żadnego zabiegu chirurgicznego. Obrońcy ograniczali się do czekania.

Nie trwało ono długo. Zaledwie dwie noce po tym, jak stracili łączność radiową z Bezpieczną Strefą, w okolicy szpitala zaczęły się gromadzić setki Nieumarłych. Zamiast zrobić wszystko, by ich nie zauważono, dowodzący plutonem porucznik, nadęty kretyńską chwałą, rozkazał otworzyć zmasowany ogień. Serie z broni automatycznej podziały jak magnes i przyciągnęły prawdziwy tłum tamtych.

Wreszcie Nieumarli zdołali wejść do środka. Ani siostra Cecilia, ani Lucía nie były w stanie wyjaśnić mi, jak do tego doszło ani co dokładnie się wydarzyło, bo kiedy wyżej rozgrywała się tragedia, one siedziały okopane w piwnicy. Powiedziały tylko, że jeden z żołnierzy, młody, wystraszony chłopak mówiący z wyraźnym andaluzyjskim akcentem, na chwilę zajrzał do „Numancji” i poradził im, żeby zamknęły drzwi od środka.

Przez kilka godzin słyhać było wystrzały, a od czasu do czasu nawet jakieś wybuchy. Początkowo dobiegały z zewnątrz, ale wkrótce zaczęły rozlegać się w szpitalnych korytarzach, aż w końcu zupełnie ustały. Zakonnica i nastolatka czekały cierpliwie prawie dwie godziny, aż ktoś się zjawi i powie im, jak wygląda sytuacja. Nikt jednak nie przyszedł.

Lucía zdobyła się na odwagę i zaryzykowała wyjście z „Numancji”, żeby

sprawdzić, co się stało z żołnierzami. Ujrzała to samo, co kilka miesięcy później zobaczyliśmy z Pritczenką. Opustoszałe korytarze, wszędzie ślady walki i ani jednej żywej istoty.

Od tamtej pory obie kobiety mieszkały w piwnicy, odseparowane od świata zewnętrznego. Miały tutaj nie tylko prąd, wodę i jedzenie, ale także schronienie przed Nieumarłymi. Przede wszystkim jednak nie wiedziały, dokąd pójść ani co mają zrobić. W pełni zdawały sobie sprawę, że ich możliwości na zewnątrz będą bardzo ograniczone i że same daleko nie dotrą. Uznały więc, że najlepiej zaczekać, aż nadejdą oddziały ratunkowe.

Ale jedynymi osobami, które się pojawiły, było dwóch ocalałych mężczyzn z kotem, zmęczonych, rannych, wygłodzonych i zdezorientowanych. Nasze przybycie oraz wiadomości, które przynieśliśmy z zewnątrz, wzbudziły w nich jednocześnie przerażenie i nadzieję. Przerażenie, bo odkryły, że nic nie zostało ze społeczeństwa, które znały, i nadzieję, bo nasza obecność pozwoliła im wreszcie dostrzec wyjście z tej koszmarnej sytuacji.

Wiktor czuje się dużo lepiej. Kiedy przekroczyliśmy próg piwnicy, siostra Cecilia przygarnęła go pod swoje skrzydła niczym kwoka kurczątko. Nie tylko potrafiła z zaskakującą wprawą pozszywać mu zmasakrowaną lewą dłoń (w której jednak bezpowrotnie brakuje dwóch palców), ale także zdołała wyciągnąć Ukraińca ze straszliwego załamania nerwowego, w którym się pogryżył. Jej diagnoza była zadziwiająco zgodna z moją. Nerwica frontowa. Nie jest nieodwracalna, zwykle kilka tygodni w bezpiecznym, spokojnym miejscu, z dala od wszelkiego napięcia nerwowego, wystarcza, żeby ją przezwyciężyć, choć bywa i tak, że osoba, która na nią cierpi, na zawsze traci zmysły.

Na szczęście nie był to przypadek Wiktora. Jego wola przetrwania jest zbyt wielka, żeby zwykle załamanie nerwowe pozbawiło go chęci życia. Widziałem, jak z tygodnia na tydzień wstępuje w niego coraz większa otucha. Przyczyniły się do tego bez wątpienia długie rozmowy, jakie co noc prowadził w blasku dwóch świec z siostrą Cecilią. Zakonnice i Ukraińca połączyła przyjaźń, oparta

na wzajemnym zaufaniu.

Jak wielu Słowian, Pritczenko żarliwie wierzy w Boga. Mimo że siostra Cecilia jest katoliczką, a on prawosławnym, jej obecność była dla niego ogromną pociechą. Przypuszczam, że podczas tych niekończących się rozmów próbował wydobyć z niej, jaki sens ma to piekło, znaleźć wytłumaczenie nagłej utraty żony i synka, dowiedzieć się, dlaczego Bóg zesłał na ziemię taki kataklizm. Nie wiem, czy znalazł odpowiedzi, ale poszukiwania te bez wątpienia stały się balsamem dla jego poranionej duszy.

Jestem pewien, że coś na zawsze pękło mu w sercu, ale teraz przynajmniej uczy się żyć z tym bólem. A to już dużo.

Ja z kolei wolę nie myśleć. Nie mogę zaprzeczyć, że wciąż zastanawiam się nad losami swojej rodziny. Do diabła, tęsknię za nimi, intensywnie i rozpaczliwie, nigdy nie sądziłem, że mogłoby mi kogoś tak brakować. Wiem, że najprawdopodobniej zamienili się w tamtych, ale nie chcę tego przyjąć do wiadomości.

Od kilku tygodni śni mi się ten sam koszmar. Idę ciemnym korytarzem, po drugiej stronie jednej ze ścian słyszę plusk morza, ale nie czuję zapachu morza, tylko zgnilizny. Korytarz pokrywają śmieci i łuski po kulach, a ściany są poplamione czymś, co przypomina odchody, ale ja wiem, że to zaschnięta krew. Nagle przez któreś z drzwi wchodzi moja siostra i rodzice, przemienieni w tamtych, i zmierzają w moim kierunku, patrząc niewidzącymi oczyma, żądni mojej krwi. Choć we śnie mam broń, nie jestem w stanie podnieść pistoletu. I wtedy... wtedy się budzę, z ogromnym lękiem i wielką ochotą, żeby zwymiotować.

Nie wątpię, że ci, którzy zginęli i zamienili się w te istoty, są teraz w piekle, ale my, którzy przeżyliśmy, wcale nie jesteśmy od niego daleko.

Połowa września. Godzina 9.45

Wczoraj po południu dyskutowałem z Pritem w szybie dźwigu towarowego o

tym, jak najszybciej dotrzeć do mercedesa i doprowadzić go do naszego „wyjścia ewakuacyjnego”. Obaj byliśmy zgodni co do tego, że musimy przestawić ciężką terenówkę przed szpitala, gdzie ją porzuciliśmy, na drugą stronę budynku, bo to najbezpieczniejsze miejsce w okolicy. Nie chodziło tylko o to, żeby mieć samochód pod ręką w razie nagłej potrzeby, należało też od czasu do czasu go ruszyć, żeby uniknąć awarii. Powoli nadchodziła zima i bałem się, że będziemy mieć poważne problemy z zapaleniem silnika.

W trakcie rozmowy Ukrainiec nagle się wyprostował i z wyrazem skupienia na twarzy zaczął z niepokojem węszyć w powietrzu niczym wyżeł.

– Czujesz? – zapytał.

– Co mam czuć? – odpowiedziałem zaskoczony. Muszę przyznać, że po dziewięciu miesiącach spędzonych w otoczeniu śmieci i powoli rozkładających się trupów mój węch nie jest już tak wrażliwy jak niegdyś.

– Pożar – szepnął Wiktor z zamkniętymi oczami, chciwie wciągając powietrze. Nagle otworzył oczy i odwrócił się, świdrując mnie wzrokiem.

– Pożar? Ogień? Tutaj, w szpitalu?

– Nie tutaj w szpitalu. Ogień na zewnątrz, pożar lasu. Ja się nie mylę – odparł zduszonym głosem.

Nawet przez chwilę nie wątpiłem, że mały pilot ma rację. Lata doświadczenia w walce z pożarami lasów nauczyły go wyczuwać najdrobniejsze oznaki, nawet takie, z których zwykły człowiek nie zdałby sobie sprawy. Ja nic nie czułem, ale skoro Ukrainiec mówił, że zalatuje spalonym drewnem, nie podlegało dyskusji, że tak było. Należało się tylko zastanowić, jak wpłynie to na naszą sytuację.

– Idzie z wiatrem. Idzie tutaj – ciągnął Prit.

– Powinniśmy to sprawdzić.

– Tak.

Patrzyliśmy na siebie uważnie przez kilka sekund. Ukrainiec pokręcił głową, a ja zakląłem pod nosem. Obaj byliśmy świadomi tego, co teraz nastąpi.

Jasna cholera, pomyślałem. Znowu ten sam taniec. Kolejny raz nie pozostawało nam nic innego, jak wychylić nos z nory, czy nam się to podobało, czy nie.

Decyzja została podjęta. Wróciliśmy do „Numancji”. W kilku słowach poinformowaliśmy o sytuacji siostrę Cecilie i Lucię. Twarz dziewczyny, na której odmalowała się panika, gdy zrozumiała, że zamierzamy znów wyprawić się na zewnątrz, miała niemal komiczny wyraz.

Kiedy pomagała mi zapiąć połataną piankę, nie przestawała nerwowo trajkotać, przypominając o tysiącu rzeczy, których nie powinienem robić. „Nie ryzykuj za bardzo, nie wchodź w ciemne miejsca, nie zbliżaj się do niczego podejrzanego, nie oddalaj się od Prita, nie...”

Próbowałem ją trochę uspokoić, nie tylko dla jej dobra, ale również dlatego, że przez nią sam jeszcze bardziej się denerwowałem. Lucía nie była histeryczką, nic z tych rzeczy, ale najwyraźniej perspektywa, że tam na zewnątrz coś nam się stanie, budziła w niej wielki strach.

Wreszcie byliśmy z Pritem gotowi do wyjścia. Wyruszyliśmy uzbrojeni każdy w dwa karabiny automatyczne, zostawione w szpitalu przez żołnierzy. Poza tym miałem przewieszoną przez plecy załadowaną kuszę, a dwie zapasowe strzały przywiązałem do prawej nogawki. Ukraińiec, wystrojony w okropny dres w kolorze fuksji, który ranił nawet najbardziej elementarną wrażliwość na barwy, włożył do przytroczonej na wysokości nerek pochwy olbrzymi nóż myśliwski i mechanicznie żuł gumę. Był zadziwiająco spokojny.

Wiedzieliśmy, że najbezpieczniejsza droga na zewnątrz prowadzi przez szyb dźwigu towarowego. Nie tylko nie musielibyśmy ponownie przechodzić przez ciemny budynek, ale był to też najszybszy sposób, żeby wyjść na dwór. Kiedy znajdziemy się na parterze w magazynie do odbioru dostaw, wystarczy otworzyć okno, żeby zobaczyć całą rozciągającą się u stóp szpitala dolinę.

Szybko jednak odkryliśmy, że włożenie po linie windy jest nieco trudniejsze niż to widać na filmach. Liny są pokryte smarem, poza tym wchodząc, robiliśmy sporo hałasu, który mógł przyciągnąć cały zastęp tamtych.

Wyglądało jednak na to, że okoliczności nam sprzyjają, przynajmniej chwilowo.

Po mozolnej wspinaczce znaleźliśmy się na parterze. Prit niezwykle ostrożnie otworzył drzwi szybu, przygotowany na to, by w razie najmniejszej oznaki niebezpieczeństwa spuścić się z powrotem w dół. Ja z kolei próbowałem jak najbardziej napiąć linę, żebyśmy na wypadek problemów mogli po niej szybko zjechać do piwnicy.

Wiktor wślizgnął się jak piskorz za drzwi windy na parterze. Przez piętnaście niekończących się sekund nie słyszałem żadnego dźwięku. Kiedy już myślałem, że zaraz puszczą mi nerwy, Ukrainiec wychylił się zza drzwi i dał mi znak, że droga jest wolna. Zdziwiająco wolna, muszę dodać.

Pierwszy raz od miesiący poczułem na skórze promienie słoneczne. Było to wrażenie tak wspaniałe, że przez chwilę stałem nieruchomo, rozkoszując się tą cudowną przyjemnością. Znajdowaliśmy się w magazynie. Ciężka metalowa brama, którą niegdyś wjeżdżały ciężarówki z zaopatrzeniem, była otwarta na oścież, prawdopodobnie zostawiono ją tak w momencie ewakuacji kompleksu szpitalnego. To właśnie przez nią wpadało słońce. Poczułem, jak z nerwów ściska mi się żołądek. Skoro te ogromne drzwi stały otworem, to znaczy, że nic nie przeszkadzało Nieumarłym swobodnie przechadzać się po dużej sali. Nie zostało jednak po nich śladu. Najmniejszego.

Ostrożnie wyjrzelśmy z Pritem na zewnątrz. Był piękny dzień końca lata. Choć na bezchmurnym niebie mocno świeciło słońce, silny, północno-wschodni wiatr sprawiał, że panował chłód. Poza tym niósł ze sobą zapach palonego drewna. Teraz nawet ja go poczułem.

Nerwowo wodziłem wzrokiem, próbując wychwycić najmniejszy podejrzaný ruch, ale nie zobaczyłem ani żywej duszy. Tylko dziesiątki zdezorientowanych ptaków latały w popłochu we wszystkich kierunkach. Atmosfera była jakby naładowana elektrycznością, wszędzie wyczuwało się napięcie.

Nagle Pritchenko szturchnął mnie łokciem w żebra. Skierowałem wzrok w stronę, którą w milczeniu wskazywał palcem. Nad wzgórzami otaczającymi

kraniec doliny, na długości ponad dwóch kilometrów, wznosiła się gęsta ściana dymu spleciona w olbrzymie czarne spirale, które trzęsły się wściekle. Horyzont barwił złowróźbny pomarańczowy blask, nadając krajobrazowi katastroficzny, nierealny wygląd.

Obserwowałem tę scenę z przerażeniem. Pożar. Olbrzymi, niemożliwy do opanowania pożar lasu. Pamiętałem jak przez mgłę, że kilka dni wcześniej przez ten rejon przetoczyła się silna, sucha burza (dużo wyładowań elektrycznych, ale bez opadów). Może przyczyną ognia był jeden z piorunów. Albo butla butanu leżąca od kilku miesięcy na słońcu. Albo jakakolwiek inna przeklęta rzecz, której w tamtej chwili nie potrafiłem sobie wyobrazić. Diabli wiedzą.

Pewne było jedynie to, że przez nikogo niezwalczany pożar nabierał przerażających rozmiarów, równając z ziemią wszystko, co stało na jego drodze. Nagle, jakby ktoś czytał w moich myślach, potężny wybuch gwałtownie wstrząsnął powietrzem, a zza horyzontu wyłoniła się ogromna pomarańczowa kula ognia. Płomienie musiały strawić jakiś samochód; może więcej niż jeden, zważywszy na siłę eksplozji. Ogień powoli nabierał monstrualnych wymiarów.

Wtedy przypomniałem sobie o dziwnym braku Nieumarłych w okolicach szpitala. Może prymitywne rozumowanie, o ile takim się kierowali, kazało im jak najszybciej uciekać przed płomieniami. Wcale by mnie to nie zdziwiło. Koniec końców wydaje się, że czynami tych istot rządzą najbardziej prymitywne instynkty, jak u zwierząt. A jednym z podstawowych jest instynkt samozachowawczy.

Jakimś niepojętym dla mnie sposobem Nieumarli wyczuli zagrożenie i oddalili się na bezpieczniejsze obszary. Prawdopodobnie płomienie dopadły dziesiątki, setki, może tysiące z nich, ale miliony tych potępionych dusz i tak wciąż błakają się po okolicy. Nie, ogień nie był rozwiązaniem, raczej stanowił dodatkowy problem, całe wiadro problemów dodane do już i tak przelewającego się zbiornika, w którym tkwili ocalali.

Z gęstego lasu, w jaki zmienił się przyszpitalny ogród, wyłoniła się para

dzików, które przebiegły przez opustoszały parking w kierunku przeciwnym do ściany płomieni. Popatrzyliśmy na siebie z Pritem bez słowa. Zwierzęta uciekały przed ogniem, bo instynkt podpowiadał im, że to miejsce nie jest już bezpieczne. Spojrzenie Wiktora mówiło, że może powinniśmy wziąć z nich przykład.

Zresztą nie był potrzebny specjalnie wyostrzony instynkt, żeby zdać sobie z tego sprawę. Wystarczyło zobaczyć, gdzie znajduje się front pożaru i skąd wieje wiatr, żeby oszacować, że ogień dotrze do szpitala za dwie, góra cztery godziny. Nie więcej. Tyle mieliśmy czasu.

Nie mogliśmy go marnować.

Pospiesznie okrążyliśmy południową ścianę szpitala, posuwając się w kierunku parkingu, gdzie kilka miesięcy temu porzuciliśmy mercedesa. Doskonale pamiętałem, że zostawiłem otwarte na oścież drzwi od strony pasażera i że kilka istot od razu weszło do środka samochodu. Nie wiedzieliśmy, co tam znajdziemy, braliśmy także pod uwagę, że mógł się rozładować akumulator. Nie miałem pewności, czy zgasiłem światła, zanim wyciągnąłem Prita z auta, więc wszystko było możliwe. Na wszelki wypadek na dnie plecaka, który niosłem, spoczywał błyszczący akumulator na wymianę, łup z magazynu części zapasowych do karetek.

Uwijaliśmy się przy akumulatorach, zamieniając stary na nowy, a ja nie mogłem oprzeć się silnemu wrażeniu *déjà vu*. To była dokładnie ta sama sytuacja, jaką przeżyliśmy kilka miesięcy temu, kiedy zeszliśmy na ląd w porcie w Vigo, tyle że tym razem nie działaliśmy tak po omacku jak wtedy. No i wokół nas nie krążyła grupa uzbrojonych Pakistańczyków. To znaczna różnica. Zastanowiłem się przez moment, jaki los spotkał załogę „Zaren Kibish”... Jeśli o mnie chodzi, miałem nadzieję, że smaży się w piekle.

Po krótkiej chwili wahania silnik zapalił z podwójnym czknięciem. Zza wzgórz w pobliżu szpitala wyłaniały się pierwsze płomienie. Niebo miało intensywny, pomarańczowy kolor i wyraźnie czuć było zapach dymu. Wiatr wydawał się silniejszy, a temperatura wzrosła co najmniej o dwa stopnie

Celsjusza. Sytuacja wyglądała z każdą chwilą coraz gorzej.

Objechaliśmy cały budynek, ale nie zobaczyliśmy ani jednej z tych istot. Mercedes zatrzymał się z suchym chrzęstem na warstwie żwiru przy wejściu do magazynu. Prit został w samochodzie z zapalonym silnikiem, ja zaś niczym pocisk przeleciałem przez drzwi szybu, spuściłem się po wymazanym smarem kablu i bez tchu dotarłem do piwnicy.

Siostra Cecilia i Lucía czekały na mnie przy kabinie windy. Na ich twarzach malował się niepokój. Zdałem sobie sprawę, że zapach spalenizny dotarł już tutaj. Nie wiem, czy to moja wybujała wyobraźnia, czy pośpiech, ale wydało mi się nawet, że patrząc pod światło rzucane przez lampy magnezowe, widzę spirale dymu.

Krótko poinformowałem je, jaka jest sytuacja. Gigantyczny pożar zbliża się do szpitala. Nie ma sposobu, żeby go zatrzymać, osiągnie nas za niewiele ponad godzinę i zrówna to miejsce z ziemią. Nawet Nieumarli uciekli, tak szybko, jak tylko pozwalały im zmasakrowane ciała. Musimy stąd natychmiast wyjść albo wkrótce obrócimy się w popiół.

Ich reakcja była dużo bardziej opanowana i spokojna, niż sobie wyobrażałem. Psychicznie przygotowałem się na wielką scenę, a nawet na stanowczą odmowę opuszczenia bezpiecznej piwnicy, a tymczasem przyjęły wiadomość ze zdumiewająco zimną krwią. Lucía poszła w kąt magazynu, gdzie zostawiliśmy nasze tak zwane plecaki ewakuacyjne, a siostra ograniczyła się do zapytania, czy istnieje możliwość odblokowania i ponownego uruchomienia windy. „Jest wiele rzeczy, które może zrobić zakonnica – powiedziała – ale nie należy do nich wspinanie się na wysokość ponad dziesięciu metrów po oblepionej smarem linie. Rusz więc, synu, swoje cztery litery albo będziesz musiał wyprowadzić mnie dłuższą drogą, a to zajmie nam sporo czasu”.

Uśmiechnąłem się pod nosem i pokręciłem głową, zbyt poruszony, żeby odpowiedzieć. Te dwie kobiety były zrobione z bardzo twardego materiału. Musiało tak być, skoro przeżyły same przez tyle czasu, zniosły to piekło i nie dały się pożreć.

Jednym słowem tam, gdzie prawdziwi mężczyźni ugięli się w obliczu trudności niczym zepsute sprężyny, one po prostu zacisnęły zęby, by jeszcze trochę wytrzymać. Nie, zdecydowanie nie miałem do czynienia z dwiema mimozami. Całe szczęście.

Lucia wracała już z kąta magazynu, do połowy zasłonięta przez dwa olbrzymie plecaki wojskowe; trzeci ciągnęła za sobą. Spakowaliśmy do nich wszystko, co uznaliśmy za niezbędne do przeżycia po opuszczeniu piwnicy. Kilkadziesiąt paczek liofilizowanych produktów należących do żołnierzy (ogromny, bogaty łup, którym – jestem przekonany – można by wyżywić cały pułk), amunicję, flary, moją krótkofalówkę (bez baterii, odkąd któryś z marynarzy „Zaren Kibish” przeszukał moje rzeczy i uznał, że baterie do czegoś mu się przydadzą), litry wody i Bóg wie ile jeszcze innych rzeczy.

Zarzuciłem plecak, który wydał mi się najcięższy, i pomogłem Lucii założyć drugi. Mimo pełnych oburzenia protestów siostry Cecylii, nie pozwoliłem jej dźwigać trzeciego, przeciągnęliśmy go z Lucią po podłodze razem ze skrzynką, w której siedział Lukullus. Nie było z nami tak źle, żeby dobiegająca sześćdziesiątki kobieta musiała nieść plecak, który ważył tyle co ona albo i więcej.

Przed wejściem do windy z ukłuciem żalu ostatni raz spojrzałem na piwnicę. Przez prawie pięć miesięcy wiodłem tu niemal normalne życie. Prawdopodobnie było to jedyne bezpieczne miejsce z prądem, wodą, jedzeniem i wszelkimi wygodami w promieniu wielu, wielu kilometrów. I nie chodziło tylko o to, że musimy je opuścić – w ciągu kilku minut miały je strawić płomienie, a my nie mogliśmy nic zrobić, żeby temu zapobiec.

Na samą myśl, że zniknie to cudowne miejsce, serce ścisnął mi żal. Uśmiechnąłem się gorzko, świadom szczególnej ironii, która kryła się w tej ostatniej refleksji. Ciemna, zamknięta piwnica pachnąca jedzeniem i wilgocią z powodu skraplającej się wody teraz jawiła mi się jako „cudowne” miejsce. Nic, tylko się pochlastać.

Włożyłem do kieszeni różaniec z kości, który zakonnica zapomniała zabrać

ze stołu, i wolnym krokiem ruszyłem w stronę windy, gdzie czekały już na mnie obie kobiety. Zostawiłem zapalone wszystkie światła, nie zadałem sobie trudu, żeby je pogasić. Co za różnica. „Titanic” też zatonął z zapalonymi światłami i orkiestrą grającą na pokładzie.

Wystarczył jeden rzut oka, by przekonać się, że windę da się zaskakująco łatwo odblokować. Trzeba było po prostu wyjąć ogromną warzuchę, którą ktoś pomysłowy włożył w otwór, uniemożliwiając zamknięcie drzwi. Gdy to zrobiłem, skrzydło zasunęło się z ogłuszającym metalicznym trzaskiem i niemal jednocześnie kabina powoli ruszyła w górę, trzęsąc się w mało uspokajający sposób.

Podróż windą była powolna i pełna napięcia. Coraz intensywniejszy, gryzący zapach dymu wciskał się przez kratki wentylacyjne i sprawiał, że czuliśmy suchość w gardłach. Oczami wyobraźni widziałem dziesiątki tamtych, cierpliwie czekających przed drzwiami dźwigu, aż menu samo do nich podjedzie. Wyobrażałem sobie kilkadziesiąt zachłannych rąk i ust, które wyciągają się w stronę wnętrza windy, żeby rozerwać nas na kawałki i pożreć.

Wystraszony zamknąłem oczy, a mój oddech przyspieszył. Nie mogłbym niczego zrobić, nie mogłbym niczego zrobić, nie...

Czyjaś dłoń dotknęła mojego ramienia. Otworzyłem oczy i zobaczyłem opanowaną twarz Lucii. Serdecznie ścisnęła mnie za rękę. Przysunęła mi usta do ucha i szepnęła ciepło: „Spokojnie. Wszystko pójdzie dobrze”. Przy okazji leciutko mnie ugryzła, niezbyt niewinnie, a ja podskoczyłem prawie pod sufit windy. Przeklęta smarkula.

Wreszcie dźwig się zatrzymał, z mocnym szarpnięciem. Drzwi, lekko zablokowane po tak długim nieużywaniu, nie chciały się do końca otworzyć, musieliśmy je trochę popchnąć, żeby wyjść. Na zewnątrz stanęliśmy jak wryci przytłoczeni roztaczającym się przed nami widokiem.

Strzępy gęstego dymu spowijały cały parking, ograniczając widoczność do jakichś dwustu metrów. Wszystko było zabarwione na niezdrowy, czerwonawy kolor, niczym ilustracja prosto z piekła. Czoło pożaru znacznie posunęło się

naprzód – pokonało wzgórza i schodziło dalej zboczem na dół, trawiąc wszystko, co znajdowało na swojej drodze. Płomienie dosięgły olbrzymiego skupiska eukaliptusów, które pod wpływem gorąca eksplodowały niczym wiązka zapalek wrzuconych do kominka. Wszędzie fruwały tysiące rozżarzonych iskier roznoszonych przez silny wiatr będący efektem burzy ogniowej. Niektóre spadały na suche, łatwopalne podłoże, dając początek nowym pożarom, które zasilały szalejące monstrum. Nie spodziewaliśmy się aż takiego chaosu. Porywiste podmuchy sprawiły, że pożar przemieszczał się znacznie szybciej, niż sądziliśmy. Za niespełna piętnaście minut ogień zaczął lizać ściany szpitala.

Łzawiąc z powodu dymu, podeszliśmy do mercedesa, który mimo włączonych wszystkich świateł był niemal niewidoczny pośród tej burzy popiołu i ognia. Niespokojny Prit czekał przy samochodzie i dawał nam znaki, żebyśmy się pospieszyli. Jednym okiem obserwował nas, drugim okolicę. Zauważyłem, że ma odbezpieczoną broń, co mnie nawet nie przyszło do głowy. W końcu był kiedyś wojskowym, przypuszczam, że takie nawyki ma wyryte w podświadomości.

Kiedy pozostali upychali plecaki w bagażniku, skorzystałem z okazji, żeby zająć miejsce kierowcy. Tym razem wolałem sam prowadzić. W tym roku poznałem już wystarczająco dobrze ukraiński styl jazdy, a ostatnią rzeczą, której pragnąłem, był wypadek.

Gdy wreszcie wszyscy znaleźli się w środku, ruszyłem, rozpryskując żwir na boki. Okolica wyglądała jak dantejskie piekło. Olbrzymia czerwona chmura spowijała wszystko, co dało się objąć wzrokiem, czyli niewiele, zaledwie czterdzieści, pięćdziesiąt metrów przed reflektorami samochodu, a ryk płomieni, urozmaicany wybuchami i suchym trzaskiem płonącego drewna, był już doskonale słyszalny. Po omacku przeciąłem plac, w ostatniej chwili wymijając resztki porzuconego peugeota z plamami zaschniętej krwi w środku.

Wreszcie znalazłem drogę wyjazdową, obramowaną z obu stron dwoma olbrzymimi blokami betonu, do której dojeżdżało się pięćdziesięciometrowym

odcinkiem jezdni ogrodzonej drutem kolczastym. W samochodzie rozległy się okrzyki protestu, kiedy mercedes podskoczył na wielkim, śmierdzącym tłumoku (pewnie gnijących zwłokach) leżącym na środku szosy, którego nie byłem w stanie ominąć.

Oddaliliśmy się od Meixoeiro zaledwie o jeden, dwa kilometry, gdy w powietrzu rozbrzmiał głośno potężny wybuch, wprawiając nasz samochód w drżenie. Płomienie musiały już dosięgnąć magazynu z ciekłym tlenem stojącego w pewnej odległości od szpitala. Eksplozja była tak silna, że prawdopodobnie wyrwała pół fasady. Od tego momentu przez kolejnych piętnaście minut towarzyszyła nam nieprzerwana seria wybuchów. Ogień trawił porzucone na parkingu pojazdy, zbliżając się coraz bardziej do budynku szpitalnego.

Wreszcie nieprawdopodobna eksplozja, znacznie potężniejsza niż wcześniejsze, dosięgnęła i nas, napędzając nam niezłego strachu. Zbiorniki z paliwem do generatorów albo do ogrzewania. No tak. Płomienie musiały się już wedrzeć do wnętrza budynku.

O jedno schronienie mniej, i znów w drodze, ale z dwiema nowymi osobami. Chryste przenajświętszy. Ale się porobiło.

Odbyliśmy resztę drogi w milczeniu. Przypuszczam, że Lucía i siostra Cecilia zastanawiały się, dokąd jedziemy, ale nawet jeśli tak było, to powstrzymały się od komentarzy. Może po prostu myślały, że tylko uciekamy przed ogniem, a kiedy będziemy bezpieczni, postanowimy, co dalej.

Nic bardziej mylnego.

Nie zapomnieliśmy z Pritem o małej metalowej części zawiniętej w papier z napisami cyrylicą, spoczywającej w dużej kieszeni plecaka Ukraińca. Ta część była jedyną rzeczą, która gwarantowała nam, że śmigłowiec wciąż stoi na swoim miejscu i czeka na nasz przyjazd.

Śmigłowiec. Tymczasowe rozwiązanie naszych problemów. Nieraz rozmawialiśmy o nim z Pritem w ciągu tych długich, fantastycznych miesięcy. Stacjonował w heliporcie przeciwpożarowym położonym niecałe dwanaście kilometrów w linii prostej od Meixoeiro. Na mapie drogowej zaznaczyliśmy

najlepszą trasę prowadzącą do lotniska, wykorzystując to, co zapamiętaliśmy z Ukraińcem z tej części miasta. Dało się tam dojechać bocznymi drogami i przecinkami przeciwpożarowymi niezaznaczonymi na mapie, gdzie niebezpieczeństwo nieprzyjemnych spotkań było znikome, zwłaszcza na niezamieszkanym obszarach. Postanowiliśmy, że spróbujemy dostać się do śmigłowca w październiku, kiedy pierwsze deszcze ukryją nieco przed Nieumarłymi nasze ruchy. Zamierzaliśmy podlecieć helikopterem pod szpital, gdzie załadowalibyśmy go po brzegi, ale pieprzony pożar zmusił nas do przyspieszenia całej operacji. No cóż. Za wszelką cenę musieliśmy się tam dostać.

Teoretycznie nie było to zbyt skomplikowane, tym bardziej że pożar nie przemieszczał się w tamtą stronę, ale w każdej chwili nagła zmiana kierunku wiatru mogła pokrzyżować nam szyki. Na razie okolica, po której się poruszaliśmy, sprawiała wrażenie bezpiecznej: ogień, po tym jak strawił olbrzymi kompleks szpitalny, zamieniając go w ogromną stertę rozżarzonego gruzu, który świecił z daleka, z płomieniami buchającymi z okien górnych pięter, schodził teraz z zaskakującą prędkością w dół doliny, do miejsca, gdzie pod światło widać było zarys pierwszych budynków na przedmieściach Vigo. Jeśli nic mu nie przeszkodzi (a jedyną rzeczą zdolną to zrobić, jaka przychodziła mi do głowy, była potężna ulewa), pożar za kilka godzin zrówna miasto z ziemią.

Dawny świat człowieka ostatecznie się skończył. Nastął nowy świat, świat Nieumarłych, świat-trup, nastał, żeby zająć jego miejsce, eliminując powoli ślady naszej obecności na powierzchni ziemi. Czuję się tak, jakby nieliczne, rozproszone garstki ocalałych były ostatnimi reprezentantami naszej rasy. Przerazające.

Na trasie, którą tu dojechaliśmy, nie natknęliśmy się na żadne przeszkody. Dopiero dwa ostatnie kilometry musieliśmy pokonać starą przesieką przeciwpożarową, bo drogę odcięła osuwająca się ziemia. Dotarliśmy do ogromnej skały, na której teraz siedzę i piszę. Ze szczytu tej góry, jakieś sześćset metrów nad poziomem morza, mamy wspaniałą widok na całą zatokę

Vigo, część Pontevedry i kilometry w głębi lądu. Nigdzie nie widać znaków życia, ludzkiego życia oczywiście.

Baza była całkowicie opustoszała, kiedy do niej dotarliśmy, ten stan trwa zapewne od miesięcy, sądząc po rosnących w bramie gęstych chaszczach. Musieliśmy wycinać je przez dobre pięć minut, by dostać się na ogrodzony teren.

Trzy godziny później

Ku naszej radości śmigłowiec Prita wciąż stał w leśnej bazie. Wszystkie drzwi były pootwierane. To ogromny PZL W-3A Sokół na wielkich kołach, biało-czerwony, z wydłużonym nosem i śmigłami pomalowanymi na czarno i biało. Do kabiny ma przyklejony duży garb, w którym – jak wyjaśnił mi Prit – zainstalowane są dwie gigantyczne turbiny napędzające maszynę. Wnętrze jest obszerne i przestronne, poza dwoma pilotami mieści się w nim jeszcze dziesięć osób (choć zazwyczaj dla większej wygody brygady latające śmigłowcami miały tylko dziewięciu członków).

Małym traktorem przeholowaliśmy olbrzymią maszynę na zewnątrz, na asfaltową płytę; Prit wspiął się między śmigła i otworzył głowicę jednej z turbin, żeby naprawić silnik. Cieszę się, że mam przy sobie tego Ukraińca. W ciągu minionych miesięcy nie tylko udowodnił, że jest wspaniałym towarzyszem, ale też wyłącznie dzięki niemu możemy się teraz stąd wydostać.

Zmieniając temat: wygląda na to, że pożar objął już całą północną część miasta. Spędziłem ostatnie dwie godziny, obserwując horyzont, a także Vigo, oddalone o dobre piętnaście kilometrów, przez potężną lornetkę Zeissa. Gęsty słup czarnego dymu nie pozwala mi dostrzec szczegółów, ale teraz wybuchy następują po sobie coraz częściej, w miarę jak ogień trawi samochody, stacje benzynowe, przewody gazowe i tysiące innych łatwopalnych rzeczy, które można spotkać w dużym mieście. Cieszę się, że mnie tam nie ma.

Z powodu dymu nie widzę także portu, spowitego gęstą masą popiołu i sadzy. Zastanawiam się, czy „Zaren Kibish” nadal stoi na redzie, czy też udało

mu się stamtąd odpłynąć.

Gdziekolwiek skieruję lornetkę, widzę tamtych. Nieumarłych. Są ich setki, tysiące, kłębią się dosłownie wszędzie. Pewnie pożar zmusił ich do opuszczenia miasta i teraz błakają się po polach, małych miasteczkach i osiedlach na peryferiach, szukając czegoś na ząb i Bóg jeden wie, czego jeszcze. Wierzę, że ogień zabrał wielu z nich, uwięzionych w labiryncie ulic Vigo, ale z tego, co widzę, większość zdołała uciec na czas. W drodze na lotnisko minęliśmy zaledwie kilku, i to w znacznej odległości, ale ich przybycie jest tylko kwestią czasu.

Tak więc wyjeżdżamy. I to bardzo daleko.

Podjęliśmy decyzję. Naszym celem będzie Teneryfa na Wyspach Kanaryjskich. To jedyne sensowne wyjście. W każdym innym miejscu na kontynencie europejskim napotkamy te same problemy i trudności co tutaj. W tej części świata nie znajdziesz już miejsca dla istoty ludzkiej. Mamy tego wszystkiego dosyć. Jestem zmęczony życiem osaczonego zwierza. Potrzebuję schronienia, gdzie mielibyśmy spokój, jedzenie, prąd, a co najważniejsze, gdzie byliby ludzie. Człowiek jest z natury istotą społeczną, potrzebuje do życia innych ludzi. Potrzebujemy nowych twarzy, nowych osób, nowych pomysłów, w przeciwnym razie zwariujemy. Obawiam się, że jeśli nie spotkamy jakiejś większej grupy, wkrótce zatracimy swoje człowieczeństwo.

W radiu śmigłowca złapaliśmy kilka bardzo słabych, pełnych zakłóceń przekazów. Komunikaty nie pozostawiają wątpliwości. To informacje wojskowe dotyczące ruchu powietrznego na lotnisku w Los Rodeos na Teneryfie. Co oznacza, że to lotnisko nadal jest obsługiwane, przypuszczamy, że w jego pobliżu musi być jakieś skupisko ludności. Lucía bardzo słusznie przypomniiała, że przestrzeń morską i powietrzną wysp została zamknięta, żeby uniknąć dalszego napływu ludzi, ale od tego czasu minęło wiele miesięcy. Chcę wierzyć, że teraz nowa grupa ocalałych spotka się z dobrym przyjęciem.

Martwi mnie jeden problem: olbrzymia odległość, jaką mieliśmy do pokonania. Tę część półwyspu dzieli od Wysp Kanaryjskich ponad tysiąc

siedemset kilometrów. Taki śmigłowiec jak Sokół może przebyć bez tankowania maksymalnie czterysta kilometrów, dlatego w żaden sposób nie zgadzały mi się rachunki. Lot w linii prostej jest wykluczony, jedyne wyjście to przelecieć nad półwyspem, przeciąć Cieśninę Gibraltarską i dotrzeć do Tarfai, rejonu Maroka położonego najbliższej wysp. Stamtąd na Fuerteventurę są już tylko dwie godziny lotu.

Możliwość zatankowania po drodze paliwa jest co najmniej problematyczna. Nie wiemy, w jakim stanie są lotniska i lądowiska znajdujące się na naszej trasie, o ile w ogóle będzie można posadzić tam maszynę. Paliwa do śmigłowca nie dostanie się na pierwszej lepszej stacji benzynowej, musi to być specjalny olej, dostępny tylko w rafineriach i w heliportach, co stanowi dodatkowy kłopot. Choć długo się nad tym głowiłem, nie znalazłem żadnego rozwiązania.

Dziś rano dyskutowaliśmy z Wiktorem nad mapą, rozważając różne warianty, na jakie pozwalał nam niewielki zbiornik. Ukrainiec proponował, by polecieć na południe wzdłuż portugalskiego wybrzeża i spróbować zatankować w okolicach Porto, a potem w Lizbonie, Huelvie, Tangerze, Rabacie, Casablance i tak dalej, aż dotrzemy nad wyspy.

Mnie z kolei, po doświadczeniach z Vigo, lądowanie w okolicach kilkuset tysięcznej metropolii takiej jak Porto wydawało się koszmarem. Wolałbym krążyć nad środkową częścią kraju, nad niezamieszkanymi obszarami, i uzupełniać paliwo w małych, zapomnianych heliportach i na lotniskach podobnych do tego. Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że możliwość, iż będą one „suche”, bez kropli paliwa, jest znacznie większa niż w przypadku dużych lądowisk, ale mimo to wolałem takie wyjście niż zbliżanie się do wielkich miast.

Oba rozwiązania zakładały mnóstwo trudności. Jednym słowem, podróż pełna okropieństwa.

Rozwiązanie znowu znalazła Lucía. Przysłuchiwała się naszej rozmowie, spoglądając coraz bardziej zadumanym wzrokiem na dolną część śmigłowca. W którymś momencie nam przerwała.

– Wiktorze, co to jest? – zapytała, wskazując na dziwaczny kosz na spodzie ogromnego Sokoła.

– To? To jest bambi.

Widząc zdziwienie na naszych twarzach, poczuł się zmuszony wyjaśnić, co miał na myśli.

– Nazywamy bambim zbiornik, który wypełnia się wodą do gaszenia pożarów. Najczęściej dowoziłem brygady do ognia, po czym rozkładałem bambiego, napełniałem go w pobliskiej rzece i opróżniałem nad płomieniami. Potem powtarzałem całą operację jeszcze raz, i jeszcze raz. – Uśmiechnął się. – Na tym polegała moja praca.

– A jaką ma pojemność? – dociekała Lucía z inteligentnym błyskiem w oku.

– Jakież dwa tysiące litrów, ale nie rozumiem, jakie, do cholery, ma to teraz znaczenie. – Pritczenko był wyraźnie zirytowany.

– Zaczekaj, chyba wiem, do czego zmierza – przerwałem. – Dwa tysiące litrów to...

– No przecież! Dwie tony! A jeśli zamiast wody zabierzemy paliwo, będziemy mogli lecieć bez przerwy przez... – Lucía spojrzała pytająco na Pritczenkę, ale ten odwrócił się już do nas plecami i rzucił na kartkę, na której zaczął pospiesznie coś liczyć. Wreszcie, po kilku niekończących się minutach, wydał z siebie pomruk zadowolenia, spojrzał na nas z uśmiechem i puścił oko.

– Myślę, że to może się udać – oznajmił. – Z wypełnionym po brzegi bakiem i wiszącą pod nami cysterną o pojemności dwóch tysięcy litrów dałoby się chyba dotrzeć na miejsce bez konieczności uzupełniania paliwa. Trochę na styk, zwłaszcza jeśli będziemy musieli poruszać się pod wiatr, ale moglibyśmy dolecieć. – Przerwał i wbił w ścianę niewidzące spojrzenie, robiąc w głowie dalsze obliczenia. – Moglibyśmy dolecieć – powtórzył z błyskiem w oczach. – Tak. To się może udać.

Poczułem ogromną radość. Mieliśmy się stąd wydostać. Nie mogłem w to uwierzyć.

Tak więc teraz, podczas gdy Prit dokonuje ostatnich napraw w turbinach Sokoła, na skraju płyty lotniska, w ogromnej, superwytrzymałej sieci używanej do przewozu towarów, rośnie błyszcząca góra starannie powiązanych kanistrów, wypełnionych po brzegi paliwem. Zamierzamy zawiesić tę wielką siatkę na spodzie śmigłowca, tam gdzie normalnie znajdowałyby się ciężki bambi. Kiedy będziemy musieli zatankować, Wiktor posadzi maszynę w jakiejś otwartej, spokojnej okolicy i przelejemy zawartość części kanistrów do baku helikoptera. Po wszystkim, co przeszliśmy, wygląda to na łatwe przedsięwzięcie.

Załadowaliśmy już do środka nasze rzeczy i wszystko jest gotowe, żeby jutro o świcie wyruszyć w drogę. Dziewczyny odpoczywają w hangarze, a Wiktor z wyrazem zadowolenia na twarzy właśnie zamknął pokrywę od turbin.

Siedzę na tej ogromnej skale na końcu heliportu, Lukullus leży zwinięty w kłębek u moich stóp i podgryza mi sznurówki. Słońce zachodzi nad zatoką, rzucając na wodę złote iskry. Czuję w żołądku dziwny ucisk. Prawdopodobnie już nigdy więcej nie zobaczę tego krajobrazu.

Jesteśmy ostatnim pociągiem, który odjeżdża z tej stacji. Jeśli ktoś jeszcze został w okolicy, obawiam się, że jest już stracony, to tylko kwestia czasu.

Tak czy inaczej, choć to mało prawdopodobne, istnieje szansa, że w jakimś momencie w przyszłości ktoś się tu zjawi. Na głównym stole w hangarze zostawiłem w plastikowym pokrowcu wierną kopię tego dziennika. Jeśli coś się spieprzy i zostaniemy gdzieś po drodze, może ktoś przeczyta moje zapiski i przynajmniej będzie wiedział, że przez dziewięć długich miesięcy grupka osób zawzięcie walczyła o życie. Że w żadnym momencie się nie poddaliśmy. I że przez cały czas przepełniało nas najszlachetniejsze, najpiękniejsze, wyróżniające istotę ludzką uczucie: nadzieja.

No nic. Pójdę się trochę przespać.

Jutro czeka nas zwariowany dzień.

- [1]W Hiszpanii prezenty bożonarodzeniowe wręcza się w święto Trzech Króli (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczy).
- [2]Lorenzo Milá, znany hiszpański dziennikarz telewizyjnych programów sportowych, później informacyjnych.
- [3]Federico Jiménez Losantos, znany hiszpański publicysta oraz dziennikarz radiowy i telewizyjny. Do 2009 roku pracował w konserwatywnym radiu COPE, związanym z Kościołem hiszpańskim.
- [4]Matías Prats Luque, znany hiszpański dziennikarz, prowadzący programy informacyjne w Telewizji Hiszpańskiej.
- [5]Specjalność kuchni hiszpańskiej: surowa szynka wieprzowa, solona solą morską i suszona (bez wędzenia) od 8 do 36 miesięcy.
- [6]Pancho Villa (1878–1923), meksykański przywódca partyzantki chłopskiej, generał z okresu rewolucji meksykańskiej.

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz